



WAR BOOK

PIOTR LANGENFELD

WIDOWISKO



PIOTR LANGENFELD

Widowisko



© 2017 WARBOOK Sp. z o.o.

© 2017 Piotr Langenfeld

Redaktor serii: **Sławomir Brudny**

Redakcja i korekta językowa: **Zespół redakcyjny**

Projekt graficzny, skład, eBook:

Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux, atelier@duchateaux.pl

Ilustracja na okładce: **Tomasz Tworek**

ISBN 978-83-645-2378-6

Ustroń 2017

Wydawca: **Warbook Sp. z o.o.**

ul. Bładnicka 65

43-450 Ustroń, www.warbook.pl

Stryjowi Antoniemu

Prolog

2009, lipiec

Od samego początku wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że tamci po drugiej stronie byli dobrzy. Cholernie dobrzy.

Z każdą kolejną minutą przypuszczenia zmieniały się w absolutną pewność. I wcale nie poprawiały nastroju.

Kiedy tylko szef zszedł do nędznej, pełnej lichych chatek, cuchnącej doliny, w Wielkim pojawiło się to dziwaczne uczucie.

Wielki nie był przesadnie lękliwy, w tej robocie to niemożliwe. Nie wierzył nigdy w przesady, przecucia i inne dyrdymały.

Zresztą, cokolwiek to było, zaraz miało się sprawdzić...

Boss poszedł w dół, jak było zaplanowane. Nie sam, to byłoby głupie, zwłaszcza tu, gdzie w jednej chwili przyjaciel mógł stać się nieco bardziej wredny. Zresztą nie potrafiłby się dogadać. Tłumacz był dobry, przeszkolony i pochodził z tych okolic. Znali go i darzyli zaufaniem.

Reszta, cała piątka, miała czuwać i osłaniać, gdyby miejscowym coś odwaliło. Były to dodatkowe środki ostrożności, bo nigdy dotąd nie sprawiali kłopotów, wszystko szło sprawnie, jak to przy dobrym biznesie, na którym zależy obu stronom.

Boss sprawdzał ładunek, liczył pobieżnie i wracał. Płacił kto inny, innym kanałem, ale ich to w ogóle nie obchodziło. Ich rolą było przypilnowanie, żeby nie działo się nic w czasie krótkiej drogi do granicy. Bo dalej wszystko było już prostsze, bardziej oficjalne.

Wielki nie lubił takich akcji. Pilnowania dostaw, czegokolwiek by nie zawierały i w którąkolwiek stronę by nie płynęły. Taka praca nudziła ich wszystkich, nie rozumieli jej do końca, choć wpojone poczucie obowiązku nie pozwalało pisać słowa. Ba, to nawet nie przychodziło im do głowy.

Ich kręciło coś innego. Grubsze sprawy, kiedy tylko wolno im było przekroczyć granicę. Wypadki na dalekie akcje z miejscowymi albo ich sojusznikami. I przeciwnik, z którym w innych okolicznościach, jak na razie, nie było szans się zmierzyć. Nie mogli szarżować, ale i tak dawało to więcej radochy niż ślęczenie gdzieś na skale w rosnącym skwarze wstającego dnia.

Zresztą spokojny świt stał się już mglistym, nierealnym wspomnieniem.

Jak zawsze o tej porze roku na niebie nie było ani śladu chmurki. I choć skryli się w cieniu, temperatura rosła szybko, pot zalewał skronie, a ubrania z wolna zaczynały przylegać do ciał.

Dziwne, niepokojące przecucie sprzed kilku godzin jeszcze się nasiliło. Wielki aż czuł mrowienie na karku.

Boss ciągle był we wsi.

Niespełna piętnaście minut później wszystko nagle wywróciło się do góry nogami.

Ktoś na nich czekał.

Dolinę wypełnił grzmot, który poniosło echo. W dole się zakotłowało od kurzawki. Wielki miał ze sobą dobry sprzęt, ale w tym chaosie niewiele mu to pomogło.

Był wściekły. Nie wykrył ich. To, że reszta grupy też nic nie zauważyła, nie bardzo go pocieszało.

Tamci wiedzieli o ich eskapadach albo też czaili się od kilku dni.

Pierwszy strzał przeciwnika nie był udany. Dał szansę na znalezienie schronienia, choć z po-

czątku ludzie w dolinie myśleli, że to chyba przypadek, pomyłka czy coś podobnego.

Kilku zapłacało za tę chwilę wahania, bo kolejne strzały były już lepiej mierzone.

– Upiór, skąd, do cholery, to leci?! – dyszał do radia Boss, nie kryjąc strachu, ale i wściekłości.

Skrył się za jakimś murkiem, nawet nie starając się walczyć. Każdy, kto w swej głupocie próbował, padał jak długi.

Jakby tego było mało, od wschodu doleciały inne dźwięki. Chyba auta lub ciężarówki. I znów strzelanina.

Wielki pojął, co to oznacza. Przeciwnik trzymał tych w dolinie w potrzasku, czekając, aż nadciągnie nagonka i ich wszystkich wyłowi.

To nie była mała grupka, ale wielka operacja. Wielka, pieprzona ofensywa, w którą dali się wpuścić.

Zaraz zaczęły stukać mózdzierze. Najpierw wolno, miarowo, na próbę, potem szybciej, sprawniej. Huk pojedynczych wybuchów stopił się w jeden dźwięk.

Miejscomi na skraju swojej osady bili się dzielnie: albo atakujący nie przejawiali wigoru, albo teren był dobrze przygotowany do obrony. Zresztą Wielkiemu nie robiło to różnicy. Jak sprawnie by tam nie szło, było jasne, że za kilka minut rozlegnie się świst wirników i będzie po wszystkim.

To jednak niewiele go teraz obchodziło. Katastrofa już się dokonała. Dowódca był w pułapce, nie mógł się ruszyć, a wróg widział wszystko, więc kilka śmigłowców nie robiło różnicy.

– Mam! Są! – Cegła, rudy facet w przepoconej bandanie, przyklejony do swojej armatki, omal nie wybił sobie oka celownikiem. – Północny wschód. W połowie wzgórza, nieduża półka...

– Jebani – syknął Wielki. – Są prawie na skraju zasięgu! – przekrzyczał echo rwącej się świeżej porcji granatów. – Spróbujesz?

Nie był do końca pewien swojej decyzji. Miał ratować szefa lub przynajmniej dać mu nieco czasu, ale sam wystawiał wszystkich na strzał.

Jeśli się nie mylił, tamci doskonale widzieli każdy kamyk w tej okolicy i każdy najmniejszy ruch. Mieli przecież dostęp do potężnego oka wiszącego wysoko na niebie.

Tylko perfekcyjna kryjówka pod nawisem jeszcze nie zdradziła pozycji Wielkiego.

W dolinie się kotłowało. Idąca szturmem kolumna musiała przebijać się coraz skuteczniej, bo miejscowi, świadomi bliskości końca, rzucili się do ukrytych aut, głusi i ślepi na efekty ostrzału.

– Więcej, kurwa, więcej! – dyszał Boss. – Więcej, widzicie?!

– Widzimy. – Wielki z trudem próbował zachować profesjonalny ton.

– Zawijamy się na trójkę. Może się uda – obwieścił szef krótko, bez odrobiny miejsca na wątpliwości czy pytania.

– Przyjąłem – przytaknął Wielki. – Chuj z tym, wal! – nakazał Cegle.

Cegła zawahał się chwilę, otworzył zamknięte dotąd oko i łypnął na kumpla, żeby upewnić się, że to rozkaz.

Wstrzymał oddech, wcisnął kolbę. Huknęło. Uniosło się nieco kurzu, ale nie za wiele. Podlali wodą wokoło, by zbytnio się nie zdradzać.

Długo nic. Potem obłoczek dymu, ale dużo poniżej domniemyanych celów.

Odczekali. Tamci albo nie zauważą, że są na celowniku, albo trudniej będzie im szukać.

Znowu strzał. Bliżej.

– Tłucz – rozkazał Wielki, dostrzegając, jak szef skokami, ciągnąc za sobą tłumacza, zapie-

prza od ściany do ściany, od chlewu do rowu, byle dalej.

Cegła się nie poddawał. Strzelił kilka razy. Przeładował. Przymierzył. Huk.

– Kurwa! – Rozpromienił się. – Chyba mi się...

Nie skończył, bo zaraz na lewo od nich zatańczył pomarańczowy obłok.

– No, tośmy osłonili... – Wielki poczuł, jak serce zaczyna mu kołatać.

Chciał wierzyć, że odciągnął uwagę tamtych od szefa, choć teraz wcale nie było mu z tym dobrze.

– Skurwiele mają coś większego. – Nerwowo pochylił głowę, kiedy kolejny dymek rozproszył się od wiatru.

Cegle przechodziła ochota na pojedynkowanie się z takiej odległości. Bił rzadziej, już mniej pewny. Jakby świadom, że tamtych tylko rozsierdził.

Od wschodu, ponad szczytami, doleciał tętent wirników. Wielki poczuł ogromny ucisk w piersi. Nie chciał mieć racji, nie tu, nie teraz. Nie był starym wyjadaczem, ale swoje wiedział. Bał się. Nawet nie śmierci. Bardziej zbliżającej się wielkimi krokami kompromitacji, która kosztowałaby bardzo dużo. Za dużo.

– Srebrny, jak ci idzie? – powiedział do mikrofonu, znów z trudem się hamując, by nie wyjść na panikarza.

Szef zniknął chwilę po wyjściu ze wsi. Dobry był.

– Zawijamy się, chłopaki! – rzucił za siebie po odebraniu komunikatu i dla przykładu ruszył z miejsca pierwszy.

Ześlizgnął się po piachu nieco w dół, do niecki. Teraz wał ziemi i skał zakrywał jego sylwetkę.

Trójka ludzi gapiła się na niego nieprzytomnie. Milczeli cały czas i zdawać by się mogło, że w tym całym napięciu czekali tylko na to polecenie.

– Cegła, pilnuj – nakazał.

Nie było to proste. Strzelec już zrezygnował z posyłania naboju na ślepo i tylko patrzył. Tamci albo też dali za wygraną, albo ich ludzie zmieniali pozycję na bardziej dogodną, albo... i to była najpotworniejsza z możliwości, przekazali namiar celu załogom w śmigłowcach. Tamci z kolei albo z sadyzmu czekali tak długo, dręcząc rudego strzelca, albo mieli jeszcze co robić w dolinie.

Grupa sprawnie zebrała sprzęt, plecaki i zatarła resztki śladów swojej bytności. Nie mieli prawa pozostawić niczego, nawet papierka.

Trasę odwrotu, a nawet dwie, wyznaczyli już wcześniej. Tyle że teraz nic już nie było pewne.

– Motyl, szpica – syknął surowo Wielki.

Chłopak, żylasty osiłek, tylko skinął głową, ale widać było wyraźnie, że nie ma wielkich chęci torować drogi.

Wielki, jak przystało na jego ksywkę, z trudem mieścił się w niskiej grocie. Garbił się, szorował plecakiem o skalny sufit, aczkolwiek dałby wiele, żeby cała droga wyglądała jak to. Nikt nie mówił jednak, że ma być łatwo.

Szli szybko, zostawiając za sobą dudnienie dogasającej już bitwy. Mieli nadzieję, że tam się jeszcze przeciągnie i pogoń ruszy ich tropem jak najpóźniej.

Wyszli z jaskini. Wąską ścieżką poniżej grzbietu skierowali się na południe. Teraz dopiero odczuli, że dzień zaczął się na dobre. Paliło piekielnie, żar lał się z nieba. Nawet najmniejszego, ożywczego podmuchu wiatru. Nic.

Biegli, jak tylko dało się najszybciej na tej stromiznie pełnej ostrych głazów.

Cegła dołączył po chwili. Teraz było ich pięciu. Prawie cała grupa.

Odgłos walki dolatywał rwanymi dźwiękami zza grzbietu góry i można byłoby pomyśleć, że to ich już nie dotyczy. Droga jednak dopiero się zaczynała.

– Srebrny, jak z tobą? – rzucił w eter Wielki, ciągle biegnąc.

– Do trójki jeszcze półtora – usłyszał dyszenie szefa przez trzaski.

Łączność się rwała albo byli zagłuszani.

Bieg na tej wysokości był czymś okropnym. Jeszcze z bronią i pogonią na karku. Ale przynajmniej żyli.

– Szybciej, szybciej, chłopaki – rzucił Wielki już nieźle zdyszany.

On i reszta doskonale wiedzieli, że teraz zaczęła się prawdziwa zabawa. Jeśli do tej pory nie zostali dostrzeżeni, to w kilka chwil przeciwnik nadrobi te zaległości i będzie śledził ich każdy krok. Tu pewnie cała dolina, wszystkie jej zbocza były pod obserwacją i tylko nieznaną pozycję ludzi Wielkiego dawała mu jaką taką przewagę. Choć nie na długo.

Następne dwadzieścia minut było piekłem ociążałego biegu. Przemokli od potu, gorące oddechy grzęzły w gardłach. Zawroty głowy otumaniały. Odległość nie była wielka, ciężar też nie stanowił problemu. Przecież byli wyszkoleni. Ale stres, upał i to cholerne powietrze dawały im popalić.

– Srebrny, nadchodzimy od czerwonej strony. Jesteś? Uważaj! – Wielki świszczał do mikrofonu.

Miał wrażenie, że zaraz wypluje płuca. Przed oczami widział ciemne plamy, w głowie mu szumiało.

– Jestem za... dwie... – wycharczał szef.

Nie był widać aż tak sprawny, jak się Wielkiemu wydawało. Miał mniej na grzbiecie, zaczął wcześniej, a mimo to mieli dotrzeć do celu niemal w tej samej chwili.

Kilka powalonych głazów, cień na zboczu góry. Byli na miejscu. Motyl zwymiotował. Dyszeli jak dziurawe parowozy.

– Jes... Jesteśmy. – Wielki osunął się na kolana przy dowódcy. Przez chwilę odczuwał ulgę.

Szef padł jak długi i głowę oparł o kamień, łapiąc tlen. Lekko już szpakowate, zroszone skronie szczupłego mężczyzny pulsowały. Cała jego pociągła, koścista twarz zrobiła się czerwona z wysiłku. Był mokry od potu, dygotał, a jego lewy rękaw szerniał od sączącej się gdzieś pod ubraniem krwi.

– Psia mać – jęknął Wielki, jakby jego samego coś zabolalo.

Odruchowo sięgnął do pakunku medycznego, otworzył go i rwąc rękaw szefa, zaczął szukać rany.

Spociał się jeszcze bardziej na samą wizję tego, że teraz będą musieli wiać z rannym na barakach. Na dodatek każda minuta postoju zwiększała prawdopodobieństwo ich wypatrzenia w tym labiryncie skał i uskoków.

– Gdzie... gdzie... – próbował zapytać o tłumacza, kiedy palce natrafiły na broczący posoką otwór.

Boss tylko zacisnął zęby, zastygł, jakby wierzył, że przeczeka ból.

– Dostał zaraz po mnie. Na skraju wsi – wyjęczał wreszcie półgłosem.

– Poniesiemy cię, damy radę – przerwał mu Wielki, moczując się z opatrunkiem. W tej sytuacji jego zapewnienie zabrzmiało jakoś mało przekonująco.

– Słuchaj. – Boss kaszlnął w dziwacznym spazmie.

Wielki wystraszył się, że jedna rana to dopiero początek.

– Zbierajmy się i wiejmy do granicy... Tam już nie będą mogli...

– Dobra. – Wielkiemu nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Zerwał się z ziemi, narzucił plecak. Przewiesił broń przez pierś, gotów sam taszczyć wodza.

– Zostaw, ty masz... – Jak na taki stan odepchnięcie Bossa było całkiem mocne. – Günter – przywołał najniższego chłopaka o krótkiej szerokiej szyi, przyspawanego do niewielkiego radia, o mocy większej niż indywidualne zestawy, osłoniętego piaskowym plecakiem.

Günter przypelzł na czworakach, taszcząc sprzęt i karabinek.

– Wołaj kierownika, mają dać osłonę.

Wielki posłał Bossowi zdziwione spojrzenie. Radiowiec tylko westchnął i sięgnął po słuchawkę, chyba modląc się w duchu, żeby nie trzeba było szukać gdzieś wysoko lepszej fali.

– Tak daleko od... – Wielki wydawał się nie rozumieć.

– Pierdol to... Muszą nas wyciągnąć. – Rozterki młodego niewiele Bossa obchodziły. Ból rozłaził się po ciele, ale ciągle myślał trzeźwo. – Mają to obgadane, powinni dać radę... – stęknął. – Wieś, okolica na wschód i północ. Załatwią nam trochę czasu, usadzą ich... No już...

– Kormoran, Kormoran, tu Zielony. – Głos Güntera był nad wyraz mocny.

Szybko opisał sytuację i ponaglany wbitym weń spojrzeniem szefa rozpoczął formułkę o wsparciu.

Po drugiej stronie naprawdę musieli być przygotowani, bo chyba nie protestowali, ba, nawet nie dziwili się zbyt.

– Rozumiem, zbieramy się. Bez odbioru – zakończył Günter. – Zrobione, szefie.

Boss dźwignął się z wysiłkiem i skurczem cierpienia na twarzy. Próbował zrobić krok, ale opadł z sił. Wątpliwa przyjemność taszczenia dowódcy przypadła Cegle. Krótko ostrzyżony rudzielec był najsilniejszy, zbudowany jak zapaśnik, który dodatkowo dźwiga sztangi. Zarzucił sobie szefa na ramiona jak kukielkę, razem z plecakiem. Broń zabrał Wielki.

– Zmywamy się!

Znów biegli. Teoretycznie nie było daleko. Jakies pięć kilometrów. Mogli iść inną drogą, ale Wielki się obawiał, że tę drugą ścieżkę tamci zdołali obstawić albo przynajmniej namierzyć. Nie wiedział, co szykują, czy już ich mają na widelcu. Wiedział natomiast, że trzeba szybciej przebieierać nogami. Jako dowódca zaczął się wyrabiać.

Przeszli pod granią, ścieżka schodziła nieco w dół, by po pół kilometra znów zacząć się wspinać. Musieli chwilę odpocząć. Tempo było zabójcze. Cegła sapał dociążony ponad miarę.

Zaledwie przysiedli na sekundę, kiedy zza gór doleciało dudnienie. Przetoczyło się z łoskotem pod nieboskłonem, by zniknąć hen, daleko, tam gdzie gorejąca wieś, i przeobrazić się w jeden wielki grzmot. Niezawodne echo nie omieszkowało powtórzyć tego tragicznego dźwięku. Kolejny wybuch, drugi, trzeci. Wszystko wokoło, w promieniu kilku kilometrów, tonęło w tym jałgocie.

Wielkiemu nastrój się poprawił.

– Dobra, chłopcy! Dupy w troki! – zawołał nawet wesoło.

Naprawdę mieli szansę. ■

Rozdział 1

Kilka lat później

Wieczory i noce były bardzo zimne. Telewizyjni mędrkowie od pogody znów dali ciała. Miała już kroczyć prawdziwa wiosna. Maszerować dziarsko, ku ucieście telewizyjnych wieszczów w garniturkach i garsonkach. Tyle że w ostatniej chwili okazało się, iż te niespodziewanie wysokie jak na marzec temperatury w ogóle nie zostały osiągnięte. Przynajmniej na razie.

Do tego zaczęło padać. Na silny wiatr od morza nikt nie zwracał uwagi. Podwiewało tu ze trzysta dni w roku, i to zazwyczaj wtedy, kiedy pogoda zaczynała się psuć.

Miasto, cel podróży tysiocy turystów, poza sezonem pustoszało. Przynajmniej ściśle, najstarsze centrum. Już około siedemnastej główne ulice starówki przypominały obrazki z marnych westerńów. Brakowało tylko suchych krzaków gnanych wiatrem.

Mężczyzna stał w bramie kamienicy jak samotny zagubiony duch lub turysta, który nie może znaleźć drogi. Potwornie marzył. W żołądku go ssało. Nie jadł nic od obiadu, dobre kilka godzin wcześniej. Zresztą i to nie było nic wyszukanego. Buła z kotлетem na dworcu. Sądził, że to wszystko pójdzie szybciej. Załatwi sprawę w biegu.

Przynajmniej miejsce wybrał dobre, wręcz idealne. Już tydzień temu upewnił się, że tej lokalizacji nie obejmuje żaden z monitoringów. Podwórka były położone na uboczu, osłonięte ścianami kamienic i nawet w dzień niewiele się tu działo, zwłaszcza o tej porze roku. Wścibskie baby – tak zwane poduszki, pilnujące z nudów swoich posiadłości, przyklejone, kiedy było ciepło, do poduszek na parapetach – mogły tu chyba rozmawiać tylko o sobie nawzajem. Zresztą teraz, w nocy, spały albo gapiły się w seriale na ekranach telewizorów.

Mężczyzna był sam w tej części wielkiego miasta. Dawno nie zrobił tak dobrego przygotowania. Tylko co z tego?

Zmarnował cały wieczór i oswajał się z myślą, że będzie musiał tu zamarudzić dłużej. Lubił to miejsce, znał je, ale z doświadczenia wiedział, że każdy dzień zwłoki i obserwacji zwiększa prawdopodobieństwo wpadki.

Ktoś zawsze może go zobaczyć, choćby przelotnie, i zapamiętać. Zbyt wczesne ujawnienie było niezgodne z umową. Potem... A, to już zresztą inna historia.

Teraz najważniejsze to się skupić i robić swoje. Westchnął. Jeszcze chwilę ważył w myślach wszystkie za i przeciw. Dopiero godzina na cyferblacie zegarka stała się ostatecznym argumentem, by kończyć.

Wyszedł z bramy i natychmiast poczuł lodowaty wiatr. Naciągnął wełnianą czapkę głębiej i wolno, wzdłuż ściany, powlókł się w ciemne, puste ulice.

*

Niebo było szare. Nadchodził deszcz. Znowu. Ziemia po poprzednim jeszcze nie zdołała wyschnąć. Błoto obklejało buty, nogi, ręce i twarz.

Dyszeli wszyscy, zrobiwszy za ledwie po kilka susów w tej pokrytej żółtą trawą brei.

Serca tłukły się w piersi, oporządzenie cholernie ciążyło. Plecak, hełm, karabin. A tu jeszcze trzeba było strzelać, skakać i słuchać, co mówi dowódca.

Cel był nad wyraz odległy. Pod górę. Linia okopów, jedna, druga. Bunkry.

Błyskało z dwóch luf karabinów maszynowych. Tam, po drugiej stronie, mieli sporo amuni-

cji. Tymczasem lewa flanka marudziła. Spóźniali się.

Grupa uderzeniowa, w której znalazł się Adam Thomal, musiała przeczekać. Wtulić się w ziemię i okopać. Pójście na wprost było samobójstwem, a i cofać się nie było można. Jedyne dwa opancerzone pojazdy hasały na tyłach, jeżdżąc po linii i prując ognikami wystrzałów. Załogi bały się chyba przygotowanych pułapek, bo nie pchały się w przód, nawet po to, by osłonić nie-szczęsną piechotę.

Po prawej dwa erkaemy słały krótkie, oszczędne serie. Ktoś wołał coś do radia.

– Uwaga! – poszło nagle po linii.

Adam podniósł zroszoną potem głowę. Kawalek błota kłuł go w oko. Wytarł. Nie mógł tego przegapić.

Między liniami okopów rozeszła się szarobrunatna, mokra chmura. Błyskało ogniem. Jeden wybuch, drugi, potem kolejne.

Pióropusze postrzępionych obłoków wykwitły nienaturalnie wysoko i znieruchomiały na kilka chwil. Ci w okopach nie mieli za wesoło.

Jakby tego było mało, nie wiadomo skąd pojawił się jak zawsze spóźniony samolot. Zleciał z nieba jak kamień, hamując nad samą ziemią. Zadarł nos z warkotem, musnął koniuszkami skrzydeł rozpraszający się dym i poderwał się w górę.

Łupnęło zaraz podobnymi jak chwilę temu eksplozjami.

Nawrócił. Znow ten sam manewr. Wzleciał wysoko, przechylił się na skrzydło. Ponownie zawrócił i wykonał jeszcze jeden, tym razem naprawdę absurdalnie niski przelot.

Adam załadował karabin, zamknął zamek i w tej samej chwili po lewej, tam, gdzie miał iść drugi atak, rozległa się miarowa palba.

Oszołomieni ciągle po nalocie obrońcy na tym skupili swoją uwagę. Szarpanina trwała chwilę, po czym wszystko się uspokoiło. Tylko grupki ludzi skokami, od przeszkody do przeszkody, próbowały dochodzić pozycji wroga.

Wszystkim kończyła się amunicja.

Dowódca Adama wyczuł moment.

– Panowie! Do ataku! Bić ich! Za mną! – wykrzyczał prędko, jednym ciągiem.

Zerwał się i pobiegł, nie czekając na resztę.

Chwilę trwało, nim posłuchali. Dysząc i grzęznąc w błocie, ruszyli za nim.

Ogień z okopów i bunkra nie był już tak intensywny, ale nie ustał. Obrońców atakowano z dwóch stron. Paru ludzi w pobliżu Adama padło na ziemię. Nie zazdrościł im. Przyśpieszył, wskoczył za drzewo i posłał kilka strzałów. Nie lubił walki wręcz. Wolał załatwiać takie sprawy na odległość.

Reszta oddziału dopadła okopów, rozdając ciosy. Tamci też nie spali. Bronili się, jak mogli, ale już chyba tylko dla zasady.

Adam dobiegł do pierwszej linii. Tu było już pozamiatane. W drugiej też się kotłowało i nie dostrzegł chętnych na pojedynek.

Zerknął na bunkier. To było coś ciekawszego. Przedpiersiem okopu z karabinem przy biodrze popędził po chwałę.

Budowlę wzniesiono z bali pokrytych ziemią. Wejście było ciasne, niskie. Wskoczył i strzelił w czarny otwór.

Zrobił dwa kroki i pojął, że umocnienie jest puste.

Chciał coś krzyknąć do chłopaków, ale za nim też nikogo nie było.

Łupnęło i w jednej sekundzie poczuł gorąco. Padł na ziemię, ale ze strachu, nie od podmu-

chu. Kilka bali i desek poleciało w górę, by rozsypać się wkoło wzorzyście po ziemi na dnie okopu. Adamowi zdawało się, że zaraz zginie albo przynajmniej dostanie dechą w łeb.

Wokół był tylko syk płomieni i daleki szum, który narastał. Od tyłu doleciał go jeszcze jeden wyraźny dźwięk. Głos. Nigdy nie słyszał go w czasie akcji.

– Tak, proszę państwa, to koniec przedstawienia. Wydaje mi się, że naszym aktorom-rekonstruktorom należą się gorące brawa. Nagroźmy ich oklaskami – produkował się marny lektor.

Poszło echo klepania w dłonie.

Każdy, kto siedział w tym hobby, albo – jak mówili inni – w tym szaleństwie dłużej niż pięć lat, wiedział, że ludziom podoba się wszystko. Byle strzelali, wysadzali i jeździli. Bez względu na armię czy jakość mundurów, albo raczej ostatnio – jej brak. Dlatego te duże dzieci, odziane jak za czasów dawnych wojen, mogły liczyć na przychyłność gmin i miast, które urządzały takie hece. Jednak ostatnimi czasy i tu następował regres i znudzenie władz. Choć przed wyborami akurat nie mogli narzekać. Wielu wójtów i burmistrzów chciało się pokazać. Urządzić „jakąś bi-tewkę”.

– Czy ja mam was, kurwa, bić?! – Sponad okopu doleciał znudzony, ale ewidentnie wściekły głos.

Adam podniósł głowę. W lekkim obłoczku prochowej mgiełki stał rosły, młody facet w żółtej kamizelce z napisem „pirotechnik”. W jednej dłoni trzymał kombinerki, w drugiej zwój poprzercinanych już wybuchami kabli. Szklą okularów miał zaporowane.

– Kurwa! Chłopie, pojebało cię? – Ewidentnie narastała w nim frustracja. – Byłeś na odprawie? No, pytam, byłeś? Co było mówione? Do bunkra nie włączymy! Na końcu go wysadzamy!

Pirotechnik spojrział na Adama, jakby zobaczył durnowate dziecko, z którego nic dobrego nie wyrośnie, po czym dysząc i bezgłośnie mieląc przekleństwa, zlął w dół, aby szukać ewentualnych niewybuchów.

– Sorry, Paweł. – Adamowi naprawdę było głupio. Nie miał pojęcia, czy to faux pas było wynikiem stresu, szalu wojennego czy też kaca po wczorajszym bankiecie z ekipą.

– Żyjesz? – rzucił dowodzący, zbliżając się okopem i chowając pistolet do kabury. – Cały? – Poklepał Adama po ramionach, jakby to miało mu dać miarodajną odpowiedź.

Zagadał też coś do pirotechnika, ale ten najwyraźniej miał dość i nie był skory do rozmów z idiotami.

– Dołączaj do chłopaków, robimy ukłon i przemarsz dla publiczności. No, dalej.

Oficer, równy wiekiem Adamowi, był czerwony z wysiłku. Choć może jemu też huczało pod stalowym garnkiem, i to niekoniecznie od doznań historycznych.

– Zdajemy broń. Potem do szkoły. Zostajesz do jutra czy się zmywasz?

– Będę spadał. Fajnie było, ale... robota. – Adam zarzucił karabin na plecy. – Na Tyczyn chyba nie dam rady... wysyłają mnie... kurde – próbował się tłumaczyć.

Nie był orłem w tej ekipie. Lubił chłopaków, byli jak rodzina, wiele razem przeszli, choćby w podróżach czy na planach filmowych, ale on traktował to jedynie jako odskocznię. Zabawę, kiedy psychicznie trzeba było się wyprostować.

– Rozumiem, rozumiem – wódz nie oponował. Nie było przecież przymusu. – No ale na YouTube to chyba dziś będziesz. Wszystko, co mogło, filmowało to jebnięcie z bunkrem... a ty w sam środek.

– Wiem, wiem, przepraszam... – Adamowi naprawdę było wstyd.

Jeszcze dygotał ze strachu. Mógłby nabawić się kontuzji jak kretyn. Totalny nowicjusz.

– No ale Anka, czy jak jej tam... będzie podziwiać. – Między kumplami drwina była rzeczą

normalną. Nikt nie brał jej na poważnie.

– Andżelika, nie Anka – poprawił Adam. – Daj spokój... – Nie chciał już o tym rozmawiać. Podszedł do grupy ustawionych w rzędzie ludzi, a ci kpiąc, zaczęli bić mu brawo.

– O, pan samobójca, nieźle, nieźle – poszło z szeregów.

Śmiali się. Nie docierało do nich, że gdyby komuś coś się stało...

Adam ustawił się karnie w szeregu, wykonał zwrot i ruszył z całą grupą, myśląc, jak by tu się wyrwać, żeby uniknąć spotkania z Andżeliką. Jeszcze gotowa prosić go o numer telefonu i robić sobie nadzieję, a to przecież... nie było w jego stylu.

*

– Ja ciebie, kurwa, nie rozumiem. – Wielki jak szafa gdańska łysy facet nie bawił się specjalnie w subtelności. – Zamiast kupić flachę, zrobić się na miejscu, to ty musisz gdzieś jeździć, biegać... Nie pojmuję. – Zaciągnął się dymem z papierosa.

Sierżant sztabowy Adam Thomal nawet nie miał siły po raz setny rozpocząć dyskusji.

– Ja to ze swoją siedzę w domu, a jak mi się zechce, to leżę do jakiego baru albo na siłkę i mam z bani... Taniej, prościej...

– Stefanek. – Adam wiedział doskonale, że drażał nienawidzi, jak się tak do niego zwraca, ale zaryzykował. Tylko wzbierająca złość potrafiła zamknąć mu jadaczkę. – Co ty, kurde, wiesz... To się nazywa hobby, takie angielskie słowo. Prościej będzie: zainteresowania. Górno-łotnie: pasja...

Stefan gapił się na Adama jak na szaleńca, z lekka się nawet uśmiechając.

Do takiego spojrzenia i takiego traktowania Adam był już nawet przyzwyczajony. Brali go za wariata, choć niegroźnego, i na razie nie przeszkadzało mu to w robocie. A w tej radził sobie całkiem, całkiem. Przez te siedem lat noszenia munduru uczył się szybko i doganiał kolegów.

Dawno temu, na samym początku, jak wyszedł ze szkółki, choć tylko ze stopniem podoficerskim, jakiś stary wyga poradził mu szczerze: „Miej przyjaciół, hobby, akwarium, wędkarstwo, cokolwiek. Bo albo oszalejesz, albo po ustawowych piętnastu wiosnach będą ci wątrobę wymieniać. Tu inaczej się nie da”.

Adam nie pił za dużo, polecenie wypełnił i miał się jako tako. Bo do idealnego życia ciągle było mu daleko, choć intensywnie nad tym pracował. Na wielu frontach.

Od Zbrojowni błysnęło niebieskim kogutem radiowozu.

– No, są – sapnął Thomal, zapinając szarą bluzę z kapturem.

Wyszedł na mokry asfalt, machając, choć ci w aucie dawno dostrzegli firmowego lanosa, obiekt kpin tych, którzy nie wylosowali go w porannej loterii nieoznakowanych radiowozów.

– Cześć – padło zza opuszczonej szyby.

– Cześć. – Adam wsunął rękę do środka.

Dwaj odziani w niebieskie mundury funkcjonariusze jakoś nie kwapili się wysiadać.

– Co mamy? – spytał ten z miejsca pasażera.

– Włam. Kamera jest, coś tam nagrała. Nikt nic nie widział, nie słyszał. Pogadacie z lokatorami, my się musimy zmywać. – Bardzo podobał mu się ten zwrot.

Bo co on tu właściwie robił? Przejeżdżał i zobaczył biadolącą starowinkę. Zatrzymał się, choć nienawidził takich sytuacji. W ogóle nienawidził tego rejonu. A może zwyczajnie wściekał się na głupi los, który nie pozwalał mu rozwinąć skrzydeł, wzlecieć wysoko, dać się poznać jako dobry glina. Tak naprawdę ciągnęło go ku popularności, jaka by nie była i skąd by nie przychodziła, oraz ku wszystkiemu, co za nią idzie.

A tu co? Włamanie. Zwykle, nudne, cholera, włamanie do jakiejś piwnicy. Po prostu cudnie. Dwaj w środku nie bardzo się dziwili takiemu podejściu. Oni byli od „czynności wstępnych”, kryminalni łazili swoimi ścieżkami. Wielkie miasto, bandyta na bandycie.

– Adam! – Stefan zamachał telefonem.

W swoim czarnym, opinającym spore brzuszysko dresie wyglądał jak najprawdziwszy kark, który skroił frajerowi komórkę. W ogóle nie przypominał funkcjonariusza. I o to właśnie chodziło.

– Tak, rozumiem, już... Jedziemy. – Zakrył mikrofon, patrząc na kumpla. – Wsiadaj, ponoć robi się grubo.

Sierżant Stefan Lamęcki był wyraźnie poruszony. A może zaskoczony? Niemniej wyglądał dziwnie. A w tej firmie widział już wszystko, no, prawie wszystko, i niewiele było w stanie wyprowadzić go z równowagi. Adam go lubił, albo inaczej – przywykł do niego. Facet miał talent, umiał gadać ze zbójami, a co ważniejsze, również z rodzinami poszkodowanych. Zmieniał się wtedy w potulnego misia. Jednak kiedy ktoś mu o tym przypominał, zażartował... Lamęcki tracił dobry humor.

– Trzech zimnych. Szef szefów dzwonił. – Stefan odłożył telefon.

Szef sięgał mu do pępka, ale widać obsobaczył go, jak to tylko on w chwili stresu potrafił. Nawet Stefanek zmieniał się w galaretę po takiej wiązance.

– Dzwonił do ciebie, ale telefonu przy dupie nie masz.

Przechodzący obok dwaj mundurowi popatrzyli po kolegach. Chyba nie żalowali, że zostają tu, przy wybitym oknie.

– Jak? Na komórkę? On sam? – Adam nie pojmował.

Przeszukał kieszenie. Faktycznie, telefon został w aucie. Po imprezie wyjazdowej zawsze długo wracał do rzeczywistości.

– Włoski na urlopie, to kogo ma gnębić? Ale i tak dziwne, że łaskawie nas woła. Posrani... – Stefan podrapał się po głowie i wziął kilka machów papierosowego dymu.

Adam zasiadł za kierownicą. To on zwykle prowadził w tym duecie. Stefanek ze względu na gabaryty nawet samo wsiadanie miał utrudnione. Aż dziw brał, że przechodził sprawnościówkę. Teraz spokojnie dopalał papierosa.

Jeden z nielicznych o tej porze przechodniów na widok rozbitego szkła i dziurawej szyby zrobił się nad wyraz ciekawy. Niski, chudy jak patyk, zgarbiony, typ z gatunku hipsterów.

Na jego twarzy, pokrytej rzadką, acz nienagannie przystrzyżoną brodą, rysowało się szczere przejęcie. Poluzował długi szal, apaszkę, czy to, co właściwie ścisnęło jego długą indyczą szyję, i zrobił kilka niepewnych kroków.

– O Boże! – Zabrzmiał tak nienaturalnie miękko, że aż Adam zerknął na niego, marszcząc czoło. – Co tu się wydarzyło? – Chuderlak przytknął dłoń do piersi.

Stefanek przyglądał mu się długo i uważnie. Żaden mięsień mu nie drgnął. Pstryknął petem daleko na ulicę i wyraźnie, ze spokojem oznajmił:

– Spierdalaj.

Wsiadł.

Silnik burknął i auto ruszyło pędem, zostawiając chłopaczka daleko w tyle.

*

Uliczka była wąska, odbudowana po wojnie zgodnie z dawnymi standardami, a teraz zrobiło się tu tak ciasno, że nic nie mogło się przebić. Dlatego też ktoś mądrzejszy, wyżej postawiony,

dla komfortu pracy kazał zamknąć przejazd, co o tej porze nie spodobało się wielu kierowcom.

W poprzek ustawiono radiowóz na włączonych bombach. Dalej stało jeszcze kilka wozów, wszystkie z kogutami na dachach od strony szofera. Czarna karetka też już czaiła się w okolicy.

Groszkowy lanos zatrzymał się daleko, zaraz za ostatnim w kawalkadzie czarnym audi.

– A ci tu, kurwa, co? – rzucił Thomał, wysiadając z auta.

Trzasnął drzwiami i odruchowo nasunął kaptur na głowę.

Wielki biały wóz transmisyjny telewizji, z liczbą dwadzieścia cztery w nazwie, rozkraczył się przy wjeździe na podwórze, blokując przejście chodnikiem.

Zgrabna prezenterka w szarym żakiecie, który miał imitować eleganckie ubranie, mówiła coś do kamery, chyba w relacji na żywo. Dziewczyna była niczego sobie. Adam umiał ocenić to w trymiga, ale obecność takich lalek z ekipą zawsze go niepokoiła. Jego i innych funkcjonariuszy. Zbyt bliska obecność kamer wróżyła kłopoty i groziła, że gdzieś ktoś pokaże jego facjatę i jaka taka tajność pójdzie w diabły.

– Co oni, ocipieli? – zachnął się Stefanek i podreptał niezgrabnie do drzwi budynku. Jego było jeszcze łatwiej rozpoznać niż Adama.

Nie musieli się legitymować. Stójkowy przy nieodzownej taśmie znał ich dobrze.

– Pierwsze piętro – rzucił znudzony i zaczął paradować po trotuarze.

Klatka schodowa kamienicy, podobnie jak ulica, była wąska. Olejna farba, beton, grzejniki w drewnianych skrzyniach. Coś śmierdziało, ale na to nikt nie zwracał uwagi.

Wszędzie wokół stali ludzie, niepracujący emeryci, jakieś dzieci, kilka kobiet, których ciekawość stróżę porządku ograniczyli do progów własnych mieszkań.

Paru mundurowych rozeszło się po budynku, szukając świadków i przepytując mieszkańców.

Jakaś kobieta cicho łkała, kiedy weszli na piętro. Tu było naprawdę tłoczno.

Technicy z ekipą w swoich białych ubraniach, jakby mieli brać się za malowanie, kręcili się jak w ukropie. Mieli powód. Tyle tak ważnych oczu patrzyło im na ręce.

Korytarzyk i przedpokój musiały być czyste, bo tu ustawiała się większość zniecierpliwionych ważnych gości. Siedzieli na szafce na buty, opierali się o zapełniony garderobą wieszak. Nawet płaszczy i kurtek nie pozdejmowali. Widać mocno ich to wszystko zaaferowało.

A kogo tu nie było. Adam od razu pojął, że to coś grubego. Znał ich, prawie wszystkich z widzenia, niektórych trochę lepiej. Panowie z wojewódzkiej i z miejskiej. Prokuratorzy, w liczbie trzech, pod wodzą szyszki, takiej, co się ją ogląda tylko w TV – chyba szefa okręgowej. Rozgadani, paplający przez komórki. Nie bardzo się przejmujący widokiem właśnie przybyłej dwójki.

W tym tłumku był i ich komendant. Siwy jak gołąbek, o symetrycznej, szczupłej twarzy i głębokoboko osadzonych, niebieskich jak jego mundur, zaciekawionych, acz smutnych oczach. Niższy o głowę od pozostałych, jak pamperek, zabawka z niewielkim brzuszkiem.

– Dzień dobry. – Głos Adama rozmył się w ogólnym szwargocie. Kilka osób popatrzyło na niego bez zainteresowania.

– Cześć. – Komendant Szmerr wyraźnie pojaśniał na twarzy. Miał okazję się wyrwać, a nie stać jak kołek pomiędzy szyszkami. Zrobił gest dłonią w stronę pokoju. – Chodźcie. – Przebił się przez masę oficerską z całą mocą.

Adam przesłizgnął się za nim, a Stefanek wywołał groźne stęknienia, przyduszając kilku wózków gdańskiej i pomorskiej policji.

Stanęli na progu pokoju dziennego. Nie był wielki. Stare meble, antyki, nawet chyba gdańskie oryginały sprawiały, że wyglądał na ciasny. Obrazy, gobelin, jakieś szable, bagnety, sekretarzyk z kałamarzem. Na ścianie naprzeciw wysokiego okna, przez które zaglądał do środka szary

dzień, niepasujący tu telewizor.

– Cześć, panowie – pozdrowił techników Adam i w tej samej chwili jego spojrzenie ugrzęzło w masakrze widocznej na podłodze.

Z trudem przełknął ślinę.

– Co jest? – Standardowe pytanie prawie utknęło mu w gardle.

Na fotelu kilka plam, sznur, rozbite podparcie pod ramiona. Na łóżku świecznik. Niżej krew z trzech ciał tworzyła makabryczny obraz rozłających się szeroko wstęg i kresek. Zwłoki równo ułożone, jedne przy drugich, z powiązanymi na plecach rękami. Wszystkie odziane w piżamy, z twarzami w tej ciemnoczerwonej brei.

– Kurwa – stęknął Stefanek i przygryzł wargi.

Jego oczy zdawały się szklić, kiedy dostrzegł to najgorsze. To, co każdy, który tu wchodził, odkrywał od razu.

– Chodźcie, nie przeszkadzajmy. – Klepnął ich w plecy szef. – Pogadamy.

Zeszli prędko na parter, potem do tylnego wyjścia na podwórko.

Szmerr i Stefanek sięgnęli po papierosy. Adam też wziął jednego od Lamęckiego. Zwykle nie palił, ale teraz...

Komendant popatrzył po oknach. Chciał być pewny, że nikt nie podsłuchuje.

– No to mamy... widzieliście... – Thomalowi się zdawało, że szef zadrzał.

Czy to możliwe, że komendanta takie coś by przerastało? Chociaż i on miał ciarki na plecach. Taka makabra!

– Trójka... kurwa mać. Cała rodzina. W tył głowy...

– Kurwa, ale dziecko... – Lamęcki nie pojmował. Głos mu drżał. Patrzył półprzytomnie, jakby nie potrafił odpędzić tego widoku, i nerwowo drapał się w głowę. – Dziecko, kurwa, też?! – nakręcał się coraz bardziej.

– Co tu robi telewizja? – Thomal próbował być bardziej profesjonalny.

Starął się, ale słabo mu szło. To nie był częsty widok nawet u nich. Tak się nie robiło. No chyba że miał do czynienia z totalną patologią.

– A właśnie. – Komendant zaciągnął się dymem. – Byli zaraz z pierwszym patrolem. Rozumiecie? Z pierwszym. I ponoć już wiedzieli, co to było. Pojebane to albo mi się zdaje. – Teraz już wyraźnie drżały mu ręce. – Jak w garnizonie i wojewódzkiej się dowiedzieli... zresztą sami wiecie.

– Dostali po łbie – Konkluzja Thomala była oczywista.

– Zesrali się, co? – Stefanek, zawsze potulny wobec szefostwa, pozwolił sobie teraz nieco pojechać, ale komendant nie miał do tego głowy.

– Minister już wie, za godzinę konferencja i tak oto, panowie... afera na cały kraj, kurwa mać. A to oznacza...

– Sprawę na wczoraj – rzucił Adam, opierając się o rynnę z miną niewierzącego w to, co właśnie powiedział.

Milczeli chwilę, zbierając myśli i zastanawiając się, co im grozi i gdzie ich ześlą, jeśli sprawa nie pójdzie tak, jak sobie wierchuszka życzy. No bo przecież każdy od pierwszego dnia w instytucji wiedział, że gówno płynie w dół, nie w górę.

Thomal analizował szybko. Z tyłu głowy pojawiło się przemyślenie, zaledwie niewielki impuls. Tak naprawdę dawno nie brał udziału w żadnym poważnym dochodzeniu. Właściwie nigdy. A jeśli teraz właśnie pojawiła się szansa, na którą czekał?

– Wojewódzka powołuje grupę specjalną... – rzucił niespodzianie komendant. – To znaczy

planują...

– I my mamy... – Przeczucie Adama nabierało kształtów.

– Chciałbyś, kurde – wrócił na stare koleiny szef.

Nie lubił smarków bez bagażu doświadczeń, choćby były tylko zbiorem wspomnień pałowania i biurokracji, jak w jego przypadku.

– Wy macie im robić za murzynów. Zapomnijcie o czasie wolnym. Śpicie w robocie, jecie i sracie. Póki się to wszystko nie wyjaśni. Tamci – wskazał palcem ku górze – powiedzieli jasno. Nasz teren. Wiemy najwięcej...

– A co my w ogóle mamy? – wtrącił Stefanek, znów zadziwiając Adama swoją chwilową bezpretensjonalnością.

– A to mamy, sierżancie – głos komendanta był nieprzyjemnie i sztucznie oficjalny – że doszło do egzekucji. Proste czy objaśnić? – Miły jegomość odszedł i nie zamierzał wracać. – Głowa rodziny to Waław Kalicz, lat czterdzieści. Antykwariusz czy inny zbieracz staroci... – dodał komendant. – Chłopaki jeszcze rozpytują. Handlował jakimiś pamiątkami, ponoć bronią... Na bębnie coś jest na niego, ale duperele, jakieś kolegia... Ponoć często wyjeżdżał. Sąsiedzi twierdzą, że na Litwę, Białoruś, takie tam...

– Rodzina? – wtrącił Thomał, gasząc butem peta.

– Posłali do nich, nie mieszkają daleko. Matka ponoć wylądowała w szpitalu. Zbiorą, co się da... Wygląda na to, że komuś podpadł. Był winny kasę albo się chwalił i dostał w czerep. – Szef lubił, jak szło łatwo.

– Chwalił? Czym? – Adama aż przeszedł nieprzyjemny skurcz. – I za to ktoś zabił całą rodzinę?

– A co, ty nie wiesz, że ludzie potrafią zabić za byle gówno? – Szmerr aż się zjeżył, że ktoś podważa jego tak cudowną i realistyczną wersję zdarzeń.

– Nie, nie, to mi się po prostu nie klei. Jak mówią: błękity nie dźwięczą. – Thomał machnął ręką i zaczął dreptać po wąskim chodniczku.

– Jak takiś mądry, to masz szansę. – Głos szefa był już zupełnie oficjalny. – Do roboty. Rozpytać ucholi, może coś słyszeli. Potem paserów. Dużo nie powiedzą, ale można ich na dołek. Masowo, jak będzie trzeba. Już nawet oficjalnie mówią, że to priorytet. Rozumiecie?

– Ja pierdolę...

– Co mówisz? – Czoło komendanta pokryło się kilkoma dodatkowymi liniami głębokich zmarszczek.

– Się robi – westchnął Adam, wiedząc, że grzebania będzie sporo.

Chciał dopytać, czy ma jeszcze jakieś wytyczne, ale komendant był szybszy.

– Dzwoniłem po ciebie, bo ty... na historii się znasz. W te wojny się bawicie. Tu w mieście takich ludzi sporo mieszka... – zwrot „takich ludzi...” został wypowiedziany z niesmakiem i zabrzmiał prawie jak zamiennik dla „zбочeńców” – ...może coś wiedzą, może słyszeli o nim, handlowali. Chuj ich wie. Popytaj, a nuż. Dobra, ja się zwijam. – Zgasił papierosa. – Muszę pokręcić się dla tła, przyjąc kilka zwyczajowych jobów, tak więc, panowie... – znów usiłował być miły – ...do pracy i powodzenia.

Ruszył nieśpiesznie do klatki i powlókł się na górę.

Adam i Stefanek popatrzyli po sobie. Trzeba było obgadać, do kogo z ich listy znajomych po tamtej stronie pójda najpierw.

Adam wiedział za to na pewno, do kogo musi zadzwonić i komu się wytłumaczyć z nieobecności dzisiejszego wieczoru.

Ola nie lubiła, kiedy nie miał dla niej czasu. Była młoda, ale czupurna. Zostawił ją na cały weekend, sam udając się daleko na udawaną wojnę, a teraz miał dłużyć w robocie aż do skutku.

No i nieco się zawiódł, że przecucie go oszukało. Szansa na wyjście z zamkniętego kręgu, rakietą na wyższy szczebelek drabinki, nie odpaliła. Nie tym razem. To nie był film.

*

Czerwony, lekko już poddający się rdzy ford transit stał w gęstych zaroślach. Nie było tu dojazdu, polany, niczego z takich ułatwień.

Łysy mężczyzna dotarł na miejsce jeszcze przed świtem. Tak, by nikt nie dostrzegł wozu ani kolein w miękkim błocie. Był ostrożny.

Właśnie wrócił z lasu. Zmęczony, ale nie tak, jak sądził. Był w doskonałej formie. Ciągłe, mimo lat. Wyszakowanie gdzieś zostawało w mięśniach i w głowie.

Musiał przejść z pięć kilometrów poza ścieżkami, na przełaj, i to jeszcze ciemną nocą. Nie spotkał nikogo, nie musiał się chować, przeczekiwać. Poszło sprawnie, gładko, po cichu, jak planował. Mógł podjechać, ale to tylko zwiększało ryzyko. Zrobił, co miał zrobić, i to było najważniejsze.

Otworzył drzwi, jeszcze raz rozejrzał się wkoło i wszedł. Wiekowe siedzenie zaskrzypiało.

Nie uruchomił silnika od razu. Zachciało mu się palić. Jak zawsze w takich sytuacjach. Otarł dłonie z resztek ziemi i sięgnął po paczkę.

Dym dusił, ale smakował wybornie.

Odkręcił termos i nalał kawy do kubka. Tu już nie było tak miło. Wystygła. Popatrzył na drzewa.

Dzień nie zapowiadał się piękny. Niebo zasnuwały grube ołowiane chmury, ciągle dzielnie broniąc dostępu wiosennemu słońcu. Ale i tak było nieźle. Doskonale wiedział, że prędko takich widoków nie zobaczy. Posmutniał. Jeszcze w głowie wybrzmiewało ostatnie pożegnanie starej kompanii: „Trzymaj się, zadbamy”, ale wiedział, podobnie jak i jego koledzy, że to tylko słowa, bo różnie w życiu bywało. Nagroda miała czekać, kiedy... wykona swoją część umowy. Dopiero teraz poczuł straszne zmęczenie. Pomyślał, że czas na wygodne łóżko i porządne śniadanie. A może i jakąś panienkę... W końcu zasłużył.

Zamknął drzwi, zapuścił silnik i wrzucił bieg. Bał się jednego. Żeby nie ugrzęznąć w tym cholernym błocku.

*

– Kto tam? – Starszy człowiek odziany w szlafrok i uzbrojony w telefon stanął u szczytu schodów prowadzących w dół, do wyjścia z klatki.

Ostatnimi czasy zrobił się wrażliwy na każdy szmer, trzask czy parkujący pod domem samochód. Mieszkał przy głównej alei, więc o spokój było trudno. Tym bardziej musiał wyteżać zmysły.

– Ktoś tam jest? – rzucił w dół stromizny i nieśpiesznie, z pewną obawą, wcisnął włącznik.

Pojaśniało.

Stare drewniane schodki schodziły w ciemną plamę. Nie widział dobrze, ale jednego był pewien. Drzwi na podwórko były zamknięte. Sapnął, zły, że wyobraźnia go ponosi, i poczłapał, szurając kapciami, do mieszkania.

Zamknął wszystkie zamki, schował telefon do kieszeni i pomaszerował do pokoju.

Skrzypnięcie desek podłogi napełniło go potwornym strachem. Obrócił się, jak mógł najprę-

dzej, prawie pewien, że zemdleje, że serce nie wytrzyma.

Zobaczył cień. Wywabili go. Wiedział.

– Ja... nie chciałem – wybełkotał, łapiąc się nerwowo za gardło, kiedy ciemny przedmiot wyrósł mu przed oczami.

– Tak, ja wiem, nie chciałeś. A kolega nie ostrzegął? – usłyszał cichą odpowiedź.

– Tak, tak, ale ja już nigdy nie będę mówił nic... – Z ust mężczyzny popłynął potok nieprze-myślanych słów.

– Za późno. – Cień miał zmęczony głos.

Wcisnął spust. Błysnęło krótko.

Po robocie.

*

Wszystko wkoło pokrywał śnieg. Zalegał pod drzewami, na chodnikach, pod murami. Padało kilka dni temu, a mróz nie pozwalał mu zniknąć.

Dzięki słońcu na błękitnym niebie cała ta okolica przypominała iście bajkową krainę, której wiosna nie była zbyt potrzebna. Tu zawsze było pięknie.

Wielkie ogrody, stawy teraz skute lodem i pomost z altaną pasowały do budynku, który był istną perłą architektoniczną. Gustowny, nieprzekombinowany i nieociekający kiczem jak inne domy w okolicy, należące do mniej wyrobionych właścicieli.

Jeśli nawet próbowali budować coś w podobnym stylu, to i tak na koniec zawsze chlapano elewację majtkowym różowym kolorem albo, co gorsza, seledynowym ze złotymi pasami.

Dlatego ten pałac tak bardzo się wyróżniał. Przypominał jedną z wielu posiadłości dawnych władców tych ziem, jednak był o wiele większy, bardziej dostosowany do współczesnych potrzeb. Od zdobnej bramy wiódł długi podjazd przez obsadzoną wysokimi drzewami aleję, którą poruszały się wolno dwa czarne, wielkie SUV-y. Okrążyły dziedziniec pełen pokrytych śnieżnym puchem klombów i zajechały pod wielki portal.

Już samo wejście było dziełem sztuki. Pełne rzeźb i wykutych w kamieniu scenek rodzajowych przyciągało uwagę każdego, kto tu przybywał.

Lokaj, wielki jak zapaśnik, wbity chyba z trudem w elegancki, szyty na miarę garnitur, otworzył wrota.

Znał przybyszów doskonale. Ich szefa najlepiej.

– Dzień dobry. – Uśmiechnął się na widok krępowatego mężczyzny o pofarbowanych na kruczą czerń włosach.

Gość był mocno opalony, co nadawało mu nieco komiczny wygląd na tle śniegu, ale nikt nie ważył się z niego żartować. W dłoniach trzymał spory pakunek. Zieloną skrzynię z grubego plastiku. Towarzyszył mu drugi, wyższy mężczyzna.

– Może ja...? – zapytał lokaj.

– Nie. – Gość odepchnął go ostrożnie, wyraźnie przejęty. – Ja sam – dodał uprzejmie.

Mężczyźni przeszli przez ogromny hall. Przystanęli. Człowiek z paczką uniósł głowę do ucha swojego towarzysza i wyszeptał:

– Mówiłem ci. – Ostentacyjnie powiódł wzrokiem po budowli.

Drugi mężczyzna przytaknął, nabierając powietrza. Podobało mu się to, co widział. Imponowało jak mało kiedy.

– Poczekasz – polecił ten z pakunkiem.

Na pierwszy raz musiało wystarczyć tych wycieczek. Na razie jego towarzysz dopiero zaczy-

nał pomagać.

Mężczyzna o czarnych włosach skręcił na schody i pokonując po trzy stopnie, znalazł się na piętrze. Chciał jak najprędzej przekazać dobrą nowinę. Jak dziecko, które chwali się dobrą oceną.

Nie zwracał uwagi na galerię obrazów, wazy, rzeźby, które ustawiono w mijanych korytarzach i pokojach. Było ich dużo, jakby miały świadczyć o wielkiej zasobności ich właściciela.

Drzwi gabinetu, szerokie i wykonane z drewna, były piękne. Jak cały dom, jak każdy przedmiot.

Zastukał. Cicho i ostrożnie.

– Wejść – doleciało z głębi.

Nacisnął klamkę i przekroczył próg. Przystanął na ułamek sekundy. Nabrał powietrza.

To miejsce lubił najbardziej. Zapach historii kryjący się w tysiącach inkunabułów.

Grube lakierowane półki sięgały po sam wysoki sufit. Było ich tak dużo, że w połowie wzniesiono elegancką galerię z połyskującą poręczą, do tego na dole i na górze przy regałach stały dwie przesuwne drabinki.

Czego tu nie zgromadzono. Książki sprzed stu i dwustu lat. Te najcenniejsze schowane za szybami, zamykane próżniowo. Białe kruki, głównie z Europy Wschodniej, ale i z Prus oraz Francji. Miliony dolarów, miliony euro i każdej innej waluty w przesiąkniętych historią starodrukach.

Po bokach pokoju, ponad boazerią, na obitych pluszem ścianach, w ciężkich gablotach mieniły się inne cuda. Szable, rapiery, bagnety, muszkiety, wszystko w otoczeniu szarf i orderów dawnych wojen oraz insygniów wodzów. Wszystko skąpane w delikatnym świetle elektrycznych lampek.

Mężczyzna doskonale wiedział, że to tylko próbka wspaniałości, które były w posiadaniu gospodarza. Odpowiednio przygotowane piwnice, istne skarbcze, mogły równać się z najlepszymi muzeami albo już dawno je przebiły.

Prócz prawdziwego podziwu czuł także pokorę, szacunek i... Właśnie. Trudno było zdefiniować to uczucie. Nie podejrzewał siebie o nie. Nie, nie powinien, ale jednak... Zaczynał zazdrościć. Coraz mocniej.

Na środku gabinetu, za olbrzymich rozmiarów biurkiem zasiadał sam zarządca tego bogactwa. Zwany przez wielu „Kustoszem”.

Wiekowy staruszek, o małej, przeoranej pajęczyną zmarszczek głowie, ze skórą zwisającą z policzków, zdjął okulary i patrzył na gościa od samego wejścia.

Setnie bawiło go obserwowanie zafascynowanych jego kolekcją przybyszów. Skąd by nie przybywali, jak ważnej funkcji by nie pełnili, to miejsce na nich działało.

– Witaj, młody człowieku. – Głos jak na swój wiek miał doniosły, a i on sam, mimo mylącej powierzchowności, zdawał się być w pełni sił.

W powitaniu nie było ani krzty wyższości czy lekceważenia. Witał tak każdego współpracownika, kiedy miał dobry humor i zdrowie pozwalało cieszyć się życiem.

– Dzień dobry, panie generale.

Gość zwolnił, przystanął, z wielkim namaszczeniem wysunął przed siebie plastikową skrzynię, a następnie położył ją na blacie biurka. Zrobił krok w tył, dając przyjemność rozpięczętowania podarunku samemu gospodarzowi.

– To...? – Starzec był wyraźnie przejęty, nawet zdawało się, że głos mu zadrżał. – Znaczy, że się udało?

Gość nie powiedział ani słowa, tylko oczy mu błysnęły i kiwnął głową.

Starszy pan sięgnął do szuflady. Przy takim nagromadzeniu historii w jednym miejscu białe rękawiczki nie były czymś dziwnym.

Nałożył je, przełknął ślinę i ostrożnie otworzył skrzynkę. Na sam widok zawartości jego twarz wykrzywiła się w szerokim uśmiechu.

– Jest! – Schwycił cacuszko w dłonie i uniósł w górę.

Przedmiot lśnił przybrudzonym złotem. Wyglądał jak wielki grot strzały, choć miał nieco opływowy kształt. Długi na kilkanaście centymetrów krył dwugłowego orła, też ze złota, który zasiadał na czymś, co przypominało dwie armatnie lufy.

Oczy starca mieniły się blaskiem złotego kruszcu, a on stał w milczeniu, dysząc z ekscytacji.

Gość zaczął nawet myśleć, że to za wielkie emocje, ale zaraz przypomniał sobie, że przecież zawsze jest tak samo.

– Cudo, prawdziwe cudo. – Starzec obracał zdobycz w palcach, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami. Na jego bladej cerze pojawił się rumieniec. – Trudno było? Co? – mruknął.

– Pewne komplikacje... – odparł gość, choć wolałby, żeby wyjaśnienia były prostsze. – Ale ludzi mamy świetnych.

To była prawda. Słwał wprawionych. Ryzykował i uszczuplał kadry, ale... inwestycje były tego warte. Wymagały poświęceń.

– No dobrze. – Starzec spoważniał. Gość znał i tę twarz, doskonale znał. Jeszcze z czasów swej młodości. – Jak będzie z resztą? Macie? Będziecie mieli?

Gwałtownym ruchem włożył złoty przedmiot do skrzyneczki i opadł na fotel. Wyprężył się, zmrużył powieki i wbił w przybysza to swoje orle spojrzenie.

– Będziemy mieli. – Gość przełknął gwałtownie ślinę. Na jego twarzy zaperliła się kropla potu. Dopiero teraz spostrzegł, że stoi w nagrzanym pałacu w zapiętym na wszystkie guziki płaszczu. – Sprawy się pokomplikowały. Informacje otrzymaliśmy zbyt późno, by odpowiednio reagować, ale...

– Ale co? – Pytanie było ostre i nieprzyjemne.

– Mamy siły i środki... Chyba więcej niż inni. Będziemy szukać. – Bardziej okrągłego zdania gość nie potrafił już wymyślić. – Jak tylko pozwolą okoliczności... – zgrabne określenie chwili przerwy w nawale obowiązków – ...dokończymy. Przypilnujemy i... – Kończyły się pomysły na dyplomatyczne sformułowania.

Nie mógł przyznać, że odłożył na bok kilka innych projektów i brakowało mu zaplecza. Choć zależało mu bardzo na tym, żeby temat kontynuować.

– Liczę na to. – Starzec ostentacyjnie pogroził kościstym palcem, ale zaraz zmienił nastawienie na bardziej przyjazne. – No, dobrze, dobrze. Działaj.

Rozumiał. Jego sprawy nie były priorytetem, wiedział to.

– Bardzo ci dziękuję. No a teraz... Należałoby oblać taki sukces.

*

Ciągle za krótki, szary dzień dobiegał końca i wszystko wkoło pogrążało się w mroku. Było o wiele zimniej niż jeszcze kilka godzin temu.

Mucha nie lubił tego ćwiczenia, nie przy takiej pogodzie i nie w takim czasie. Coś musiało się dziać, że ich tu ściągnęli.

Za długo w tym siedział, by nie rozumieć takich prawidłowości. Tam wysoko, bardzo wysoko, ktoś coś planował i podejmował działania, zanim ich analitycy o nich w ogóle pomyśleli.

A przecież byli świetni, najlepsi i mogliby przewidywać światowe wypadki lepiej niż niejedna cyganka.

Zintensyfikowanie ćwiczeń, i to takich... Przecież roboty było w diabły. To wszystko na pewno znaczyło, że będą ich ślali w teren.

Starszy chorąży sztabowy Robert „Mucha” Krawiec miał w duchu kolejne przekleństwa, analizując to, co ma zrobić, i odganiając zwyczajne w takich chwilach myśli o emeryturze.

Ale na niej chyba by się powiesił z nudów. Z braku adrenaliny.

Dmuchało lodowatym powietrzem przez wielki otwór, miejsce, gdzie standardowo powinny być wrota ładunkowe.

Potężny Mi-17, ciężki i głośny, objuczony wyrzutniami niekierowanych pocisków na pyłach, zrobił gwałtowny zwrot. Ludźmi rzuciło, ale wytrzymali. Nie z nimi takie zabawy.

Dudniło echo odbijane od tafli nieodległej wody. Maszyna zwolniła i zawisała w powietrzu. Zrobiło się jeszcze głośniejsze.

Teraz wszystko wkoło ochlapywały drobinki słonej cieczy. Technik dał znak.

Wstali.

Mucha chciał wierzyć, że gruba pianka uchroni go przed zimną wodą. Poprawił kaptur. Nałożył maskę i nabrał powietrza.

Padło polecenie.

Złączył nogi, skrzyżował ręce na piersi i poleciał w czarną toń.

*

– A echo z przyzwyczajenia: mać, mać, mać... – Adam lubił puentę tego starego kawału, kiedy już brakowało mu przekleństw albo dopadała go rezygnacja.

Odłożył słuchawkę i wlepił wzrok w monitor.

Biały dokument wypełniony linijkami liter, czyli raport, nie dawał się ukończyć. On sam był głodny, senny i w ogóle uważał, że świat jest do dupy.

– Problemy? – Szef wydziału kryminalnego komendy nie wysuwał głowy zza komputera.

– Skąd, kurde, wiesz? – Ironia aż kapłała ze słów Thomala.

Nie miał ochoty na pogaduszki. Generalnie na dziś miał dość.

– Okej, okej. – Szef też chyba nie chciał drażnić podwładnego. A właściwie całej grupy.

Siedzieli w swoim małym pokoiku całą zmianą, tłukąc w klawiatury w przerwach rozmów z informatorami, znajomymi złodziejami albo kumplami przeróżnej proveniencji. Adam, Stefanek, Robert i Błażej. Reszta jeszcze tkwiła w korku.

Nawet szef, starszy aspirant Michał Włoski, został ściągnięty z wolnego. Zresztą ku swej uciechu, bo wolnych i urlopów nie lubił. Miał dwadzieścia lat w służbie, mógł iść precz, ale trwał na stanowisku wiedziony przyzwyczajeniem albo bardziej – niechęcią do żony, albo jeszcze bardziej – do teściowej, która z nimi mieszkała.

W tej robocie mało kto mu dorównywał. Szedł na wędch jak prawdziwy pies. Lubili go, choć był mało przystępny. Załoga często się zmieniała. Adam i Stefanek byli wyjątkami, ku wielkiej wściekłości Thomala. On naprawdę wolałby pracować gdzie indziej. I nawet myślał, że jego wrodzony talent i łatwość w zdobywaniu ludzkiego zaufania oczarują Włoskiego, a ten pomoże mu w karierze. Ale stary wyga był zbyt doświadczony, by dać się podejść byle szczyłowi.

Nie zgnoił go, nie przeczołgał, tylko postawił mur i obserwował, wbijając tylko od czasu do czasu bolesną szpilę. Adam się starał, wypełniał polecenia, nawet uzyskał kilka pochwał, ale wreszcie się poddał.

W patrolówce, zaraz po szkole, było łatwiej. Przynajmniej teraz tak mu się zdawało. Kilka pieszych pościgów, złapane gnojki z cudzą torebką czy komórką i był kop w górę. Chyba dla wygody innych – zwał ich brzuchaczami – którzy nie mogli na niego patrzeć. Jak na nikogo zresztą, kto zawyża poziom – bo potem jeszcze każdy obywatel gotów oczekiwać, że gliniarz będzie dygał kilometrami za byle chłystkiem.

Adam wklepał w komputer kilka zdań i wcisnął ikonkę drukarki. Niewiele było na tej kartce. I tu nie miał szans zabłysnąć, choć już dawno przestał dorabiać ideologię do marnych wyników.

Zabójcy trzyosobowej rodziny, poszukiwanego w sprawie najgłośniejszej w polskich mediach, nikt nie widział. Kamera zarejestrowała tylko chudego mężczyznę kilkaset metrów dalej, a to i tak od tyłu. Więc wiele tego nie było. A sprawa robiła się bardzo nieprzyjemna, jeśli cokolwiek przyjemnego było w zabójstwach. Skradziono kilka bibelotów, ale nic wagi ciężkiej. Co ciekawsze, lekarz ostatniego kontaktu ustalił, że głowę rodziny, a także i żonę, przed śmiercią torturowano. W grupie poszukiwawczej pojawiła się teza, że śmierć matki i dziecka miała coś wymusić na ofierze... No właśnie: co?

Kalicza znało kilka osób spośród rekonstruktorów. I zgodzili się mówić, z tym że nic na papier. Nie wiedzieli jednak zbyt wiele. Ktoś kiedyś kupował jakąś kaburę, nóż albo słyszał jakieś plotki.

Wśród antykwariuszy na starówce i w okolicy zapanowała panika. Bali się, że zabójca to ktoś, kto chce się wzbogacić i będzie brał na cel właścicieli sklepów albo kolekcjonerów. Kilku nawet przedstawiło wnioski o ochronę.

Zarówno Adam, jak i sam Włoski podejrzewali, że to nie tylko strach przed rabunkiem. Oni coś wiedzieli, ale milkli, gdy zaczynało się ich przyciskać. Tylko jeden starszy handlarz rzucił półgębkiem, że to przerasta ich wszystkich, jednak więcej nie powiedział. Może w siwej głowie coś tam sobie uroił.

Inna sprawa, że każdy głupi musiał się domyślać, iż odznaki, ponemieckie bagnety czy monety to na tym rynku tylko przesłona. Kit ze straganów podczas jarmarków wciskany turystom. Prawdziwa kasa była ukryta.

Krążyły różne plotki. Gospodarczy ponoć tykał się takich spraw, ale tylko po wierzchu. Abwehra i CBS też w tym siedziały. W tym światku działa się grubo, ale nikt nic nie wiedział, nikt nic nie słyszał ani nie miał dowodów. Nawet tak brutalne zabójstwo nie rozwiązywało języków.

Tymczasem media siadły na policję i prokuraturę. Że nic, że zero. A przecież minęło dopiero kilkadziesiąt godzin. Na domiar złego po uszach dostało się też dwóm ministrom. A skoro tak... nacisk na doły szedł z dwóch kierunków i trudno było oceniać, który był mocniejszy.

W efekcie wszystko inne przestało się liczyć. Nieważna była głowa w reklamówce na brzegu Motławy i jej domniemany właściciel znaleziony pod miastem. Nieważna krew na klatce w kamienicy obok komisariatu, choć tu sprawa okazała się prozaiczna – rezultat późnego powrotu do domu bo jakiejś balandze. No i nieważne było życie rodzinno-prywatne, choć to na przykład Włoskiego w ogóle nie martwiło.

– Zaraz łeb mi pęknie. – Thomał przeciągnął się na krześle i wstał.

Złapał bluzę i wyłączył komputer. Nikt, łącznie z szefem, nie protestował. Siedzieli w pracy ciągiem, ale na chwilę odprężenia zezwalano.

– Przejdę się albo wpadnę do domu. Będę za godzinę, półtorej – kłamał, choć brzmiał bardzo przekonująco.

Miał nadzieję, że Ola już wróciła.

– Dobra, idź. – Włoski sam z przyjemnością by się wyrwał.

Adam wyszedł na korytarz. Kręciło się tu kilku mundurowych z prewencji. Ci, choć zajmowali się najgorszym codziennym syfem ulicy, czasem głupotami, innymi razy bardziej cuchnącymi sprawami, mieli lepiej. Mogli wrócić po służbie do domu. Im też nakazano mieć oczy i uszy otwarte, ale bez punktu zaczepienia na niewiele się to zdawało.

Adam znalazł się na podwórzu. Zimne powietrze chylącego się ku wieczorowi popołudnia pomogło. Ukoilo pulsującą głowę.

Wsiadł do auta, otworzył okno, żeby po drodze powiało jeszcze mocniej. Zapuścił silnik i doznał olśnienia.

– Jasna cholera – syknął i klasnął w dłonie.

Kumpli z rekogrupy starał się nie wikłać w sprawy zawodowe, ale jeśli nie było innego wyjścia... A kilka ciekawostek mogło pomóc. Sprawie i budowaniu wrażenia.

Wyciągnął z kieszeni spodni prywatny telefon. Wybrał numer i czekał.

– Co tam, leniu? – Głos w słuchawce był wesoły.

– Sam spierdalaj – zaśmiał się Adam.

Przyjacielsko-rekonstrukcyjnym czułościom stało się zadość. Międzyresortowa kultura najwyższych lotów. Jak dzieci...

– Jak wytrzeźwiałeś, przypomniałeś sobie, że w moich gratach porzuciłeś menachę, co? Wpadasz na wioskę odebrać?

– O, naprawdę? – Thomal nawet nie rozpakował się po ostatnim wyjeździe. – Nie, nie dam rady. Piekło, Bzura i Omaha w jednym. Przykuli mnie do biurka...

– To to, co w telewizorze? – Krzysiek Zydelski prawie zagwizdał.

– Tak, tak się składa, że niestety... i mam w związku z tym pytanie...

– Do mnie? – W głosie Krzyśka dało się słyszeć zaskoczenie.

– Potrzebuję jakiegoś zaczepienia. Ty się bawisz w nurkowanie. Tu nasz zimny szukał skarbow. Masz znajomych, którzy też szukają, ale pod wodą. A i twój kuzyn...

– Boże... – Adam usłyszał głębokie westchnienie. – Nie przypominaj mi o nim... Nie widziałem go z pół roku i niech tak zostanie.

Wspomnienie niskiego faceta, którego kiedyś przy wódce poznał i Thomal, musiało być doprawdy traumatyczne.

– Nie bądź taki, pomóż koledze z wojska – zaśmiał się Adam. – Pan kapitan udzieli wsparcia, co?

Użycie stopnia, z którym Krzysiek szedł na emeryturę, zazwyczaj działało na samopoczucie kumpla.

– Czego ci potrzeba? – I tym razem poskutkowało nad wyraz szybko, choć entuzjazmu w głosie Zydelskiego nie było wcale.

„Rusz głową, co masz do roboty?”, Adam o mało nie wypowiedział tego na głos.

– No właściwie nie wiem. Masz rozległe znajomości – łechtał ego kolegi, jak potrafił najlepiej. – Wśród nurków, a może u kuzynka? A może i ktoś od ciebie kupował coś od gościa? Nazywał się Kalicz.

Rzykował, ale wiedział, że Krzysiek nie palnie głupoty. Znał się na rzeczy, umiał gadać z ludźmi tak, by sami zaczęli mówić. To, w połączeniu z rozległymi znajomościami wśród wojskowych, nuworyszy, biznesmenów z fiołem oraz z łatwością zjednywania sobie ludzi, której Adam zazdrościł mu najbardziej – bo w porównaniu z kapitanem był malutkim miki – sprawiało, że co rusz nachodziła go myśl, czy jednostka, w której służył kolega emeryt, była rzeczywiście

tylko zwykłą liniową brygadą, czy może jednak czymś innym.

Nie miał teraz do tego głowy. Ale chciał wykorzystać tę znajomość.

– Hmm, Kalicz, mówisz. – Krzysiek przycichł. – Zapiśałem. Zapytam, ale prędko niczego nie załatwię... Antyki, mówisz. Broń? Stara broń? Ale nie reko, prawda?

– Dobrze kombinujesz, panie kapitanie. – Adam znów się zaśmiał.

– A ty wiesz, że coś mi świta? Może będę miał kogoś... Potrzebuję czasu.

– Super, będę wdzięczny, stary... – Thomał zerknął na zegarek. – Cholera... – westchnął.

– Co jest?

– Muszę kończyć. Dzięki, będę naprawdę zobowiązany. – Nacisnął czerwoną słuchawkę.

Ola na pewno była w mieszkaniu, a przerwy ubywało.

*

Szef był dobry, szef był łaskawy. Wiwat szef! Adam gotów był wykrzykiwać peany na jego cześć. Włoski wysłał esemesa, żeby Thomał został w domu do rana. I tak nic nie mieli na zabójcę ze starówki, więc próżno było robić teatryki dla komendanta.

Ten zresztą gonił jak pies za własnym ogonem, tak go ponoć cisnęli ci z miejskiej, prokurator i szef specjalnego zespołu, który bazował na archiwach dawnych spraw rabunkowych, zeznaniach znajomych denatów i na tym, co wykopali ludzie Szmerra, czyli na niczym wielkim.

Na razie Adamowi było dobrze. Całą pracę zostawił daleko. Leżał w miękkiej pościeli, ale nie mógł spać. Nawet mimo długiego wysiłku. Wolał patrzeć.

Ola leżała obok. Drzemała. Nagie ciało oplatała lekka kołdra. Blond włosy, długie i puszyste, rozłożyły się wachlarzem na poduszce. Spory biust falował miarowo w rytm oddechu i Adam uznał, że teraz ma przed sobą najpiękniejszy widok na świecie.

Była bardzo młoda. Studentka. Nie za wysoka, za to cudownie obdarzona przez naturę. Lubił takie jak ona, wszystkie swoje dziewczyny dobierał wedle podobnego klucza. „Oczy” musiały być duże, a reszta... Na resztę za bardzo uwagi nie zwracał.

Kumple widzieli go z nią na mieście, na kawie, na lodach. Zazdrościli, śmiali się, że „z takim to prokuratorem zabrania”, ale miał ich gdzieś.

Łaził z nią jak sztubak, jak zakochany gnojek. Spełniał zachcianki, pozwalał patrzeć sobie w oczy, wzdychać i pierwszy raz od wielu, wielu „koleżanek” było mu dobrze. Spokojnie.

Ułożył się na boku, wsunął łokieć pod głowę. Dłonią schwycił kosmyk jej włosów. Obracał go delikatnie, tak żeby się nie zbudziła.

O mało się nie roześmiał, kiedy pojął, jak kiczowato by to wyglądało, gdyby ktoś patrzył z boku.

„Jak debilny film. Romans jakiś”, drwił sam z siebie w myślach, nie pojmując, co się z nim dzieje.

Dotąd nie potrafił zaangażować się na poważnie. Choć teraz...? Kto wie.

Obrócił się prędko na plecy, podłożył ręce pod głowę i wbił wzrok w sufit.

„Nie ma tak łatwo, nie ma tak pięknie”, uciął chwilę słabości.

I pozwolił, by oładnął nim sen.

*

Jedno spojrzenie w lustro – może być. Zwykle ubierał się w sportowe rzeczy. Bojówki, ewentualnie dzinsy, bluza, sweter, czapka. Na luzie, wygodnie. Zresztą chciał czuć się komfortowo.

Adam Thomal skończył trzydzieści jeden lat. Był wysoki, postawny, choć z ciut za dużymi zakolami, które maskował, ścinając włosy na zero. Biegał... czasami, dbał o siebie... czasami, zwłaszcza kiedy po zimie pokazywał mu się z przodu nieco za duży brzuch, ale radził sobie z tym raz-dwa. Krótko mówiąc, uważał, że może się podobać i że nie zdiadział za biurkiem i kierownicą auta.

– Szkoda, że nie ma więcej czasu... – Ola podeszła cicho.

Była niższa o głowę, więc stanęła na palcach, objęła go i przytuliła mocno.

Drgnął. Inne też tak robiły, ale z Olą było jakoś inaczej. Chyba się zakochała. Sapnął w nerwowej, niekontrolowanej reakcji. Dziewczyna odsunęła się. Powinna wiedzieć, że Adam nie za bardzo lubi takie momenty. Przynajmniej w świetle dnia.

– Szkoda, szkoda. – Poprawił kburę, odwrócił się i pocałował ją w czoło.

Jak na jego standardy wiele go to kosztowało. Scena jak z harlequina.

Ola uśmiechnęła się.

– Nie zjesz śniadania?

– A ty zjesz? – odparował.

– No... no nie... – zaśmiała się.

– No dobra, ubieraj buty, bierz kajet, piórniki, kaptur na zmianę.

– Ha, ha, ha, bardzo śmieszne, panie starszy – obruszyła się chyba naprawdę.

– Przepraszam, przepraszam. – Z obowiązku i troski o własny spokój znów ją przytulił. Ale tylko na chwilę. No, bez przesady. – Zbieraj się, podrzucę cię na dworzec, na kolejkę – zarządził, chwycił klucze i ruszył do wyjścia.

Miał nieduże mieszkanie na obrzeżach miasta, gdzie było taniej. Choć sam kredyt zmuszał Adama do siedzenia w firmie jeszcze przez ładnych parę lat, wcale się tym nie przejmował. Lubiał swoją pracę, zawsze chciał być gliną. Oczywiście nie na tak szeregowym stanowisku. Ciągle jednak wierzył, układał plany i działał, by to wszystko się zmieniło. Bez względu na koszt osobisty.

Wyszli na zewnątrz. Dzień był cholernie zimny.

– Mówili w telewizji, że mają wrócić opady i mrozy. – Ola naciągnęła na głowę śmieszny czapkę z kolorowej włóczki i zacisnęła szalik.

– Nie no, nie gadaj.

Otworzył drzwi samochodu. Nastrój zleciał mu aż do ziemi. Jeśli znowu miałyby wiać i mrozić, a taka wizja stanęła mu przed oczami, poranne wyjazdy nie byłyby takie łatwe.

Droga do miniosiedla zagubionego gdzieś w polu była szeroką polną ścieżką, którą czasem ktoś zapominał odśnieżyć, a jego wiekowe das Auto źle znosiło chłody. O targaniu akumulatora na piętro nocami nawet nie chciał myśleć.

Włączył silnik, nastawił radio i ruszył. Nie przejechał jednak daleko.

Eseme zaburczał w kieszeni.

„Hej, leniu. Pamiętasz naszą rozmowę? Znalazłem kogoś, kto może coś wie. Trzymaj się. Numer telefonu...”

– Nieźle. – Adam pokiwał głową zadowolony.

Nie potrafił nie robić sobie nadziei. Krzysiek znał naprawdę ciekawych ludzi, więc mogło być różnie.

– Ważne?

Ola wiedziała, kiedy jej facet zmieniał się w łowczego. Pełnego wigoru, z dobrym humorem. Była młoda, ale umiała obserwować.

– Bardzo, bardzo... chyba – dodał, udając spokój.
Przyszło mu na myśl, że przez swoje reakcje zbyt się odsłania.
Wcisnął pedał gazu i ruszył żwawo, kiedy telefon znowu się odezwał.
Dzwonił szef. Aspirant Włoski.

*

Miejsce spotkania umówili szybko. Mimo tak wczesnej pory znajomy Krzysztofa Zydelskiego znalazł czas. Albo Krzysiek posiadał taki dar przekonywania, albo Marian Ptasznik po prostu nie miał co robić.

Kawiarnia „Natalia” w jednym z kilku centrów handlowych w Gdyni świeciła pustkami. Latem czy zimą tu zawsze można było liczyć na swobodniejszą atmosferę. Aż dziw brał, że komuś ten interes w ogóle się opłacał.

Wystrój był dziwaczny. Ogromne okno, jasne ściany z lustrami, nieładne, lekko tandetne stoliki o drewnianych blatach i stalowych nogach, podobne krzesła, jak w jakiejś stołówce. Przy samym wejściu bar, ekspres, dwie długie lodówki, w których na półkach prezentowano ciasta, desery i pojemniki z lodami.

Thomal wszedł do środka. Dostał oficjalne pozwolenie na wypad na drugi koniec Trójmiasta. W nowej sytuacji nic nie było pewne, a każdy trop mógł dać kilka punktów u naciskających z zewnątrz.

W kawiarni staruszka w cudacznym kapelusiku trajkotała coś do koleżanki zaraz przy wejściu. Obydwie obrzuciły Adama takim spojrzeniem, jakby miał im zaraz wyrwać torebki. Pani przy barze też nie wyglądała na zadowoloną i być może przemknęło jej nawet przez głowę, że należałoby wypatrzeć jakiegoś ochroniarza.

Thomal przywykł do podobnego traktowania. Wyglądał jak łapserdak. Luźne spodnie, bluza nie zawsze najświeższa. Prawie лыsa głowa. Do tego co dzień, od lat, babrał się w sprawach, które odciskały na nim widoczny ślad. Oba światy się przenikały, upodabniały, tak jak i wegetujący w nich ludzie. Granica była bardzo cienka.

– Kawę poproszę. Dużą. Może być z mlekiem – rzucił, podchodząc do baru.

Wyciągnął portfel i podał banknot. Tak jakby chciał udowodnić wszystkim wkoło, że nie ma złych zamiarów i na dodatek posiada pieniądze. Posłał barmance najlepszy uśmiech ze swojego asortymentu.

Nie mógł nie podzielać.

Kobieta też się uśmiechnęła. Była pod pięćdziesiątkę, więc każdy miły gest, zwłaszcza o wiele młodszych facetów, odbierała podwójnie. Odruchowo poprawiła włosy spięte z tyłu głowy.

– Z ekspresu czy...?

– Może być z ekspresu. – Adam nie przestawał sprzedawać próbek swoich umiejętności.

Dawno odkrył, że jeśli szło o kobiety, włączał się w nim inny, lepszy tryb, którego nie potrafił nazwać. Nie był meksykańskim studentem, za którym najbardziej szalały koleżanki na prawo, a mimo to... Iskra w oczach przeskakiwała, ton głosu zmieniał mu się mimowolnie, no i nabierał pewności siebie. To ostatnie działało chyba najbardziej.

Począł na filiżankę i zostawił solidny napiwek w myśl zasady: „marnie się zarabia, żyje się jak hrabia”. Zaczął rozglądać się, szukając jak najodleglejszego miejsca w sali, kiedy przeszedł go dreszcz.

W samym roku, pod wielkim na całą ścianę oknem, siedział facet. Wysoki, barczysty, z brzuchem, jakby pożarł piłkę lekarską. Na oko, sądząc po łysiejacej szpakowatej głowie, miał ponad

pięćdziesiąt lat. Nosił dzinsy, koszulę wypuszczoną ze spodni i marynarkę z lekkim zapasem.

Unióśł dłoń zbrojną w telefon i machnął porozumiewawczo. Skąd się wziął? Kiedy przyszedł? Jeszcze minutę temu nikogo tu nie było.

Thomal podszedł do niego i wyciągnął dłoń.

– Dzień dobry, jestem Adam, kolega Krzyśka.

Tamten ukłonił się.

– Marian Ptasznik. Możemy mówić sobie po imieniu?

Otakował chłopaka długim, życzliwym spojrzeniem.

– No dobra – zgodził się Thomal, choć wcale mu się to nie podobało.

Skracanie dystansu, do tego tak szybkie, uchodziło płazem tylko określonej grupie ludzi. Ostatnio jednak robiło się modne.

– Chciałeś pytać o...? – Ptasznik cofnął głowę, bacznie mu się przyglądając.

– Pewnie pan... to znaczy, pewnie słyszałeś o tym morderstwie...

– Kto by nie słyszał. – Grubas przewrócił oczami. – Głędzą wszędzie... Spece pitolone. – Uśmiechnął się kąciakiem ust.

Sprawdzał, czy w narzekaniu znajdzie kompana, a wtedy lody ostatecznie zostaną przełamane?

Thomal odwzajemnił uśmiech.

– Zamordowany był antykwariuszem. Handlował różnymi starociami. Krzysiek obracał się w podobnych, jak to nazywam, kręgach. Nie handluje starociami, ale pod wodą... różnych rzeczy się szuka. A potem się je sprzedaje. No i tak kombinuję... – mówił szybko. – Ty też nurkujesz?

Ptasznik prychnął i prawie zakrztusił się kawą.

– Ja?! O Boże! Dobrze, dobrze. – Zaczął prędko wycierać plamy ze stolika. – Czy ja wyglądam na nienormalnego? Coś ty! Znam Krzysia. Wspólni znajomi.

Zydelski nic nie mówił o swoich znajomych, chyba że się chwalił. A i to w ostateczności. Wchodzenie w jakieś dziwne układy oznaczało duże ryzyko. Ale Thomal uznał, że nie ma nic do stracenia.

– Pomógł mi kiedyś. Bardzo... – Ptasznik zagłębił się na chwilę w najwyraźniej niewesołych wspomnieniach. – A ty? Jesteś policjantem? Tak mówi Krzysiek. – Grubas ściszył głos.

Adamowi zdawało się, że nowy znajomy mu nie dowierza. Sięgnął więc do kieszeni i wydobyl skórzany portfel na blachę. Ptasznik wydał usta, ale nie było wiadomo, czy z wrażenia, czy też hamował parsknięcie śmiechem.

– W porządku – powiedział. Podał Adamowi mały szary kartonik.

Na wizytówce widniał napis: MAR-SECURITY. A pod spodem: Marian Ptasznik, prezes.

Adam westchnął, widząc mało wyszukaną nazwę. Ale zaczynało do niego docierać, z kim ma do czynienia.

– Wy się tam w te rekonstrukcje bawicie. Czasem ktoś coś organizuje, trzeba obstawić teren, wiadomo. To służę. – Ptasznik reklamował się z powagą specjalisty.

Adam niewielu widział ochroniarzy podczas inscenizacji bitew i potyczek. Dla oszczędności organizator brał zwykle strażaków ochotników albo w ogóle nikogo, nie zgłaszając takich imprez jako masowych.

– No dobra. To jak mogę pomóc? – Ptasznik splótł palce, wyprostował się i zaczął jeszcze szerzej i jeszcze sztuczniej się uśmiechać.

– Już mówię. – Thomal zrozumiał, że pan biznesmen wyświadcza tylko przysługę Zydelskie-

mu. – Szukam wszelkich informacji o tym środowisku. O interesach. To znaczy... – irytował go ten nieustępliwy wzrok, para wąskich zielonych oczu wpatrzonych w jego twarz – ...na ogólnym poziomie wiemy, co i jak. Skradziono jakieś szable, bagnet, komputer. Ale nie wiemy, kto to zrobił. Nie mamy nic, żadnego punktu zaczepienia. Jesteśmy na tym etapie, że interesują nas wszelkie plotki, które mogą naprowadzić na jakiś ślad.

Grubas nie odzywał się ani słowem. Wyciągnął szyję. Nozdrza mu drgnęły i głośno nabrał powietrza.

– I po co się tak męczyc? – Zabrzmiało to dziwnie. – Sprawę zabiera CBS. Już nie wasz bajzel...

Zamilkł. Adam poczuł, jak cały kamienieje. Zrobiło mu się zimno, a potem gorąco. Odruchowo pociągnął za suwak bluzy. Musiał zrobić jakąś strasznie głupią minę, bo Ptasznik zarechotał.

– Skąd o tym wiesz? – Thomał już po wypowiedzeniu tych słów spostrzegł, jak bardzo się wygłupił.

Dziecinne pytania nie przystawały do sytuacji, choć CBS nigdy nie puszczało farby, trzymając wszystko dla siebie. Przynajmniej tak mu się wydawało przez te kilka lat.

– Skąd wiem? Od kolegów. Mam paru lepiej zorientowanych. – Ptasznik emanował teraz wielką pewnością siebie. – Jakbyś był o dychę, piętnaście lat starszy, tobym powiedział, że to koledzy z dawnych czasów. Ale wam, młodym, to już nie imponuje, odcięliście się od przeszłości.

Adam nie słuchał zbyt uważnie, choć tamten miał słuszność. Wolno i nie na wszystkich poziomach, ale jednak dawni weterani odchodzili do lamusa.

No i stało się jasne, skąd znał Krzyśka i wiedział, na jakim etapie jest sprawa zabójstwa. Thomał powinien pojąć to od razu. Od tego, jak ten gość tu się pojawił. Cicho, niezauważony... Ale żeby paplać o informacji, którą szef wydziału przekazał dopiero godzinę wcześniej? A i sam nie był jej pewien?

– Coś taki zdziwiony? Młody to zdziwiony? – Ptasznik wyraźnie dobrze się bawił, rzucając filmowym cytatem. – No więc, mój drogi, Krzysiek dryndnął, pogadaliśmy. To i ja pogadałem. I tak oto...

Do kawiarni weszła jeszcze jedna grupa starszerek pod wodzą dziarskiego emeryta. Mówił głośno, ewidentnie podrywał koleżanki. Wysoki, z wąsem, o przygładzonych włosach, w jasnej kurtce, której nie miał zamiaru zdejmować. Zaczął głośno składać zamówienie i opisywać wspałałości, które widział tu na talerzach. Amant dawnych czasów, takich już się nie spotykało.

– Adam, tak? – Gruby pochylał głowę i ściszył głos tak, żeby nowi konsumenci nie słyszeli za wiele.

Zbytek zawodowej ostrożności. Z ich słuchem?

– Tak. – Thomał kiwnął głową.

– Powinieneś wiedzieć, że jak ktoś robi taką masakrę, to sprawa jest gruba. Bardzo gruba. Pewnie w ogóle miała nie wyjść, ale cóż, ktoś gdzieś nie dopilnował albo ktoś inny od was drugą pensję dorabia u telewizorów. No i kicha. Tu, na Pomorzu, nie ma zbyt wielu mądrali, żeby mogli robić kasę na tych starociach. Zresztą, to nie jest energia słoneczna. Tu towar kiedyś się skończy, a i teraz już zasoby mocno się kurczą. Trzeba być kutym na cztery nogi skurwielem, takim, co wie, komu podsypać, gdzie zakombinować i, co najważniejsze, należy mieć plecy, wielkie plecy. A do tego trzeba czego?

– Doświadczenia? – rzucił bez namysłu Adam, ciągle nie mogąc dojść do siebie.

– Brawo, brawo, ale nie do końca. Staż, Adam, staż się liczy. Jak zaczynałeś wcześniej albo

miałeś, nazwijmy to... przewodnika, to mogłeś zejść wysoko.

– No i co, sądzisz, że tam, w Gdańsku...

– Ja nie sąd, ja nie sądzę. – Gruby upił łyk kawy. – Nie znałem go, wiem tyle, co z telewizji i z netu. Ty mi nie powiesz więcej, bo ci nie wolno. Powtarzam, jeśli go załatwili, musiał podpaść. W kradzież nie wierzę. No i samo to, że CBS się bawi w niby rabunkowe zabójstwo, już jest dziwne. No nie? A może się mylę? Tam coś musi być. Coś, czego nie widać. Może to polecenie politycznych, ale nawet oni aż tak głupi nie są. Cebeesie mają co robić, a nie daj Bóg ich wnerwić, to coś i na pana ministra znajdą.

Adam nie miał zamiaru oponować. Rzeczywiście było to wszystko jakieś pokretnie.

– Jeszcze lata temu słyszałem o takiej grupie, która zabierała się za handel antykami, ale zajęła się przemytem. Nie moja branża, ja byłem od czego innego, więc nie drażyłem. Grupa była jedna, potem zrobiło się ich więcej, zaczęły się zwalczać. Któraś musiała wygrać. Zaczęto dobierać wolnych strzelców. Takich zdolniaków, co mieli talent i potrafili wyszukiwać istne perełki... Znali się na rzeczy. Mówiło się, że to nie był przypadek, że góra się w to zaangażowała, ale ja nie wierzę. Tych spisków za wiele się porobiło w takich opowieściach. Za to wiem, że paru młodych, nazwijmy to fascynatów, zaczęło szukać nie tylko u nas. A i handel nie szedł wyłącznie w polską stronę.

– Wiem. Litwa, Białoruś. – Adam wtrącił to, co zapamiętał ze śledztwa.

– Dodaj do tego Niemcy, tam jest potężny rynek i wielu, co pamięta, gdzie chowało miedziaki. No a w naszym przypadku... – Zabrzmiało jak sygnał, że Ptasznik wie o temacie nieco więcej.

„W naszym przypadku”, powtórzył w myśli Adam.

– ...Rosja. Kaliningrad, mój drogi. Tam precjoza, u Niemców klienci, pośrednictwo, szukanie dla bogatych szyszek. Taki Indiana Jones na zamówienie – zarechotał grubo.

Adama stać było tylko na nerwowy uśmiech. Szybko analizował. Nie miał czasu na żarty.

– Moje zdanie jest takie. Jeśli wchodzi w to CBS, a chuj wie, kto jeszcze... – nastąpiła teatralna pauza – ...znaczy, że coś mają, wiedzą. Tam, gdzie wasi nie sięgają. Musieli pogonić ich do roboty, bo ministrowi przed wyborami trzeba sukcesów. Więc ponaciskają agenturę i może coś z tego będzie.

Thomal westchnął. Znow znikł błady promyk nadziei, że dowie się czegoś nowego. Miał kilka kolejnych ciekawych przypuszczeń, lecz ciągle tylko przypuszczeń, które na niewiele się zdawały. Ale nie zamierzał się poddawać.

– Czy dałbyś radę poszperać trochę więcej w tym temacie? – Zrobił minę jak kot ze „Shreka”, niemal pochylając głowę. Bał się, że brzmi żałośnie.

– Chce ci się w tym grzebać? Roboty nie masz? – Ptasznik kręcił głową. – Krzysiek mówił – oczy mu błysnęły – że jesteś ambitny. – W jego głosie wyraźnie brzmiała kpina.

Adama ścisnęło w żołądku, ale wytrzymał.

– Dobra, popytam. Ze względu na naszego wspólnego kolegę. To dobry facet. Ale ostrzegam – Ptasznik spoważniał i unióś ostrzegawczo palec – nic ci nie obiecuję i jak zaczniesz o mnie gadać, ktoś się dowie... – Nie musiał kończyć.

– Tak, rozumiem. Milczę jak grób. Zresztą potrzeba mi czegoś na początek, potem sam coś wykombinuję.

Rozmówca patrzył na niego dłuższą chwilę w milczeniu. Adam nie był do końca pewien: analizował jego gesty, a może po prostu bawił się całą sytuacją?

Zresztą Thomal nie pojmował, czemu w ogóle Ptasznik z nim gada. Tak lubił Krzyśka? Czy

może tamten miał coś na niego? A może to po prostu dług honorowy? A jeśli coś by się udało, to jak by się miał odwdzińczyć koledze z reka? Dotarło do niego, że wchodzi w nie do końca fajne rewiry. Ale musiał coś mieć, jeśli nie chciał do końca życia patrzeć na Stefanka. Konsekwencje go nie interesowały.

– No dobra. Poszukam, ale nic nie mogę obiecać.

Ptasznik wstał i poprawił marynarkę. Teraz dopiero było widać, jaki jest wysoki i jak wielki bęben dźwiga przed sobą.

– Twój numer mam. Na wizytówce znajdziesz mój, ale to ja będę dzwonił. Lecę.

Wyciągnął dłoń. Adam wstał.

– Pij kawę – rzucił Ptasznik, odchodząc. – Wystygła. ■

Rozdział 2

Rafet jak co dzień otwierał swój biznes. Robił to z prawdziwym zapałem i przyjemnością, jak na przyszłego milionera przystało. Przynajmniej tak sobie wyobrażał swoją przyszłość.

Lokal – mała kawiarnia o nieco przygasłych kolorach, wymagająca remontu, ale w bardzo dobrym punkcie. No i przede wszystkim jego.

Piętnaście lat pracy, ciułania każdego centa, temu niemłodemu już, zbudowanemu jak zapaśnik mężczyźnie przyniosło efekty. Spełnił swoje dziecięce marzenie. Rodzina była po trosze dumna, po trosze zatroskana, że nie został u wujostwa w Kolonii. Ale on miał to gdzieś. To był najwyższy czas, żeby się ustatkować, zarobić nieco grosza na własnym.

Rafet wyszedł na ulicę. W porannym szczyście bazar zapełniał się ludźmi. Robiło się wreszcie ciepło i wracała nadzieja, że wiosna rozpocznie się z całą siłą.

Turek włożył dziurawe rękawice, wyjął kluczyk i zwolnił zamek pierwszej rolety. Szło szybko. Co rusz ktoś go pozdrawiał. Otworzył szeroko kraty w drzwiach, tak by wszyscy chętni wiedzieli, że mogą zajść.

Zerknął na zegarek. Dostawca spóźnił się kwadrans, ale Rafet nie należał do choleryków jak sąsiedzi, którzy dla przyjemności czy sportu rugali zaopatrzeniowców za kilka minut opóźnienia. Miał co nieco w spiżarni, poza tym uważał, że skoro stać go na luksus, by płacić za dowóz towarów, to nie powinien narzekać. Nie musiał tłuc się bladym świtem jak setki ludzi swoimi autami i napychać samochodu paletami jedzenia.

Wszystko było gotowe, tylko czekać klientów, więc Turek wyszedł przed lokal i oparł się o futrynę. Zarzucił białą serwetkę na ramię i patrzył na gęstniejący tłum.

Bardzo lubił to miejsce, a może po prostu jeszcze do niego nie przywykł.

W masie aut i ludzi, która wolnym strumieniem płynęła wąską ulicą, jego uwagę przykuł jeden wóz. Nawet myślał, że to jego dostawca toruje sobie drogę klaksonem i wyzwiskami, bo kolor auta był taki sam.

Biały dostawczak – chłodnia na bazie niemieckiego volkswagena – ewidentnie gdzieś się śpieszył. Napierał na auta przed sobą, wyjeżdżał na przeciwległy pas, próbując wymijać, kiedy tylko nadarzyła się okazja.

Wreszcie podtoczył się bliżej i zrównał z Rafetem. Ten ostentacyjnie pokręcił głową, przybierając najsurowszą minę dla pokazania, co myśli o takim awanturnictwie. Nie uszło to uwagi kierowcy. Spojrzał w bok i wtedy Rafet zamarł.

Chłopak był młody. Miał może ze dwadzieścia lat. Rządka broda pokrywała jego żuchwę, ale wąs był zgolony. Nosił czarny T-shirt i czapkę z daszkiem w tym samym kolorze. Błyszczą od potu, przygryzał wargi, ale najbardziej przerażały jego oczy.

Rafet znał je, pamiętał te spojrzenia, te twarze. Widywał je rzadko, przelotnie, tam w Europie. Europie pełnej meczetów, wielkich demonstracji oraz wściekłych młodych ludzi. Arabów, Turków, ale i konwertytów, którzy z trudem znosili te zachodnie brewerie.

Rafet też nie pochwalał tej całej zgnilizny, ale nigdy nie przyszło mu na myśl iść w swym niezadowoleniu dalej. Przeradzać się w gniewnego, gotowego na wszystko obłąkańca.

Tacy wysypywali się setkami na ulice, modląc się ostentacyjnie, wydzierając, rzucając hasła i grożąc wszystkim wkoło. Nawet i jemu. Człowiekowi, który chciał tylko spokojnie zarabiać.

Rafet zląkł się. Przestraszył się tak bardzo, że zaczęły drżeć mu kolana. Dopadł go prawdzi-

wy lęk. Nie zdzierzył wzroku kierowcy, który stał w korku dobrą minutę, wpatrzony w niego martwymi, matowymi, nieobecnyymi oczami.

Rafet schował się do swojego lokalu. Nalał szklanek wody, myśląc, co ma zrobić. Sięgnął po komórkę. Chciał wybrać numer, ale oprzytomniał. Co niby miał powiedzieć? Że jakiś kierowca krzywo na niego spojrział?

Odwrócił się. Ruszył znów przed wejście. Chciał dopatrzeć się czegoś więcej. Choćby numeru rejestracyjnego, a potem coś by nałgał. Przynajmniej by spróbował.

Ale samochodu już nie było, odjechał z potokiem nagle poruszonych aut i zniknął.

Rafetowi nie ulżyło. Podszedł bliżej jezdni, zapominając o wszystkim wokoło. Mrużył oczy, starając się dostrzec auto daleko na końcu ulicy, wśród gęstniejącego powietrza i mrowia pojazdów. Chwilę obracał telefon w dłoni, nie potrafiąc zdecydować, czy powinien niepokoić władze.

Wreszcie jednak lęk okazał się zbyt silny. Uniósł aparat, wybrał numer i kiedy usłyszał pierwszy sygnał, daleko od strony placu rozszedł się jaskrawy błysk.

Zaraz potem doleciał drażniący huk i gorąco.

*

– Dajże mi już spokój!

Włoski zapalił drugiego papierosa. Korytarz był pusty, więc mógł podnieść głos. Zresztą był szefem Thomala, miał prawo robić, co chciał.

– Panie starszy aspirancie. – Sztucznie oficjalny wydźwięk tego zwrotu spowodował, że Włoski popatrzył na młodego jak na kogoś niespełna rozumu. Jakby chciał powiedzieć: „Naprawdę?”. – Przecież sam przyznasz – Adam zmienił ton – że ciekawie by było pójść w tę stronę. Poszperać w materiałach o sprawach przemytu antyków. Może kilka lat temu coś wpadło. Może któryś z dawnych kolegów Kalicza miał jakieś problemy ze sobą, jakaś przemoc, wyrok? Może po wódzie lubił się kłócić...

– Ty myślisz, kurwa? – Włoskiemu prawie papieros wypadł z ust. Zdębiał, jak porażony prądem. – Ty mnie będziesz uczył?

Adam spotulniał. Rzeczywiście, jakoś głupio to zabrzmiało. Ale nie wiedział, jak może przekonać szefa. Nagadał się o wszystkim, co usłyszał od informatora, którego nazwiska nie ujawnił, mówiąc tylko, że to kolejny rekonstruktor z przeszłością.

Bo skoro wszyscy kumple denata, jego handlowi partnerzy – ponieważ współników raczej nie miał – mieli, jak się okazało, mocne alibi albo nie odpowiadali rysopisowi z kamery, to co pozostawało?

– Oj, Adam, Adam, znowu głupiejesz? – Włoski pokręcił głową z politowaniem. – Czyś ty się aby za wiele jakiegoś CSI nie naoglądał? Tu masz komisariat dzielnicowy, otrząśnij się. To nie jebane FBI. Mało masz roboty? No powiedz? Coś sobie ubzdurał... – Urwał w pół zdania.

Uśmiechnął się drętwo. Było jak na początku, kiedy szczył przychodził pod jego skrzydła.

– Słuchaj. Bierz się za swoje śmieci. Może w telewizorku o nich nie ma, ale prokurator i komendant też potrafią naszmrodzić. Reszta... Było, minęło. Nie nasz cyrk. CBS wzięło sprawę, zespół rozwiązała po cichu i chuj. Niech się bawią... Mam to gdzieś.

Adam chciał coś powiedzieć, ale uniesiona dłoń szefa kazała milczeć.

– Koniec, kropka.

Włoski zdusił papierosa w blaszanej popielniczce i ruszył do pokoju.

Adam stał chwilę, gapiąc się w okno i szukając w myślach rozpaczliwie jakichś argumentów, które mogłyby przekonać dowódców, że jest w stanie jeszcze coś zrobić, ale zaraz dał sobie spo-

kój. Byłoby to wszystko aż nadto żalosne.

Ocknął się po kilku sekundach ze zdumieniem pomieszanim ze złością, widząc padający śnieg. Płatki leniwie osadzały się na szybach i zaraz topniały.

Ola miała rację. Zima wracała. A on planował wieczorem wyjście. Musiał pożyczyć od kogoś płaszcz, bo do domu z przyczyn obiektywnych nie mógł dziś wracać.

– Jasna cholera – westchnął i poczłapał do pokoju.

*

Starzec patrzył z zachwytem na przedmiot, który trzymał przed sobą. Wokół panowała cisza, a on był sam. Sam na sam z historią.

Podziwiał swój najnowszy eksponat. Tonął w jego blasku, a rozochociona wyobraźnia przenosiła go daleko w przeszłość, kiedy ten grot był dumnym zwieńczeniem dostojnego sztandaru podczas bitew, wśród huku dział, wykrzykiwanych rozkazów, jęków oręża i wrzasku konających.

Kawałek metalu towarzyszył największym, tym zapisanym w podręcznikach. Był świadkiem zwycięstw i sromotnych klęsk. Zaginął, a teraz powrócił, by stać się jego własnością.

Pod czaszką dudniło mu od tych wyobrażeń. Widział je tak realistycznie, jakby sam wszystko obserwował. Nie, on naprawdę tam był, chłonał atmosferę zwycięstwa jako jeden z trybików w tych doniosłych momentach. Wierzył w to gorąco, odkąd poznał meandry dawnych dziejów, tak skrzętnie przed nim skrywanych. Ba, również przed całym jego pokoleniem.

Najważniejsze wydarzenia jego zdaniem były znane tylko powierzchownie, w ogólnym zarysie. Od czasu do czasu na światło dzienne wydostawało się coś więcej dla pokrzepienia serc, kiedy sytuacja tego wymagała, kiedy szukano otuchy dla narodu w niebezpieczeństwie. Ale reszta była zakazana i ukrywana, jakby nikomu niepotrzebna.

Mężczyzna nie wiedział, dlaczego prawdziwa historia komuś przeszkadzała. Przecież można było czerpać z niej jak z krynicy siły i mądrości. Czasy się jednak zmieniły. Przyszło nowe i dawne obostrzenia zniknęły. Teraz można było szukać prawdy.

On studiował historię latami, czytał, zbierał materiały i im więcej wiedział, tym bardziej utwierdzał się w swoich przekonaniach.

Teraz dopadł go niepokój. A może niecierpliwość. Chorobliwa wręcz niecierpliwość, powód jego niegdysiejszego upadku, znana zastępom jego dawnych uczniów, rodzinie, przyjacielom. Koniec końców jednak nie wyszła mu na złe.

Miał to zresztą gdzieś. Był zbyt bogaty, by przejmować się drobnostkami, takimi jak opinie innych. Maluczkich.

Złapał za słuchawkę telefonu. Antyku, jak wszystko w jego otoczeniu.

Wykręcił numer i czekał chwilę. Zapadła noc, ale telefony od niego zwykli odbierać o każdej porze. Nigdy nie było za późno, żeby ponaglić. Przecież znajdował się tak blisko uzupełnienia swojej kolekcji czymś naprawdę cudownym. Tyle tylko, że w tym przypadku chętnych na zdobycz było prawdopodobnie kilku, a on nienawidził konkurencji.

*

Adam nie lubił stroić się w marynarki czy garnitury i udawać elegancika, którym nie był. Nie znał się na tych wszystkich anzugach i mało go to obchodziło.

Szczytem wymuszonej elegancji była koszula, niekiedy nawet w modelu fit, wypuszczona ze spodni, i czarne spodnie do lakierowanych butów.

Jednak życie wymaga czasem poświęceń. Zwłaszcza kiedy chce się pokierować własnym losem.

Stał w korytarzu, niczym palant – jak sam uważał – szczerząc kły, rzucając anegdoty i wymyślając prędko inteligentne puenty. Wszystko z życia, nic z roboty. Z tym nie miał zamiaru się zdradzać. Mógłby się pograżyć.

Sprawdzało się to wśród osób na jego poziomie. Rówieśników, kolegów, czasem nieco tylko starszych. Tu też żarło, jednak nie do końca.

Podczas kolacji pani Joanna czasami chichotała i patrzyła na młodego człowieka rozbawionymi oczami, szukając wyraźnie jakiejś skazy. Albo mąż ją doskonale wyszkolił, albo sama z racji wieku wiedziała więcej o takich jak on absztyfikantach, niż Adam mógł przypuszczać.

Szanowny małżonek – postać wysoka, barczysta, o muskularnej szyi i fryzurze prawie wojskowej, siwej – nie dawał się nabierać na miękkie gadki.

Nie odzywał się wiele, patrzył tylko na „kolegę” córki, ale kiedy ich oczy się spotykały, wytrzymywał, ku przerażeniu Adama, by zaraz z wielką satysfakcją wlepić wzrok w kotlet, szafę albo jakiś landszaft. Robił przy tym grymas triumfu, krzywiąc kąciki wąskich ust.

Adam jednak się nie poddawał, choć kiedy wynosił naczynia do kuchni, nie omieszkął napomknąć dziewczynie o swoich obawach. Liczył bezwstydnie na to, że kreowanie się na biednego misia sprawi, że Beata wstawi się u rodziców. Najpierw u mamy, potem u taty, którego była najukochańszą córeczką.

– Nie przesadzaj, jest dobrze. Zawsze tak mają.

To „zawsze” w ustach wysokiej blondynki, o lekko zbyt wydatnym czole, ale za to z niezodzownym sporym – odpowiednim do wymagań Adama – biuście, nie brzmiało najlepiej.

„Zawsze” oznaczało, że takich kolacyjek było więcej i że arsenał środków używanych wobec państwa Zachrostowskich był im znany.

– No, córeczko. – Pani Joanna ucałowała dziewczynę w oba policzki na do widzenia. – Trzymaj się, powodzenia w pracy. Dziękujemy. Miło było. Bardzo.

Mama zdawała się pełnić rolę rzecznika prasowego.

– Miło było poznać – powiedziała i podała Adamowi rękę.

Niby oficjalnie, ale w jej oczach błyskało sympatycznie. A może Thomalowi tylko się wydawało? Może działała zasada przeciwieństw i przy prostym jak struna, oficjalnym tatusiu każdy wyglądał na miłego? Niczym w zestawie zły i dobry glina, ale tu raczej nie było to umówione, a tym bardziej udawane.

– Dziękuję za miły wieczór. – To dopiero zabrzmiało dziwnie w ustach Zachrostowskiego.

Nawet Beata z matką spojrzały po sobie zaskoczone.

– Dziękuję, mnie również było bardzo miło... – Adam silił się na dyplomatyczną odpowiedź w uprzejmym, acz niezbyt miękkim tonie, ale dopiero gwałtowny uścisk ręki Zachrostowskiego dał mu do zrozumienia, że to wszystko jednak na pokaz.

Prawica Adama zbiegła w tym imadle, ale tylko lekko się uśmiechnął.

Ojciec zęgnął córkę czule, długo i szepnął jej coś do ucha. Potem rzucił krótkie, lecz śmiertelnie poważne spojrzenie jej wybrankowi.

– Do widzenia. – I znów zagrał miłego, że do rany przyłoż.

Wyszli.

– Uff! – Adam poluzował krawat i zaraz rozpiął kilka guzików koszuli. Gotował się w tym ubranku.

Podszedł do Beaty, objął ją wpół i pocałował w odsłonięte ramię. Nosila czarną sukienkę bez

rękawów. Krótką, dopasowaną. Podobała mu się.

– Co tam ci tata nagadał, co? – rzucił nonszalancko.

Wtulił twarz w jej krótką fryzurę i zaczął całować ukrytą pod nią szyję.

– A coś ty taki ciekawy? – Udawała, że się broni, oddychając coraz szybciej. – Mnie mówił, nie tobie... – Adam wiedział, jak ją rozbroić.

Pozowała na silną, ba, była silna, po ojcu, ale ten rosły gliniarz potrafił ją podejść. A przecież nie od razu się jej spodobał.

– Pan tu... a tam... naczynia do mycia... Adam...

Jeszcze stawiała opór, ale wreszcie dała spokój. Odwróciła się i pocałowała go. Z niej też schodziło napięcie tego wieczoru, jego przygotowania i całej aranżacji. Przedstawiała swojego faceta staruszkom. Po raz pierwszy tak na poważnie.

Adam miał jeszcze mniej skrupułów i poczynił sobie coraz śmieiej, wędrując dłońmi to tu, to tam.

Znał ją ze dwa miesiące. Nie była z początku nikim wyjątkowym. Kolejna przygoda, kolejna blondyna, bez których kolekcjonowania nie potrafił się obejść.

Nie pierwszy i na pewno nie ostatni raz bawił się w takie układanki. Jeśli atakować, to na kilku frontach. Było zabawnie, energetycznie. Musiał tylko uważać, żeby nie pomylić numerów telefonów przy słaniu esemesów. No i logistyka wymagała więcej uwagi.

Zresztą z Beatą nie planował niczego poważniejszego. Nawet jej do siebie nie zabierał, tłumacząc, że wynajmuje skromny pokój, a innym razem, że mieszkanie już ma, ale jest w długim remoncie. O dziwo wierzyła albo również nie zamierzała plątać się w poważniejsze sprawy. Odpowiadało jej to. Pracownica banku, z kasą, z własną kawalerką, chciała się bawić.

Sprawy zaczęły się komplikować, kiedy pewnego razu napomknęła bardzo ogólnie, kim jest jej szanowny tatuś. Tu nie miał do czynienia z głupiotką blondynką. Musiał bardziej uważać, kiedy pojął, co się dzieje.

Policjant robiący się zbyt interesownym na takie wieści? Oj, to by mogło wszystko zburzyć.

Podchodził celu ostrożnie, rozpoznawał bojem. Długo i cierpliwie. W tym był dobry. Wiele dziewczyn złapało się na jego urok.

Z Oli oczywiście nie rezygnował. Tam było w jego mniemaniu coś głębszego, poważniejszego. Tu zabawa, interes i kto wie, być może życiowa szansa?

Wmówił sobie dawno, że taka postawa to zwykła rzecz, taktyka walki o przetrwanie i łupy na tym łąz padole, i stłumił słabe zresztą wyrzuty sumienia.

Cóż, w końcu nie tak często otrzymuje się od losu możliwość zapoznania się z pułkownikiem Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. I to urzędującym w Warszawie.

– Zostajesz, jak rozumiem – stwierdziła fakt Beata, zupełnie oddając się pieszczotom.

Nic nie odpowiedział. Ola sądziła, że ma służbę, a rano i tak gdzieś wybywała. Mógł spokojnie urabiać swoją zdobycz i budować pozycję na przyszłe spotkania z rodziną.

*

Włożył bluzę i zabrał rzeczy. Stefanek dojadał kanapkę i właściwie też był gotów. Wybierali się na Dolne Miasto. Pojawił się nowy trop w iście pasjonującej sprawie głowy w reklamówce i trzeba było przesłuchać kilku meneli. Wysublimowane zabójstwa znanych i bogatych to tylko w filmach. W rzeczywistości mordowanie było o wiele prostsze, powszechniejsze i dalekie od hollywoodzkich scenariuszy.

Drzwi do szarego pokoiku otwały się gwałtownie, kiedy Thomal miał już pogonić kolegę.

– Włączcie telewizor. – W drzwiach stał pobudzony komendant.

Dyszał ciężko, czerwony na twarzy, co sugerowało, że zestresowanego podinspektora męczy zbyt wysokie ciśnienie.

– No, już... zobaczcie...

Włoski niechętnie wykonał polecenie. Nie lubił, jak mu się przeszkadzało głupotami, zwłaszcza takimi jak telewizja, kiedy liczba kwitów rosła dramatycznie.

– Co będzie? Jakiś teleturniej? – bąknął pod nosem Stefanek, ale na jego szczęście Szmerr zdawał się go nie słyszeć.

– O cholera! – Adam złapał się za głowę.

Telewizja informacyjna błyszczała złotym paskiem. Lektor słyszany z offu mówił szybko, wyraźnie podniecony, że dano mu szansę przedstawienia sensacji dnia.

Obrazki, które relacjonował, były rzeczywiście poruszające. Kilku ubranych w oliwkowe kombinezony, hełmy, kominiarki, gogle i zbrojnych w broń maszynową, jakby wracali z Afganistanu, funkcjonariuszy wydziału realizacji CBS niemal ciągnęło wygiętego w obezwładniającym chwycie chuderlawego łysego faceta. Mocno i na bogato, jak to do telewizora.

Adamowi zdawało się, że widzi handlarza ze zwykłego bazaru. Wychudzonego albo raczej wysuszonego przez gorzałę, opalonego od wystawiania godzinami na słońcu i wietrze.

Jednak lektor mówił o czymś innym. Gdyby ktoś chciał wierzyć w iście niesamowite moce biura śledczego, to miał na nie dowód.

Z anteny leciały porażające wręcz słowa:

– Jak państwo widzą, udało się dziś zatrzymać domniemanego sprawcę makabrycznego mordu z Gdańska. – Słowo „makabrycznego” dziennikarz przeciągnął, ze znanstwem budując napięcie. – Domniemanego, bo to wszystko musi potwierdzić sąd, jednak przedstawiciele prokuratury okręgowej oraz policji przyznają, że wszystko wskazuje na to, iż jest to poszukiwany od paru dni bandyta. Mężczyznę ujęto w jednym z warmińskich moteli, razem z rzeczami, które zrabował zamordowanej rodzinie. Śledczy nie chcą otwarcie potwierdzić powodów tego potwornego czynu, jednak według naszych nieoficjalnych informacji przyczyną był właśnie rabunek, co bulwersuje jeszcze bardziej. Zatrzymany, a jest nim pięćdziesięcioletni obywatel Federacji Rosyjskiej, jest przesłuchiwany w prokuraturze w Gdańsku – zakończył informację spiker.

Ton wiadomości nieco się zmienił. Zaczęły się newsy z zagranicy, wśród których królował kolejny krwawy zamach w tureckim Trabzonie.

– No dobra, starczy. – Szmerr wyraźnie oklapł.

Rozumiał pewno, że skoro CBS ujęło sprawcę w nieco ponad dobę od przekazania mu sprawy, to zwykle szaraki dostaną po dupie, a złość komendantów kolejnych szczebli padnie na niego. Nie widział przyszłości w jasnych barwach.

– Dzwonili przed kwadransem. – Zamknął drzwi i podsunął sobie najbliższe krzesło. – Przesłuchują go. Telewizja i internety dały to od razu... – Mówił cicho, w nerwowym odruchu patrząc na dłonie.

Myślał.

Adamowi nawet było go żal. Przecież niczemu nie zawinił.

– No i dobrze, złapali go, to po sprawie. – Powiedział to, co myślała i reszta sekcji.

– Tak, jasne. – Szmerr skubał paznokciem o paznokieć.

– Zaraz, zaraz. – Adam nagle potarł czoło w zamyśleniu. – O co w tym wszystkim chodzi? – Niemal się zirytował.

Wzrok pozostałych spoczął na nim. Nie bardzo pojmowali, o czym mówi.

– CBS – kontynuował Thomal – lata za facetem, który skradł kilka scyzoryków? Nawet jeśli zabił... Nie ich brocha. Taki z niego terminator, no bez przesady. Kurwa. Przecież to bzdura dla debili. Tam musiało być coś głębiej...

– Ty znowu zaczynasz? – Głos Włoskiego był ledwo słyszalny. – Koniec, Adaś, koniec, co cię to obchodzi? – Szef trzepnął plikiem papierów.

– A jak go znaleźli? Bo co? Pojechał na dziwki i bawił się bagnetem z kradzieży? Bo to taki rarytas, że kurwa na policję poleciała? Nawet jeśli mieli go pod obserwacją, to skąd wiedzieli, że to on? Nie ma jego dokładnego rysopisu... – Nakręcił się niezłe, bo wszystko pachniało mu bajeczką dla ciężko myślących.

– No to idź i się ich zapytaj. – Szemra musiało drażnić takie kłapanie dziobem. – No proszę, już. Dawaj! – Wskazał na drzwi i zerwał się z miejsca.

Znalazł sobie cel, na którym mógł rozładować stres.

– Gównu ci powiedzą. Co ty, wczoraj się urodziłeś? Zabieraj dupę w troki i do zadań. Ważne, że jest po sprawie i że ten cały cyrk ucichnie. – Wyciągnął szyję, nabrał powietrza, spojrzął na wszystkich jeszcze raz i wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Lepiej się mu dzisiaj na oczy nie pokazuj. – Stefan potrafił trafić w punkt.

*

Powietrze było gęste, trudno się oddychało. Słońca nie widzieli, choć tym akurat nikt się nie martwił. W szarudze lepiej się kryć. Nie byli przecież na wczasach.

Wkoło wiele się działo, więc zarówno dowódca, jak i reszta chcieli wierzyć, że „wtargnięcia w granice ościennego państwa” nikt nie zauważył.

Zresztą jedno więcej, jedno mniej. Kogo to obchodziło.

W tej okolicy granic nikt na poważnie nie traktował. Przewalały się przez nie całe pielgrzymki. Z północy na południe i z powrotem.

Niektórzy szli za wiedzą swoich rządów i przywódców, inni wprost przeciwnie – usiłując te rządy obalać. Wrzało.

Nawet stąd, z wysokiego, pokrytego poskręcanyimi pniami sosen szczytu, widać było dymy pożarów. Po obu stronach umownej linii, która w rzeczywistości była tylko nic nieznaczącą kreską na mapie.

Zamieszanie pozwalało wszystkim uczestnikom tej brutalnej gry wyrównywać swoje rachunki do końca, bez świadków, a winy zrzucać na wszystkich wkoło i biadolić nad złym losem.

O to chodziło ludziom siedzącym pod sosnowymi pniami i ich ziomkom. Po to tu byli. Mieli mieszać, zaogniać i prowokować. Mogli w tej robocie podawać się, za kogo chcieli. Tu byli bezpieczni. Nikt nie był w stanie skontrolować setek kilometrów pokrytej górami granicy. Lepszych warunków do pracy nie można było sobie wymarzyć.

Okutany w wyblakłą brązową chustę dowódca zalegał w płaskim wgłębieniu na północnym stoku góry. Wpatrywał się w odległy, zamazany cel. Ostre kamienie piły go w każdy skrawek ciała. Piaskowy ubiór nowego wzoru nie był tak doskonały, jak zapewniano. Przecierał się, dziurawił, nadawał do wymiany już po kilku dniach. W tej kwestii musieli się jeszcze uczyć.

Po dwóch godzinach marszu dowódca lepił się od potu i kurzu. Bolały go mięśnie, ale do tego przywykł. Przecież to nie był pierwszy raz. O, nie. Były ich dziesiątki. Poza tym trenował niemal bez przerwy, doprowadzając organizm do granic wytrzymałości, by właśnie w takich sytuacjach nie zawieść. Należał do elity. Był elitą.

Cel okazał się spory, a dokładniej rzecz ujmując... długi. Dowódcy nie chodziło o to, żeby go

tylko musnąć, uszkodzić kilka aut i wiać. Wiedział, że trzeba zaryzykować, ale jeśli miał kończyć dzieło mocnym akordem, jeśli tura miała być udana, musiał się przyłożyć.

Oderwał wzrok od lornetki. Operator oka zerkał na niego, czekając na jakieś polecenie.

– Masz ich?

– Tak jest! – zameldował.

Był młody, trzymał się odpowiednich ram.

Dowódca zachciało się śmiać. Wróciło wspomnienie sprzed lat. Pchali ich w inne góry, na inną wojnę, bez ułamka tej techniki co tutaj. I proszę, co robił postęp? Chęć dorównania przeciwnikowi? I to bez względu na koszty, zwłaszcza kiedy frontów wiele.

– Tańczymy, panowie – rzucił do wszystkich.

Cała szóstka zastygła w oczekiwaniu.

Młody przy oku przywarł do swojej maszynki. Była dobra, miała kilka ciekawych funkcji i można byłoby uznać, że jest całkiem kława, gdyby nie jej rozmiar, ciężar i słaba jakość baterii. Włączył tryb znacznika i zaraz schwycił słuchawkę satelitarnej radiostacji. Też istny cud techniki.

Poleciały szybkie, sprawne komunikaty.

– Gotowe – oznajmił pewnie.

– To czekamy.

Dowódca wrócił do obserwacji, choć z jego pocziwej lornetki widok był o wiele gorszy. Modlił się, żeby w te kilka minut nie napatoczył się żaden śmigłowiec ani samolot. Niby byli niewidoczni, ale w podczerwieni wiązka lasera wskazywała ich tak, jakby odpalali flary na gólsa.

Droga między wzgórzami była szeroka, choć nie najlepsza. W tych rejonach dawno nikt nie inwestował w infrastrukturę. Tak samo jak w osłonę coraz liczniejszych i coraz większych konwojów z zaopatrzeniem.

Brakowało zabezpieczeń, jakby nikt nie myślał na poważnie o tym, co właściwie się działo. Żadnych maszyn w powietrzu, punktów obserwacyjnych na szczytach, patroli w dolinach. Nic.

„Nie mają pojęcia...”, pomyślał dowódca.

Przeciwnik znał się na rzeczy, miał jakie takie rozeznanie, ale nigdy nie toczył się w jego pobliżu konflikt o takim natężeniu. Jeśli walczył, to w krótkich odcinkach czasu, atakując szybko i brutalnie. Nigdy nie miał większych problemów z oddziałami dywersantów na tyłach – tymi przybywającymi z zewnątrz, bo własnych trafiało się całe mrowie.

Ciemnozielony wąż dziesiątek ciężarówek, cystern, osłaniających je wozów terenowych i aut opancerzonych wił się prędko. Zbliżał się. Rósł.

Dowódca był absolutnie pewny, że tam daleko, w dole, nikt nie przypuszcza, co się wydarzy. Może spodziewali się zamieszek, bali się min pułapek, zasadzek, ale na pewno jeszcze nie tu, nie u siebie. Tereny wroga, kraina chaosu, zaczynały się o wiele dalej na południe.

– Już są – oznajmił operator oka.

Trzymał się, ale w jego głosie słychać było wyraźne podniecenie.

– Trzydzieści sekund – prawie wykrzyknął.

Dowódca uspokoił oddech. Uwielbiał te chwile, sekundy nieopisanego napięcia, buzującej adrenaliny. Ludzie mieli osłaniać stanowisko, ale mimochodem zerkali za siebie, tam gdzie był konwój.

Zielone od igliwia drzewa porastające strome, wysokie zbocza szumiały muskane delikatnym wiatrem, gdzieś dalej śpiewał nawet jakiś ptak. Sielanka, istna sielanka.

Nie słyszeli niczego więcej. Nie mieli usłyszeć. Pocisk nadlatywał bardzo szybko i z ogromnej wysokości.

Błysnęło w dolinie. Sekunda zwłoki. Echo poniosło trzask eksplozji. Znow błysk, trzask. Potem kolejne. Lornetka na niewiele się zdawała. Za to w oku widać było rosnącą kulę ognia, przechodzącą w pomarańczowo-czarny grzyb.

– Efekt? – Dowódca odwrócił głowę.

Młody milczał. Delektował się widokiem?

– Efekt? – powtórzył dowódca.

Nie lubił czekać.

– Są... w celu. Wszystkie. – Twarz operatora pojaśniała.

Potwierdzenie poleciało do słuchawki.

Między wzgórz, mimo wielokilometrowej odległości, dolatywały pyknięcia mniejszych wtórnych eksplozji. Cysterny i wozy z amunicją rozpadały się na strzępy w wąskiej dolinie.

– Dobra. – Ulga była czymś wspaiałym. – Zwijamy się – polecił dowódca. – Nadaj sygnał. Mamy dwie godziny.

Złapał plecak i odruchowo zaczął na wszelki wypadek wyglądać śmigłowców.

*

Adam zerwał się z krzykiem. Cały mokry od potu i dygocący. Koszmar jakby się nie skończył. Czuł pustkę i przerażenie potęgowane ciemnością pokoju.

– Adaś? Co ci? To sen?

Zaspana Ola próbowała go pocieszać, ale niewiele mogła zrobić. Samą ją potwornie wystraszył. Przedtem nigdy tak nie robił. Wiedziała, że w głowie policjanta gnieźdzą się przeróżne demony i strachy, które kiedyś będą chciały się uwolnić, ale nie sądziła, że tak prędko. Nie w tym wieku.

Thomal zerwał się na równe nogi, jakby go coś gnało. Pobiegł do łazienki. Niewielkiej, ciągle pachnącej farbą.

Popatrzył w lustro nad umywalką. Drżał, był blady, pod oczami dostrzegł cienie.

W głowie ciągle miał ten sam obraz. Tak realny, jak najprawdziwsza jawa.

Od samego początku czuł lęk, ale nie potrafił nic zrobić.

Widział morze i plażę, ale nie takie jak na pocztówkach z wakacji. Zamiast letniej aury był szary, zimny dzień. Jesienią albo zimą.

Morze, niska mgła i nagle on. Blady chłopiec, dzieciak. Patrzył. Nie mówił, nie płakał, patrzył, świdrując go wzrokiem, niemal boleśnie, do głębi.

Adamowi wydawało się, że go zna, że gdzieś już widział tę twarz. Uporczywie szukał w pamięci, ale nic... Tylko pustka.

Nagle dziecko otworzyło usta, krzyknęło coś albo powiedziało, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Tylko przerażenie stało się nie do zniesienia.

Odkręcił kurek, nabrał w dłonie zimnej wody i długo wcierał ją w twarz. Odpędzał upiora. Nie zwracał uwagi na nic, nawet na stojącą w drzwiach przerażoną nie na żarty dziewczynę.

Nie pojmował, co się dzieje, nie rozumiał tego koszmaru, ale wiedział, że to coś, czego wcześniej nie doznał.

Uniósł głowę, wpatrzył się w swoje blade, pokryte lekkim zarostem oblicze i wtedy do niego dotarło, gdzie i kiedy widział tego chłopca.

*

Miał dość, musiał odgrodzić się od sprawy. Choć na jakiś czas. Z pozoru i tak dla niego już się skończyła, był przecież tylko dodatkiem do tworu wprowadzonego do gry przez zwierzchność. A i wszystko wydawało się załatwione, uporządkowane.

Odrąbiono sukces, jak się patrzy. Wielkie konferencje, gadające głowy, z tą ministerialną na czele. Mnóstwo mądrych słów, mniej pytań, mniej odpowiedzi. To na pewno zostało wcześniej ustalone. Kilka stacji telewizyjnych i radiowych wołało żyć dobrze z władzą, nie bruździć jej w trudnym okresie. Pociągnęli za lejce, hamując i tak rozlazłych i gnuśnych pistoletów śledczego dziennikarstwa. Uruchomili się ci mniejsi, odważniejsi, ale na nich nikt nie zwracał uwagi.

A pytań było sporo. Piętrzyły się w głowie Thomala i do tego z każdym dniem rosła w nim przedziwna świadomość, że to wszystko, co widzi, jest ustawione.

Zabójca przyznał się momentalnie. Tak ogłoszono. Motyw? Zaległe pieniądze za jakieś monety. Był wściekły, działał w afekcie. Postanowił jednak wykorzystać okazję i zabrał jeszcze kilka rzeczy z mieszkania.

Znali się z ofiarą z targów staroci, pomagali sobie w wycenie. Kalicz jeździł do obwodu po ciekawe fanty, które zdobywał... Jurij P. Tyle. Nic więcej, nic mniej. Sucho, krótko, nieciekawie. Ludzie mieli uwierzyć.

Adam miał wątpliwości. I jeszcze ten dziwaczny sen. Minionej nocy się powtórzył. To samo miejsce, ta sama sytuacja... Nie, nie wierzył w takie historie, nie był w ogóle specjalnie wierzący, a jak wchodził do kościoła, to zazwyczaj akurat była pasterka. Jednak tu zaczął mieć wątpliwości. Znak z góry, od ofiary? Czy to w ogóle możliwe?

W rezultacie uznał, że głupieje, bo ma za wiele na głowie. Ołę, ukrywaną z coraz większym trudem Beatę, w robocie po trzy sprawy naraz. Prawdziwego urlopu nie miał od dawna.

Rozbijano mu go na jakieś skrawki czasu, poza sezonem, bo w lecie roboty w związku z jazdami turystów było najwięcej. Miał jakieś wolne wiosną, jesienią, a resztki pożytkował na rekonstrukcyjne wojaże. Przyjemne, wesołe, ale o prawdziwy relaks było trudno. No i każda z pań chciała mieć go dla siebie. A były jeszcze te mniej ważne, gdzieś po inscenizacjach, wystawach, festynach. Cóż, nikt nie zabraniał łączenia dwóch hobby. Ale to męczyło.

Do Tyczyna miał w ogóle nie jechać, jednak w zaistniałej sytuacji zdecydował się. Tyczyn, niewielka miejscowość na styku Łódzkiego i Mazowsza. Nic wielkiego, rynek, ratusz. Mili ludzie. Zaciekawieni, wręcz łakomi nowości w tej sennej nie tylko teraz, ale i przez większość roku mieścinie, jakich w Polsce wiele.

Impreza nie była właściwie rekonstrukcją jakiejś bitwy czy potyczki, która trwale zapisała się w historii. To miało być dopiero rozpoznanie terenu. Takie zaznajomienie miejscowych z tematem „przebierańców” i przygotowanie na coś o wiele większego, co miało nadejść latem.

Władza była nawet chętna, być może grały tu rolę jakieś partykularne interesy, bo szykowało się wydarzenie na wielką skalę. Tyle że ludzie nie bardzo wiedzieli, do czego to prowadzi.

Toteż w ramach pospolitego ruszenia zaproszono kilka grup różnych armii, by poćwiczyły w rynku i na polach, opodal rzeczki. Podefilywały, pojeździły na swoich zabytkach, pokazały broń i mundury.

Urządzono też taktyczne manewry, ganianie się po lasach z bronią. Adama śmieszył zapal nowych do takich atrakcji. On i jego kumple ćwiczyli to lata temu, kiedy nie było żadnych imprez dla publiczności i pozostawało tylko i wyłącznie hasanie po górach, całymi kilometrami. Wtedy wszyscy byli zadowoleni. Jak duże dzieci.

Mimo początkowej nieufności lody między przyjezdnymi a tubylcami szybko zostały przełamane. Młodym z miasteczka podobało się wszystko, bo było nowe i nieznanne, a w dodatku wyglądało jak w wojennym filmie. Starsi cieszyli się, że coś się dzieje i można wyjść z domu, a ci, co mieli jakieś biznesy, sklepy czy knajpy, odkryli, że „wariaci” mają pieniądze i zaopatrują się na potęgę. Głównie w towary płynne.

Młode dziewczęta zaczęły zaś trzepotać rzęsami na widok kawalerów w uniformach. A nuż udałoby się z takim uciec? Albo chociaż fajnie spędzić czas. Bo skoro jechali taki kawał i wydawali kasę na głupoty, to musieli mieć grube portfele.

Thomal nie narzekał. Stary jeszcze nie był, miał stałą pensję, auto, a i mundur dodawał mu zalet, więc przy każdej okazji ćwiczył umiejętność czarowania. Z wielkim powodzeniem i z ła-twością.

Zmierzch przychodził prędko, więc drugi, ostatni dzień imprezy szybko dobiegł końca. Było zimno, a odkąd grupy zaczęły hasać po okolicy, w ogóle nie pokazało się słońce. Śniegu leżało nawet więcej niż na Pomorzu. Czas zwyczajowej integracji wieczornej był tym bardziej wycze-kiwany. Wypadało się rozgrzać.

Garnizon rozlokował się w szkole podstawowej, za uprzejmą zgodą miasta. Sale lekcyjne uprzątnięto, przerabiając na minikoszary. W murach jednak zbieranie mundurowych było duszno, i to bez względu na wiek czy pozycję społeczną. A zebrali się, jak zawsze w przypadku tego hobby, przedstawiciele wszystkich rodzajów zawodów i progów podatkowych. Tutaj jednak panowała równość.

Szkoła stała na krańcu miasteczka, nad niewielką rzeczulką. Ludzie rozeszli się więc po oko-licy i rozsiedli na trawie czy na ławkach. Tu i tam błysnęły płomienie ognisk. Zaczęli gadać, śmiać się. Szkło brzęczało zachęcająco. Biwak jak się patrzy, wstęp do zabaw w sezonie.

Ktoś opowiadał dowcipy, ktoś inny dał mordę przy gitarze, i tak dziesiątki dyskusji zlewały się w jeden gwar.

Adam siedział z trzecim już piwem w ręku, oparty na twardej ławce. Rozmawiał ze znajomy-mi, czasem wstał, pobłąkał się, podszedł do innych ekip.

Zerkał na zegarek, zastanawiając się, czy na bezczelnego nie wyciągnąć na „spacer” poznanej tego dnia Jagody, której ich defilada bardzo przypadła do gustu. Uznał jednak, że mu się nie chce. Zdziwił się tym sam, ale doszedł do wniosku, że brakowało mu chyba po prostu zwykłego ochlaju. Następnego dnia nie prowadził. Wojtuś go wioził. Jeszcze jeden kolega z grupy mieszka-jący po sąsiedzku. Był z Trójmiasta, zmówili się na transport razem z Krzyśkiem Zydelskim.

Pociągnął łyk piwa. Było już ciepłe i smakowało wstrętnie, ale nie narzekał. Liczyło się dzia-łanie. Wyprostował nogi. Chyba takie momenty lubił najbardziej. Ile to już razy, w ilu miejscach brał udział w podobnych manewrach. Był w wojsku, krótko, kilka miesięcy po studiach, ale na-wet to nie spajało ludzi w taki monolit jak te wyjazdy, bądź co bądź przygody jak z filmów, uda-wanych bitew, podczas których co drugi prawil opowieści niczym weteran wielu wojen.

Obok drzemał Romek z zaprzyjaźnionego oddziału, na co dzień dentysta. Dłonie zaciskał na butelce. Miał już swoje lata i nieco za wiele kilogramów. Wyglądał komicznie w grubym płasz-czu, czerwony na twarzy, skąpany w blasku ognia i głośno pochrapujący. Widok był zabawny i dla innych, bo podchodzili i pstrykali zdjęcia, by od rana móc maltretować nimi nieszczęśnika. Stare chłopy, a bawiły się jak przedszkolaki.

– Wojna będzie.

Bełkot Zydelskiego zbiegł się z bolesnym pacnięciem w ramię. Gość był średniego wzrostu, ale krzepę miał. Krzepę i brak wycucia.

W twarzy barczystego kapitana całą uwagę rozmówcy przyciągały spokojne, okrągłe, wielkie oczy. Teraz w skrzywionej polowej czapce oparł się o ławkę i zatopił wzrok w blasku ogniska. Powieki mu wyraźnie ciążyły i oddychał głęboko, wydymając wargi.

Adam zrobił szybki unik, pewny, że szanowny kolega będzie zaraz bombardował Rygę. Odczekał pół minuty i z ulgą stwierdził, że katastrofa nie nastąpiła.

– Mówisz, że wojna? – zapytał, ale sam nie wiedział po co. Gadanie z pijanym było bez sensu.

– Wojna, wojna. – Krzysztof znów poklepał go po ramieniu. Już jednak słabiej. – Kumple z pracy... z dawnej pracy – zaznaczył stanowczo – mi mówili. Coś się szykuje...

Adam zrozumiał, że nadszedł moment, w którym Krzysiek po właniu w siebie ogromnej ilości gorzały zaczynał ciekawie mówić. Nigdy jednak nie przekroczył pewnej granicy. Dochodził do ściany i ulatniał się, drażniąc każdego, kto chciałby się dowiedzieć, gdzie kiedyś pracował.

– Sporo kasy przyszło na szkolenia, sprzęt... – nakręcał się w bełkocie Krzysiek. – Mówili, że ponoć mają wysyłać naszych na pustynię... Ale jeden pan milioner kupił i... się zjebało.

– Dzięki za pomoc. Smakowało? – Adam w panice, widząc, że zbyt wielu ludzi zaczyna wkoło nadstawiać uszu, zmienił temat.

– A nie ma sprawy, nie ma...

Zydelski lubił, kiedy mu dziękowano. Stawał się milutki, niemal rósł w oczach. Lubił też pomagać. Robił to często, choć trudno było przewidzieć, czy tylko dla samych pochwał.

– Butelczyna przednia, przednia. – Oblizał się na wspomnienie i zmarszczył czoło. – A do ciebie dotarła?

Adam tylko kwaśno się uśmiechnął.

– O, niedobrze. Błąd, błąd. – Krzysiek zdawał się oburzony.

Wyprostował się i był gotów ruszać w ciemne miasteczko, by szukać sklepu z trunkami.

– Siadaj, gdzie. – Adam przytrzymał go skutecznie, na tyle, że pomysły eskapad wyparowały z pijanej głowy.

Usadził kolegę obok siebie. Zrobiło się ciasniej, bo Romek opadł mu na ramię, chrapiąc jeszcze głośniej.

– Ptasznik coś pomógł? – Bełkotliwe pytanie zawisło na chwilę w przestrzeni.

Adam nie spodziewał się tego.

– Pomógł? – Nie był pewny, co ma powiedzieć. – Coś tam powiedział, choć jest ostrożny.

Wyrażał się oględnie. Nie było sensu rozwijać sprawy, w dodatku w takim stanie.

– Ciekawie gadał i tyle... A ty skąd go w ogóle znasz? – Uznał, że to dobry moment, by uściślić wiedzę.

– No, no. Nieładnie tak. – Krzysztof Zydelski pokiwał palcem. – Teraz o to pytasz, kiedy nie mam siły kłamać? – zabełkotał. – Kiedyś coś grubasowi groziło, pomogłem, żeby się źli ludzie do dupy nie dobrali... Starczy – oznajmił dziwnie twardo i stanowczo. – Ale go dopadliście, nie?

– Prędko przeskoczył na inny temat. – Tego, jak mu... Jurija? Skąd ten ruski się...

– Ja go znam. – Romek oprzytomniał nagle i niespodziewanie, jak na jakieś hasło.

Otworzył oczy. Poraził go blask ogniska. Uniósł rękę i upił piwa z butelki.

Adam patrzył na niego, nie bardzo wiedząc, co ma powiedzieć.

– Kogo? – wydukał tylko.

– No, o tym Juriju gadacie... – Roman miał zamglone spojrzenie, odbijało mu się głośnie, ale odzyskiwał świadomość. – Bo ty, panie władzo... miałem ci powiedzieć... zapytać... a nuż... coś bym pomógł.

– Pijany jesteś.

„Czemu teraz?” , przecież miał odpocząć i o wszystkim zapomnieć.

– No bo... – Romek znowu czknął – pokazali go w telewizji i mnie olśniło... On się bawił w te starocie, kolekcje pokazywał...

– Jak pokazywał? – Procenty szybko parowały z Adama. Wszystkie zmysły mu się wyostrzały.

– Bo mieszkał niedaleko, zwiózł kilka rzeczy, widziałem.

Adam zaczął żałować, że nie złamał zasad i nie rozpuścił wici u kumpli. Choć to byłoby mało profesjonalne, jak się okazywało, dałoby lepszy efekt.

– Przyjeżdżał na złoty pojazdów, jak jeszcze o rekonstrukcji... nikt nie wiedział. Piło się, jakimś uazem pojeździło... Takie były jaja, że to, co jest tu, to w ogóle... – Romek machnął dłonią z dezaprobatą, tonąc na mgnienie oka we wspomnieniach.

– Ty... – Adam nie miał ochoty na pijackie głądzenie. – Co z tym Jurijem?

– Ano... jeździł. Na każdy zlot jeździł... Kupował na straganach jakieś bibeloty, pił, bawił się... Sam był... Żona go zostawiła czy on ją, bo ja wiem...

Pobudzona ciekawość Adama zaczynała gasnąć. Pojmował, że to tylko nic nieznaczące opowieści. Jeszcze jedna historyjka bez żadnej puenty.

– Super, gratuluję – burknął, gotów dopić piwo i dla spokojności szukać kolejnego.

– Co? A tak... Dzięki – bąknął bez składu Romek.

Wyprostował się nagle, obrócił głowę i zmrużył oczy tak, że prawie je zamknął.

– A pan władza słyszał, gdzie nasz milusiński robił? A ja słyszałem... Ciekawe rzeczy słyszałem... A w telewizorku nie mówili. Co, nie wiecie? No ale, panie Adamie... – Machnął pustą butelczyną po whisky. – To nie są tanie rzeczy. – Triumfalny pijacki uśmiech rozpromienił jego czerwoną, obłą twarz. Miał forsę jak lodu, ale przy takich okazjach potrafił przebimbać cały budżet i teraz chciał wymusić powtórkę.

Adam zrozumiał. Zastanawiał się chwilę, czy na trzeźwo w ogóle coś by powiedział.

– Krzysiu. – Odwrócił się do drugiego kumpla. Ten jeszcze się trzymał, ale opierał się o ławkę bliski odlotu. – Pobudka. – Szturchnął go w łokieć. – No dalej, dalej! Pomocy potrzeba.

– Że... w czym? – zapytał głośno Krzysiek.

– Pójdziemy do sklepu, bo się woda rozmowna kończy.

*

– Pierdolić to!

Przekleństwo zabrzmiało sztucznie. Marnie zagrane. W ustach Milтона Crossa zakrawało na głupi popis. Przy takich okazjach zgrywał się na twardego skurwiela, którym przestał być tak naprawdę lata temu. Mundur zrzucił dawno, zmieniając stopień kapitana piechoty na garnitur i licząc na to, że wrodzony spryt, talent organizacyjny i retoryka pozwolą mu przenieść się w inny żywioł, który tak mocno go pasjonował. W politykę.

Trochę to trwało, ale osiągnął cel, choć nie ostateczny, a przy okazji ostry język zastąpiły okrągłe słówka.

– Jest tak źle?

Doszedł do końca kilkustronicowego dokumentu w plastikowej oprawie i zaczął wertować go od początku. Zebrany mógł się zdawać, że nie wierzy w to, co przeczytał, albo zapomniał, co było na pierwszej stronie. Pięćdziesięciosześcioletni mężczyzna nie powinien mieć jednak problemów z pamięcią, nie na tym stanowisku.

Zdjął okulary w przezroczystej oprawie, potarł krótko przyszczyżone, siwiejące coraz mocniej włosy, których ku jego przerażeniu ubywało, i opadł na fotel.

– Pytam panów. Tak źle?

Szeroko otworzył zielone oczy, obdarzając każdego z zebranych długim spojrzeniem, po czym powtórzył ten sam zabieg wobec ludzi na ciekłokrystalicznych ekranach, których kilka wisiało z tyłu niewielkiej salki.

Oficerowie milczeli, jakby nie chcąc zabierać głosu starszym stopniem, ale tak naprawdę nie mieli ochoty wdawać się w dyskusje. Rozmowy z przedstawicielami administracji, zwłaszcza z tym przedstawicielem, były uciążliwsze niż niejedna potyczka albo zarządzanie wielką biurokratyczną machiną wojenną. Wysysały energię i siły i, co najbardziej deprymujące, rzadko dawały rezultaty. Każdy, kto siedziałby na ich miejscach w ostatnich kilku latach podczas takich narad, zżymałby się na marnowany tak bezmyślnie czas.

– Uwazam... – w głosie niedźwiedziowatego mężczyzny o grubo ociosanej głowie, jakby należącej do emerytowanego boksera, odzianego w połowy mundur trzygwiazdkowego generała, było słychać wysiłek – ...że będzie gorzej. – Zabrzmiało to banalnie, ale szczerze.

– Dokładnie tak – przytaknął mu gładko uczesany szczupły brunet w mundurze garnizony, taksując cywila zaciekawionym spojrzeniem.

Chciał dodać coś jeszcze, że gdyby nie było źle, to nie robiliby tego spędu, ale ugryzł się w język.

– Przewidujemy... – kontynuował brunet, wskazując uprzejmie długopisem na skoroszyt opatrzony pieczęcią Top Secret – ...zwiększenie natężenia walk w ciągu trzech miesięcy. Trzeba przyznać, że analizy dotyczące przenikania bojówek, i to nie tylko ISIS, ale w ogóle różnej proweniencji, na terytorium Turcji były mylne...

– No, mylne. – Cross znacząco zabębnił palcami o stół. – Liczba zamachów wzrosła czterokrotnie, i to w ciągu...

A, nawet nie chciało mu się tych informacji szukać. Zrobił tylko napuszoną, niby to zatroskaną minę, jakby chciał pokazać wszystkim patrzącym: „Jesteście głąby, na szczęście macie mnie i moje zaplecze”.

Krępująca cisza trwała z pół minuty.

– I jeszcze ataki z powietrza – westchnął Cross, tego zdarzenia zupełnie nie pojmując.

– Z powietrza. Drony lub też przy użyciu wyrzutni naziemnych pocisków...

– Tak, wiem, wiem.

Cross poczuł się urażony. Nie lubił, gdy traktowano go jak dzieciaka. Miał nowe priorytety, ale coś tam w głowie zostało z dawnych czasów. Wiedział, co to naziemne wyrzutnie pocisków krótkiego zasięgu i jakie mają możliwości.

– Co by to nie było, robi się głośno i naprawdę niebezpiecznie... – Milton podrapał się w głowę.

– Wszystko się tam gotuje – brunet referował niestrudzenie dalej – i zaczyna zagrażać naszym instalacjom. Wiemy doskonale, że siły operujące na granicy są zdolne, będą zdolne...

– Tak, wiem. Przenieść wojnę i ten cały zamęt daleko na północ – powiedział Cross wolno i cicho, czując, że chyba dostaje uczulenia na takie nowiny. – ISIS, jeśli nawet bierze baty, to nasi... sojusznicy – ostatnie słowo wypowiedział z niesmakiem – zaraz mogą sami brać się za siebie. To raczej oczywiste.

Ukrył głowę w dłoniach. Burdel, jaki się zrobił w i tak najgorętszym punkcie globu, rozlewał się gorącym strumieniem we wszystkich kierunkach.

Największa od czterdziestu lat słabość państwa w prowadzeniu swoich interesów objawiała się uderzeniami o wiele słabszych, ale sprawniejszych rywali z jasno określonym celem. I tak dziesiątki punktów zapalnych, porzuconych przez największego sojusznika, ogarniały sztucznie jeszcze podsycane konflikty, co przypominało cichą, skrytą wojnę światową, w której właściwie nie było wiadomo, z kim się wojuje. Ale o tym to już nikt nie chciał słyszeć. Winni byli sojusznicy, nie administracja. Armia urzędników obsiadająca stolicę od ładnych paru lat nie miała sobie nic do zarzucenia. Indolencja i zwykła niefrasobliwość, nieznamość tematu albo po prostu nieopisana naiwność nie były problemem. O nie. To świat, partnerzy, sojusznicy nie dorastali do wielkiej wizji. Nowego ładu.

Niestety wizja, albo raczej jej wykonanie, daleka była od ideału. Przeciwnik grał w te szachy świetnie i o wiele dłużej, zdolny przewidywać.

Własnych zaś szachistów, tych niewielu pogrobowców zmagających zimnej wojny, dawno już zabrakło.

Cross za poprzedniego prezydenta mógł to otwarcie artykułować w ramach oczerniania obozu politycznych rywali, ale teraz sam zrobił się głuchy i ślepy. Punkt widzenia zależał od punktu siedzenia.

– Więc, panowie, uważacie – popatrzyl po obliczach generałów – że jeszcze w tym roku nasze bazy staną się celem?

– Celem może nie, ale ich funkcjonowanie – stosunkowo młody blondyn łączący się z dalekiego Stuttgartu też wdał się w dyskurs – będzie o wiele trudniejsze, aż może stać się niemożliwe.

– Tak, tak. – Cross podparł głowę dłońmi.

Chwilę analizował wnioski ze skoroszytu, głosy oficerów. Układał sobie w głowie wizję, jak to wszystko przedstawi. Szef nie lubił tej całej gmatwaniny interesów. Najprościej rzecz ujmując, drażniło go to wszystko. On przecież był poziom wyżej, sprawy przyziemne zostawiał takim jak Cross i zastęp doradców.

– No dobrze. Krótko, panowie, naprawdę krótko – rzucił Cross, niby ukradkiem zerkając na zegarek. – Chcecie, chcemy, żeby to wszystko przewalutować, zacząć wywracać do góry nogami? – Miał nadzieję ich sprowokować, acz taki wniosek od początku wisiał w powietrzu. – Wiecie, jakie to problemy... Czy może nie?

Kres jego kadencji był już coraz bliższy, a w takich okolicznościach dyplomatyczne negocjacje to potworny kłopot. Ale i on, i inni chcieli wytchnienia. Zresztą co innego miało cichy priorytet. Jakaś ekologia, klimat. Polityka międzynarodowa powodowała ofiary. To trudno było udźwignąć.

– Ile zabawek mamy do poutykania? – Nie chciał zadawać pytań i słuchać na powrót mądrości oficerów. W skroniach mu pulsowało.

– B61? – zapytał z westchnieniem jeden z oficerów, najstarszy wiekiem generał. Zrobił to z takim smutkiem i niechęcią, że reszta mało nie parsknęła śmiechem. – Pięćdziesiąt.

Dobił tym Crossa. Ta liczba znajdowała się w raporcie połączonym DIA i dowództwa strategicznego, ale zdążyła gdzieś umknąć w rozgorączkowanej głowie. Budziła przerażenie, powodowała skurcze w brzuchu i lęk o reakcję szefa.

Teraz to najstarszy z oficerów przejął proporzec przywódcy, wyzwalając kolegów od zbędnej gadaniny i nieomal pewnych utarczek.

– Nasze założenia pan zna – rzucił krótko, bez rozpoczynania wszystkiego od początku. – Koszty będą, to pewne, ale zysk chyba warty jest poświęceń. Choć jeśli mam być szczerzy... Ry-

zyko jest nieco mniejsze niż obecnie, panie Cross. Może zaszyły zmiany albo należy do zmian przekonać. Stanowczo. – Ostatnie słowo wypowiedział wolno i wyraźnie.

– Zgadzam się – przytaknął oficer DIA, patrząc na przedmówcę. – Sytuacja się zmienia, gdyby jeszcze popracować, można by uzyskać satysfakcjonujący efekt. Ważne, żeby zacząć działać od razu... Przynajmniej spróbować.

– No, okej. – Cross spojrział na zebranych, przekrzywiając głowę i marszcząc czoło w zamyśleniu.

Nie podobało mu się to, czego chcieli wojskowi, nie przed końcem kadencji, ale... możliwe, że mieli rację.

– Nic na ostro? Małymi krokami, co?

– Dokładnie. Istnieją pewne założenia. Taki plan postępowania oczywiście... – oficer w mundurze garnizonowym ostrożnie dobierał słowa, ale niewiele mógł wymyślić – ...był szykowany do opracowania. Ale to teoria. Jedno z założeń.

Nie dodał, że to jak zwykle był efekt reakcji na problemy, które już zaistniały. W mozolne przewidywanie nikt się nie chciał bawić.

– No to go dopracujemy i ruszamy. – Cross klasnął w dłonie. – Dywersyfikacja. Ładne słowo – zagalopowywał się wyraźnie.

– Może i ładne, ale... – najstarszy generał zrzucił z wolna maskę dyplomaty – ...nie jesteśmy aż tak elastyczni. Powtarzam, w trosce o dobro naszych sił...

– Dziękuję. – Cross klepnął w stół.

Opinie starszych wojskowych zawsze go irytowały. Jeszcze w armii jego karierę zahamowały ciągłe utarczki na pomysły z tym niereformowalnym, zbyt konserwatywnym zakonem. Niewiele się zmieniło. Pentagon, szefowie sztabów, wszyscy oni mieli jakieś swoje dogmaty, za które nie wychodzili, i wszyscy tracili czas na koncepcyjne boje.

– Proszę się nie martwić. Analizy, szacunki, to wszystko będzie przygotowane. Uważają panowie, że ja, moi współpracownicy, a może i gabinet owalny nie potrafimy myśleć? – Słowa Crossa zabrzmiały prowokacyjnie, ale nikt ich nie skomentował. – To doniosła decyzja i poprzedzić ją trzeba szczegółowymi konsultacjami...

– Jakimi, do cho... konsultacjami? – Przedstawiciel DIA o mało nie wpadł pod stół.

Najstarszy wiekiem generał poblądł i zacisnął pięści.

– Czy pan chce informować o tym sojuszników? Konsultować się ze wszystkimi?! Może najpierw zapytamy głównych zainteresowanych, jeśli będzie wielka potrzeba? Sprawdźmy możliwości?

Cross poczuł, że poziom agresji wzrasta, i to tak, że żadne jego prerogatywy nie są w stanie go obronić.

– Czy pan rozumie – ciągnął generał – że rozpuszczanie wiadomości o czymś takim albo samo otwarte sondowanie oznacza chaos, nieopisany chaos i wskazówkę dla każdego naszego wroga? Nie mówię o kosztach. Budżet może źle to znieść. A pewno komisja w kongresie...

Sama myśl o jeszcze jednym defensywnym działaniu wywoływała u generała niemal palpacje serca. I tak mieli za wiele problemów, na różnych frontach, by fundować sobie jeszcze jeden, i to tak potężny.

Oficer DIA spróbował rozpaczliwym atakiem wesprzeć skonfundowanych kolegów.

– A czy pan w ogóle czytał raport NSA ze stycznia... ten dotyczący...

– Tak, wiem – wtrącił Cross – analizy przejętych sygnałów...

– No właśnie. – Oficerowi DIA opadły ręce. – Liczba depech przekazanych łącznością tajną

w ciągu dwóch lat wzrosła w niektórych rejonach Europy trzykrotnie! Do tego cholera wie ile osobistych kontaktów. Ostrożnie, na Boga! Jeśli przewiduje się... jak pan to określa: konsultacje, to muszą być naznaczone gryfem tajności i co najwyżej dwustronne! Z każdym po kolei.

– Ależ, panowie, panowie. – Cross stał się irytująco uprzejmy, przyjmując pozę dobrotliwego sąsiada, ulubioną z wyborczego wiecu.

Lekcję oficera, który potraktował go jak nowicjusza, puścił zaraz w niepamięć.

– Rozmawiamy teoretycznie, o sprawach bardzo odległych. Oczywiście ważkich, ale ciągle niesprecyzowanych. Celu ani miejsca nie obraliśmy jeszcze, prawda? A może się mylę? Którejkolwiek części świata byśmy nie wskazali, pewnej czy tej mniej pokornej, jasne jest dla mnie, że tamtejsze struktury trzeba wzmocnić, przygotować. – Cross posłał porozumiewawcze spojrzenie człowiekowi z DIA, a przynajmniej miał nadzieję, że takie było. – Zresztą naszym pomysłem poświęcimy nieco czasu. – Posłużył się tanią dyplomacją. – Jak już mówiłem, na świecie zachodzą zmiany i trzeba reagować. Wasza strona opracuje jak zawsze listę, nazwijmy to, pytań czy sugestii, a góra się do tego zastosuje bądź wskaże swoje uwagi... – Czczą, bezcelowa gadanina o niczym dobiegała końca. – Kroki zaradcze należy podjąć, ale ostrożne i przemyślane. Zresztą od tego tu wszyscy jesteśmy, nieprawdaż? – Jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech.

Ostatnie zdanie, w obliczu tego, co działo się przez ostatnie lata, brzmiało jak żart marnego biurokraty.

*

Wiosna musiała naprawdę się obrazić, bo ciągle nie było jej widać ani nawet czuć w powietrzu. Śnieg topniał wolno, chmury stale zasnuwały niebo, a ci, którzy musieli pracować na ulicy, marzli, kichali i popadali w apatię z braku słońca.

Adam, dla wygody i swobody ruchów, gdyby musiał za kimś ganiać, ostatnio z reguły nosił bluzę, czasem softshell, jakiś szalik i wełnianą czapkę. Prędko pojął jednak, że to za mało na taką aurę, że lekkim odzieniem wiosny nie przywoła, za to zapalenie płuc już tak.

Siedzieli ze Stefankiem w zawilgotniałym, zimnym jak cholera pustostanie o wiele dłużej, niż się spodziewali. Przemarzli. Plastikowa, tania taktyczna kamizelka z napisem „policja” i grube gumowane rękawiczki nie dawały ciepła.

Ubrali je tylko do zatrzymania, kiedy podejrzany wreszcie zawitał w sypiących się progach rudery na Dolnym Mieście.

Menel, zaćpany kompotem i opity wińskim. Lutek, tak go zwali. Naprawdę Lucjusz Grzęda. Ktoś miał wielkie poczucie humoru, dając mu tak na chrzcie.

Lucjusz, imię szlachetne, miało być zapewne wsparciem w życiu, może w wielkiej karierze. Jednak Grzęda takiej nie zrobił, ani jako zwykły człowiek, ani też jako zabójca.

Jego kumpele, bo tych miał najwięcej – chyba za sprawą nader łaskawego podejścia w dzieleniu się trunkami i mniejszą liczbą bluzgów – gadały długo i nieciekawie. Trzeba było je cisnąć, obsobaczać, grozić, żeby przestały mówić o wszystkim i o niczym, nim wpadły na odpowiedni wątek.

Czyn adoratora licznych w tej części miasta, zapijaczonych od świtu do świtu kobitek był sprawą niecodzienną. Wprawdzie z początku doszukiwano się poważniejszych motywów, jak niepasujące by do tego nie były. Nawet porachunków grup przestępczych w jednej z wersji. Ale skąd u meneli mafia?

Choć za normalne tego zabójstwa nie można było uznać. Pijaczki nie zachowywały się w taki sposób. Dopiero jedna z kobiet spruła się, że to Lutek. Lutek na ostrym haju, wściekły na kumpla

z meliny za niespłacone długi – zapewne ogromne – poczęstował go nożem, a potem... odciął mu głowę. Wolno i po cichu. Nie wiedział, co robi i po co, ale Thomał miał to głęboko w dupie.

Najchętniej, gdyby mógł, wrzuciłby śmierdziela do Motławy i byłoby po sprawie.

Śmierdziela. To było najdelikatniejsze z określeń. Wlekli półprzytomnego gościa o trudnym do określenia wieku, w podartym płaszczu, spodniach i łapciach na nogach, od którego bił fetor niemytego od miesiący ciała. Jakby facet spał w samym środku gnojówki. Zapach był tak ostry, że obaj mężczyźni z trudem hamowali torsje.

Adam zżymał się, bluzgając cicho przy każdym kroku, kiedy podejrzany próbował stawiać opór, że wszystko, co ma na sobie, trzeba będzie wywalić. Nie, nie wywalić. Spalić. Dobrze, że chociaż rękawiczki odgradzały go od dotyku tego skurwiela.

Mundurowi, których radiowóz błyskał światłami pod wejściem, stali zniesmaczeni, do ostatniej chwili odwlekając konieczność włożenia do nory tego zwyrodnialca. A przecież trzeba było zabezpieczyć barłóg przed przyjazdem technicznych.

– Głowa – warknął Adam, otwierając drzwiczki służbowej skody. – Głowa, kurwa! – ryknął głośniej, kiedy Lutek próbował zapierać się rękami o wejście.

Bełkotał coś, że nie chce, że się boi... Bredził w pijackiej malignie, ale cios w przedramię szybko złamał jego opór.

Zamknęli drzwi. Powietrze od razu zrobiło się przyjemniejsze.

Adam właśnie łapał za klamkę od strony kierowcy, kiedy zabrzączał telefon.

– Kurwa! – Nie miał zamiaru się hamować.

Wyciągnął aparat ostrożnie, dwoma palcami. Nie chciał dotykać ubrania, żeby miliony bakterii, a i może i wszy, nie rozlały się po całym ciele za szybko.

– Co za cholera?! – warknął, widząc numer prywatny. – Słucham – rzucił daleki od jakiegokolwiek grzeczności.

– To ja. – Głos był znajomy. – Marian. Pamiętasz? Chyba przeszkadzam? – wykrztusił Ptasznik na jednym wydechu.

Adam milczał przez kilka sekund, nie bardzo wiedząc, jak ma się zachować. Wydzwaniał do gościa kilka razy, ale ten albo nie odbierał, albo odrzucał połączenia. Zlewał go ewidentnie. A on chciał tylko zweryfikować jedną ciekawostkę, o której dowiedział się przypadkiem. Już nawet pogodził się z faktem, że jedyny kontakt olał go i do sprawy nie ma powrotu.

– Co jest? – Ton Thomala był nad wyraz oficjalny.

– Nie mogłem gadać. – Marian nie bawił się w ceregiele. – Jak chcesz się czegoś dowiedzieć... No wiesz, u was ponoć skończone, ale jakby cię ciekawiło...

– Może i ciekawi? – Adam zaczął spuszczać z tonu.

– Możesz się spotkać? Dziś?

Thomał zerknął za szybę tylnych drzwiczek. Wizja przepytywania menela, potem sprawy z prokuratorem i papierkowej roboty była aż nadto wyraźna.

– Nie, dziś na pewno nie. Jutro albo w sobotę. Pasuje?

– Okej, jutro. Gdzieś bez ludzi. – Ptasznik mówił jak profesjonalista, który dawno nie działał w swoim fachu. – Plaża w Gdyni, za wyjściem dziesiętnastym w stronę mola. Okej?

– Okej, okej – westchnął Adam, nie bardzo teraz jednak pewny, czy chce się w to pakować.

Miejsce znał. O tej porze roku to nieuczęszczany kawałek plaży między Sopotem a Gdynią. Ale skoro takie odludzie mu proponowano, zapowiadało się... ciekawie.

Zaparkował daleko. Jeszcze w Sopocie. Zostawiać auto tam, gdzie się umówili, byłoby nierozsądne. Ten odcinek trasy do Gdyni był niemal pusty. Jedyne parking pod posągami orła nie dawał pewności, że mimo dnia ktoś dla zabawy nie dobierze się do wozu.

Była za to okazja na małą przebieżkę. Kilogramów przybywało, a tu za pasem lato... Choć akurat ono, patrząc na prognozy, jakoś w tym roku nie było pewne.

Zostawił samochód przy Zamkowej Górze. Wiało. Lubił taką aurę, choć bieganie nie było wtedy najłatwiejsze. Na sfatygowaną bluzę zarzucił dopasowany windstopper, włożył czapkę i rękawiczki.

Zanim ruszył, nastawił playlistę w telefonie: kilka amerykańskich trash metalowych zespołów. Muzyka nakręcała go do działania.

Zbiegł po schodkach ku morzu. Las porastający piaszczyste wzniesienia był jeszcze nagi, bez liści. Długi ciemnożółty skrawek plaży, ciągnący się pod tą brunatną ścianą drzew, był niemal zupełnie bezлюдny. Smutno pusty.

Od strony Sopotu, gdzie kończyły się ostatnie, nieczynne teraz przybrzeżne bary, dokazywał jakiś dzieciak z psem. Rodzice cykali mu pamiątkowe fotki.

Od strony Gdyni też majaczyły jakieś pojedyncze postacie, ale były daleko, prawie niewidoczne.

Adam ruszył. Z początku ostrożnie, dla rozgrzewki, tuż przy brzegu. Tu było łatwiej biec.

Woda miała kolor podobny do nieba. Szary, nieciekawo. Można było się domyślić, jaka jest zimna.

Thomal jako napływowy mieszkaniec lubił ten widok, nawet teraz, zresztą o każdej porze roku. Widoczność sięgała trochę w głąb zatoki i kończyła się na bladym obłoku mgły płynącym wolno ku Helowi.

Przebiegł kilometr, pocąc się i sapiąc, coraz bardziej zły, że tak się zapuścił i musi sporo nadrobić.

Unióśł głowę, szukając znajomego. Ptasznik miał na sobie ciemną, zielonkawą kurtkę. Nie pasowała do niego. Obszerna, stara, chyba z demobilu którejś z zachodnich armii, nadawała mu wygląd biednego podróżnika, a nie wielkiego biznesmena. Ale Thomal raz-dwa zrozumiał, że przecież o to chodziło. O kamuflaż.

– Widzę, że dbasz o siebie. – Marian podniósł głowę, kiedy Adam przytruchtał bliżej.

– Cześć. – Thomal podał mu rękę.

Zdjął słuchawki i wyłączył muzykę.

– Resztę też wyłącz. – Ptasznik rozkazywał, nie informował.

Adam nie miał zamiaru oponować. Rozmówca był wyraźnie przejęty. Bał się? A może przyniałała go waga wiadomości?

– Ładnie tu, spokojnie. – Grubas powiódł wzrokiem w obie strony.

Rzeczywiście było spokojnie. Tylko las, wzgórze, oddzielone wąskim kawałkiem plaży, i nikogo poza nimi.

– Zadałeś temat... niech cię szlag. – Ptasznik szybko i bez kokieterii przeszedł do sprawy.

– Co ty nie powiesz? – prychnął Adam. – Zanim zaczniesz, powiedz mi... – Zamilkł raptownie.

W głowie błysnęła jakaś ostrzegawcza lampka. Znów pojawiło się pytanie, dlaczego tu jest, po co w to wchodzi. Przecież tej sprawy już nie było, a wikłanie się w coś z niezdrowej ciekawości nie jest najmądrzejsze.

Otworzył szeroko oczy, rozwarł usta i zastygł tak, wpatrzony w obraz przed sobą. Widok,

który pojawił się w jego śnie.

Przeraził się, lekko zaczęły drżeć mu nogi i lodowaty pot spłynął po plecach.

– Ty, Adam? – Ptasznik zaciekawiał się krótką niemocą Thomala. – Zawiecha czy jak? – zadrwił.

– Nie, nie. – Adam potarł spocone czoło i zacisnął powieki, odpędzając strach.

Prawie się roześmiał, choć sam nie wiedział, czy z nerwów, czy przerażony swoją nagłą wiarą w zdarzenia, których nigdy nie doświadczał.

– Dawno nie biegałem i odcięło mnie. Cukier spada – zdobył się na najprostsze wyjaśnienie.

– Aha, jak tak, to okej.

Ptasznik obrzucił go uważnym spojrzeniem, chyba nie był do końca przekonany. Wyglądało mu to na coś bardziej niepokojącego.

– No, o co chciałeś pytać? – zmienił temat.

– Czy słyszałeś może ty albo twoi... koledzy – wypowiedział z naciskiem Adam – że zatrzymany w wiadomej sprawie służył kiedyś w ochronie tutejszego konsulatu Federacji Rosyjskiej?

Ptasznik patrzył na niego spod wpółotwartych powiek, ale specjalnie się chyba nie przejął.

– No, ładnie, ładnie was szkolą. W młodości nadzieja... – nie powstrzymał się od uszczypliwości – ...ale u mnie punktów nie zdobędziesz.

Thomal tylko wykrzywił usta i przygryzł wargę. Nie lubił takich dogadywanek.

– A ty co masz? – Chciał dodać coś w stylu: „mądralo”, ale uznał, że na tym etapie może to tylko zaszkodzić.

– Mam coś, mam. Sprawa, że ja... – Ptasznik spojrział przez ramię – ...pierdołę. Niezły bigos. – Zabrzmiało to nienaturalnie. – To, że chujek się przyznał, to wiesz?

– Wiem. – Adam przytaknął odruchowo.

– A wiesz, że dopadli go po donosie? – Ptasznik jeszcze mocniej przymknął powieki.

– Latała plotka po korytarzu i u nas... – Adam silił się na profesjonalny ton.

– Gównno, nie plotka. Ktoś zwyczajnie zadzwonił, powiedział, gdzie gnojek siedzi i już. Przyszli po niego, a ten normalnie był gotów. Potem poleciała pokazówka na ekran. Prawie go zajebali przed kamerą.

– Może i tak. – Thomal nie potrafił ukryć zniecierpliwienia.

Irytowało go takie bajdurzenie, jakby ktoś chciał zrobić mu dowcip.

– A tak, tak. – Ptasznik mówił szybciej, chyba zdziwiony, że młody nie łyka rewelacji z większym zapalem. – A jak ci powiem, że nie tylko CBS wplątało się w to dziadostwo? Abwehra, mój drogi, też w to wlaźła.

– Nie, daj spokój. – Adam nie wytrzymał. Wydał z siebie urwany śmiech. – W to to nie uwierzę ...

– Są takie metody, że chuja się dowiesz, krawężniku.

Thomal, zaszokowany jak skarcony uczeń, zamilkł.

– Dołączyli do nich człowieka po cichu. Zrobili nieformalny zespół. – Ptasznik mówił spokojnie i wyraźnie.

Pełen profesjonalizm. Sprawnie i na temat.

– Ruski, mój drogi panie starszy sierżancie, był nie tylko odźwiernym w konsulacie. On przesłużył za młodego w specnazie. GRU. Pojmujesz?

– GRU. – Thomal szybko analizował rewelację. – Nawet jeśli, to dawno...

– Gównno wiesz... Facet po Afganistanie robi mokrą robotę, jak się gadało, u Bogu ducha winnych, a ty nic nie kapujesz?

Thomal wyprostował się i nabrał powietrza.

– Twój denacik był niezłym cwaniakiem. I zapłacił. Za takie podskoki się płaci. Miał u siebie sztandar z jakiejś dawnej wojny. Chyba ruski albo francuski, nie wiem dokładnie. Ponoć było o tym głośno nawet w stolicy naszej ukochanej. Stąd to ABW.

– Przemyt? – Adam wtrącił niepewnie.

– A jaki tam, kurde, przemyt. Przemyt to mrówki robią z litrem spirytusu. – Ptasznik machnął ręką, aż powietrze świsnęło. – W drobiazgi na górze się nie bawią. To coś większego.

Znów się nastroszył. Poważniał kilka chwil, wpatrując się w wodę.

– Abwehra miała swoich ludzi powtykanych w różne ciekawe miejsca. Stąd o akcji CBS wiedzieli wcześniej niż wy. Filowali też miśków z urzędów celnych. Zwłaszcza tych na Mazurach, olsztyński im podpadł. Że każdy robi swoje wałki, to sprawa wiadoma. ABW tylko zbiera haki, potem, jak trzeba, to dowali... Jak się nie podziela. – Zabułgotał drażniącym śmiechem. – No ale ich wtyka zameldowała... – szybko się opanował – ...że panowie celnicy i cała ta wierchuszka nie tylko wwożą cygarety i wódę na skalę przemysłową. Ktoś tam strzelał z ucha ruskim, kiedy coś ciekawego się znalazło z dziedziny... sztuki, powiedzmy.

– O ja pierdołę.

– I dobrze kolega robi. – Ptasznik mniej więcej takiej reakcji oczekiwał. – No i nasz zimny – ciągnął dalej – znalazł coś. Tamci zameldowali swoim płatnikom. A i jeszcze... Nasz zabity sam miał dobre konszachty. Mówiąc prościej, opłacał się za częste podróże to tam, to tu, bo tych starych nazwoził od cholery przez kilka lat. Ktoś musiał chcieć tę konkretną rzecz. Kasę dawał, ale może za mało? Tak sobie moi znajomi kombinowali. Bo to nie był jakiś zardzewiały mauzer, a ponoć sztuka, że klękajcie narody. Podobno chyba Kalicz nie był przekonany, czy warto się w to bawić, no i pewnego razu przestał odzywać się do pośrednika, który siedział w urzędzie, i wyjechał. Jak widać, z fantami. Słyszałeś, że utłukli w Sopocie jednego staruszka?

Pytanie wyrwało Adama z zamyślenia. Przeszukał w głowie komunikaty policyjne, zdawkowe informacje z radia.

– Wczoraj, tak? Znaleźli go, jak już nieco rozmiękł? Nie byłem w robocie, w radiu coś powiedzieli...

– I tyle, więcej nie będzie. Jestem pewien. – Marian uniósł głowę z istic mentorską miną. – Niezła koincydencja. – Słowo pasowało do tego monologu jak pięść do nosa. – Tu się robi afera, a tu dziadka ktoś rozwała...

– A on był im...? – Adam zapytał o istotny szczegół.

– A, no tak. To stary kolekcjoner. Antykwariusz. Ponoć na uchu dla abwehry robił, to znaczy konsultował. A dawniej dla... – zawahał się – SB.

Zabrzmiało to jakoś sztucznie.

– Chociaż, znając pesel dziadka, to i pewnie dla gestapo. No, ale do rzeczy. – Klepnął się w uda Ptasznik. – Facet znał naszego bohatera, pomógł mu wycenić zdobycz, naraić klienta. Jakiegoś nadzianego hitlerowca. No bo pan starszy nie wiedział jeszcze, co i jak. Że w Olsztynie znają kogoś, kto też sobie zęby ostrzy na znalezisko. Dopiero jak Kalicz padł, smutni panowie odwiedzili staruszka, dopytując się, co denat ostatnio rzucał na rynek... i wyszło. Chuj wie, czy od Kalicza nie brał kieszonkowego, dla wnuczków... na cukierki. W Zoppot panika! Bo facet pomieszkiwał w linii prostej sto metrów od komendy miasta. Fachowcy zadziałali... Facet sam, w pustym mieszkaniu, w na wpół wymarłej kamieniczce. Cicho, głucho. Tylko smród. Czy ten sam co w Gdańsku? Nie wiem. Osobiście wątpię. No ale wracajmy do tematu. Ten sztandar... Kawał szmaty, a poszedł ponoć za milion... euro! – Ostatnie słowa wybrzmiały jak gong.

– No to jest i motyw. – Adam potarł czoło. Pod czaszką coś mu pulsowało, ćmiło boleśnie. Za wiele tego było. – Gruba kasa. Z kimś się nie podzielili? Nie posłuchał?

– W teorii tak – odpowiedział Ptasznik – ale co innego tu śmierdzi. Po pierwsze, zbój z gnatem wpada. Po kilkunastu godzinach przyznaje się od razu, a wie, co na niego wynajdą nasze orły. Można powiedzieć, taki pistolet do wynajęcia. Dla takiej kasy?! Okej. Ale ponoć kasy nie ma... Zarzeka się, że niczego nie znalazł. To co? Zemsta pierwszego kupca?

Adama zastanowiło, skąd jego rozmówca tyle wie.

– Więc po co by mieli zabijać Kalicza? I to na ostro, z całą rodziną? No i teraz ten dziadek. Po co go w tym wieku uciszać? I pomyśl. Kiedy wyłazi sprawa?

– Coś tu nie pasuje, ale nie wiem dokładnie co. – Adam pociągnął nosem.

– No dobrze, dobrze. – Pierwszy raz Ptasznik uśmiechnął się, choć jakoś markotnie. – Nie przesadzałbym z teoriami, ale smród się robi.

– Niezły, niezły.

Adam podrapał się po brodzie. Utonął w rozmyślaniach, składał na szybko wątki i pomysły. Nawet nie odczuwał już zimna i wiatru.

– Zrobił się taki cyrk, że chałupę Kalicza na Mazurach obstawili. Miał jakąś rudere, rzadko tam wpadał. Pewno myśleli, że magazyn zrobił. Kopali dwa dni, i to kto? BOR, chłopie, BOR, bo stolica nikomu z miejscowych nie ufała. Ogrodzili, otoczyli i grzebali. Coś ponoć było, ale nie to, co chcieli... Myśleli, że więcej skarbów nakitrał, ale nie znaleźli.

– Nie ufali, mówisz. – Adam jakby słyszał tylko fragmenty. – A teraz mają komu? – prychnął, kręcąc przecząco głową. – Ten dom to gdzie?

– Wieś, wieś... Kurwa, jak to było... Niwa. Tak, taka dziwna nazwa. Niwa. – Ptasznik pstryknął palcami. – No ale ty chyba nie chcesz w tym grzebać...? – Otworzył szeroko usta.

– Nie, no co ty, po co – bronił się Thomal niemrawo i zupełnie nieprzekonująco.

Ptasznik wstał i przeciągnął się.

– Chciałeś informacji, dostarczyłem. Samego mnie to ciekawiło, ale wystarczy. – Ziewnął. – To nie twoja liga, nie twój świat, po co masz se życie spierdolić... No ale widzę, łeb masz na karku. Zrobisz, co zechcesz. A może jeszcze coś wygrzebiez i będzie nagroda.

Brzmiało prawie jak zachęta. A może Thomalowi tylko się zdawało.

– Policja nic nie znalazła, nikt gadać nie chciał. Chuj wie. Wyczuwają władzę albo za ostro ich brali. Nie wiem. – Ptasznik wzruszył niedbale ramionami, jakby już niewiele go interesowało, i zrobił kilka kroków w stronę morza. – Tak więc, jak widzisz... – Obrócił się do Thomala.

Wzrok miał bystry, uważny.

– No dobra, dobra, skumałem. Przekaz jasny. – Thomal przerwał niezręczną ciszę.

– Okej, spadam. – Grubas wyciągnął dłoń na pożegnanie i znów popatrzył tak, że aż ciarki Adama przeszły. – Daj znać, co wynajdziesz. Dobra? Ciekawy jestem.

Zabrzmiało to jak polecenie, ale Thomal uznał, że chyba jest przewrażliwiony. Ptasznik musiał mieć swoje władcze przyzwyczajenia.

Został sam naprzeciw szumiących fal i myślami odleciał daleko. A może powinien w to wejść? Przyszłość nie została przegrana, teraz stoi u jej wrót.

Co miał niby do roboty? Łapać cuchnących meneli całe życie, a potem na emeryturze zapić się ze zgryzoty, że zmarnował okazję?

Przed oczami wyobraźni wyrósł mu starszy aspirant Włoski i jego olewająca mina, kiedy Adam próbował go przekonywać, że to nie było zwykłe zabójstwo. Zaraz potem pomyślał o pułkowniku. Prawie że teściu.

Mógłby przecież pobawić się na własną rękę i dojść, co i gdzie. Głupi nie był, a punkty za odnalezienie kilku fantów...

Prawie się zdecydował. Choć jeszcze musiał pogłórkować.

Ruszył truchtem w stronę Sopotu. ■

Rozdział 3

Światło zapaliło się z lekkim elektrycznym brzęczeniem dziesiątek świetlówek. Hala, wzniesiona z blachy falistej, pojaśniała.

Oczom właściciela ukazały się jego cudeńka. Kochane eksponaty. Żyły złota. Niektóre na kołach, inne na gąsienicach. Część pookrywana plandekami. Przyprószona kurzem.

Pachniało lekko stęchlizną, smarami, benzyną i gumą. To był zapach historii.

Romuald Wódka podciągnął zamek polaru. W hali zdawało się być zimniej niż na dworze, gdzie świt przechodził w dzień.

Mężczyzna miał już pięćdziesiąt lat na karku i chyba tyle samo kilogramów nadwagi, której objawem był spory brzuch. Brakowało mu sił, ale lubił te chwile, kiedy zachodził do swoich zabawek, i to po dłuższej przerwie. Przyjemności nie zakłócał nawet świszczący oddech.

Teraz jednak, po lekturze elektronicznej korespondencji z ostatnich tygodni, moc mu wracała. Perspektywa rozmów, ba, dobicia targu z nowym sponsorem dodawała skrzydeł i rodziła piękne wizje nie tak odległej przyszłości.

Kiedy któregoś zimnego i pochmurnego ranka na zlocie wstał z posłania z potwornym kacem, poznał mężczyznę, który z początku wydawał się szurniętym natrętem. Kto ogląda jego sprzęty tak wcześnie, poza godzinami otwarcia zlotowiska? Jak bardzo się pomylił, pojął już kilka godzin później. Propozycja tego młodego prawnika o tęgiej głowie była niemal nierealna w swej cudowności i Wódka doszedł do wniosku, że to żart albo ktoś podkłada mu świnie.

Teraz jednak, po spokojnej zimie, zdawkowych telefonicznych życzeniach na Boże Narodzenie, temat, ku wielkiej radości obu panów, powrócił. A jeśli tak, trzeba było brać się za pojazdy. Należało je rozruszać, odkonserwować, zrobić przeglądy. Na początku zajął się tym sam. Czasu jeszcze było sporo.

Dopiero kiedy maszyny miały zacząć robić pierwsze kontrolne rundki, zebrał ekipę. Młodych chłopaków, do niedawna pasjonatów takich jak i on, choć po latach pracy u niego za marne uposażenie ich zapał malał. Jednak jakimś cudem nie buntowali się, nie odchodzili. Inna sprawa, że na tym zadupiu nie mieli gdzie.

Teraz co poniektórzy szykowali z nim już piętnasty sezon. Bitew, inscenizacji, marszów i parad, które pozwoliły mu lata temu połączyć pasję z zarobkiem. Dobrym zarobkiem. Wielu mówiło, że biznes przesłonił mu wszystko inne, i po części było to prawdą, ale miał to gdzieś. Robił to, co lubił. Wielu tak postępowało, więc czemu miałby być gorszy.

Minimalizował koszty, gdzie mógł. Wielu młodych, durnych, zachłyśniętych historią szło z pomocą, potulnie przyjmując klepanie po plecach. Samo klepanie.

Teraz nadchodziło preludeum zwieńczenia jego starań. Wielka impreza, jak sam to opowiadał przed rodziną i spijającymi jego słowa sponsorami: wielkie widowisko. Choć, ku wściekłości co niektórych, w innym miejscu, w nowej odsłonie i w innym czasie... No ale z wymogami sponsorów nie miał zamiaru dyskutować.

Przymknął drzwi, sięgnął po rękawice i wdrapał się nie bez trudu na pierwszy z brzegu transporter. Odrzucił połę plandeki i zaczął wesoło pogwizdywać.

Lubił samotną pracę. Mógł spokojnie obmyślać plan.

Mężczyzna o pofarbowanych na czarno włosach nie był zadowolony. Siedział na tylnej kanapie w pędzącym bmw X6 z telefonem przyciśniętym do ucha.

Ten, który zajmował miejsce obok, udawał, że niczego nie widzi i nie słyszy, choć czuł się zażenowany.

Coraz częściej bywał w takich sytuacjach, ale nie potrafił znaleźć rozwiązania. Wysłuchiwanie połajanek od dowództwa... Nic miłego.

Udawał teraz, że podziwia znane na pamięć widoki wielkiego miasta, wysokie kamienice i zakorkowane arterie. Miał przecież siedzieć cicho.

Mimo korków gnali osłaniani blaskiem niebieskiego koguta na przedniej szybie. Kierowca był dobry, agresywny, nie bawił się w uprzejmości na szosie. Zresztą kto tak tu robił?

– Rozumiem... Mówiłem już, że wszystko kontroluję... – Mężczyzna obok miał zamiar już kończyć, ale ten po drugiej stronie miał jęzorem aż do znudzenia.

Wreszcie za trzecim podejściem się udało.

– Żegnam, panie generale, życzę miłego dnia. Psia jego... – Sztuczny brunet ugryzł się w język.

– Nie daje odsapnąć, co?

Odziany w skórzaną kurtkę szatyn, o posturze zaprawionego w sporcie maratończyka, pokręcił głową. Cudownie odgrywał troskę i współczucie. A tak naprawdę było mu wszystko jedno.

Jego przełożony musiał dojść do siebie. Chwilę mu to zajęło. Patrzył przez okna na potoki aut zwalniających przed kolejnym zatorem. Mężczyznę zaczęło zastanawiać, czy przełożony martwi się tym, że ktoś dodaje mu roboty, czy chodziło raczej o „tę sprawę”, czy jak mówili: projekt.

– Cholera! – Brunet wybuchnął nagle i niespodzianie, tłukąc pięścią z telefonem w fotel przed nim.

Nawet szofer odwrócił głowę.

– Czego on jeszcze chce?! – Trudno było poskromić rozedrgane nerwy. – Zagroził, że pójdzie... wyżej. Kurwa – syknął.

– No i co z tego? – Drugi pasażer był jak skała, jakby nic się nie działo. Głos miał spokojny i kojący.

– Właściwie nic. – Słowa towarzysza dawały do myślenia. Brunet gapił się przez zaciemnioną szybę. – Masz rację. – Opanowanie podwładnego odganiało stres, nawet zawstydzalo.

W sumie nie powinien tak bardzo się przejmować. Przecież już teraz był kimś, znaczną osobą... Ale tego, co wgrano mu w umysł głęboko i boleśnie, nie dawało się zagłuszyć.

Oddanie i posłuszeństwo. Niemal surrealistyczne, zwierzęce, jak w stadzie, gdzie podąża się za przewodnikiem.

Był to mu winien do samej śmierci. Przynajmniej teoretycznie.

Ten stary człowiek ukształtował go, wprowadził w wielki świat. Dawno, bardzo dawno temu. Wyrwał go z niebytu, z zimnego, pełnego zła sierocińca. Dał pewność i moc działania. Nie spostrzegł jednak, że Filip to obecnie ktoś potężny. Ktoś, kto dawno przestał słuchać i nadszakał tym, którzy wypadli z gry. Ale na bunt, otwarte starcie nie było jeszcze miejsca ani odwagi.

– Zrobiłem, co chciałem.

Nie powinien się tłumaczyć, ale musiał wyrzucić żal.

– Wykonanie na medal... Kilka dni temu poświęciłem i co dało radę, to dało... – sapnął, pozbywając się resztek z listy wyrzutów. – No chyba że czegoś mi nie mówisz? – Zabrzmiało to niemal rozpaczliwie, jakby szukał gwarancji spokoju w tej galopadzie wątpliwości.

Szatyn pokręcił głową i wzruszył ramionami.

– Bez zmian – odparł szybko, wyraźnie i pewnie.

– No właśnie – mruknął Filip, przygryzając wargę, i znów zapatrzył się w okno. – Przejebane – rzucił cicho.

Nigdy dotąd się nie skarżył, zwłaszcza przy ludziach. Nie śmiałyby sobie na to pozwolić. Ale może wszystko ma swoje granice... Tyle brał na swoje barki. A miało być jeszcze więcej.

– Nie będzie czasu ani sposobu robić na siebie. Na razie przynajmniej. Ani nasi nie będą zadowoleni, ani Gruba...

– Tak, tak. – Przełożony westchnął głęboko i pokiwał energicznie głową, nie odwracając się od szyby, jakby zawstydzony chwilą słabości.

Wątpliwości z ostatnich godzin, przytłumione na moment rozmową ze starcem, wracały z jeszcze większą siłą. Ogrom pracy i ryzyko, jakie szykowały się na wiosnę, przyprawiły go o fizyczny ból i budziły nieodpartą ochotę na zmrożone procenty. A miał pomysły, cwane i ciekawe, choć jeszcze nieśmiałe. Nic. Trudno osiągnąć wszystko od razu...

– Gruba nie pozwoli... – wyszeptał, jakby nie był pewien tych słów. – Moc pracy, moc – wymamrotał prawie niezrozumiale.

Wyraźnie popadał w apatię.

– No ale nie mówimy: koniec. Coś się generałowi pomoże – odparł szatyn.

Czuł wewnętrzną radość, a przynajmniej satysfakcję. On też nie był głupi i pierwszy lepszy. Dwadzieścia pięć lat w tym robił, a z Filipem – ze cztery albo i pięć. Uczył się od niego, od wszystkich wkoło, poznał ich gierki i szachrajstwa. Sam je opracowywał, brał w nich udział, więc czemu by nie miał spróbować osobiście.

Szef miał potężnego doła. Coś go zjadało. Coś więcej niż strach przed pomarszczonym dziadkiem. Może obawa o kolejne, coraz mniej zabawne poruczenia z góry, groźba, że ktoś komuś się poskarży albo wszystko pójdzie w diabły. Przecież od ponad dwóch lat ganiali w piętę. Ale tak trzeba było. Dla utrzymania biznesu w jakiejś takiej całości.

No a skoro tyle spraw waliło się na pofarbowaną czuprynę, to... Wreszcie on sam mógł wygenerować sobie ciut miejsca. Przecież człowiek uczy się całe życie. Więc i jemu przydałoby się parę rzeczy opracować samodzielnie.

– Nie ma się co dręczyć – ten optymistyczny ton wyćwiczył do perfekcji – przecież obieca-
ne... będzie wykonane – zabrzmiały kojące słowa, jak obietnica przyjaciela.

Filip wreszcie odważył się odwrócić głowę. W jego oczach pojawił się blask. Znak, że pomysły powracały, a może i lepsze samopoczucie też.

– Tak jest. – Na jego twarzy zarysował się nieśmiały, aktorski uśmiech. – I tak na razie wszystko musi przycichnąć. Kilka tygodni. À propos – oznajmił gromko, jakby tym hałasem odganiał słabości. Podniósł palec. – Jakaś nagroda nam się należy, nie? Elegancko było.

Świeże wspomnienie niedawnego zlecenia napełniło go dumą. Wróciło jak najlepsze lekarstwo na zmęczenie i powątpiewanie. Przecież nie był stary. Potrafił wiele, chwalili go za te umiejętności.

– Było elegancko, prawda. – Podwładny nie zamierzał się spierać.

Nie było o co. Robota wykonana poza Grubą. Choć za jej wiedzą, to jednak siłami własnymi, za cichą zgodą dyrekcji. Też bała się starego, a może po prostu miała sentyment. Szóstka z plussem.

– Reszta się ze strachu posrała... Tak ponoć już rozgadują... Będą wiedzieć na przyszłość, żeby się słuchać.

Zatrzęśli się obaj od długiego, triumfalnego śmiechu.

Filip ukoił stres do końca.

– No i dobra, i tak trzymamy. – Humor wrócił mu na dobre. – Po wszystkim będziemy czekali z czymś ciekawym.

Przetarł nerwowym ruchem ekran telefonu. Westchnął i wybrał numer.

Znów zabierał się do pracy.

*

Minął weekend i kilka dni nowego, szarego tygodnia, a Adam ciągle myślał. Robił to tak intensywnie, skupiony na jednym temacie, że nie uszło to uwagi Stefana. O paru rzeczach zapomniał, o mało nie wjechał komuś w kuper, tak pochłaniała go tylko jemu znana sprawa.

Ptasznik pobudził wyobraźnię. Do tego nawet stopnia, że rozmyślania starszego sierżanta otarły się o metafizykę. Pierwszy raz w życiu na poważnie. Ukuł nową teorię. Uznał, że powracający od jakiegoś czasu sen to znak – symbol nadchodzącego przełomu, a ten właśnie pojawił się na horyzoncie. Był realny. Wreszcie realny.

Chciał opracować plan działania i korzystając ze wszystkiego, czego nauczyła go firma i kilka lat doświadczeń, ruszyć z tematem. Bo wiele do stracenia nie miał. A nagroda, choć jeszcze daleka i raczej niesprecyzowana, mogła odmienić los.

– Słuchaj – rzucił w środek do słuchawki, kiedy Beata odebrała wreszcie telefon. – Masz wolny weekend? Bo ja tak.

Ostatnio jej nie rozpieszczał. Oby dziewczyn nie rozpieszczał, ale początkująca bankierka miała w obecnej sytuacji pierwszeństwo.

– No to super! – nie musiał udawać radości, kiedy dostał odpowiedź po swojej myśli. – Może mała wycieczka? Mazury?

To będzie kosztować, ale postanowił potraktować wyjazd jak inwestycję.

– W piątek, tak po pracy, koło osiemnastej? Wpadnę. Mam na oku jedno miejsce, ale wiesz, jak to jest poza sezonem...

Kamuflaż dla wyprawy śledczej był idealny, nikt nie mógłby się do tego przyczepić.

– No to świetnie... Jesteśmy umówieni... Też na to liczę... – zakończył prawie lubieżnym tonem.

*

– Długo cię nie będzie? – mamrotała w pościel, z głową pod poduszką.

Kac, który ją szarpał, musiał być potworny. Jeszcze próbowała złapać Adama za ramię, kiedy kończył wiązać but, ale nie miała siły i na to.

– Inne ćwiczenia ci nie starczą? – Próbowała być zabawna. – Biegać...? – Nie mogła tego zrozumieć. – Teraz?

Adam wstał, poprawił bluzę i złapał niewielki plecak. Rozejrzał się po prostym, nieco zatęchłym, ale czystym pokoiku. Upewnił się, że nie zapomniał niczego. Kluczyki, papiery, dyktafon. Jeszcze zdołał dostrzec to, czego nie widział, kiedy przyjechali tu wieczorem poprzedniego dnia. Gościniec wybudowano chyba dawno temu i ośrodkowi przydałby się remont. Ale uznał, że to nie jego kłopot, nie miał zamiaru tu wracać, znalazł tę dziurę przypadkiem.

– Będę za godzinę, może dwie. – Brzmiał słodko.

Nawet było mu żal Beaty. Nie folgowała sobie. W niczym. Ani w picciu, ani potem w łóżku. Tym różniła się od spokojnej, czasem cichej jak mysz Oli. Obie lubił, ale Beata miała wyraźne

tendencje do przesady. Przynajmniej w picciu, to drugie mu nie przeszkadzało.

Jeszcze raz rzucił okiem na blade, okryte pościelą ciało półprzytomnej dziewczyny.

Oficjalny powód chwilowego rozstania był oczywisty. Ona nie znosiła biegania ani w ogóle żadnych fizycznych ćwiczeń. Aż dziw, że zachowywała linię. Niejeden mężczyzna ślinił się na jej widok, czy nosiła się na sportowo, czy oficjalnie, wdzierając ciemny kostium urzędniczej wyciskającej kredyty.

– Cześć. – Adam pocałował ją w głowę, na co zareagowała jakimś stłumionym bulgotem.

Wyszedł, zamknął drzwi pokoju i prędko zbiegł po wąskich schodach.

– Dzień dobry. – Zaskoczona gospodyni, pulchna, niezbyt wiekowa emerytka w fartuchu, wychyliła się z kuchni osłoniętej paskami kolorowej folii.

– Dzień dobry. – Adam przemknął obok.

– Spało się dobrze? – dogoniło go dwuznaczne pytanie.

Zerknął na właścicielkę. Spłonęła rumieńcem, wspartym zawadiackim uśmiechem, jakby jej się młodość przypominała.

„Tak było głośno?“, spytał sam siebie w myślach, ale jakoś nie czuł wstydu.

– A dziękuję, doskonale. – Odwzajemnił porozumiewawczy uśmiech.

Kobieta cicho się zaśmiała, zakrywając usta dłonią.

– Wracam niedługo... koleżanka śpi.

Zabrzmiało to kretyńsko, jakby się tłumaczył nauczycielowi na koloniach, kiedy został przyłapano na paleniu papierosów. Miał to gdzieś. Myślał już o czymś innym.

Wyszedł przed poniemiecki dom. Chłód poranka oddawał pola ciepłym promieniom słońca przemieszczającym spoza obłoków.

Auto stało pod drzewem na podwórku przygotowanym na sezon, kiedy parkowało tu po kilka wozów, i to o wiele większych. Wrzucił plecak na tylne siedzenie. Zasiadł za kółkiem, odpalił silnik i wytoczył się na drogę.

Nie miał daleko, może piętnaście kilometrów. Ale odległość była bezpieczna. Nikt z miejscowych nie domyśli się, gdzie jedzie.

Gdyby dziewczyna dopytywała, po co brał wóz, mógł powiedzieć, że szuka bardziej odludnego miejsca. Choć tu wszystko było odludne. Sam gościniec stał na skraju niewielkiej kolonii, grube kilometry od najbliższego miasta, albo raczej miścinki.

Droga była wąska, dziurawa jak szwajcarski ser i chyba od samej wojny niereperowana. Biegła lasem tak wysokim, że Adamowi zdawało się, iż jedzie w tunelu. Ze dwa, trzy razy musiał omijać niskie, obłamane konary, które zwisały nad szosą, a którymi nikt się nie interesował.

„A może tędy nikt nie jeździ“, przyszło mu na myśl z pozoru tylko głupawe spostrzeżenie.

Las, który wydawał się nie kończyć, wreszcie pokazał swój kres.

Adam zwolnił i zjechał w wąską przecinkę. Sięgnął do plecaka i wyciągnął bardziej odpowiednie, luźne spodnie. Włożył je zamiast dresów. Do tego lepsza kurtka, długa, zimowa, szalik i okulary zerówki. Na buty nie miał pomysłu, więc pozostał przy sportowych.

Na skrawku wolnej przestrzeni, na płaskim, nie za wielkim wzniesieniu położona była wioseczka. Niwa. Nie wyglądała zachwycająco. Prawdę mówiąc, wydała mu się straszonym zadupiem.

Auto wtoczyło się wolno i cicho między opłotki. Była sobota rano. Pusto. Niewielu tu chyba gospodarzyło, bo w obejściach obowiązkowo musiałoby się już coś dziać.

Kilka starych, ceglanych parterowych domów poprzetykano koszmarkami z epoki Gierka, a może i Jaruzela. Pustakowe szkaradztwa, co poniektóre z debilnymi kolumnienkami przy wej-

ściach, stały rozrzucone luźno przy drodze bez chodnika.

W oddali jakiś maleńki, wiekowy kościół, mur cmentarny. Ale to Adama nie interesowało. U księdza dobrodzieja nie miał zamiaru na razie szukać informacji.

Sprawdził. Nie mieli tu posterunku. Nigdzie w okolicy nie było policji. Efekt cięć ministerstwa, które uznało, że na tych północnych ostępach przestępczość nie występuje.

Inne resorty kombinowały podobnie, bo w promieniu wielu kilometrów brakowało przychodni, poczty, a i przystanek PKS – pordzewiały, krzywy znak pośrodku wsi – nie wyglądał na uczęszczany.

Słup z biało-niebieską tabliczką stał opodal wielkiego piaszczystego placu pełnego wyłobień i kolein. Walało się tu trochę śmieci, jakichś papierów i pobitych butelek, z których szlak prowadził wprost do celu – parterowego baraku o popękanych, pokrytych złączącą farbą ścianach. Sklepu.

Budyneczek wyglądał tak, jakby miał zaraz runąć. Okna oblepiono wieki temu blaknącymi teraz reklamami jakichś chipsów, a obrazu koszmaru dopełniały pomalowane na matowy brąz kraty. Podobnie chronione były też stalowe drzwi, oklejone pstrokacizną nalepek, mających kiedyś zachęcać do konsumpcji lodów.

Mimo wczesnej pory krata i drzwi były otwarte, zachęcając do wejścia, jak nietrudno było się zorientować, nielicznych klientów.

Wysiadł z auta. Rozejrzał się. Nie widział nikogo, ale czuł na sobie spojrzenia ludzi ukrytych za firankami. Zawsze tak było, sam tak kiedyś robił u siebie na wiosce. Nowy był zawsze atrakcją.

Wszedł do sklepu. Ciemna, nagrzana do granic wytrzymałości klitka pękała w szwach od lodówek z piwem, nie najpiękniejszych wędlin, koszów z chlebem i od wszystkiego innego, co tylko dało się upchnąć.

Na końcu ciasnego labiryntu regałów, pełnych chemii i krowich łańcuchów, niczym królowa tego państwa siedziała znudzona sklepowa. Zanurzona w lekturze łypnęła z zaciekawieniem.

Była w wieku gospodyni z pensjonatu. Pulchna, umalowana, rumiana. Nosiła biały kitel, jak za dawnych czasów, a nowoczesności jej entourage'u dodawał czerwony fartuszek z logiem któregoś z dostawców.

– Dzień dobry. – Adam starał się być uprzejmie wesoły, jakby szedł na podryw, choć ta perspektywa w obliczu widocznego celu przyprawiała go o ból brzucha.

– Dzień dobry. – Kobieta poderwała się znad kolorowej gazety i z zaciekawieniem przekrzywiła głowę.

Patrzyła, nic nie mówiła, nie proponowała niczego.

Adam stracił rezon, ale zaraz uznał słusznie, że należy coś kupić. Najlepsza droga do nawiązania kontaktu.

– Kefir poproszę i dwie bułki.

Przecież nie jadł śniadania, a w żyłach szumiały tylko wczorajsze procenty.

Zapłacił, ciągle z przyklejonym do twarzy uśmieszkiem, odliczył potulnie kwotę, rzucając coś w stylu, że lubi ułatwiać paniom kasjerkom pracę.

– Proszę pani... – przeszedł do meritum.

Spowaźniał i spojrzął na kobietę najprofesjonalniej, jak potrafił. Niczym te mądrale z telewizora, których z nudów czasem oglądał.

– Jestem dziennikarzem. – Zabrzmiało uroczyście, ale na powtórkę nie było już miejsca. – Zbieram materiały do sporego tekstu o skarbach. – To było trochę dziecinne, ale nie miał zamia-

ru bawić się w wysublimowane aforyzmy. – To znaczy o poszukiwaczach skarbów, pamiątek z dawnych wojen...

Kobieta drgnęła, przełknęła ślinę i nie bardzo było wiadomo, czy wystraszyła się, czy też Thomal jej zaimponował.

– Tu, na tych terenach, toczono kilka wielkich bitew i wiele rzeczy można zapewne znaleźć w lasach. – Powiódł palcem ponad sprzedawczynią. – Przecież sama legenda o kasie armii generala Samsonowa... – szył z głowy, a brak reakcji kobiety zaczynał go niepokoić.

„Może jakaś niepozobierana”, przestraszył się.

– Zna pani może kogoś... – trzeba było kończyć to przedstawienie i zapytać wprost – ...kto w tej okolicy szukał takich rzeczy, a może i coś znalazł? To wszystko anonimowo... mogą zapłacić za informacje. To znaczy redakcja może... – łgał, jak umiał najlepiej.

– Skarby, mówi pan? – Kobieta jakby ożyła, jeszcze bardziej przekrzywiając głowę i mrużąc badawczo oczy. – A pan z jakiego pisma? – spytała przytomnie.

Z młodszą pewnie dałby sobie radę, ale ta chyba za wiele w życiu widziała.

– Jestem z „Faktu” – powiedział, uruchamiając całą pewnością siebie.

Musiał zagrać wzorowo, ponieważ kobieta otworzyła oczy, a wargi ułożyły się jej tak, jakby chciała zagwizdać. Wyprostowała się, zadowolona, że rozmawia z taką personą. Tabloid cieszył się wzięciem, bo był najtańszy i najbardziej kolorowy. Wielki świat przybywał do Niwy.

– Wie pan, panie redaktorze...

Głos miała uprzejmy, nieomal przymilny.

– Różnie mówią. U nas biednie, pan widzi. – Skinęła w stronę zaciemnionego okna. – Ludzie różne rzeczy łapią, coby dorobić. Ale skarby... Dawniej szukali, jakieś Niemcy jeździli. Ponoć kopali. Podczas burzy u kogoś letnicy na podwórku coś wyciągali... ale żeby tak masowo, to chyba nie.

Zaszumiało od wejścia. Stało się to, czego Thomal się spodziewał. Ciekawość miejscowych wypchnęła ich z domów. Niby to po zakupy, a tak naprawdę wywachać, co się dzieje.

Najpierw weszła jakaś kobieta. Miała ze czterdzieści lat.

– Dzień dobry, Agatko – rzuciła od wejścia i jak sklepowa kilka minut temu poczęła uważnie lustrować przybysza.

Dłonie spłotła na brzuchu, ściskając wiklinowy koszyk. Wyglądała jak grzybiarka.

Rzuciła zaraz kilka nazw produktów, po które rzekomo przysłała, ale co rusz taksowała obcego długo i uważnie.

– Pan redaktor... z Warszawy – oznajmiła dumnie sklepowa, chyba chcąc zaznaczyć, że to ona pierwsza dostąpiła zaszczytu poznania go i teraz ma prawo przedstawiać.

Adama замуrowało na sekundę. Nawet słówkiem nie wspomniał, że z Warszawy. Wystarczył rzut oka na rejestrację, by cały jego plan się zawalił.

– O! – Klientka rozpromieniła się. – Bardzo mi miło.

Chwilę potem do sklepu wlał się korowód mężczyzn. I cała historia się powtórzyła.

– Dzień dobry, dzień dobry.

Rzut oka na obcego, przechwałki kasjerki, grad świdrujących spojrzeń. I to takich, że aż strach było się odezwać.

– Tych pan spyta, oni coś by i wiedzieli.

Kobieta za ladą wskazała trzech ostatnich w ogonku facetów. Byli szarzy, w wieku trudnym do określenia. Nieogoleni, w powycieranych, ubrudzonych kurtkach roboczych, gumofilcach i w sterczących na głowach, dziwacznych wełnianych czapkach. Wyglądali jak członkowie ja-

kiejś wiejskiej drużyny.

Z początku unikali wzroku Adama, jakby obawiali się, że obcy to jakiś wysłannik władzy, od lasów, ze straży granicznej albo w najgorszym przypadku z policji. Jednak sklepowa powiedziała kilka słów i mur niechęci zaczynał się kruszyć.

– Może panowie mogliby pomóc...

Adam znów zaczął swoją opowieść. Teraz już za pomocą nieco mocniejszych słów. Popatrzyli po sobie i zaczęli coś mruzczyć. Cicho, mało zrozumiale, jakby używali jakiegoś miejscowego narzecza. Pani w typie grzybiarki kręciła się bezmyślnie po sklepie, marnie udając, że podziwia rzucone na regały towary. Kiedy mogła, gapiała się na Thomala, ciekawa, co będzie, i wymieniała z kasjerką krótkie spojrzenia.

– Wiesz pan, panie... redaktorze – najstarszy, chyba przywódca dziwacznie ubranego tria, potarł usta i szczękę – ...coś by można było poopowiadać – stwierdził z błyskiem w oku. – Nie mówię nie, wie się to i owo.

– No. – Dwóch pozostałych potwierdziło prędko i zaczęło spoglądać za siebie, gdzie na regale stały mocniejsze trunki.

Adamowi nie trzeba było wiele tłumaczyć. Przygotował się na to.

– Czystą? A może na początek... – zapytał prosto z mostu.

– Na początek coś lżejszego – wycharczał drugi w hierarchii, niższy. – Wcześniej jeszcze... winko, panie złociutki?

Thomal nie oponował.

– Trzy... nie, sześć poproszę... – rzucił do ekspedientki.

Wyszli zaraz, bo kolejka rosła. Miejscowa trójka ścisła flaszki niczym trofea. Nie czekali długo, odpięczętowali butelki i unosząc je w geście szacunku, przechylili. Pociągnęli, po czym otarli usta z zadowoleniem.

Adam ugryzł kęs bułki.

– To co, pogadamy?

– A co pan chcesz wiedzieć? – Najstarszy był już śmielszy.

– Przygotowujemy w redakcji artykuł... – Thomal starał się mówić jak najprościej, i tak za długo to już trwało – ...o pamiątkach z dawnych czasów. Wie pan, jakieś złoto poukrywane, bursztynowe komnaty. Kto tego szuka, kto skupuje. Podobno sporo znaleziono w ostatnich trzydziestu latach...

– Może i sporo, ja tam niczego nie znalazłem. – Miejscowy pociągnął łyk wina. – Ludzie tu raczej po jagody, kto może do ruskich... pan wie, po papierosy na mrówkę. Pan widzisz, że tu młodych nie ma. Uciekli, a kto się ostał, to takie dziady jak my. – Zabrzmiało smutno mimo krzywego uśmiechu. – Tu już dawno nikt sił nie ma na jakieś wykopki, panie...

Znów łyk, głębszy, na utopienie żalu.

Adamowi wyprawa z wolna zaczynała zdawać się błędem. I jeszcze wydał kasę na jakieś tam jabole. Rodziła się w nim myśl, żeby jednak pójść do zakrystii albo choć przycisnąć sklepową.

– A może jacyś przyjezdni? – spróbował po raz ostatni, nie licząc na wiele.

Rzykował, bo nawet trzech pijaczek mogli pojąć, że takie pytanie nie bardzo pasuje do opowieści. Historie Ptasznika albo jego źródeł o tym, że Kalicz tu mieszkał, mogły być funta kłaków warte. Od razu ktoś by się wygadał, choćby jakimś półsłówkiem, a tu nic.

– Jest taki, co może panu kierownikowi coś poopowiadać – wyrwał się trzeci z drużyny taniego wina, ten, który do tej pory się nie odzywał ani słówkiem.

Pozostali dwaj spojrzeli niezadowoleni. Młokos wyskoczył przed szereg, burząc, jak się zda-

wało, uknutą strategię stawiania przez miastowego trunków za frajer.

– O tak, jest taki. Włodek Borowiak. – SzeF próbował odzyskać twarz i jeszcze coś ugrać. – Ja bym pokazał, zaprowadził albo pan redaktor podwiezie. – Z deklaracji ewidentnie przebijała chęć kolejnego zysku.

Adam się zreflektował, że nie gra roli, jak należy, więc sięgnął po niewielki dzienniczek, długopis i nabazgrał kilka zdań.

– Pan nie zapisuje. – Mężczyzna wystraszył się. – My tak tylko... nie do gazety...

Zamachał ręką, ściskającą w dłoni nieodkorkowaną butelkę.

Ludzie, którzy w międzyczasie wyszli ze sklepu, kręcili się obok budynku. Ewidentnie podsluchiwali.

– Pojedziemy? – Thomal zaproponował uprzejmie, wskazując wóz.

SzeF drużyny poczuł się nieźle wyróżniony. Napuszył się, wyprostował i pańskim gestem oddał kolegom wino. Drugi zapobiegliwie wepchnął je w głęboką kieszeń i otarł usta.

Kiedy wsiadali, Adam jeszcze zdołał dostrzec, jak w okolicznych gospodarstwach zaroilo się od mieszkańców. Kręcili się, udawali, że coś kopią, przenoszą, zamiatają. Wiadomość o przybyciu nowego rozeszła się błyskawicznie. Każdy już wiedział, że we wsi jest gość.

*

Dom, a raczej jego resztki, stał spory kawałek za wsią. Ceglane piętrowe domostwo, ogrodzone chylącym się ku ziemi płotem i osłonięte nagimi teraz krzakami, wzniesiono pośrodku polany opierającej się o gęste lasy.

Auto wtoczyło się w pordzewiałą otwartą bramę. Pies na zagraconym podwórku wyleciał z budy, szarpiąc się na łańcuchu.

– Pan redaktor poczeka... ja pójdę.

SzeF tria, który, jak się okazało, miał na imię Grzesiek, z trudem otworzył drzwi samochodu. Pies zaszczekał głośniejsze i zaczął się szarpać tak, że mało nie przesunął swojej klitki.

Miejsce było obrzydliwe. Cuchnęło, jakby w popękany chlewiku na końcu działki coś zdechło.

Traktor, przyczepa, rury, stara wciągarka, murowana stodoła i chlew. Zestaw obowiązkowy na takich wsiach.

Grzesiek zastukał w ciężkie drewniane drzwi i odczekał chwilę. Wreszcie zamek zazgrzytał, a w wejściu pojawiła się wąska szpara.

Pijaczek przywitał się zamasyście i wskazał dłonią na Adama. Thomal nie mógł dostrzec, z kim tamten rozmawia, ale robił to energicznie. Widać było, że inwestycja się udała i Adam zyskał sojusznika. Bez tego nie miałyby czego tu szukać.

Główny lokator został wreszcie wywabiony. Starszy mężczyzna, siwy, o długich, przeredzonych, nieuczesanych włosach wyszedł przed dom. Był wysoki, żylasty i blady. Nosił się lepiej niż inni tutaj. Bardziej schludnie. Wzrok miał uważny, inteligentny. Adam zrozumiał, że to nie jeszcze jeden moczymorda i prawdopodobnie łatwo mu z nim nie pójdzie.

– Pan redaktor... – Pijaczek powtórzył głośniejsze, wskazując przybysza.

– Dzień dobry. – Adam ukłonił się na odległość.

Tu granie wesołka nie na wiele się zdawało. Spoważniał i grzecznie czekał, aż gospodarz pozwoli się zbliżyć.

– Czego pan chce w tej dziurze? – Borowiak rzucił kpiarsko, ale zmrużone oczy uważnie lustrowały młodego.

Adam powtórzył swoją bajeczkę, dodając do wszystkiego kilka dat i bitew, które naprawdę toczono w tej okolicy. Dziadek wyglądał na takiego, który być może wie co nieco, trzeba było zyskać jego zaufanie. A przynajmniej próbować.

Borowiak myślał chwilę, stojąc nieruchomo.

– No, niech pan siada – wskazał wreszcie ławkę przed domem. – Pogadamy.

Rzucił coś do pijaczka, na co ten zaraz potulnie podreptał do bramy. Wbił błagalne spojrzenie w Adama. Thomał sięgnął po portfel, ostentacyjnie, tak by stary też widział, wydobył dwadzieścia złotych i podał miejscowemu. Grześkowi oczy zapłonęły i ukazał rząd koślawych zębów.

– Pięknie dziękuję. – Chuchnął na banknot i schował go. – Jakby co było jeszcze trzeba, to pan w sklepie pyta... – oznajmił z całą powagą, ukłonił się i podreptał na szosę, w stronę wsi.

– Co was w tych gazetach wzięło na skarby?

Adam dla porządku, by zdusić resztki wyraźnych podejrzeń starszego pana, sięgnął do kieszeni. Kartonik był granatowy i miał kształt prostokąta. Numer identyfikacyjny wypisano na nim obok podpisu z datą i zdjęcia Adama. Tylko nazwisko było inne. Bronisław Tomaszek.

Na miejscowych powinno wystarczyć, choć w mieście nawet amator spostrzegłby, że to licha podróbka legitymacji prasowej.

– Dobrze, dobrze – zbył te ceregiele Borowiak. – No to co pana tu przywiodło?

– Słyszał pan, że niedawno zamordowano człowieka... z całą rodziną. – Adam mówił grobowym głosem, jakby czytał jakiś nekrolog. – Waclaw Kalicz... On handlował starociami. Nasze źródła ustaliły, że szukał ciekawych rzeczy... w tej okolicy.

Starszy mężczyzna odwrócił twarz i zamknawszy oczy, wystawił ją ku słońcu. Milczał chwilę.

– Źródła – szepnął, nie unosząc powiek – macie nawet dobre, choć niewiele wiedzą. – Wąskie wysuszone wargi skrzywiły się. – Wacek... – zadudniło ze śladem uczucia – ...wpadał tu, ale nie grzebał w ziemi. Nie na swoim terenie przynajmniej.

Mężczyzna wreszcie obrócił się w stronę Adama. Był poważny i opanowany.

Thomał zachował kamienną twarz. Nie mógł dać po sobie poznać, że to właśnie chciał usłyszeć.

– Pan go znał?! – udawane zaskoczenie, jeśli miało zabrzmieć realistycznie, musiało być głośne.

Wyrwał z kieszeni kurtki notes i nabazgrał coś dla efektu. Chyba poszło mu dobrze, bo Borowiak drgnął, obrócił się ku niemu całym ciałem i podparł łokciem o ławkę.

– Panie, od dziecka. – Rozpromienił się nagle. – Ja znałem jego rodziców... Oj, dawno to było, dawno. – Machnął dłonią. – Oni pochodzili z tych okolic i znad morza czasem przyjeżdżali tu do kuzynostwa...

Tama wyraźnie pękała. Starszemu panu się ułalo, jakby tylko czekał, aż komuś to wszystko opowie.

– Ale Wacek tu niczego nie kopał, w to pan nie wierz. Bzdury. Ja za chłopaka, jeszcze przed wojkiem, to łąziłem, prawda... Różne rzeczy się walały, bo to pustkowie było i gdzie pocisk rąbnął, to coś odsłonił... Potem się o tym gówniarzom opowiadało i łyknęli bakcyła... Ale Wacek z kumplami... eee, oni szukali z tymi wykrywaczami, ale też nie tu... Potem do ruskich zaczął jeździć... U mnie tylko szopę pod lasem wynajął. Mówił, że odludzie, że jak będzie miał coś ważnego, to tam schowa, żeby nie ryzykować.

– Często przywoził te rzeczy? – Adam przerwał bezceremonialnie wywód.

Zrugał zaraz siebie w myślach i zagryzł wargi. Pismak powinien cierpliwie słuchać, a tu wy-

łaziła jego psia natura. Starszy pan popatrzył na niego uważnie, jakby wyczuwając zbytnią natarczywość. Thomal był na to przygotowany. Sięgnął po portfel, wydobył kilka banknotów stułotowych i ostentacyjnie je mnąc, schował do kieszeni na piersi.

– Często? – wypalił Borowiak i pochylił się. – Panie! Ciągłe! Toż on był kuty na cztery nogi. Z wopistami się, panie, podogadywał, wizy wyrobił, on tam jak u siebie był. W jakąś spółkę wszedł... Wiedział, co i gdzie kupować, gdzie szukać. U nich i tu, po naszej stronie. Ciągłe przyjeżdżał. Panie, całe skrzynki przywoził, inne odwoził. Czasem coś pokazał. Różne tam były rzeczy... Broń, odznaki, ale to drobnica. Miał ponoć lepsze, ale na to nie pozwalał patrzeć. Mówił tylko, co wiezie i w jakim stanie. Ale ja wiem, że bał się, nie ufał nikomu, bo to taki pieniądz... Przecież mieszkanie z tego kupił, auta dwa, działki, a i mnie odpalał za pilnowanie... Choć pewnie nie tylko, bo mówię, on miał łeb na karku. Pozałatwiał sobie dojścia w wopie, u wojska, a pewnie i u tych z sejmu...

Borowiak zaczął się nakręcać, wyraźnie dając się ponieść wyobraźni.

– I co? – Thomal znów się wtrącił, choć teraz łagodniej. – Do pana nikt nie przyjeżdżał, jak go... – szukał chwilę łagodniejszego określenia – zabrakło?

Borowiak przycichł, zmieszał się i znów odwrócił twarz ku słońcu.

– Ano zabrakło, zabrakło – westchnął szczerze zasmucony i przez chwilę zdawało się, że w kącikach oczu pojawiły mu się łzy.

Chyba docierało do niego, że Wacek nie był wcale tak mocno kuty na cztery nogi. Gdzieś popełnił błąd albo w tym całym biznesie zakiwał się na dobre.

– Byli, panie, byli. – Dziadek znów się uruchamiał. – Niedługo po tym, jak tego ruska dopadli. Nie wiem, skąd o mnie wiedzieli, może od rodziny, nie moja sprawa. Pokazali jakiś papier i kazali się prowadzić szopy. Potem wygnali, teren otoczyli płachtą, siedzieli dzień, dwa i pojechali. Nie wiem, czego szukali, co zabrali.

– I się pan nie boi tak sam... tu na tym odludziu... Jak tam takie skarby były? – Adam nie mógł się powstrzymać.

– Tam nic nie ma... – W przymkniętych półmatowych oczach Borowiaka zatańczył jakiś ognek.

– Ale tacy na ten przykład bandyci nie wiedzą, mogą przyjść... Ja się dowiedziałem, gdzie jechać...

– A niech przychodzą. – Starzec się napuszył. – Ja mam czym ich witać. – Zaśmiał się, robiąc z palców pistolet. – Panie, ja stary już jestem, co mi tam strach. Zresztą Wacek poukrywał co lepsze rzeczy w innych dziuplach. Jak był tu tydzień przed śmiercią, to mówił, że ma nowe miejsce, takie, że mucha nie siada. Ale policja pewno wszystko już wie i odkryła, tylko cicho siedzą.

– Gdzie to było? – Adam naiwnością w głosie starał się stłumić ekscytację. – To ciekawe – dodał dla efektu.

Borowiak przygryzł usta i zasępił się wpatrzony w suchą trawę.

– Ja nie wiem, czy powinienem... – Uniósł brew, łypiąc kontrolnie na przybysza. – Jemu może nie zaszkodzi... Ale czy ja będę coś miał z tego, panie redaktorze? – Mówił spokojnie i nad wyraz pewnie, jakby to był cel całej tej dyskusji.

– Redakcja nie zapomni o panu, a i ja mam fundusz. – Adamowi nawet mięsień nie drgnął, choć pod ubraniem się spocił na samą myśl, ile staruszek zażąda.

– Pan wie, ja bym nie brał, ale emerytura taka sobie, żona zmarła trzy lata temu, a szopy już nie wynajmuję, to i...

– Jasne, rozumiem. – Adam wysilił się na uśmiech.

– Wacek uważny był, panie redaktorze. Bo pan wie, to tak nie do końca wszystko legalnie...
– Zabrzmiało jak żart. – Wyszukał dom... cholera... gdzieś nad morzem. Ale wiem, że coś nakombinował, że nie na siebie, bo można by dojść...

Adam słuchał, czując, jak tętno mu przyspiesza. Nie miał niczego konkretnego, ale łapał trop. Nie mylił się, szansa ciągle istniała.

– To było na Helu albo w okolicy. Przedwojenny budynek. Ale nie taki jak tu, ładniejszy. Willa z tarasem. Luksusowa. Duże, zrujnowane toto... ale ponoć drogie – mówił Borowiak. – Kupił na słupa albo sam papiery zmontował... panie redaktorze. No.

Dał do zrozumienia, że wyrzucił z siebie wszystko, i wymownie spojrzął na kieszeń kurtki Adama.

– Tyle wiem, dalej pan musi sam... – zakończył z iście handlowym uśmiechem.

Thomal westchnął. Krew odchodziła wolno z nabrzmiąłych skroni. Gównu się dowiedział. Gorączkowo szukał sposobu, jak jeszcze pociągnąć dziadka za język.

„Dom na Helu albo w okolicy. Dobre sobie, kurwa”, bluznął w duchu.

– I co? – burknął już bez żadnych hamulców. – Mam wierzyć, że mnie to pan pierwszemu opowiada? Że zwała się tu cała armia z Warszawy, a pan im tego nie sprzedał?

Borowiak przybrał iście cwaniacką minę człowieka, który jest starszy i mądrzejszy.

– Chłopcze... – wymówił to wolno i wyraźnie, z nieskrywanym triumfem. – Pewnie, że pytali. I to dwa razy. Powiedziałem... – urwany śmiech – ...ale nie wszystko. Dom, druga kryjówka, więcej nie pamiętam. Ja stary dziad, każdy uwierzy, że z głową już nie tak... Co, na dołek starucha wezmą, żebym im tam zszedł? To tylko kłopot. Co będę im gadał, a i po co? Ja nie takich przetrzymałem. Mnie za gnojka, wiesz pan, z Bieszczad z rodziną wywalili. Przetrzymałem i ubowców, i ormowców, i komuchów. Co mi takie pierdoły? Zresztą – machnął rękami – mówiłem już. Ja tu biednie mam. A władza dużo by chciała, tylko emeryturkę marną posyła. No i za podpowiedzi nic nie chcieli płacić. Nawet się nie zająknęli. To ja będę kapował, żeby oni medali nabrali, a mnie kopa w dupę?! Niech idą w cholere!

Znów zamachał rękoma, tym razem mocniej. Broda mu drgnęła, ewidentnie wskazując kieszeń Adama.

– Powiedziałem, bo ci z oczu dobrze patrzy i ty nie władza. I nie napiszesz, kto gadał, prawda?

– Prawda, prawda.

Thomal nie dawał się długo prosić. Negocjacje dopiero się zaczynały. Złożył kajecik. Przyszło mu do głowy, że to wszystko niesprawiedliwe jak jasna cholera. Wyciągnął kilka banknotów stułotowych. Gdzieś tam kiedyś jakiś drobny szwindlarz kupował domy nad morzem, jakby były na promocji w dyskoncie, a on... pozbywał się z trudem uciulanych oszczędności. Ale taka była cena otwierania wrót do kariery.

*

Do pensjonatu wrócił znacznie później, niż to sobie zaplanował. Myślał wiele, porządkował wszystko, czego się dowiedział, i z trudem odpędzał wątpliwości.

Kosztowało go to już bardzo dużo. Wypad na weekend, opłacanie się pijaczkom i podstarzałym bimbrownikom. I jeszcze ona. Beata czekała, uznając, że wściekłość z powodu pulsującej bólem, skacowanej głowy skanalizuje na Adamie.

Thomal zaparkował na podwórzu. Prócz szarej astry, która minęła go tuż przed pensjonatem, nikt tędy nie jeździł, nie zachowywał się podejrzanie, choć było mu już chyba wszystko jedno.

W tym całym zagonieniu ostrożność i planowanie sprzed kilku godzin poszły w niepamięć. Schodziło z niego ciśnienie. Podał się za kogoś innego, ponabierał ludzi i cudem tylko chyba nikt się nie zorientował. Choć co do Borowiaka miał pewne podejrzenia. Facet albo udawał, że wierzy, albo miał to gdzieś. Sprzedał, co chciał, a w tej kwestii przywiązanie do martwego znajomka nie było już ważne. Gadać z prasą czy z konkurencją, co za różnica?

Dziadek podbijał stawkę. Skutecznie. Co rusz niespodziewanie przypominał sobie nowe rzeczy. Polepszało to ogólny i dość powierzchowny obraz sprawy, ale kosztowało Adama bardzo drogo.

Całą drogę zerkał na zapisane kartki w notesie, usiłował na szybko ułożyć dalszy plan, znaleźć sposób działania, tak żeby nikt inny nie wchodził mu w paradę. Chwilę zastanawiał się nawet, czy nie zadzwonić do Ptasznika. Ale postanowił się wstrzymać. Popracować na własny rachunek, posprawdzać, bo i przecież... Dziadek mógł sobie bająć. Rzucać jakieś skrawki prawdy unurzane w sosie głupot, które przygotował dla ciekawskich. Byle tylko płacili, a on już coś im tam wciśnie. Może za każdym razem coś innego.

„Ilu takich było przede mną?“, pytanie bolało. Zwłaszcza gdy myślał o tych plikach banknotów, które wydał być może za opowiadki wysane z palca.

„Chybabym zabił“, konstatacja była tylko jedna.

Koniec końców nie zrealizował tego wszystkiego, co sobie założył. Odpuścił punkty skrupulatnie opracowywanego planu. Nie przebrał się na powrót w strój do biegów ani nie zrobił kilku kółek, żeby wyglądało na prawdziwy jogging.

Zorientował się dopiero, kiedy przekroczył próg domostwa i ujrzał Beatę pijącą kawę. Wyglądała źle. Błada, oczy podkrążone, bez śladu makijażu i ten za duży, rozciągnięty dres. Pasał jej teraz.

Zaczęła od kilku wymówek na temat tego, że jej chłopak znika na cały poranek i szlaja się nie wiadomo gdzie, jednak Adam zniósł to bez słowa.

Przeczekał burzę, a kiedy dziewczyna się uspokoiła, łągał, jak potrafił najlepiej, marząc o kawie, śniadaniu i odpoczynku dla zmęczonej głowy.

*

Absolutne pustkowienie. Przyprószone śniegiem pole, zagajnik gołych drzew, a pod kołami zmarznięta po nocy ziemia. Daleko do wsi, miasta i normalnego świata.

Nadjechali równocześnie, choć nie planowali tego.

Czarny jeep cherokee z jednej strony ścieżki. Toyota land cruiser w tym samym kolorze z drugiej.

Mężczyzna o sylwetce maratończyka wysiadł pierwszy i zaraz pożałował. W środku było sympatyczniej. Na zewnątrz chłód przenikał cienki sweter i czarną skórzaną kurtkę.

Naciągnął prędko czapkę, ukrytą w schowku na takie okazje.

– Czołem, załoga – rzucił wesoło na powitanie.

– Cześć. – Pozostali trzej odpowiedzieli nieomal chórkami.

– Zima jak jasny piorun – westchnął kurtuazyjnie rudy osiłek i ucisnął dłoń nowo przybyłemu.

Pozostała dwójka zrobiła tak samo. Graby mieli wielkie, silne jak imadła. Znał ich dobrze. Często pracowali razem, spotykali się na szkoleniach i firmowych imprezach. Dlatego im ufał.

– No, panowie. – Mężczyzna wyprężył się i spoważniał. – Koniec wakacji, co? Kiedy lecicie?

– Za dwa dni. – Najmniejszy z chłopaków nie wydawał się zadowolony.
Mężczyzna kiwnął głową i wrócił do auta. Otworzył tylne drzwi i sięgnął do kieszeni na fotelu.
– Tu macie namiary. – Potrząsnął wyciągniętymi papierami i z przyzwyczajenia rozejrzał się wkoło.
Zaczęli czytać. Szybko, ale uważnie.
– Dobrze jest. – Rudy wielkolud skinął głową. – Do zrobienia.
Zapamiętanie informacji zajęło im góra kilka minut.
Mężczyzna z toyoty sięgnął do kieszeni kurtki. Błysnęła zapalniczka. Kartki zapłonęły, ale nie wszystkie. Jedną, wydruk mapy, choć bez opisów i oznaczeń, pozostawił.
– Zapamiętajcie. – Podniósł dłoń w zasadniczym, rozkazującym geście. – Kontakt bezpośrednio ze mną albo pod numerem, który wam dam. Logistyka to też moja sprawa, ale was się nikt nie czepi. Przecież jesteście swoi, nikt nie będzie sprawdzał.
– Wiadomo. – Dwaj młodszy odpowiedzieli bez śladu entuzjazmu.
– Co do zapłaty... – Mężczyzna chrząknął. – Finansowanie pójdzie po robocie. Powiem wprost. – Spoważniał. – Robimy poza systemem, więc rozliczam ja, poza budżetem. Wiem, że to może wydawać się dziwne, no ale tak to działa. Partyzantka, kurde.
Zaśmiał się dla rozładowania napięcia. Zamilkł jednak, patrząc pozostałym prosto w oczy w taki sposób, żeby wiedzieli, że to już nie żarty.
– Ostatnia odprawa. Sprzęt... – Zerknął mimochodem na zegarek. – Tu też wszystko poza korporacją. Też nasza działka. Namiary macie własne, znacie teren, poradzicie sobie. – Mocno i wyraźnie zaakcentował ostatnie słowa.
Tamci nie wyglądali na specjalnie zadowolonych. Stali w skupieniu, z rękami na plecach, gryząc wargi. „Poza korporacją” oznaczało właściwie, że idą bez nadzoru, ale i bez ochrony, gdyby grunt zaczął się palić pod stopami. Pod czaszką zupełnie inna świadomość.
– Pójdzie sprawnie. Toż to głupstwo... A potem premia. – Dostali rozkaz, mieli służyć. – Po wszystkim, Cegła... – rudy odruchowo się wyprężył – ...jak wyekspediujesz panów, trzeba będzie nawiedzić twoich... przyjaciół. – Ostatnie słowo nacechowane było niechęcią. – Pogadać o tym i o tamtym. Wszystkiego robić sami nie możemy... po co ryzykować... – Wyświechtany argument, ale opowiadać o brakach kadrowych nie miał zamiaru.
– A góra to przyklepie? – Osilek odważył się mieć wątpliwości.
Mężczyzna postąpił kroku ku niemu. Spojrzał mu prosto w twarz, zaciskając szczękę.
– A co ty sobie wyobrażasz? – powiedział powoli, cedząc słowa. – Oczywiście, że tak!

*

Uliczka była wąska i ciemna. Leżała z dala od ciekawskich oczu. Dzielnicę Menidi wypełniały niedokończone domostwa z pustaków, otoczone wysuszonymi ugorami, czasem z jakąś plantacją pomidorów. Do tego hurtownie, kilka zamkniętych barów.

W tę część Aten raczej rzadko zapuszczali się turyści. Ba, nawet taksówkarze odmawiali kursów.

Pułkownik Hritolis zaryzykował. Wziął samochód żony. Mniejszy i ciemniejszy nie rzucał się tak w oczy. Zgodnie z wpojonymi zasadami najpierw trochę pokręcił się po mieście. Do świtu pozostały dwie godziny, ruch był prawie żaden, za to wykrycie ogona znacznie prostsze, choć ci, którzy mogli mieć na niego oko, byli dobrzy. Musiał uważać.

Wiedział też, i to go trochę uspokajało, że ze względu na zajmowane stanowisko obstawa,

którą można mu było przydzielić, miała go chronić, nie sprawdzać. Przecież czasy były ciężkie i niebezpieczne.

Zaparkował polo pod ścianą nieczynnego klubu, tuż za płotem na podwórzu.

Wysiadł. Miał na sobie dzinsy, dłuższą kurtkę z postawionym kołnierzem i, mimo szarówki, ciemne okulary.

Wokół nie było nikogo, żadnego auta czy skutera. Zupełne odludzie.

Pułkownik ruszył wzdłuż nagiej ściany na drugi koniec podwórka. Znał je dobrze. Przyjeżdżał tu od ponad roku. Kryzys i cięcia sprawiały, że takie miejsca długo pozostawały w zapomnieniu, dając jakieś takie pole do działania.

Uchylił obluzowany kawał blachy, z której wzniesiono ogrodzenie, i zwinnie prześlizgnął się na drugą stronę. Mimo piątego krzyżyka na karku był wysportowany i szczupły. Wyszedł w zaułek. Potem miał już z górki.

Kilka pustaków za starym kontenerem. Wyciągnął pendrive w foliowym woreczku. Dla pewności przetarł go chusteczką i wcisnął w skrytkę.

Westchnął z ulgą. Mógł wracać, choć zostało mu jeszcze jedno. Zostawić znak dla odbiorcy.

*

– Nie możesz spać? – W głosie Oli zdziwienie mieszało się z niedowierzaniem.

Stała oparta o futrynę w za dużym T-shircie, który nakładała do łóżka.

– Zaraz idę. – Adam drgnął wystraszony.

Skradała się niczym kotka.

– Zaraz, mówię. – Zirytował się, że zakłóca mu tę krótką chwilę samotności.

– Ty, cwaniaczku? – Dziewczyna nie dawała się zbyć.

Podskoczyła do biurka, objęła Adama za szyję i przytuliła.

– Czemu jesteś taki wściekły? Jakies pornosy oglądasz? – spytała z udawanym oburzeniem i zmrużyła zaspane oczy, wpatrując się w ekran laptopa. – Nie no... – zanosła się nagłym śmiechem. – W totka wygrałeś? Dom zmieniasz? – Jej śmiech poszedł głośnym rezonansem po skąpanym w ciemności mieszkaniu.

– Idź spać, mówię.

Adam był zażenowany, zły i śpiący. Wszystko naraz. Wzbierająca w nim energia gotowa była go rozsadzić.

– Bardzo śmieszne... – fuknął i pokręcił głową, nie patrząc na dziewczynę.

– Ja myślałam, że ty tu się bawisz, a pan policjant pół nocy...

– Skończyłaś? – burknął, przewijając stronę w przeglądarce, choć już zupełnie nie miał na to ochoty.

Założył przecież, że o tym, czym się zajmuje poza robotą, nie dowie się nikt.

– Muszę coś znaleźć... takie śledztwo. – Wiedział, że to poskutkuje.

Umowę mieli między sobą wyraźną. Ona nie może pytać o pracę, on nie może opowiadać.

Uciszyła się raptownie. Pokiwała lekko głową, ze szczerym zrozumieniem połączonym ze współczuciem. Nie lubiła, kiedy się przepracowywał i przez tę niekończącą się, jak sama to nazywała, wojnę ze złem nie mógł być przy niej częściej. Jak głupiutka romantyczka.

Spoważniała. Podeszła jeszcze raz, spokojna i skruszona, objęła go i pocałowała w głowę. Ujął ją za ramię i pogłaskał.

– Idź spać, zaraz będę.

W tej jednak chwili miał gdzieś dziewczynę, pieszczoty i łóżko. Mimo zmęczenia był gotów

ślęczyć nad tym nawet całą noc, do białego rana.

– Stary dziadyga – warknął przez zaciśnięte zęby i otworzył kolejną stronę w nowej karcie. Dziesiątą już chyba witrynę firmy pośredniczącej w sprzedaży nieruchomości.

Opis uzyskany od Borowiaka był tak naprawdę bardzo ogólny. Nawet plik banknotów, który rozjaśnił w głowie emerytowi, nie wniósł w tej kwestii za wiele. Kiedy opadła adrenalina, stało się oczywiste, że poszukiwania nie będą proste. W każdym razie te po cywilnej linii.

Mógłby poprobać dopytać Ptasznika, skorzystać z jego usług, ale to już też ustalił sam ze sobą. Działa na razie na własną rękę. Nie miało być łatwo. On, zwykły sierżant sztabowy, nie posiadał wejść, władzy ani możliwości dotarcia do archiwów sądowych, ksiąg wieczystych, planów zagospodarowania terenu i takich tam biurokratyzmów.

Nawet gdyby chciał robić to oficjalnie, zgodnie z przepisami, to jak? Przecież nie znał nawet adresu działki. Wiedział tylko, gdzie mniej więcej mieścił się dom. A to i tak tylko prawdopodobnie. Wiedział też, że rzekoma kryjówka Kalicza była ruiną przy drodze. Super. I najważniejsze, znał nazwisko prawdopodobnego słupa, który wziął na siebie zakup. Szwed albo Duńczyk nazwiskiem Gustawson czy Gustawsen. To jakby rodzimy Jan Kowalski. Żadnej nazwy firmy, adresu. Niczego więcej Kalicz nie sprzedał Borowiakowi. Albo i sprzedał, ale dziadkowi ubzdurało się więcej banknotów z królami, a Adam szaleńcem nie był. Irytowało go to jak jasna cholera. To przecież nie była zagadka faraonów czy poszukiwania zaginionej arki, a on czuł się tak, jakby błędził po omacku. Zostawał Internet i metoda eliminacji.

Wybiła pierwsza. Oczy go bolały tak samo jak głowa.

Wytypował pięć budowli na półwyspie i dalej na południe. Zgadzały się z opisem, jaki usłyszał od Borowiaka. Liczba pięter, kolor, stan. Budynki znalazł przy użyciu Street View. Jeden pasował najbardziej. W Juracie, prawie w centrum turystycznego miasteczka. Dobrze się składało. Miejscowość sprzyjała buszowaniu po okolicy. Pensjonaty, hotele. Można się było ukryć.

Postanowił, że zacznie od tego miejsca. Jeśli niczego się nie dowie, pójdzie dalej.

Jeszcze pozostawał ten cały Gustawson czy Gustawsen. Jak zwał, tak zwał.

Kolejne dwa kwadransy w sieci przypłacał coraz bardziej pięknymi oczami. Kopenhaga, Sztokholm, strony w skandynawskich językach. Nic nie pojmował. Po angielsku szło o wiele lepiej. W końcu był z pokolenia, które już łąpało coś więcej niż tylko coca-cola. Nie tak jak co niektórzy wodzowie.

Znów prawie nic. Dwie krótkie wzmianki, anonse na jakimś blogu, jakiś przewodnik. A potem sklep z antykami i nazwisko Gustawsen.

Odsunął się od komputera i podrapał po brodzie. Puls przyspieszył.

– To by się zgadzało – powiedział do ekranu.

Szybko wpisał dane w przeglądarkę i znalazł sklep.

Facet musiał robić niezłą kasę albo i mieć sporo za uszami, jak Kalicz. Wniosek nasuwał się automatycznie.

Opisowi sklepu stylizowanemu na stare odręczne pismo towarzyszyła fotka zagraconego pokoju. Jakieś samowary, stoły, szafki i pomniejsze bibeloty. Był e-mail, telefon, ale przecież nie mógł zadzwonić ani napisać. Nawet gdyby podał się za kogoś innego, o co miałby zapytać: „Cześć, kupiliście dom na półwyspie i chowacie tam skradzione starocie?”. Głupota. Nawet gdyby coś wymyślił, mógłby spalić cały plan. A może w którąś sobotę podjechać raz jeszcze do Borowiaka i nakłaść mu po gębie? Za taką cenę powinien poopowiadać coś jeszcze.

Wyłączył komputer. Sapał. Czy to za sprawą nagrzanego urządzenia, czy zamkniętego okna, zrobiło mu się potwornie gorąco.

Począł do łazienki, zdjął ubranie i wszedł pod prysznic.

*

Sebastian był silny, krępy i strzygł się na krótko. Wręcz kipiał energią, więc nie potrafił długo wyleżeć w łóżku.

Posłuchał muzyki na słuchawkach podłączonych do smartfona, próbując się wyciszyć i nie budzić domowników, ale niewiele to pomogło.

Wielu podejrzewało, że nabrał krzepy dlatego, iż wspomaga się jakąś nie do końca legalną substancją. Mylili się jednak.

Sebastian był wojem – wojem w prawdziwie nowoczesnym wydaniu. Tacy jak on czerpali siły tylko z dziedzictwa przodków i z natury. Dziedzictwo studiował intensywnie, zagłębiając się w historię dawnych plemion. Siły dodawały mu też treningi. Szkolił się w walce, doskonalił tajniki nowej, mało znanej sztuki walki o nazwie Systema. Stworzonej daleko na Wschodzie i promowanej przez kilka nowo powstałych, prężnych i krzykliwych szkółek.

W jego ośrodku było ich czterdziestu. Zjeżdżali się z całego województwa, raz, dwa razy w tygodniu, i ćwiczyli pełni zapału, prowadzeni przez dwóch trenerów, którzy byli jak dawni bogowie. Silni, twardzi niczym skały weterani wielu bojów. Prawdziwych, nie jakichś tam ustawek. Przyszło im walczyć głównie z islamistami. Najgorszym wrogiem. Wiedzieli wiele, znali historię, ciekawie o niej opowiadali.

Zresztą Seba i reszta interesowali się tym samym, ale nie tworzyli kanapowego klubu dyskusyjnego. Oni byli tymi, których nazywano społecznikami. Kilka nowych partii i stowarzyszeń zachęcało, by brać sprawy w swoje ręce. Tak więc brali.

Trzeba było chronić kraj i uważać na każdym kroku, bo wrogów przybywało. Sebastian odrzucił kołdrę. Pociągnął łyk wody z otwartej poprzedniego wieczoru butelki i zasiadł do biurka z komputerem.

Odpalił dwa portale i kanał na YouTube. Liczył na nowy filmik ze swoim ulubionym trybunem noszącym się à la przedwojenny ułan. Ostatnio nie dawał nic nowego. Może obraził się po fali hejtu, wiadomo skąd sterowanego, który określał go mianem agenta i zwykłego głupka. Seba w to jednak nie wierzył i cierpliwie czekał.

Portale okazały się o wiele bardziej ciekawe. Pansłowania.net informował o kolejnych ruchach wojsk USA na terenie Syrii. Od dawna było wiadomo, że Amerykanie będą zaostrzać tamtejszy konflikt. Ale to, że szykują coś w Turcji, było zaskoczeniem, choć Sebastian wiedział, że to w ich stylu.

Trener mówił przecież: „Kiedy ruszą, prędko się nie zatrzymają”. Wyglądało na to, że miał rację.

Na drugiej stronie, bardziej oficjalnej, jak na portal informacyjny przystało, newsów było więcej, bardziej szczegółowych, ale nie tak ciekawych. Meteor informował o działaniach koncernów zza oceanu, które coraz mocniej wdzierały się do Polski, szykując kilka nieładnych rzeczy. Do tego jakieś powodzie w USA, zamieszki w południowych stanach i burze we Francji. Dopiero news z paska informacji obok głównego tematu sprawił, że serce Sebastiana zaczęło bić mocniej.

Kliknął. Przeczytał raz i drugi. Opadł na krzesło.

Pstryknął palcami, kiedy przyszło olśnienie. Sam był zdziwiony, że ma w sobie tyle odwagi. Cóż, czas wchodzić w dorosłość. Okazja była doskonała.

Włączył Skype'a, wybrał kontakt i zadzwonił. Czekał długo, bez rezultatu.

– Psia mać – syknął. – Pewno śpi albo... – Zerknął na zegarek w rogu ekranu. Dochodziła siódma. Złapał telefon. Nie powinien. Trenerzy opowiadali, jak to wszystko działa, kto słucha, kto zapisuje oraz gdzie to wszystko trafia i jak jest wykorzystywane. Wybrał jednak numer i wcisnął zieloną słuchawkę.

– Cześć. Seba... No... Spałeś... Aha, dobra, ty, słuchaj... Widziałeś wiadomości... Nie?! Wiesz, kto przyjeżdża? No... Pod koniec tygodnia... Taa... Trzeba byłoby... Idziesz? Git. Ja pogadam z resztą, a może i trener by coś...

Irytujący blaszany dźwięk przerwał mu niespodziewanie. Seba drgnął nieźle wystraszony.

– Czekaj, kurwa... – burknął.

Wstał od zagraconego biurka, przewalił się przez rozrzuconą pościel i sięgnął do budzika. Wyłączył dzwonek. Zaraz trzeba było zbierać się do szkoły.

*

Telefon zaczął wibrować w najmniej odpowiedniej chwili.

– Kurwa! – Adam prawie zawył.

Był mokry od potu i zdyszany po długim biegu schodami walącej się ruiny. Spiął kajdankami niskiego rudzielca i pociągnął, zmuszając go, by stanął na nogi.

Dzwoniący się nie poddawał.

– Weź go.

Stefan dobiegł drugi. Jak zawsze. Był za ciężki, zdyszany, bliski zawału i czerwony jak pomidor. Szarpnął rudzielca za ramię z taką mocą, że tamten aż syknął.

– Łapy, kur... – Chłystek próbował bezczelnie się stawiać.

Poważny błąd. Stefanek miał teraz najlepszą okazję, by odreagować długi trucht po starej rzeźni.

Ścisnął go mocniej i wałnął łokciem w brzuch.

– Co, mdlejesz?

Pytanie nosiło znamiona sadyzmu. Nie przejmował się. Gnojkwowi się należało.

Adam wyszarpał telefon z kieszeni. Zwyczajnie pewnie by to zignorował, ale czekał na sygnał od Ptasznika. Tamten zbywał go esemesami albo nie odbierał.

Rzucił okiem na wyświetlacz. Beata. O niej też od powrotu z Mazur niemal zapomniał.

Chwilę się wahał. Nabrał powietrza i iście miodowym głosem zaświergotał:

– No cześć.

– Cześć. – W głosie po drugiej stronie grało jakieś napięcie, zapowiedź kłopotów. – Czemu się nie odzywasz?

– Wiesz, praca... zajeżdżają mnie, właśnie robimy...

Po drugiej stronie cisza. Ale po chwili się odezwała.

– Spotkamy się? Może powtórka? – powiedziała już weselej, z oczekiwaniem.

– Kiedy? W weekend? – Głos mu drgnął, ale szybko się opanował. – Nie, nie ma szans. Szkolenie w Słupsku. Ale następny... – Kłamstwo miał we krwi.

– No, zobaczymy. – Beata znów przygasła.

Zaniepokoiło go to. Nie musiała więcej mówić, wyczuł, że dopadają ją jakieś wątpliwości. A może był przewrażliwiony?

– Wiesz... w piątek wyjeżdżamy z dziewczynami z banku. Taki babski weekend – oznajmiła pewnie, wyraźnie strosząc piórka.

– A to fajnie, baw się dobrze.

Beatę jednak jego słowa wyraźnie zbiły z tropu.

– W kilka, zabawić się, poplotkować... – zaczęła tłumaczyć.

– Dobra, wiesz, ja w robocie jestem. No, pa, pa, baw się dobrze. Opowiesz potem. Cześć. – Szybko zakończył rozmowę.

Nie było po co przeciągać.

Pokręcił głową i uśmiechnął się. Szczęście mu sprzyjało. Jedna sama odpadła, nie będzie więc musiał kombinować, jak tym razem się wyłgać.

Miał otwartą drogę. Teraz ta druga musiała stać się przykrywką dla jego rozpoznania.

*

– Zostaw, słucham. – Ola odepchnęła jego dłoń od samochodowego radia.

– Ściszę, myśli nie można zebrać. – Thomal był poirytowany.

– Nie! – Młoda robiła się agresywnie czupurna, kiedy naprawdę coś ją interesowało.

Adam dał za wygraną. Pokręcił głową i skierował wzrok na szosę.

Spikerka z wyuczonym aktorskim zaangażowaniem odczytywała ciut za szybko kolejne informacje. Spieszyła się do domu, do łazienki albo zupełnie jej nie obchodziło to, co ma do przekazania.

„Jak dowiedzieli się reporterzy naszej stacji, w poniedziałek do Warszawy z roboczą wizytą przybędzie szef zespołu doradców bezpieczeństwa prezydenta USA Milton Cross. Tematem rozmów ma być sytuacja na Ukrainie oraz sprawy dotyczące dyslokacji w naszym kraju wojsk NATO. Rzecznik MSZ wstępnie potwierdza te doniesienia, zaznaczając, że wizyta to dowód na poważne traktowanie Polski jako sojusznika...”.

– Dobra, ścisż albo wyłącz – prychnęła, krzywiąc umalowane usteczka. Podparła głowę wyraźnie zdegustowana. – Bredzą, a nie wiedzą co.

– Że jak? – Adam rzucił jej zdziwione spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

– Cross to jeden z doradców, żaden szef. W ogóle co to za brednie. Wyborcze pieprzenie... poważne traktowanie!

Adam zagwizdał i prawie się roześmiał.

– Taka z ciebie znawczyni? – Zabrzmiało, jakby gadał do głupiutkiego dziecka.

Ubodło ją to.

– A ty zapominasz, co ja studiuję? Stosunki międzynarodowe. Pracę piszę z administracji prezydenckiej – rzuciła ze złością. – I w ogóle to dodaj, cholera, gazu. – Budził się w niej tygrys. Poczerwieniła. – Włeczemy się jak jakaś pielgrzymka... Co ty, Pucka nie widziałeś? Gliniarz, ja rozumiem, musi przepisowo, ale bez przesady.

Zamilkła, gapiąc się za szybę.

– Już dobra, dobra. – Wizja całego weekendu w takiej atmosferze nie napawała Thomala radością.

„Babskie sprawy?”, tę wątpliwość zachował dla siebie.

Przemknął przez wąskie ulice Pucka i wyjechał na trasę do Władysławowa. Nie nadkładał drogi dla przyjemności czy widoków. Szukał. O tej porze roku droga świeciła pustkami. Minęli miasto. Pogoda była cudowna. Wreszcie wiosna przypuszczała atak całym frontem.

Zatoka Pucka połyskiwała zieloną wodą. Linia półwyspu oddzielała niebo od morza wąską kreską. Tylko na lądzie drzewa były jeszcze nagie.

Camping i ośrodki stały jak wymarłe. Adamowi bardzo to odpowiadało. Im mniej turystów, tym mniej ciekawskich oczu. Choć z drugiej strony w tłumie można było łatwiej się ukryć.

Przyśpieszył. Przemknęli przez zalane słońcem kolejne miejscowości. Puste, jakby ludzie tu mieszkający zbierali siły na nadchodzące lato, czyli najazd turystów z gotówką.

Dotarli do Juraty. Zwolnił, znów zaczął oglądać okolicę, choć nic ciekawego wkoło nie było. Pozamykane okna pensjonatów, hoteli, pozbawione liści lasy. Kilka szarych skorup willi. Wido-ku jednej wyczekiwał szczególnie.

– Ej, to nie tu? – Głos młodej wyrwał go z rozmyślań o urbanistyce.

Przyhamował nagle, włączył kierunkowskaz. Chciał skręcać, ale nie dostrzegł, że na pasie obok pędzi jakaś lepsza maszyna. Odbiła w lewo, bliżej chodnika. Thomał wcisnął hamulec do samej podłogi. Razem z Olą polecili w przód.

– Kurwa jego mać! – krzyknął, waląc dłonią w kierownicę.

Przez chwilę miał zamiar zapisać numer wyścigowca, ale zaraz dał za wygraną. Minął go szybko, Adam zdążył zauważyć tylko nieogoloną szczękę, chyba kogoś młodego, i ciemne okulary na nosie. Zniknął za zakrętem z wyciem silnika.

– Kaszubski matador, cholera... – wyrzucił z siebie.

Zrobiło mu się gorąco. Zerknął ostrożnie w bok i ruszył na parking.

Olkę musiało to wszystko rozsierdzić, bo szarpnęła za klamkę, kiedy tylko się zatrzymał, wyskoczyła z wozu i poszła do budynku.

Zaczynała wkurzać Thomala. Gdyby chciała wracać, to sam był gotów odstawić ją na busa albo pociąg. Zabrał ją dla zabawy i kamuflażu, ale właściwie teraz była przeszkodą. Komplikowała sprawy. Nie zamierzał się jej narzucać ani przymilać, a koleżanki... nawet w tej na wpół wymarłej mieścinie potrafił sobie zorganizować raczej bez trudu.

Pensjonat był białym niewysokim klockiem, efektem inwestycyjnego boomu lat dziewięćdziesiątych i w tamtym czasie prawdopodobnie pozostawił swą świetność. Budynek został opasany balkonami z obu stron, miał szerokie okna, a od głównej ulicy oddzielały go tylko chodnik oraz nie za wielki ziemny parking.

Thomał wyszarpał z bagażnika dwie walizy i mały czarny plecak. Zamknął klapę i rozejrzał się po okolicy. Na tle ostrego, niskiego o tej porze słońca rysowała się wysoka bryła. Adam przysłonił oczy i zamarł. Jego pierwszy cel stał po przekątnej, nieopodal: pusty szary budynek.

Obrzucił bryłę długim, uważnym spojrzeniem i po kręgosłupie przeszedł mu dreszcz. Boro- wiak się nie mylił, a i kilka godzin zarwanej nocy dało efekty. To było to!

– Psiakrew! – wyrwało się Adamowi. Albo ma prawdziwe szczęście, albo jakaś pieprzona siła kieruje go do obranego celu.

Prawie pobiegł do pensjonatu.

Dziewczyna stała już tam dłuższą chwilę, ale wcale nie wyglądała na złą. Bawiła się całkiem dobrze. Tylko dla zasady obrzuciła go ostrym spojrzeniem i obrażona uniosła brodę. Zaraz jednak pojaśniała od uśmiechu, nachylając się do recepcjonisty.

Wiedziała, jak się drażnić i zabiegać o uwagę.

Chłopak był chyba od niej młodszy. Wyżelowany, cherlawy goguś, szkolny casanova. W tym przypadku z jakiejś hotelarskiej wszechnicy.

Zasiadał za kontuarkiem ze sztucznego drewna, obstawiony stojakami z folderami i mapkami. Nosił za dużą czerwoną marynarkę, w której wyglądał jak wystrojony na odpust traktorzysta. Rozwalił się na krześle, przyjmując pozę wielkiego pana, jakby ten przybytek był jego, i nawijał Oli makaron na uszy oraz słał obślizgłe uśmiechy, taksując, jak sądził, swoją zdobycz.

Adam przeszedł przez pusty hall, przerywając szczebiot wpatrzonyj w siebie młodzieży i stukając walizkami o kafle.

– Thomał. Rezerwacja dla dwóch osób. – Przybrał pozę gotowego na wszystko zabójcy, a przynajmniej tak się mu zdawało. – Olu, twoje rzeczy – oznajmił głośno.

Jednocześnie wpatrywał się w swoją przyszłą ofiarę w czerwonym wdzianku. Wyprężył się, wyprostował i spiął mięśnie. Był wyższy od gnojka o głowę. Podał, a właściwie rzucił dowód na blat poniżej i odwrócił się do Olki.

Młody, słusznie uznając, że popełnił wielki błąd, zaczął prędko wypisywać meldunek. Poj-mował już, że przyczepił się do niewłaściwej laseczki. Nie była sama.

Ta za to bawiła się setnie, obserwując jednego i drugiego. Choć postawa Thomala, wściekłego samca, podobała jej się bardziej i obiecywała sobie podrażnić się z nim jeszcze trochę.

– Siódemka – oznajmił recepcjonista najuprzejmiej, jak potrafił.

Nie był w stanie dłużej znieść płonącego chęcią mordu spojrzenia gościa. Zdjął z haczyka klucz i podał go jakby z lekkim ukłonem. Zrobił przy tym tak zboląłą minę niewiniątka, że Adam prawie się zaśmiał.

– Chodź – rozkazał Oli i wskazał głową szklane drzwi prowadzące na korytarz.

Otworzył, wepchnął się pierwszy i natychmiast się zatrzymał.

– Weź, zaraz przyjdę. – Podał jej klucz z kolejnym nieczułym rozkazem.

– Coś ty... – Mina Oli zrzedła raptownie. – No, nie wygłupiaj się – prawie błagała, odprowa-dzając Thomala wzrokiem.

Przygryzła wargi na samą wizję tego, co może się wydarzyć.

Adam podszedł do recepcji i oparł się o blat. Chłopak wstał, odruchowo cofnął się i szeroko otworzył zdziwione oczy. Grdyka mu zafalowała ze strachu.

– Tak?

Thomał piorunował go przez chwilę wzrokiem, żeby młody wiedział, kto tu rządzi, a kiedy uznał, że postraszył go już wystarczająco, wypalił niespodziewanie:

– Ten budynek, naprzeciwko... Co tam będzie?

– Słucham? – Młody poczuł się skołowany.

– Ten dom. Naprzeciw – powtórzył Adam już spokojniej.

– Eee, że jak? – Chłopak zrobił ostrożnie krok w przód. – Rudera, stara rudera. Ma być hotel. Znaczą się konkurencja od sezonu, ale na razie nic nie robią, więc nie wiem... Zresztą ja nie stąd...

– Kto kupił? Wie... pan? – Ostatnie słowo ledwo przeszło Thomalowi przez gardło.

– Jakiś Szwed chyba. Tak mówią, ale nie wiem dokładnie. Niedawno. Widać jeszcze baner, że na sprzedaż. Pilnują za to tego, proszę pana, jakby tam było nie wiadomo co...

– Pilnują? – wyszeptał Adam i nerwowo pogładził głowę.

Ważna informacja, ale ostatnia, jaką chciałby usłyszeć.

– A tak. – Młody ciągnął dalej, jakby zapalem chciał zamaskować blamaż. – Ochroniarze przyjeżdżają co jakiś czas, ale nie mam pojęcia po co. Bo wie pan, tu są jeszcze wojskowe bu-dynki. Zaraz za miastem jest jednostka... ośrodek prezydenta. No a ci pilnują tej ruinki...

Thomał głęboko nabrał powietrza. Spowaźniał. Dopadła go nagle i niespodziewanie chęć wiania w siebie czegoś z większą ilością procentów. Jednak za łatwo się to wszystko układało.

Sięgnął po portfel. Chłopak próbował protestować, ale jak to mawiali znajomi Adama: „Dwa-dzieścia złotych nie majątek, a przyjaźń piękna rzecz”. Nie płacił za informacje, raczej za to, by gnojek nie wypaplał, że ktoś się dopytywał. Miał nadzieję, że tamten zrozumiał.

Z burzą myśli pod czaszką poczłapał korytarzem do pokoju. Znów musiał się wyrwać. Ale ja-sne było, że to nie będzie takie proste.

*

Piękny, tak naprawdę pierwszy wiosenny dzień stawał się historią. I to nie tylko dlatego, że zapadał wieczór. Znowu zaczynało wiać i od północy nadchodziły chmury. Z początku małe, rozproszone, sunące szybko po błękitnym niebie i zakrywające zachodzący dysk słońca. Z każdą jednak minutą było ich więcej i stawały się coraz ciemniejsze, niemal czarne, jakby w powietrzu wisiała najprawdziwsza burza.

Samolot pojawił się małą kropką na ponurym nieboskłonie, urósł, motory zahuczały i po niedługim czasie szary obły kadłub C-130 sunął już dostojnie po pasie. Wylądował prawie w ostatniej chwili przed deszczem.

Przy hangarach stał niewielki komitet powitalny. Jego członkowie nie byli u siebie, toteż nie czuli się pewnie. Wprawdzie wszyscy pracowali dla jednej firmy, ale Mucha i reszta woleli stać z boku i nie rzucać się w oczy, zgodnie z panującymi zasadami. Zresztą cała kadra lotniska wiedziała, że przy przyjmowaniu takich przesyłek lepiej się zbytnio nie przypatrywać, a o zdjęciach – jakby który dureń chciał na pamiątkę – lepiej było zapomnieć. Konsekwencje mogłyby być surowe.

Hercules dokołował tam, gdzie powinien, prowadzony przez technika, i obrócił się. Do zimnego wiatru od nieodległego Bałtyku dołączył podmuch śmigieł.

Minęło kilka minut, zanim maszyna zatrzymała się na dobre i ucichła. Boczne drzwi otwarto i zaczęli wychodzić z nich ludzie. Odziani w maskujące mundury bez dystynkcji, w kurtkach chroniących przed nadchodzącą ulewą. Na głowach niektórzy mieli zwykłe baseballówki, a niektórzy nieco cieplejsze nakrycia. W końcu, w ich mniemaniu, przybywali niemal na Syberię.

Nietrudno było dostrzec, którzy z nich są tu po raz pierwszy. Widać to było po zaciekawionych, niespokojnych spojrzeniach.

– Baczość! – Rozkaz dowódcy-gospodarza nie był zbyt głośny, ale krótki szereg wyprężył się.

Jankeśi też prędko sformowali linię.

– Ja pier... – wyrwało się Musze mimowolnie.

– Co? Jest? – Stojący obok rosły jak drzewo Wars nachylił głowę.

– Jest. – Konstatacja była smutna.

Tamten też musiał dojrzeć Muchę, bo na jego twarzy błysnął rząd zębów. Nawet skinął lekko głową.

– Będzie zabawa – syknął już zupełnie cicho Mucha.

Powitanie w oficjalnej formie było krótkie. Tu nikt nie bawił się w żadne gadki i ceregiele, a i musztra jakoś uwierała.

Komandor w towarzystwie amerykańskiego kolegi ruszył witać się z każdym z nowo przybyłej grupy. Potem oba szeregi wymieszały się. Ludzie w większości się znali, niejedno razem przeszli.

– Mucha – wielki Amerykanin wypowiedział ksywkę z cudacznym akcentem. Usta krzywił mu uśmiech, ale w oczach miał prawdziwy niepokój. – Cześć – wydukał po polsku, tak szeleszcząco, że co poniektórzy skierowali na niego zdziwione spojrzenia.

– No, cześć.

Mucha nie był pewny, czy to szczere powitanie. Uścisnął Amerykaninowi rękę i wspomnienie kilku gorących pocisków tnących powietrze przy samym uchu prawie nim wzdrygnęło.

– Chciałem... Jeszcze raz... – Gość przeszedł na angielski. – Przepraszam za tamto...

wiesz...

Brodaty operator, podporucznik zwany Celtem, mówił to chyba po raz trzeci, ale pierwszy raz tak skonfundowany. Skoro mieli pracować razem, i to dość długo, pewne tematy trzeba było zamknąć.

– No, dobra, dobra już. – Mucha zdobył się na lekceważący wyraz twarzy i nawet klepnął jankesa w ramię, choć nie było w tym przekonania. Zwyczajnie, po ludzku się go bał.

Celtowi chyba ulżyło, bo skryte pod daszkiem czapki oczy powiększyły się. Ścisnął mocniej dłoń Polaka, przyciągnął go do siebie i zadał kilka w jego pojęciu lekkich ciosów w plecy.

– Człowieku, jakby wtedy... Jak ja bym twojej żonie w oczy spojrział? – rzucił mu do ucha.

Mucha z trudem złapał oddech i spostrzegł, że z pozoru zajęci rozmowami ludzie obserwują ich z zaciekawieniem. Nieczęsto się zdarza, że jeden o mało nie zabija drugiego w walce. Poważny błąd. Efekt kilkugodzinnego boju, zmęczenia i strachu. Wszyscy, którzy tam byli, spodziewali się teraz może jakiejś scysji. A tu... taki zawód.

– Dobra. Zbieramy się. – Komandor klasnął w dłonie. – Biercie rzeczy – rzucił po angielsku ku gościom. – Transport czeka... a potem...

Dzień się jeszcze nie kończył, a gości czekała aklimatyzacja, czyli zaplanowany z wielką starannością weekend w trójmiejskich lokalach.

Pomruk tłumionego niecierpliwego śmiechu i zadowolenia przeszedł przez grupę.

*

– Tak jest, panie generale. – Głos Filipa był szczerze przepełniony optymizmem.

Reprimenda poskutkowała. Kolejnej nie chciał usłyszeć, choć całe to zamieszanie wychodziło mu bokiem.

– W dalszym ciągu... nic – meldował rażno do słuchawki, przygryzając wargę. – Zaznaczam, że nie jest to łatwe i wymaga czasu... – Ubezpieczał się na wypadek ewentualnych kłopotów. – Tak, wiem, ale to wymaga ogromnych nakładów ludzkich, uruchomienia naszych... – Jego słowa przerwał potok cedzonych po drugiej stronie słuchawki przekleństw i gróźb. – Jak tylko będę mógł, poinformuję... – Stękał do mikrofonu, dopóki rozmówca nie zakończył połączenia.

Obliznął wargi i wbił spojrzenie w wielką mapę wiszącą na ścianie. Miał dość. Po prostu.

– Dobre nowiny? – Jego podwładny lubił sarkazm, ale teraz wyraźnie przeholował. – Przepraszam. – Opuścił głowę, udając, że patrzy na buty pod stołem. Potrafił zmienić nastrój, jeśli tylko chciał albo sytuacja tego wymagała.

– Nie – odpowiedział Filip.

Schował komórkę i wrócił na miejsce u szczytu stołu, przy którym zasiadała nieduża grupka mężczyzn. Nie miał zamiaru zdawać im relacji ze swoich rozmów. Zwłaszcza nie z tej i nie z tym człowiekiem. Choć i tak domyślali się wszystkiego.

Było prawie idealnie cicho. Tylko klimatyzacja i zagłuszarki delikatnie szumiały w tym niebieskim, pozbawionym okien pomieszczeniu.

– Podsumowanie i kończymy. Na kolegium przedstawię wnioski. Za kilka dni... – zarządził. – Potem pomyślimy, kto uszczegółowi.

Popatrzył po ludziach, ale najdłużej wzrok zatrzymał na mężczyźnie o wyglądzie maratończyka. Wiadomo było, że wybór już się dokonał.

Tamten zatrzęsł się lekko, ale szybko się opanował. Uczucie, że Filip coś na niego ma, nie cieszyło. A może zbyt się przejmował. Może po prostu mu ufano? Albo szef sam miał wszystkiego naprawdę dosyć? Nieważne. Poradzi sobie, a taki „zaszczyt” dawał wielkie, na-

prawdę wielkie, i to oficjalne możliwości.

To byłoby jak cudowny prezent od losu...

*

Nie bez powodu Adam poprosił o pokój na parterze – łatwiej się z niego było wydostać. Jeden sus przez poręcz i już znajdzie się na trawie.

Ubrał się na czarno, wygodnie: bojówki, bluza z kapturem, czołowa latarka, rękawiczki. W kieszeni coś do obrony.

Olkę udobruchał szybko. Obraza nie mogła trwać wiecznie. Kolacja, krótki spacer nad morze, kilka lampek wina, inne przyjemności.

On sam musiał uważać. Łażenie na włam po pijaku było równe nocy na dołku. Nie pił więc wiele. Odczekał do pierwszej, wstał, przebrał się w łazience i ruszył w noc.

Drzwi balkonowe zostawił uchylone i miał nadzieję, że dziewczyny nie zbudzi wdzierający się do pokoju chłód. Nie lubiła zimna, jeszcze gotowa byłaby zamknąć okno, a co gorsza, odkryłaby, że go nie ma. No, ale jakąś drogę powrotu musiał sobie zostawić.

Nie chciał przechodzić przez recepcję. Tam nastąpiła zmiana pokoleniowa. Na noc za kontuarem zasiadł starszy wąsaty jegomość, na bank trep albo jakiś dorabiający policjant. Thomał nie zamierzał ryzykować. Był pewien, że gość może mieć jeszcze kumpli po niebieskiej stronie i choćby z nudów podesłać im ciekawy temat. Za duża pula była na stole, żeby dawać się zdybać przez przedszkolne błędy.

Wydostał się na wąski balkon i przywarł do balustrady osłaniającej go betonową płytą. Czekał dobre pięć minut, łowiąc każdy szmer, który sugerowałby, że ktoś łązi po lesie okalającym pensjonat albo czai się dalej, za krzakami, gdzie wzniesiono inne budynki.

Wreszcie kiedy uznał, że jest bezpiecznie, przeskoczył barierę i opadł w dół. Wcześniej sprawdził, że oprócz niego i Olki w budynku jest jeszcze jedna mocno wiekowa para, a z obsługi poza recepcjonistą nie ma nikogo. Kucharki i pokojowe przychodziły rano.

Zupełna pustynia.

Dla bezpieczeństwa pochylony podbiegł do płotu. Szywna siatka, najlepsza ochrona przed nieproszonymi gośćmi, za których o tej porze roku można było uważać podchodzące blisko domów dziki.

Buty ślizgały się, krawędzie kłuły nieprzyjemnie w brzuch, ale wreszcie pokonał przeszkodę. Był na zewnątrz.

Pobiegł w rzadki sosnowy las. Cicho, ostrożnie, jak najdalej od budynku, ulicy i kamer. Nie wiedział, czy najbliższe domy też mają monitoring, ale musiał ryzykować.

Obszedł spory kawałek terenu. Podstawy flankowania celu pamiętał z wojska, ale na tym jego pomysły i plany się skończyły. Dalej była tylko improwizacja.

Wzdłuż jakiegoś parkanu przeszedł do szosy. Było cicho, tylko z oddalonego centrum dobiegały stłumione basy klubu, urozmaicane krótkimi wrzaskami pijanych ludzi.

Bezpieczny mrok ustępował pomarańczowemu światłu latarni. Adam lekko się skulił, pochylając głowę, tak by trudniej dało się go rozpoznać, i szybkim krokiem przedostał się na drugą stronę. Poszedł wzdłuż ogrodzonych działek kilku hoteli. Rozejrzał się i upewnił, że jest sam. Cel spaceru miał jakieś trzysta metrów przed sobą. Teraz zaczynało się najtrudniejsze.

Ruszył chodnikiem z głową ciągle pochyloną ku ziemi, jak najdalej od łuny światła. Wybrał pierwszy zaułek z prawej i wszedł między wypoczynkowe posiadłości.

Znów zanurzył się w półmroku. Stanął na bruku, usilnie się zastanawiając, co robić dalej. Nie

słyszał ujadania psów. Liczył na to, że ewentualną elektroniką naszpikowano tylko same wnętrza okolicznych domów, nie ogródki.

Podszedł do najbliższego ogrodzenia i osadzonego na nim eleganckiego płotu. Nie było łatwo się wdrapać, ale jakoś dał radę za drugim podejściem. Przedał się przez krzaki jałowców, lekko je wyginając, i skoczył na ziemię. Znowu chwila postoju. Nasłuchiwanie.

Dom przypominał biały klocek. Był nowoczesny, z wielkimi oknami na rogach ścian i z oszklonymi drzwiami tarasu. Cisza, żadnego światła ani szmeru.

Thomal poruszał się wzdłuż ogrodzenia prawie na czworakach. Nic nie zawyło, nie zaświeciło się. Miał rację, żadnych alarmów na zewnątrz.

Znowu przeskoczył ogrodzenie i wpadł do następnego ogrodu. Przemknął jak cień i powtórzył ten sam manewr.

Dalej była gruntowa droga. Prowadziła od głównej ulicy do bloków, trzypiętrowych budynków chyba jeszcze z bardzo dawnych lat. Wyglądały jednakowo ponuro.

Naprzeciwko znajdowało się blaszane ogrodzenie. Takie, jakie widuje się na budowach. Za nim był cel. Piętrowa szara posiadłość.

W porównaniu z tym, na co Adam się napatrzył, hasając po trawnikach i skacząc przez płoty niczym kot, ten budynek był niewartą nawet spojrzenia bryłą cegieł. Tyle tylko, że lokalizacja i wielkość działki mówiły, że kosztowała o wiele więcej niż wszystko inne w okolicy.

– Skubaniutcy.

Adam aż gwizdnął. Z matematyki był taki sobie, ale rachowanie cen szło mu sprawnie. Widział co nieco na portalach z nieruchomościami. Kalicz był kimś więcej niż handlarzem znaczków i monet, ukrywanych w klaserach mieszkanek w centrum Gdańska. Albo też miał dzianych jak jasna cholera kumpli.

Thomal wdrapał się na ogrodzenie, zeskoczył po drugiej stronie i zaraz doszedł do wniosku, że postąpił niemądrze.

„A jak przyjedzie patrol?”, pomyślał.

Dotarło do niego, że gdyby teraz w uliczkę wjechało auto ochrony, byłby jak zwierz, któremu pozostaje jedynie wpatrywać się w światło reflektorów.

Nie miał gdzie uciekać. Do bloków i podwórek był niezły dystans, a wracać, skąd wylazł, byłoby jeszcze głupsze.

Ostrożnie, dłonią dotykając blaszanego płotu, ruszył w poszukiwaniu jakiejś wyrwy. Potknął się parę razy, ale w końcu dotarł do załomu i wyszedł na tyły. W jednym z bloków, między pojedynczymi sosnami, zapaliło się światło. Thomal był daleko, nie sposób było go dostrzec, jednak dla pewności przypadł do ziemi. Czekał długo, dobre dziesięć minut. Ktoś chyba nie mógł spać.

Noc była ciemna, chmury przykryły niebo, chowając zazdrośnie gwiazdy. Pod sosnowymi pniami nie było inaczej. Podmuch północnej bryzy trafił w blaszane ogrodzenie, aż zaskrzypiało. Thomal zląkł się, ale natychmiast, wściekły na siebie, uspokoił nerwy.

Podniósł głowę, wytężył i tak już wyostrzony słuch. Tak, nie przesłyszał się. Szeroka na metr połać blachy trzaskała o słupek poruszana wiatrem.

Podszedł wolno na czworakach i tknął ją palcem. Była luźna. Szczęście, kolejny fart? Nie zastanawiał się. Od głównej ulicy doleciał głośny terkot wysłużonego diesla.

Snop światła poszedł po ścianie domu, by zaraz paść na śmietniki osiedla. Jakieś auto skręciło w szutrową ścieżkę. Nie było sensowne czekać i upewniać się, czy to prywatny samochód, czy zużyty tysiącami przejechanych kilometrów wóz patrolowy.

Wybił się z nóg, pchnął blachę z całej siły i wleciał w ciemne krzaki zarośniętego podwórza.

Zazgrzytało, kiedy spadł na zwirowe podłoże przez połamane gałęzie, ale pozbierał się prędko i przytrzymał blachę tak, by nie było widać, że ciągle się rusza.

Snop światła skracał się w miarę narastania metalicznego stukotu. Adam z trudem wcisnął głowę między chaszczę i wyjrzał na drogę po prawej.

Samochód musiał być naprawdę niezłe dobity, bo hałasował, jakby miał się rozlecieć. Biały wóz patrolowy firmy ochroniarskiej przetoczył się powoli, aż wreszcie stanął. Drzwi od strony pasażera otworzyły się i nad autem wyrósł wysoki cień. Błysnęła latarka ponad dachem i niezwykle mocny blask poszedł po płocie. Adam padł na ziemię wystraszony, że jednak coś widzieli albo słyszeli i zaraz podejść sprawdzać. Był pewien, że narobił w tych krzakach tyle hałasu, że będzie musiał prędko brać nogi za pas.

Wstrzymał oddech, zacisnął powieki i czekał, co się wydarzy, ale usłyszał tylko trzaśnięcie drzwiami. Silnik nabrał obrotów i patrol ruszył. Zajechał na podwórko bloków, zawrócił, minął dom i podążył dalej.

Adam wygrzebał się z zarośli, usiadł, chowając głowę w dłoniach, i odetchnął. Było mu przerażliwie zimno i dygotały mu mięśnie, ale napięcie schodziło. Oprzytomniał i zaczął się bać. Wiza, jaka nim owładnęła, była aż nadto wyraźna. Gdyby ktoś go nakrył... Izba zatrzymań, sprawdzanie personaliów, informacja do komendy. Toż to byłby koniec kariery. Może pozwolono by mu ochraniać jakiś warzywniak. Wzdrygnął się, czując, jak wiruje mu w głowie.

Wahał się kilka chwil, rozważając, czy nie lepiej jest się wycofać i sprawdzanie tej nory zostawić komuś innemu.

Kilka wdechów, głębokich, tak żeby uspokoić kołatające serce. Podjął decyzję. Sięgnął do kieszeni po czołówkę. Włączył i zmienił kolor światła na czerwony, mniej rzucający się w oczy.

Obszedł budynek najpierw od tyłu. Wysoki płot krył skutecznie nawet wyprostowaną sylwetkę.

Schodki na taras, drzwi. Zabite deskami. Okna wysoko, też zasłonięte.

Od frontu nie lepiej. I wszędzie wysokie samosiejki, zarośnięte kupy gruzów albo śmieci. Znalazł jakiś kij i zaczął szperać przy ścianach.

Przystawał co kilka minut, nadstawiał uszu i gasił światelko, pilnie bacząc, czy nie przyciąga za bardzo uwagi. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Nagle do odgłosu jego kroków i szumu gałęzi dołączył jeszcze jeden – dźwięk wibrującego telefonu, który zabrzmiał teraz niczym kościelny dzwon.

– Kurwa twoja mać! – zaklął półgłosem.

Rzucił kij i sięgnął do kieszeni. Nawet nie patrzył, kto dzwoni.

Kiedy wyłączał telefon, błysk ekranu objawił czarny oczodół niewielkiego okienka piwnicznego. W Adamie się zagotowało. Zdjął latarkę z głowy i ustawił na normalny tryb. Okienko było wąskie, pozbawione szyby. Zdawało się czekać tu na niego od samego początku, a on, gliniarz, go nie spostrzegł.

Kucnął. Trawa przed samym otworem była pognieciona, w bladym niebieskim świetle latarki widział odcisk stopy.

„Ktoś tam jest?“, nastroszył się i odruchowo sięgnął do kieszeni na udzie.

Z teleskopową pałką czuł się nieco lepiej.

Znów się zawahał, ale tylko przez chwilę. Przełamał lęk.

Wsunął w okno nogę i zastygł zaskoczony. Utknęła w połowie łydki. Serce znów zatłukło, ale bardziej ze złości niż z ekscytacji.

Odsunął się, padł na kolana, przypadł do muru i poświecił do wnętrza.

Okienko od środka blokowała krata. Symetryczne połączenie zaledwie czterech stalowych listew. Wcale nie gęsta. Można było wsadzić dłoń albo i na upartego stopę, ale o wizycie w środku trzeba było zapomnieć. Reszta piwnicy, tak jak i całość domu, w bladym świetle wydawała się zapuszczona, stęchła i obdrapana. Krata za to była w oczy świeżą farbą i nitami.

„Zdążyli się zabezpieczyć...”, pomyślał Adam, wstając.

Zaczął przepatrywać ścianę w rozpaczliwej próbie wynalezienia jakiegoś innego otworu. Światło powędrowało ku dachowi, potem ku oknom i znów do piwnicy, na wydeptane ślady.

Zgrzyt kamieni usłyszał w ostatniej chwili. Odwrócił się, ale zdążył dostrzec tylko ciemną sylwetkę. Czarny strój, na głowie kominiarka. Cios zakłuł w szczęce i zakołysał policjantem. Adam padł na ziemię. W ustach poczuł suchy piach. Próbował się dźwignąć, ale napastnik trzymał go nisko. Kop w brzuch, w rękę. Odturlał się, choć niewiele to pomogło. Kopniaki i ciosy jakąś deską padały raz po razie. Nie upuścił pałki. Rzemyk na przegubie był świetnym wynalazkiem. Zamachnął się z całej siły, ale niespodzianie natrafił na blok. Znów cios. Teraz i rzemyk nie pomógł, pałka wymsknęła się z ręki i dyndała u nadgarstka, tłukąc bardziej właściciela niż napastnika. Adam złapał nadciągającą stopę, próbując zadać kolejny kop, i pchnął. Nie za daleko, ale wystarczyło. Kilka sierpów na odwal, ale tylko coś trącił, o nokaucie mógł zapomnieć. Przeturlał się, uchodząc razem, wystrzelił niczym pocisk z lufy i zaczął biec.

Dopiero teraz spostrzegł, że ma do czynienia z dwojgiem ludzi. Skąd wziął się ten drugi, nie miał pojęcia. Tamci, albo zaskoczeni, że włamywacz nie poddaje się bez walki, albo też nie wiedząc, co właściwie robić, nie ruszyli od razu.

Adam rozpaczliwie szukał wyjścia z pułapki. Tłukł w płot z taką siłą, że prawie go wyrwał.

Zerknął przez ramię. Puls mu przyśpieszył. Znał tę pozę. Jeden z napastników składał się do strzału.

Dopadła go nieopisana panika. Napiął mięśnie, godząc się z losem i szykując na ostatni cios. Prerażone ciało potrafiło jednak wykrzesać z siebie więcej mocy. Szybki sus, cios w płot. Szarpnęło, coś się podarło. Zgubił pałkę. Świat zawirował i Adam padł twardo na ziemię. Sekunda niezrozumienia. Zerwał się na nogi. Obite, pokaleczone od ogrodzenia, które chyba właśnie pokonał.

O mało nie zawył. Bolało go w przegubie dłoni i w boku. Na samą myśl, że jednak coś mu połamali, zakręciło mu się w głowie. Nie czuł krwi ani na twarzy, ani na ciele. Biegł tak prędko, jak potrafił, oglądając się co rusz za siebie i zastanawiając gorączkowo, czy do niego strzelili.

Zrobiło się bardzo ciemno. Tylko wiatr coraz mocniej rzucał konarami drzew. Było po wszystkim. Nie miał sił ani ochoty szukać okrzęnych dróg. Istniało spore prawdopodobieństwo, że tę bitwę ktoś usłyszał i patrol zaraz wróci. Wpadł w jakieś krzaki. Przykucnął, zbierając siły i myśli. Dał się podejść, obić... ale komu? Odpowiedź na to pytanie była ważniejsza niż analizowanie porażki. Poobijali go niezłe, tak że wcześniejsza ostrożność przestała go interesować. Miał dość, najzwyczajniej w świecie dość.

Wolno i niechętnie zaczął obchodzić pensjonat z nadzieją, że da radę przeleźć przez ogrodzenie i wdrapać się na balkon.

Kiedy był przy głównej ulicy, telefon zawibrował raz jeszcze.

– Kurwa mać! – ryknął, aż poniosło w miasteczko.

Był gotów rzucić aparatem o asfalt, pojmując w jednej chwili, że to właśnie to cholerstwo zdradziło jego obecność.

– Ależ tyś, kurwa, głupi – wysapał.

Zerknął na ekran. Pewnie Olka go szuka.

Zamiast wiadomości od dziewczyny odczytał esemesa od Krzyśka Zydelskiego: „Co nie odbierasz, smarku. Wpadaj, pijemy. Moja dawna ekipa”. ■

Rozdział 4

Deszcz zaciął ostrymi kroplami niemal poziomo. Wiatr ciskał smugami wody lejącej się z nieba i z prutego kadłubem morza.

Łodzie z ogromną prędkością, pchane silnikami, przecinały fale dziwnie wzburzonej zatoki, unosząc dzioby, by zaraz opaść w dół i powtórzyć manewr.

Pasażerami rzucało w ich siedziskach na wszystkie strony, ale myliłby się ten, który uznałby, że to dla nich jakaś niedogodność. Nic z tych rzeczy. Tych kilkunastu ludzi uwielbiało bujanie, wiatr i prędkość. Przywykli do tego i takie przejażdżki były dla nich jak poranne wyjście po gazetę.

Dwa czarne pontony zrobiły szeroki zwrot ku lądowi i zwolniły. Wybrzeże wyglądało z tej odległości jak wielka, nieregularna plama wynurzająca się z ciemnego morza. Za zasłoną rzęsiatego deszczu trudno było dostrzec szczegóły. Domy, rybackie łodzie na plaży. Jednak pasażerów nie obchodziły ani widoki, ani style miejscowego budownictwa.

– To jest to! – Głos stojącego za sterem, ubranego w potężny sztormiak Warsa przebił się przez pykanie motorów i szum wiatru.

Pasażerowie w czarnych jednakowych kombinezonach, w kurtkach z goretexem, kaskach i zamaskowani dla bezpieczeństwa cienkimi kominiarkami, nie wydawali się specjalnie zainteresowani.

– Głęboko? – Ich wódz odzywał się za resztę.

Był niski i żylasty, ale mocno zbudowany. Efektów codziennych ćwiczeń na siłowni nie zdołały zniweczyć szaleństwa ostatniego weekendu.

– Podobno miejscami do tysiąca metrów – rzucił komandor.

Był wyższy od kolegi zza oceanu i gorzej zbudowany. Przynajmniej pozornie, bo za powierzchnością szczupłego, lekko łysiejącego, spokojnego mężczyzny kryła się bestia. Morsko-lądowy zwierz o niezgorszej kondycji, co w połączeniu z inteligencją czyniło z niego jednego z najlepszych oficerów w oddziale.

– No to co? – Spod czarnej kominiarki spojrzwały roześmiane oczy. – Pobawimy się? – Amerykanin sztampowo uniósł kciuk.

– Jak przyjdzie potwierdzenie. – Komandos nie lubił pozować na luzaka. Nie przy swoich. – Wtedy tak. – Rzucił chłopakom spojrzenie z gatunku ostrzegawczych.

Dawać się ponieść fantazji można było daleko, w nagranych słońcem górach, gdzie zasady nie obowiązywały. Tutaj było inaczej. Na własnym cholernym podwórku, bardzo blisko domu, trzeba było uważać. Bardzo uważać, bo działo się źle. Wars aż się wzdrygnął. Nie podobało mu się to zupełnie.

Goście nie mieli o niczym pojęcia.

– Jeszcze pooglądamy – zarządził i dał znak.

Silniki zahuczały i dwa pontony pomknęły na północ.

*

Pogoda w stolicy była koszmarna. Lało od rana i na ulicach uformowały się wielkie kałuże, jakby piach po zimie pozatykał wszelkie odpływy, co teraz groziło powodzią.

Sebastian i jego kumple mogli spokojnie wyłgać się tą aurą. Frekwencja przecież była mikro-

skopijna. Kilka banerów, których treść informowała o zlu, jakie płynęło z Waszyngtonu, oglądali wyłącznie znudzeni, przemoknięci, nieliczni przechodnie.

Zebrało się tylko sześciu śmiazków, którzy zaryzykowali swoje oceny z zachowania w liceach, i kilku studentów, dla których czas jakoś specjalnie nie grał roli. Sebastiana bolało najbardziej to, że nie było żadnego z trenerów, ale podobno utknęli gdzieś z powodu korków i lokalnych podtopień. Naiwnie w to wierzył.

– USA to wojna! – wyrzycał Seba, ile miał jeszcze sił, aż go w gardle zadrapało.

Hasło może niezbyt wyszukane, ale szczere. Chcieli zwrócić uwagę dziennikarzy, skupionych jak zawsze pod wejściem do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i pod boczną bramą, jakby tej manifestacji w ogóle nie było. Skoro tak, to chociaż niech będzie głośna. Dobrze, że przynajmniej ktoś z portalu i radia Meteor nagrywał i fotografował.

Sebastian wciągnął brzuch i uniósł głowę tak, żeby jego sylwetka wydawała się szczuplejsza, kiedy wykonywano mu zdjęcie, po czym zawył z taką energią, że reporter zmuszony był odskoczyć o krok.

Jakoś trzeba było się pokazać.

Koci wrzask kilku młodych gardeł spotęgowało jeszcze pojawienie się dwóch czarnych aut – SUV-a i limuzyny na dyplomatycznych numerach.

– Są, są – poszło zza banera, gdzie niski, krępowy jegomość w kurtce z wielkim orłem nadawał ton. – Głośniej, panowie, jeszcze głośniej! – zagrzewał zebranych.

Podniósł megafon i rzucił kolejne hasło.

*

Adam wyszedł z komendy, choć wcale mu się to nie podobało. W środku też nie chciał zostać, mimo że wizja przejścia kilku metrów na parking do auta po prostu go dołowała.

Przebiegł ulicę, omijając kałuże, okutany w kaptur i szalik. Każdy szybszy krok przypominał mu o ostatnich wydarzeniach.

Wspomnienie łomotu, jaki zaliczył, i jego następstw trzymało samopoczucie niziutko, przy samej ziemi.

Otworzył drzwi, zanurkował do wnętrza i zasiadł za kierownicą. Włączył silnik i ogrzewanie, po czym zastygł wpatrzony w lejące się po szybie krople i ceglana ścianę potężnej bazyliki, która stała kilka kroków od posterunku.

Cały dzień snuł się ulicami miasta, odparowując zaczepki Stefana, który, zirytowany, wreszcie przestał się odzywać. W opowieść Adama o wypadku na rowerze nie uwierzył, podobnie jak Włoski, który nakazał mu, żeby po robocie poszedł do szpitala MSW i się przebadał. Potem do stał jeszcze zjebkę, że nie zgłosił się tam od razu.

A właściwie dlaczego tego nie zrobił? Udawał twardziela? Zbiła go z pantafyku kolejna kłótnia z Olką? Czy też wpiernicz pozbawił go wszelkich chęci do życia? Chyba wszystko po trochu, choć w Adamie uchowała się jeszcze resztką instynktu samozachowawczego i jakiś głos powtarzał mu, że byle bójka nie może go przecież tak załamywać, a byle cios w jego dumę tak dołować, bo byłby to bardzo zły znak na przyszłość. Z tym że był to bardzo słaby, cichutki głosik. Na razie wyraźniej dały się słyszeć wątpliwości i rezygnacja.

Stracił pewność, cel i zapał. Wyhamował. Na domiar wszystkiego Olka zaczęła ciosać mu kołki na głowie, kiedy zobaczyła, w jakim jest stanie. Bredził coś, że wpadł w dziurę, jednak na niewiele się to zdało i z trudem wypracowywana miła atmosfera obróciła się wniwecz. Do tego stopnia, że wracali osobno. On autem, ona pociągami.

Na koniec doszedł też do wniosku, że efekty nocnych spacerów były tylko wodą na młyn obrażonej dziewczyny. Przynajmniej raz, jeśli chodzi o kobietę, Adam mógł z całą stanowczością stwierdzić, że to nie on nabroił. To tamtej coś nie grało... Nie miał ochoty jednak dociekać.

Oznajmiła mu w esemesie, że idzie spać do koleżanki, co było już jawną groźbą, że ich związek może się wkrótce zakończyć. Thomalowi nie przeszkadzało to zbyt. Nie zwykł przeproszać z gitarą pod oknem. Miał „zapas”. Chwila spokoju w domu też była mu na rękę.

Gożej, że całą niedzielę i od poniedziałkowego poranka telefonami bombardował go Ptasznik. Jakby wyczuł moment, a może wiedział, co się stało?

Thomal sięgnął po telefon i wystukał prędko esemesa do Beaty. Teraz tę flankę musiał nieco lepiej zabezpieczyć. Dziewczyna była gwarancją lepszego jutra.

Poczekał na odpowiedź, nie nadchodziła. Wrzucił bieg, wycofał i wyjechał na ulicę.

Centrum i stare miasto już się korkowały. Wystarczyło tylko trochę deszczu i korki jakby pułchy, namakały. Wydawało się, że kierowcy, bojąc się wody, zwalniają do minimum.

Obrał dłuższą, nieco okrężną drogę do ronda Hucisko, wiedząc, że obok teatru i przy Targu Drzewnym będzie kocioł. Choć tak naprawdę wszędzie zanosilo się na dłuższe zastoje. Ruszył wąskimi uliczkami do Podwała Grodzkiego, potem dalej koło Poczty Polskiej, byle do ruin stoczni, gdzie obok zardzewiałego pustaka Muzeum Solidarności wytyczono nową ulicę. Ratowała go, pozwalala wydostać się z płataniny dróg, dolecieć do głównej i potem okrężną trasą do trzeciej wprost do szpitala.

A nuż dadzą mu kilka dni zwolnienia i będzie mógł poskładać wszystko do kupy. Poza tym naprawdę nie czuł się dobrze.

Wóz mknął prędko, rozchlapując kałuże i ostro biorąc ciasne zakręty między kamieniczkami. Adam minął most na kanale Raduni, starą gazownię i zwolnił dopiero przed skrzyżowaniem z Wałową, już zapchanym, jakby ludzie nie wiedzieli, że obok mają nowy wyłot.

Minął ostatnie domy przed dawnym murem nieistniejącej już dziś stoczni, kiedy za plecami usłyszał wycie silnika. SUV – nie wiadomo, skąd się wziął – przyspieszył, wyprzedzając Adama. Terenowa toyota stanęła w poprzek z piskiem opon, tak że ledwo wyhamował. Auto poleciało na pusty na szczęście chodnik, podbiło na krawężniku i o mały włos nie wbiło się w blaszany garaż.

Panika sięgnęła samochodowego dachu.

Adam chwycił za kaburę, nie mając bladego pojęcia, co się właściwie wyrabia. Wspomnienie dwóch dryblasów z sobotniej nocy wracało z drażniącym bólem obitych miejsc.

Ktoś stanął przy szybie. Zastukał. Facet nosił tanią przeciwdeszczową kurtkę z kapturem narzuconą na garnitur. Był sporo starszy, siwiuteńki. Twarz miał bladą, nieco pulchną, a oczy bystre i błyszczące. Zamachał czymś czarnym. Adam opuścił szybę na sam widok legitymacji.

– Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego – padło ostro.

– Co jest? O co chodzi? – zapytał Thomal jak grzeczny uczeń.

Sam się zdziwił, słysząc swój ton. Strach? Przecież w sobotę prawie że nie obcięli mu jaj. A może jednak obcięli? Gdyby mógł, toby teraz sprawdził.

– Pan pozwoli. – Głos moknącego funkcjonariusza stał się łagodniejszy, jakby uznał, że starczy już tych teatrzyków. – Ktoś chce porozmawiać. – Stanowczym ruchem wskazał na SUV-a.

Adam potulnie kiwnął głową. Ręce mu drżały.

„Boże, wiedzą. Tam była kamera? Może w tym oknie?”

Chciał coś wymyślić na szybko, ale nie potrafił się skupić. Wysiadł i poczuł zimny deszcz. Chłód wiosennego, tylko z nazwy, popołudnia. Nawet przemknęło mu przez głowę, żeby uciec, choć było to najgłupszą rzeczą, jaką mógłby zrobić. Bo i po co?

„Weź się w garść, kurwa mać”, skarcił sam siebie i zacisnął pięści, wbijając sobie paznokcie w dłoń. Prawie pomogło.

Rozejrzał się wkoło. Kilka aut, zaciekawionych kierowców, którzy chyba myśleli, że to stłuczka. W kamienicach ciemne okna.

Otwarto przed nim drzwi. Schylił głowę, by wsiąść, ale zanim to zrobił, usłyszał z wnętrza śmiech.

– To ty? – Gdyby Adam wiedział, jak kretyńsko zabrzmiało to pytanie i jaką przy tym miał minę, nie odezwałby się słowem.

– Kurde flak... – Marian Ptasznik, rozwalony na tylnej kanapie jak jakiś bonza, otarł łzę z policzka. – Szkoda, że nie zrobiłem ci foty. Nasrałeś w spodnie? Wybacz... – prawie zadławił się śmiechem, łapiąc się za podskakujące brzuszysko – ...nie mogę.

– Mam tak stać jak palant? – Thomał z wolna się opanowywał. Zaczynało go to wszystko drażnić.

– No dobrze, dobrze. – Ptasznik jeszcze prychał. – Daj koledze kluczyki... – nakazał, porzucając pozę wesołka. – No dalej... – Spoważniał w jednej sekundzie.

Adam pokręcił głową.

– Chyba nie zostawisz tak wozu, co? A musimy pogadać. Podjedziemy kawałek, nie bój się...

Adam bił się z myślami przez chwilę, stojąc bez słowa w szumie deszczu i mijających go powoli samochodów. Ktoś trąbił od Wałowej. Powstał spory korek, dzięki tym, którzy jak Thomał chcieli użyć skrótu.

Uznał, że nic nie zrobi, a zresztą nie bardzo wiedział, co może mu grozić.

Podał kluczyki moknącemu za nim facetowi w garniturze i wreszcie wsiadł do SUV-a.

– Przypominam, że jestem funkcjonariuszem policji... – oznajmił nienaturalnym, oficjalnym tonem.

Szofer, łysy facecik, zerknął w lusterko dużymi oczami, w których czaiła się jeszcze resztką rozbawienia, i wykrzywił się w pełnym ironii uśmiechu.

– Ty się, kurka, żalisz czy chwalisz? – Ptasznik stawał się coraz bardziej irytujący i napastliwy. Źle to wróżyło. – Jak będziesz mi wyjeżdżał z takimi tekstami, to ci o czymś przypomnę. – Nakręcał się.

Adam wiedział, że nie może dać się sprowokować. Ten facet miał naprawdę dobrych kumpli w agencji. Zwykły ochroniarz... Dobre sobie. Gnoj z plecami jak całe województwo.

„Kurwa, Krzysiek”, Thomał wyobraził sobie kumpla, który mu naraił kontakt. „Zabiję cię, normalnie cię zabiję”.

Nie ujechali daleko. Stanęli blisko nabrzeża stoczni, na skrawku gołej ziemi, gdzie jeszcze niedawno wznosiły się budynki kolebki Solidarności, w wolnym kraju zrównane z ziemią.

Thomał ganiał tu czasem ćpunów, jakichś dilerów i zawsze mu się zdawało, że ten teren ciągle należy do trupa przedsiębiorstwa. Zresztą czy to kogoś teraz obchodziło?

Za SUV-em zatrzymało się auto Adama i jeszcze trzeci samochód.

– Co, kolego policjancie? – Ptasznik szturchnął Adama w ramię. – Przejdziemy się.

Padł rozkaz, nie prośba, i to wypowiedziany w taki sposób, że Thomał naprawdę się zląkł. Na własne życzenie zadał się z facetem, który go przerażał, nie wiadomo, kim był i czym się zajmował. Gdyby nie okoliczności, Adam byłby skłonny pośmiać się z własnej głupoty i wyobrażeń o świecie. Przecież wtopił jak nieszczęsny Kalicz. No może nie aż tak, ale było nieciekawie.

Wyszedł na deszcz. Zmroziło go. Podążył za grubasem pod ścianę jakiejś ruiny, wiekowej

poniemieckiej hali. Tu było sucho. I pusto.

– Co, cwaniaku? – Pytający nie oczekiwał odpowiedzi, a w jego głosie znalazła się spora dawka kipiącej agresji.

Ptasznik sięgnął po papierosa.

– Ty, kurwa, taki kolega jesteś? Telefon ci zamókł, kutasie?

Adam chciał coś odparować, ale tylko otworzył usta.

– Nie wiesz, jak się działa w zespole, to cię trzeba było nastraszyć...

– Jakim, kurwa, zespole? – wydukał Adam. – O czym ty mówisz...

– O takim zespole, co sobie pomaga. Ja ci strzelam z ucha, ty szukasz... a o rezultacie cisza. Niezłą mam podwózkę, co? – Ptasznik wyprężył się i wskazał na mały konwój zaparkowany na klepisku. Dwa ciemne auta obstawiły jego pojazd. Ewidentny przytyk i pokaz siły. – Chyba wspominałem, że mam kilku znajomych...

Podszedł do Adama i nachylił się tak blisko, że chłopak poczuł mieszankę dobrej wody kolońskiej i potu.

– Masz... – cedził grubas z wielką wprawą – ...kurwa, ostatnie ostrzeżenie. Podpadniesz jeszcze raz, to narobię ci koło pióra.

Eufemizm poparł długim spojrzeniem świdrujących oczu i kuksańcem w bark. Zaciągnął się papierosem.

– Marian! – powiedział dobitnie Adam, aż echo poniosło po hali. – Pierdolisz. Chodzi ci o Kalicza i spółkę? Tak? Przecież mówiłeś, że to cię tylko ciekawi. Że w ogóle mam się tym nie zajmować i że jestem porąbany... – Głos nagle uwiązł mu w gardle.

Obrazy z pogawędki na plaży wróciły z całą ostrością, połączone z nagłym, nieprzyjemnym olśnieniem. Pierwsze wrażenie, jeszcze wtedy nad brzegiem morza, było prawdziwe. Nie posłuchał własnej intuicji.

– Łgałeś jak z nut, skurwysynu. – Thomal poczuł się teraz jak wykiwany dzieciak.

Złe spojrzenie Ptasznika spoczęło na sierzancie.

– Ludzie są zmienni – wyszeptał prawie bezgłośnie. – Może i ja się tym zainteresowałem?

Mówił cicho, ale jego słowa rezonowały pod czaszką Thomala z wielką siłą. Adam przypomniał sobie, co Ptasznik mówił na temat zaangażowania w sprawę ABW. Poczul strach. Oddech się skrócił.

„Wpuścił cię w kanał, na wabia. Skurwiel”, olśnienie było nie najprzyjemniejsze.

– Do rzeczy. – Ptasznik nadał się i zaciągnął dymem. – Coś taki poobijany, hę?

W jednej chwili zmienił się w dobrotliwego grubaska przejętego losem kolegi.

Adam odpowiedział po chwili. Musiał się pilnować. Grubas bez trudu mógł wyłapać każdą nieścisłość czy nerwowy gest. Nie było to ani proste, ani przyjemne.

Mówił o Niwie, ale najogólniej, jak potrafił. Dziadek spod wsi też w tej opowieści był, ale zrobił z niego starego pijaczka z demencją. O jego rewelacjach w ogóle nie wspomniał. Żeby nie było to zbyt podejrzanе, wymyślił bajeczkę o skrytce, ale gdzieś, nie wiadomo gdzie... jak w piosence. Bez szczegółów. Legenda miejscowych. Domyślał się, że gruby nie ma innych źródeł. Dodał jeszcze, że był w innych miejscowościach, oddalonych od Helu. Łaził po lasach, pytał po ludziach. A to, jak wyglądał, zawdzięczał scysji pod jednym z lokalnych sklepików. Kiedy skończył, gruby stał zapatrzoną w ruinę, popękane ściany i wytłuczone wielkie okna.

Thomala dopiero teraz ogarnął prawdziwy lęk. Chwycił za gardło i zaczął dusić tak realnie, że prawie zabrakło mu powietrza.

Dotarło do niego, że Ptasznik mógł kazać go śledzić. Lub przynajmniej namierzać jego tele-

fon i logowania do stacji przekaźnikowych.

Grubas rzucił peta na ziemię. Patrzył kilka sekund, jak dogasa, i dopiero zdusił czubkiem buta. Odwrócił głowę i jego okrągła, nabita tłuszczem twarz przybrała jeszcze bardziej obły kształt. Uśmiechnął się.

– To nie można było tak od razu? – Pozorna uprzejmość mieszała się z zawodem. – Coś bym pomógł.

Thomal zastygł. Analizował każdy gest rozmówcy i słowa, które słyszał. Już nic nie rozumiał.

Ptasznik wyszczerzył zęby i sięgnął do kieszeni kurtki po jakieś cukierki. Pochłonął jednego i zaproponował Adamowi. Ten pokręcił przecząco głową.

„Kupił to”, ucieszył się w duchu. „Uważać, trzeba uważać. Teraz przypilnują”.

– Dobry z ciebie glina. – Oświadczenie było nad wyraz ciepłe.

Oczy Ptasznika otaksowały policjanta, a następnie pojawił się szeroki uśmiech.

– Cała agencja lata koło tej sprawy, a ty tu, proszę... Za pismaka... Kurwa, ale zjeby – prychnął, plując okruszkami cukierka.

„Żeby nie zechcieli wrócić do Borowiaka i przycisnąć go po swojemu”, pomyślał Thomal. Jeszcze by go sprzedał. Jeśliby powiedział prawdę, zrobiliby się cholernie groźnie.

– Chuj bombki strzelił. – Ptasznik pacnął pięścią w udo, patrząc daleko przed siebie.

Oczywiste było, że spodziewał się czegoś innego. Znalazł sobie robola, który miał załatwić sprawę, kiedy on pozostawał czysty i udawał niezainteresowanego.

– Sprawa działki i mety w lesie zamknięta – sapnął, rozpoczynając litanie porażek. – Zabójca pod celą. Co ofiara ukryła, zostało znalezione. Cały urząd celny wyjebią, łącznie chyba ze sprzętaczkami, i prokurator im wlezie na łby. Kret z agencji nagadał tyle, że jest podstawa ich zawiąć, choć ruski cyngiel siedzi, skubany, cicho. Sukces, sukces, sukces. – Ironia aż z niego biła. – A moje zainteresowanie sprawą to... – założył ręce na plecach i zadarł oczy wysoko pod sklepienie, jakby było tam coś interesującego – ...to przedsięwzięcie, nazwijmy to, prywatne. Nie było dojścia, trzeba było posłać kogoś... zdolnego – rzucił.

Thomal poczuł się tak, jakby dostał w łeb. Wdepnął w aferę, w jakieś cholerne gówno.

– Roz... rozumiem – wybełkotał.

– Spokojnie. – Ptasznik wyczuł lęk. – Nic ci nie będzie, no oczywiście, jak się będziesz słucał. A może i zajacek coś przyniesie w prezencie... – Urwał. – No, jak to wszystko się zakończy happy endem. Choć po tym, co mówisz... nie sądzę – dodał z wyraźnym smutkiem. – No dobra, kończymy...

Wyprostował się i obrzucił Adama krzywym spojrzeniem.

– Do lekarza idź. – Ptasznik stracił na chwilę swój talent. Brzmiał sztucznie. Bez cienia trocki.

– Taki miałem zamiar – odparł Thomal, siląc się na spokój.

Ruszyli do aut, a policjant z każdym krokiem nabierał pewności, że musi jak najprędzej spotkać się z Beatą i przedstawić jej pewną prośbę. Zanim będzie za późno.

Zanim ktoś uzna, że Adam wie za dużo.

*

Wszyscy zebrani woleliby spotykać się w bardziej interesującym miejscu. Hotele, pensjonaty. Do tego przywykli. Nie musieli przecież płacić. Wszystko za państwowe. Zamiast tego tym razem była jakaś rudera, prawdziwe gospodarstwo rolne. Trzydzieści kilometrów od Warszawy.

Ulokowane pośród, zdawałoby się, bezkresnych wiśniowych sadów. Parterowy budynek. Standard europejski, choć bez szaleństw. Właściciel musiał go przekazać albo sprzedać i nikt niczego tu nie zmieniał. Po co się męczyć w takich warunkach? Krzysztofowi Zydelskiemu nie chciało się dochodzić powodów.

Przynajmniej burbona mieli tu doskonałego.

Upił łyk, zasiadając w głębokim, nieco przetartym fotelu, pamiętającym czasy Gomułki. Odczytywał ostatnie linijki tekstu na trzystronicowym dokumencie.

Zacisnął usta, przewrócił kartki i przeleciał po nich wzrokiem jeszcze raz.

– Tak się bawią – bąknął do siebie i zaraz skrzywił się w półuśmiechu.

Marne maskowanie dla prawdziwego przerażenia, jakie ogarnęło go po pierwszym akapicie.

Pozostali trzej mężczyźni nie mieli ochoty nawet udawać. Choć dwaj z nich zwyczajowy uśmiech w każdej sytuacji mieli niejako wpisany w swoją funkcję. Krzysztofa zawsze to denerwowało, ale teraz...

Siedzieli przed nim jak jakaś komisja gier i zakładów, na starej wersalce okrytej zakurzonym pstrokatym kocem. Kiedy tylko wykonywali jakiś ruch, wyrko jęczało stalowym skrzypnięciem sprężyn.

– Wygląda nieciekawie, przyznasz? – odezwał się ten najmłodszy.

Tego człowieka Krzysztof znał od dawna. Pracowali sporo razem. Czy się polubili? Może i tak. Wojna łączy. Czy byli przyjaciółmi? Nie, raczej nie.

Amerikanin był tylko nieco starszy od Krzysztofa. Za to sporo wyższy. Niegdyś wysportowany, smuklejszy i dbający o formę – bardziej chyba dla zabicia czasu i stresu. Teraz odpuścił i trochę utył. Skronie kwadratowej jak klocek głowy przyprószyła lekka siwizna. I jeszcze ten dziwaczny, typowy dla Amerykanów uśmiech jak z reklamy pasty do zębów.

Drugiego z sojuszników Krzysiek poznał dopiero dziś. Był, podobnie jak Amerykanin, przedstawicielem firmy, ale pozował na opanowanego, małomównego. Powściągał wszelkie emocje. Siedział prosto, nieruchomo.

Krzysztofa bawiły te role. Chyba nawet wyuczone wedle jakichś instrukcji czy podręcznika któregoś z szurniętych psychologów. Modne zresztą pod każdą szerokością geograficzną.

Ale oni tam w USA naprawdę myśleli, że takie gierki wystarczą. Że Chińczyków czy Słowian podejść tego typu popisami. Szkoda mu ich było. Wyglądali jak pozerzy z filmu. A on miał być ciemnym tubylcem, któremu trafił się taki zaszczyt.

Tutaj, w Azji czy gdziekolwiek indziej ci mądrale od zarządzania zawsze byli tacy sami. Przekonani o swojej wyższości, jak jacyś superbohaterowie.

Tylko to, co trzymał w dłoniach, przeczyło ich fajności. Po raz wtóry zresztą. Im to jednak wyraźnie nie przeszkadzało.

– I co tak myślisz? – Trzeci z oficerów nie wytrzymał.

Polak. Chudy, wręcz kościsty. Najstarszy. Już powinien mieć pełnego pułkownika. Zrzutek po weryfikacji. Nie było na niego nic albo naprawdę nie skalał się płasami z tymi, z którymi nie wypadało, skoro sojusznicy dołączyli go do kryzysowej trzódki. Wydawał się też nieźle wystraszony. No ale nie można się dziwić. To nie było czytanie forów w internetach czy filowanie, żeby jakiś trep nie skoczył cichaczem po wódkę pod Kaliningrad.

– No co? – Zydelski zachnął się i wzruszył ramionami. – Wesoło nie jest...

– I nie będzie – wypalił pułkownik.

– Pomożesz? – Stary kumpel nie owijał dłużej w bawełnę. Widać czasu nie mieli wiele.

– Słuchaj – dołączył się drugi z sojuszników – potrzebujemy takich jak ty.

Frazes, wyświechtany tak, że Zydelski aż się skrzywił. Musieli chyba dostrzec jego minę, bo zamilkli na chwilę.

– Powtórzę. – Drugi Amerykanin zaczynał od nowa, bardziej normalnie. – Od kilkunastu miesięcy ilość meldunków przebiła ostatnie kilka lat. Wiemy, że trzy czwarte to podpucha, robienie wrażenia. Ale reszta idzie stąd albo z Niemiec. Wiemy też, że ktoś gdzieś pchnął im wiadomość i coś wiedzą. NSA łapie niektóre szyfry. Tylko niektóre. Tak więc oni mało wiedzą i my nie znamy wszystkiego, ale...

– Coś będzie. – Pułkownik wołał krótkie komunikaty.

Szef minidelegacji posłał mu strofujące spojrzenie, ale Polak nie bardzo się przejął.

– Tak, coś będzie. – Amerykanin mówił dalej, co rusz teraz zerkając na swojego rodaka. – Legalni zamilkli. Nie ma ich. – Pstryknął palcami. – Po prostu cisza. To znaczy w ważnych sprawach, bo generalnie bredzą o wszystkim i o niczym. Ambasada organizuje koncerty i bankiety. Grzecznie i spokojnie. – Teraz obrócił głowę w stronę pułkownika, szukając wsparcia.

Polak przytaknął zamasyście.

– To prawda, to prawda. – Oparł się o wersalkę.

– Musieli przejść na łączność specjalną. Te radiowe komunikaty i nowe tabele...

– Nie z Warszawy. – Dla Krzysztofa było to jasne. – Drugie centrum zarządzające.

I on opadł na fotel, tonąc w rozważaniach. Pobladał i sposepniał. Rozumiał, o co chodzi, ale przyznanie tego na głos... Wystraszył się jeszcze bardziej.

– Tak – stary kolega przytaknął smutno. – Sam widzisz. Nie można ich na niczym złapać. Schodzą głębiej. Kamouflują się. Nasilają propagandę... Ostro, dużo. Gdzie się da i z różnych kierunków.

– Wojna? – wypalił Krzysztof i od razu pożałował, że to powiedział.

Przecież nie wierzył. Uległ wpajaniem od dawna przeświadczeniu, że to tutaj niemożliwe.

Nikt z trójki nie odważył się odpowiedzieć.

– To żeście nas wrobili – rzucił drażniąco, ku aprobachie pułkownika, który prawie niezauważalnie ruszył brodą.

Ale sojuszników nie bardzo to obeszło.

Zydelski spojrział znów na papier.

– Tu nie chodzi o nas i naszą... – jego kolega zerknął na szefa niepewny, czy może mówić dalej – ...genialną administrację. Nas praktycznie nie ma. Nie było. Opuściliśmy Europę. Kazali nam się uczyć chińskiego. No a wielbicieli kawioru to wykorzystali. Chyba rozumiesz, co się działo. Teraz musimy reagować, jak zawsze po fakcie... – niespodziewanie szczerza samokrytyka – ale w tym burdelu...

Pułkownik kaszlnął, dając znak, że gościnność ma jednak swoje granice.

– ...trudno jest zaczynać od początku. – Amerykanin wybrał łagodniejszą wersję. – Tymczasem nasi znajomi ze Wschodu tu byli i... – kontrolnie rzucił okiem na polskiego oficera – ...nadal są.

Odczekał, ale nie było żadnej reakcji, więc mówił dalej.

– Zaczęli zabawę, ale odbija im się czkawką i im gorzej się u nich dzieje, tym dalej do przodu będą uciekali. Z nami czy bez nas. Was mają pod bokiem, jak ten bęben do walnięcia, nawet kosztem swoich śpiochów. – Umilkł, jakby niepewny, czy Zydelski zrozumiał ten nieco zawołany wywód.

Krzysztof nie był jednak ani głupi, ani nowy w tym fachu. Odstawiono go na bok, ale potrafił wyczytać z telewizyjnych informacji więcej niż przeciętny człowiek. Miał nawet taką zabawę

w rozpoznawanie gadaczy, którym można by było zarzucić, że podpowiada im ktoś niewłaściwy. A kto wie, może i płaci? Sporo ich było. I to z każdej strony. Już to wskazywało, że atmosfera się zagęszcza. Sam był pewien na bank dwóch mądrali, ale kandydatów znalazłoby się o wiele więcej.

– Dacie się zastanowić? – spytał.

Trzej mężczyźni drgnęli i na pół sekundy rozpromienili się. Czekali na to pytanie. Mieli Zydelskiego już prawie w garści.

– Oczywiście. – Główny sojusznik był wyraźnie zadowolony. – Powtarzam, potrzebujemy cię. Ufamy ci...

Przez głowę Krzysztofa przeszła ponura do bólu myśl, że tamci naprawdę traktowali co niektórych jak duże dzieci. Ciągłe, niemal za każdym razem, kiedy coś chcieli, silili się na popisy.

„Niereformowalni”, uznał, z trudem wstrzymując się od pokręcenia głową.

W sprawach, które reprezentowało to szacowne gremium, siedział może nie za długo, ale poprzednie roboty ocierały się i o ten dział. Wiedział wiele, szkolił się, pracował na źródłach. Na pewno nie był jedynym, którego wytypowali. Nie przy takiej operacji, nie w takiej skali. Prawda, w tym „dzikim kraju”, jak to określił klasyk, znaleźć kilku sprawiedliwych nie było łatwo, ale na pewno nie szukaliby jednego człowieka do czarnej roboty.

Byli inni, to pewne. Tylko gdzie? Najprawdopodobniej nigdy nie miał się tego dowiedzieć i w zasadzie mało go to obchodziło.

Problem wydawał się rzeczywisty, choć z trudem to do niego docierało. Przerazał, dosłownie paraliżował wizjami i wspomnieniami z wojen, które on sam widział.

Odwrócić się tyłem i powiedzieć „spadajcie” byłoby w tym momencie czystą głupotą. Nazywać to mógł patriotyzmem, poczuciem obowiązku. Wielkie słowa. Mało ich używał, uznając, że są dobre dla podstarzałych kombatantów. On po prostu robił to, co należało.

– Nie mogliście dać tego wcześniej? – Opierał się dla zasady, ale wątpliwości miał szczere. – Ja rozumiem, że nam nie ufacie, ale to jest, cholera, poważne dziadostwo.

– Dwa dni wystarczy? – Teraz to główny sojusznik był potulny i uprzejmy. Udawał, że nie słyszy przytyku.

Krzysztof nabrał powietrza. Spojrzał im wszystkim w oczy.

– Jeszcze jedno. – Spoważniał. – Skoro grozi nam to wszystko – stuknął palcem w papier – to po co ta cała akcja?

Zdawał sobie sprawę, że pytanie jest głupie, ale chciał mieć jasność.

Amerykanin wyszedł z roli. Rozluźnił napięte ciało. Pochylił się, patrząc spod brwi nieruchomymi, dużymi oczami.

– Opuścisz w jednym miejscu – cedził przez prawie zaciśnięte zęby – to poczują krew. My albo oni. Raz, a dobrze. Bez pierdolenia o współpracy. Zawsze to ugrywali po swojemu i robili, co chcieli. Zwłaszcza kiedy nas zabrakło w tej części świata. Koniec z tym. Muszą zrozumieć, że nie ustąpimy im pola... A to... – wskazał na kartki – to jest tylko okazja. Pretekst. I sprawdzian dla tych, którzy znajdą tyle odwagi, żeby postawić tamę. To sprawa... prestiżu. – Ostatnie słowo zawisło w powietrzu.

– Prestiżu...

Krzysztof westchnął i osunął się w fotel.

– Obyś żył w ciekawych czasach – wymówił ledwo słyszalnie.

Na te słowa kwaśno uśmiechnął się tylko siedzący naprzeciwko Polak, wbijając zamyślony

wzrok w podłogę.

*

Dom leżał na uboczu niewielkiej wsi, na wzgórzu, z którego rozciągał się ujmujący widok ku dolinie i wąskiej wstędze rzeki, połyskującej teraz w wiosennym słońcu.

Budowla nie była okazała, choć poświęcono na nią nieco więcej materiałów niż na inne domostwa w osadzie. Powstała mała warownia. Kamuflaż zastosowany i ulepszany przez właścicieli doskonale spełniał jednak swoją rolę.

Z zewnątrz budynek wyglądał jak nędzna chałupa, jednak w środku urządzono go według iście zachodnioeuropejskich standardów. Drewniane podłogi, bielone ściany, bibeloty, meble i telewizja, którą odbierano tu za pośrednictwem skrytej na dziedzińcu anteny.

Mieszkańcy wsi wiedzieli, kto tu mieszka, i siedzieli cicho. Nie mieli zresztą wyjścia. Dawało im to też pewne profity. Choćby ochronę – silną, dyskretną i bardzo sprawną – która pozwalała im spać spokojnie. Zbrojne ramię broniło i ich, i całej odludnej okolicy, w której centralna władza miała może tylko kilku policjantów.

Niemilosiernie zakurzony terenowy wóz, ciągnąc za sobą czerwonawy obłok, piął się wąską ścieżką po grzbiecie wzgórza. W środku jechał tylko jeden człowiek. Przeszedł kontrolę aż na trzech punktach blokujących jedyną tutaj szutrową drogę, przypominającą górską ścieżkę.

Wóz dokładnie sprawdzono z każdej niemal strony, ku irytacji przybysza, nie należał on bowiem do ludzi, którym przetrzepywano by auto, i to tak bezkarnie. Ale z miejscowymi nie miał zamiaru dyskutować, byli trudni, ale potrzebni i tak naprawdę dobrze wywiązywali się z zadań. Nie chciał z nimi żadnych zatargów.

Gospodarz domu już dawno wiedział, kto nadjeżdża, więc wyszedł przed próg ubrany nieco bardziej odświętnie. Dla takich ludzi jak jego gość wkładał szyty na miarę włoski garnitur oraz dobre buty. I tylko kruczoczarna lśniąca broda, ogorzała twarz oraz krzywe żółte zęby w śladowej liczbie burzyły obraz zwykłego biznesmena.

Auto zatrzymało się na samym szczycie w tumanie wolno opadającego kurzu. Kierowca wysiadł. Zdjął połyskujące złotymi oprawkami ciemne okulary, rozejrzył się wokół z uwagą i nagle błysnął wytrenowanym szerokim uśmiechem.

Nie był tak elegancki jak gospodarz. Miał na sobie zwykłą wojskową kurtkę z demobilu, dzinsy, koszulę i arabską chustę jako szalik. Nie przepadał za sztucznym szpanem i nosił się swobodnie. Ze swoją pozycją mógł pozwolić sobie na ostentacyjne prezentowanie tego stylu, żeby pokazać, jakie ma podejście do swoich kontrahentów. On był najważniejszy i nie stroił się w piórka dla poklasku. Musieli to rozumieć.

– Harim! – Wysoki przybysz o głowie pokrytej meszkiem krótkich rudych włosów rozłożył szeroko ramiona.

Gospodarz najpierw się uklonił, po czym uściskał przybysza z równie szerokim uśmiechem. Bawił się konwencją, wiedział, że to handlowy teatr, ale lubił to. Był starszy od gościa, niższy, wątlejszy i mimo wielkich możliwości zależny głównie od ludzi takich jak ten oraz od podobnych przedstawień.

– Zapraszam, Madzd, zapraszam. – Uklonił się zamasyście, nie tracąc uśmiechu, i wskazał wejście.

Rudy mężczyzna, także z uśmiechem, odwzajemnił ukłon i przekroczył próg.

W domu pachniało wspaniale. Gdzieś zza drzwi dolatywał stukot garnków i stłumiony odgłos skwierczącego mięsa. Obie żony Harima, skryte w odosobnionej kuchni, gdzie wzrok gości miał

nie docierać, szykowały najwyraźniej obiad. A sądząc po zapachach – prawdziwą ucztę.

Gospodarz wprowadził gościa do swojego gabinetu. Nieco zbyt niskiego, tak jak i całe domostwo, ale za to skrytego w głębi za grubym murem.

Odkąd Harim zamieszkał na wzgórzu i podniósł ten dom z ruin, Madżd za każdym razem, kiedy go odwiedzał, nie potrafił oprzeć się zabawnemu wrażeniu, że pokój, w którym rozmawiali, był kopią pomieszczenia z któregoś z zachodnich seriali. To przeświadczenie dopadało go przy każdej wizycie, ale nigdy nie potrafił odgadnąć, o którą produkcję chodzi.

Zawodowa spostrzegawczość oraz umiejętność wyławiania szczegółów nie zawodziły Harima. Od kiedy wszedł na wyższy poziom zleceń i zaczął pławić się w prawdziwych pieniądzech, łączywie czerpał z popularnych wzorców. Choć oficjalnie, na pokaz, grał rolę oświeconego, zatrokanego muzułmanina, w rzeczywistości był hipokrytą. Madżd to okrutnie śmieszyło, bo sam nie bawił się w podobne ceregiele. Już dawno przeszedł na tę ciemniejszą stronę i nie odmawiał sobie niczego, rezygnując z wpojonych mu kiedyś rytuałów i obyczajów. Był zbyt bogaty i niezależny, by ktokolwiek odważył się prawić mu morały z tego powodu.

Rozmawiali przy herbacie. Uprzejmie, spokojnie, o sprawach nic nieznaczących. Kilka minut, jak nakazywał zwyczaj. Dopiero kiedy wyczerpali zapas sztamponowych tematów, Harim zadał zwyczajowe pytanie:

– To cóż cię do mnie sprowadza, przyjacielu? – Oparł się o lakierowany blat i splótł palce, wpatrując się z uwagą w gościa.

– Musisz wybaczyć, że nękam cię ponownie, tak prędko. – Madżd przysunął rękę do serca i lekko się uklonił. – Ale wodzowie na górze mają masę pracy. Znowu cię potrzebujemy.

Postarał się, żeby ostatni zwrot zabrzmiał odpowiednio doniośle. Harim, jak wielu mu podobnych, stał się bardzo próżny.

– Ludzi mam mało – westchnął gospodarz. – Zmęczeni albo się szkolą... – Opierał się dla zasady, ale zdradził się, odruchowo napinając pierś niczym paw. – No ale dla ciebie... – rozłożył ręce – ...coś się znajdzie. Co to ma być? Tak jak ostatnio?

Madżd uśmiechnął się.

– Dziękuję serdecznie. Nie, nie do końca. Większe ryzyko, dłuższa realizacja i odległość. Potrzeba będzie najlepszych, jakich masz. Może tuzin, może więcej. Plus... – chwila pauzy dla efektu – ...jeden, dwóch osobno. Dodatkowo.

Niemalże mrugnął okiem, przyznając, że prosi o nieformalny bonus.

– Dwa obiekty? – Harim zrozumiał perfekcyjnie, ale jego twarz niczego nie zdradziła.

Nie lubił rozdawać podarunków, zwłaszcza kiedy nie rokowały na prędkie rewanz.

– Koordynacja. Z tym może być kłopot... – zaczął taktyczne utyskiwanie. – Skupiamy się zwykle na jednym... zadaniu.

Zabębnił palcami w mebel i odwrócił głowę ku jakiemuś obrazkowi na ścianie. Madżd rozparł się w obrotowym krześle.

– Dwa, Harim. Na tym etapie nic więcej. Znasz zasady. Ta dodatkowa grupa... cóż, pojedzie, odbębni swoje i wraca. No i mogę ci obiecać – zabrzmiało to nad wyraz uroczyście – że wypłata będzie odpowiednia do poziomu trudności.

Znaki zapytania, które kłębiły się w głowie gospodarza, zaczęły nagle ulatywać, jakby zupełnie przestały go obchodzić. Usłyszał, co chciał usłyszeć. Twarz rozbłysła już jawną radością.

– Co możesz powiedzieć? – Sięgnął po notes i długopis.

Po kilku zdaniach gospodarz już wiedział, że zasoby, którymi dysponuje, mogły zostać unicestwione w jednej chwili. Ba, jeśli sprawy miałyby się posypać w czasie akcji, to chyba by na-

wet wolał, żeby tak właśnie się stało. Gdyby bowiem pojмали kogoś z jego stajni... Mudzahedini byli twardzi i gotowi na śmierć, ale jego wrogowie mieli na to swoje sposoby. Potwornie skuteczne. A zeznania mogłyby ściągnąć ogromne problemy, nawet tu, pod parasol, jaki zapewniał mu Madżd i jego mocodawcy.

Wiedział, kim są, nie przepadał za nimi, ale zarabiał i żył dzięki nim jak prawdziwy szejk. Nie wtrącali się w jego interesy, puszczali transporty, patrząc przez palce, ale w zamian, od czasu do czasu, poza wszelakimi kanałami odwiedzali go tacy jak Madżd i prosili o pomoc. A Harim miał swoje wejścia i szerokie znajomości. Zyski, a także sentyment dla dawnych czasów, kiedy jego i jemu podobnych ktoś przygarnął, zmuszały do posłuszeństwa.

Ludzi jednak było szkoda. Zdolni, religijni, sprawni i nieprzeciętnie odważni. Zaraz jednak przyszło opamiętanie. Po pierwsze, pieniądze, po drugie, ochotników miał całe pęczki. Palili się do działania i jaką taką wprawę już mieli, bo zdobywali szlify od Peszawaru po Damaszek. Wystarczyło ich obrobić i słać w świat.

Zresztą innego rozwiązania nie było. Madżd zapewniał spokój. Dzięki takim jak on Harim nie musiał z lękiem zerkać w niebo, wypatrując przeklętych dronów.

*

Drzwi rozleciały się w błysku głuchoj eksplozji. Były liche, nie wytrzymały nawet małej ilości ładunku.

Nie czekali, wpadli z deszczowego dnia w zadymiony i ciemny korytarz.

Latarki przy lufach MP5 nie dawały wiele światła. Pozostawało się przyzwyczaić, polegać na instynkcie albo wpojonych odruchach. Mieli je wszyscy trzej.

Pierwszy cel. Trzy kule. Padł. Uskok w bok. Drugi w rogu. Kilka strzałów. Ziemia. Przejście. Następny pokój większy, jeszcze bardziej ciemny.

Weszli szybko, całkiem sprawnie. Serie, trzask i echo. Dym. Dalej kilka mniejszych klitek. Nie każda była zajęta, ale musieli się namęczyć. Jeszcze kilka wystrzałów. Ostatnie drzwi. Kopniak. Światło dnia, deszcz.

– Czas! – Zydelski zdarł z głowy gogle i kominiarkę. Pochylił się, oparł dłonie o kolana i łąpał powietrze.

Mucha pokazał stoper.

– Nieźle. – Uśmiechnął się. – Pan kapitan nie zardzewiał. – Podziw ukrył pod płaszczkiem lekkiej uszczypliwości. – Lepiej tak czy na ślepaki? To co, Wars? – Spojrzał na trzeciego. Wysocki facet właśnie zabezpieczał pistolet. – Przyjmiemy pana kapitana na powrót?

– Bez łaski. Gówno możecie. Kto inny werbuje – rzucił Krzysztof z udawaną złością.

Zaśmiali się wszyscy.

W kieszeni Zydelskiego zadzwonił telefon. Wyciągnął go, spojrział na wyświetlacz, spoważniał i odebrał.

– Jestem...

Przeszli wzdłuż ziemnego wału, który okalał chatkę. Na brunatnej polance obok firmowego land rovera stało o wiele bardziej luksusowe auto.

– Sorry. – Zydelski odwrócił się do kolegów.

Oddał broń Warsowi, poprawił kurtkę i poczłapał do samochodu.

– Bawisz się czy doszkalasz? – Nie zdążył jeszcze zamknąć za sobą drzwi auta, a już usłyszał pytanie od dawnego kolegi ze Stanów.

– Może się przydać. Zazdrościsz? – Podał rękę jemu i siedzącemu z tyłu Polakowi. – Sam

byś sobie przypomniał. – Popatrzył na zmurszałą chatkę. – Dużo wspomnień – westchnął.

– Cóż, każdy się rozwija. – Amerykanin nie miał zamiaru dać się zagadać. – Jedni robią karierę, inni idą w odstawkę – dodał.

– Dobra, co jest? – Zydelski nie miał ochoty na pogaduszki.

– To jest, że machina rusza – odezwał się Polak siedzący z tyłu.

– Co? Znowu? A ostatnio co to było? Falstart?

– Ale jesteś zabawny.

– Za dwa dni wychodzi zespół. – Amerykanin przejął pałeczkę. – Osłona czeka w blokach i jedziemy z tematem.

Zydelski słuchał, podpierając brodę o dłoń i śledząc krople na szybie.

– Data?

– Dowiesz się. Tylko kilka osób będzie znało szczegóły. – Jankes wyglądał na naprawdę przejętego. – Znasz ogólną zasadę. Pamiętasz... Plus dziewięćdziesiąt sześć godzin. Plus... – powtórzył.

Wyznaczone ramy były zmyślane. Zwykła zagrywka w celu oszukania wroga czy każdego, kto szuka informacji.

– Nasz kolega z DC jeździ, gada, robi zamieszanie i dobrze. Ale wiemy, że nasi ulubieni przyjaciele coś mają... – Chrząknął podpułkownik. – Zbierzesz zabawki i odstawimy cię do bunkra. – W jego głosie słychać było przejęcie.

– Gdzie?

– Dowiesz się. – Jankesi lubili takie filmowe tajemnice.

– To może tamci mi powiedzą – nie potrafił się powstrzymać Krzysztof.

Amerykanin pokręcił z niesmakiem głową.

– Zespół poznasz na miejscu – mówił dalej, nie wdając się w utarczki słowne. – Mieszana kadra, ale sprawdzeni. Nie za wielu. Możesz z tych tu – wskazał za okno – dobrać kogoś do ochrony, czy jak to nazwiesz. Będziecie mieć pierwszeństwo w obróbce spływających wiadomości. Twoja i ich głowa w tym, jak je obrobić.

– Krótko – wtrącił się Polak z tylnego siedzenia. – Patrzysz, analizujesz i posyłasz wnioski. Jeden dzień strachu i koniec, potem przejmie to stała jednostka. Już ją zgrywają w Drawsku.

– Tak... – Nozdrza Zydelskiego się rozszerzyły. – Dzień strachu. – Przygryzł wargę. – Nawet nie pytam, co mi zrobicie, jak coś nie wyjdzie...

*

Beata grała pierwszorzędnie lub, w co trudno było uwierzyć, przejęła się naprawdę. Przekrzywiła głowę i delikatnie gładziła dłonią policzek Adama, nie zważając na spory tłumek w kawiarni, szepty i wypowiedane półgłosem żarty.

Staranny, mocny, oszałamiający makijaż dodawał jej drapieżności. Ale też maskował ślady intensywnego życia. Nocnych dyskotek, picia i szaleństw, którym się oddawała. Umiała udawać, że o sobie dba.

Oczy wpatrzone w mężczyznę koily spokojnym spojrzeniem. Thomal nie podejrzewał jej o takie umiejętności. Romantyzm i nieskrywana troska pasowały do Oli, a nie do Beaty – tej rozbawionej drapieżnicy świata biznesu.

Nie przyszło mu do głowy, że był to efekt jego popisu – kliwej bajeczki, kolejnej z ogromnego arsenału bezczelnych, zmiękczających kłamstw. Wyrabiał się, wchodził na wyższe poziomy, skoro i tym razem się udało.

Zresztą zakładał, że będzie łatwo. Dała się złapać na złożoność i powagę afery, jaką Adam jej przedstawił. Oczywiście w bardzo zmienionej formie i ogólnikowo. Rzucił hasłami: płatni zabójcy, wielkie pieniądze. Podparł to prawdziwą historią zamordowania antykwariusza w Sopocie, sprawą powszechnie znaną, tak jak i śmierć Kalicza, ale tego wolał nie tykać. Dziewczyna nie znała się na tym, choć minę robiła poważną i potakiwała z udawanym znawstwem. Było jej miło, że Adam obdarzył ją zaufaniem.

Właśnie dostała sygnał, że może myśleć o nim poważnie. Była zbyt inteligenta, by nie widzieć gówniarskich zagrywek Thomala, ale imponowała jej jego męskość i nimb glińiarza, na którego pozował przy każdym spotkaniu. Poddawała się jego urokowi, choć bez większych zobowiązań. Do dziś. Dziś też uznała, że przedstawienie go rodzicom nie było wcale złym pomysłem.

Teraz spokojniejsza i pewniejsza mogła sama wyjść z roli wyzwolonej, samodzielnej, nieczulej kobiety.

– Mój tata może pomóc? – Jej pytanie zawisło ponad filiżankami parującej kawy.

Thomal wstrzymał się z odpowiedzią.

„Sprawdza mnie?”, pomyślał, bo dotarło do niego, że za tą śliczną buzią działa przecież bystry umysł.

– Tak – odpowiedział po chwili, sugerując absolutną pewność wspartą niewzruszonym spojrzeniem. – Ktoś z górnej półki... Tu na poziomie województwa... – Ściszył aktorsko głos.

– A ty przypadkiem nie chcesz po prostu narobić punktów? – wymusnęło się jej nagle.

Przecucie? Kobieca intuicja? Adam poczuł ukłucie gdzieś w okolicy żołądka, ale wytrzymał. Tylko nerwowy odruch drapania się po brwi mógł zdradzić, że nie jest szczery, ale Beata chyba nie potrafiła odczytywać takich gestów.

Milczeli chwilę. Za wiele przemyśleń, emocji i przede wszystkim ważnych wniosków jak na jedną przerwę obiadową.

Chmury za wielkim oknem kawiarni w centrum handlowym rozstały się i błysnął promień słońca. Był ciepły, kojący. Wszyscy klienci ożyli się raptownie, jakby czekali na to od dawna.

Asfalt, budynki, chodniki połyskiwały odbitym światłem, a od ulicy Dmowskiego nieboskłon przecięła potężna tęcza. Beata i Adam unieśli wzrok.

– Dobrze. – Odpowiedź, na którą czekał policjant, była pewna. – Zadzwoń. Ma być w ten weekend w Trójmieście... Może da się namówić – dodała, nie odwracając głowy od okna.

Thomal uśmiechnął się w duchu. Koniec długiej drogi prędko się zbliżał. Pozostawała ostatnia prosta. Byle się do niej dobrze przygotować.

To nie jakieś komisje, pogaduszki i testy. Miał szansę rozmawiać z szyszką, prawdziwą szyszką, do tego trzymał asa w rękawie. I to takiego, którego przypłacił niezłym łomotem. Mógł też dorzucić kilka zapewnień o poważnych zamiarach wobec córeczki i... Nie, tego lepiej użyć w ostateczności. Co innego było ważniejsze. Groziło mu niebezpieczeństwo. Dostał już przecież po dupie... A Ptasznik był zawodnikiem wagi ciężkiej. Adam nie dorastał mu do pięt. Facet wyćwiczył się w dobieraniu roli i w graniu. Do perfekcji. Przecież cała ta sprawa miała go nie obchodzić, a tu, proszę, chyba poczuł najprzyjemniejszy zapach na świecie – kasę. Albo wiedział coś więcej o tym, co Kalicz i kompania mogli ukryć.

Thomal gubił się w domysłach i podejrzeniach. Tracił orientację w tych piętrowych układankach i rozmyślaniach, kto i jak. Zdawało mu się, że teraz wszyscy grają, udają i rzucają mu kłody pod nogi. Ptasznik, stary Borowiak, a może i Beata...

Skronie nagle zapłonęły mu bólem. Przysunął się bliżej stołu, podparł się na łokciach i wlepił

oczy w resztki kawy.

– Dziękuję. – Nawet nie podejrzewał siebie o taki babski ton. – Pomożesz mi bardzo – powiedział, unosząc brwi.

Beata patrzyła z uśmiechem, również zdziwiona jego przemianą.

Adam odetchnął, ale ulga nie miała trwać długo. Rzucił okiem za okno, chcąc złapać jeszcze jeden ze słonecznych widoków, i zamarł.

Jak mógł być tak nieostrożny, tak beznadziejnie głupi. Wybrał miejsce na chybił trafił, byle Beacie było lepiej, bliżej banku. Tu wszędzie znajdowały się jakieś banki. Banki i... studenckie bary.

Ola stała przy oknie z koleżankami. Nie patrzyła na nie, nie rozmawiała. Gapiała się za to z drżącą brodą na parę przy stoliku.

Zanosilo się na prawdziwą burzę...

*

Drzwi mieszkania otworzono kluczem. Siedzący w ciasnym salonie konspiracyjnego lokalu wstali, czekając na entré szefa.

– Cześć – rzucił z korytarza, dokładnie zamykając za sobą wszystkie zamki.

Mężczyzna zdjął płaszcz i odłożył klucze na stalowy talerzyk.

Obstawa jak zawsze gnieździła się w kuchni. Stali teraz na baczność, ale machnął im ręką, żeby siadali i pili dalej herbatę.

Ścisnął mocniej w dłoni skoroszyt oraz plik urzędowych pism i przestąpił próg salonu.

W pomieszczeniu panował półmrok. Okno wychodziło wprawdzie na otwartą przestrzeń, ale na zewnątrz słońca było jak na lekarstwo. Do tego na wpeł zaciągnięte zasłony i ta szkaradna, szara, odchodząca od sufitu tapeta, pamiętająca chyba jeszcze czasy towarzysza Gorbaczowa.

Meble nie były wcale młodsze. Obowiązkowa meblościanka z płyty lakierowana na brąz, który lekko zszarzał. Za szklaną witryną kieliszki i szklanki – duma i chluba dawnych właścicieli. Wszystko pokryte kurzem, który czuć było nawet w zatęchłym powietrzu.

Pułkownik Filip Siemionowicz Arłwow – człowiek postawny, o niezwykle gęstych włosach farbowanych na kruczy kolor, zaczesanych do tyłu, i o gładkiej twarzy – stał przy drzwiach. Minę miał nietęgą. Trapiło go coś, i to mocno.

Odczekał, zanim pozwolił usiąść trójce podwładnych. Też mieli poczuć ciężar tego momentu. Rzucił trzymany w ręku płaszcz na wersalkę, między dwóch swoich ludzi, i zasiadł do stołu pod ścianą, po czym trzasnął papierami o stół nakryty obrusem i rozmasowując nerwowo palce, syknął:

– Siadajcie, siadajcie.

– Co jest?

Major Piotr Nikonin, wysportowany, zylasty typ o posturze maratończyka, znał Arłwowa tak długo, że mógł pozwolić sobie na zadawanie pytań od razu, bez ceregieli. Zresztą robił to zawsze za innych.

Pozostałym nastrój szefa wyraźnie się udzielił. Byli to dwaj kapitanowie, Matwiejew oraz Olegin, młode wilczki po kilku misjach. Wytrenowani i bystrzy, oddani i wdzięczni za skierowanie ich na ten odcinek wprost z gór gdzieś na Kaukazie.

Matwiejew, czupurny brunet z kilkudniowym zarostem, sięgnął po papierosa. Nie powinien, trenował dużo, ale w tej robocie używka była rzeczą konieczną. Nie musiał pytać. Zasady były jasne. Palić zawsze wolno.

– Robimy, robimy jak jasny chuj! – Arlwow klasnął w dłonie i zdawało się, że aż podskoczył.

Nie czuł radości, ale musiał zarażać optymizmem. Taka rola.

– Kiedy? – Nikonin lubił proste pytania i jeszcze prostsze odpowiedzi.

– Nie wiem dokładnie. – Pułkownik wzruszył ramionami. – Data przyjdzie w ostatniej chwili. Mogą zresztą nie wcelować. U naszych cisza w eterze. Jeśli dadzą sygnał, to na pewno ich namierzą. Będą pilnować choćby i jednego przecinka. A ma być ostro – powiedział już niewesoło. – Spora robota. Spore wsparcie... Po całości, jakby się świat walił.

Arlwow sięgnął do kieszeni marynarki po paczkę papierosów zachęcony dymem amerykańskich fajek podwładnego. Zapalił, zaciągając się łapczywie nikotyną, i kontynuował.

– Sporo będzie zachodu, tkania drobnicy, a i koszty ogromne. My mamy być szpicą. – Zabrzmiało to poważnie.

Trójka młodszych mężczyzn popatrzyła porozumiewawczo po sobie.

– Nie bójcie się – pułkownik aż zakrztusił się ze śmiechu – dzieci.

Lubił tak ich nazywać, choć sam nie był stary.

– Źle coś szło ostatnio? No nie. To po co się martwić na zapas? Dyletanctwo przeciwnika to nasz sojusznik. Brzydko gra, to musimy mu pokazać.

– Brzydko. – Westchnienie wyrwało się zamyślonemu majorowi, który oparł się o miękką wersalkę.

– Wszystko inne idzie do zamrażarki. – Arlwow potrafił przyciągnąć jednak jego zainteresowanie. – Rozkazy z samej góry.

W głosie pułkownika dało się wyczuć ulgę. Tylko on i Nikonin wiedzieli, o co chodziło i za jak wiele sznurków musieli pociągnąć, żeby sprawy potoczyły się, jak należy.

– Fajnie – skwitował krótko Nikonin. Jemu też się to podobało. Miał więcej przestrzeni i możliwości. – Będzie trzeba pozamykać kilka kwestii, ale to ja już załatwię. – Nie udawał, był spokojny.

Wolał wszystkiego sam dopilnować. Stary nie miał do tego głowy, nie w takim natłoku spraw.

– Właśnie – zgodził się Arlwow. – Pozamykasz i zajmiesz się tą imprezą.

Pułkownik wskazał wzrokiem na teczkę. Nikonin przytaknął bez słowa.

– No ale do sedna. – Arlwow wcisnął na wpeł wypalonego peta w usta. – Nasze zuchy dostały aż z trzech kierunków informacje o ruchach przeciwnika. Grecy chyba najbardziej zaniepokojeni, choć od paru lat lubią się i z nami dzielić.

– A jeśli to podpucha dla uwiarygodnienia? Dezinformacja? – Nikonin nie poddawał się ekscytacji.

– Już oni tam wiedzą, kto ryje, kto nie. Nie moja rzecz. – Arlwow wzruszył ramionami. – Informacja jest ogólna i pobieżna. Ramy czasowe i tyle. Zresztą, moim zdaniem, zbyt to chaotyczne, żeby mogło być nieprawdziwe. Wszystkie ręce na pokład. Źródła po tamtej stronie mają pilnować jednego i siedzieć cicho, żeby nie dać się przyłapać.

Wskazał na teczkę.

– Reszta na jakiś czas idzie w lód. Nasze zadanie to naszykować ludzi i przedstawić cele. Posiedzą trochę dłużej niż zwykle, ale trudno. Najlepiej, żeby działali niezależnie, na różnych poziomach. Trudniej dojść, kto jest od kogo. Brodaci ponoć już wiedzą. Mają myśleć. Fundusz jest, koszty... jak na wojnie. Ile potrzeba.

Zamilkł. Ludzie patrzyli na niego z ciekawością.

– No a jeśli chodzi o nasze... wasze zadanie... – Arlwow skupił się teraz na Nikoninie. – Opracujesz założenia. Szybko i ogólnie. Potem będziemy się głowić nad szczegółami. Ważniejsza sprawa to ludzie. Masz zebrać zespół główny. Nie za wielki. Jedna sekcja, myślę, że nawet mniej. Nasi albo z nami związani, teraz lub w przeszłości. Dwóch, trzech dla wsparcia. Plus kaukasy. Byle młodzi, nie takie dziady jak ja... – Sztampowy żarcik lekko rozluźnił atmosferę.

Nawet się roześmiali.

– Pamiętaj, młodzi. – Wzrok powędrował w notatki. – I coś nowego, finezja, kurwa, żeby się nie połapali. Zupełnie inny kanał, nowe działanie. Żadnego chamstwa, rebelii i takich tam. Ła-piesz?

Cisza.

– Nowatorskie. – Olegin machnął rękami, sypiąc popiołem po dywanie.

– A co, my głupi? – prychnął Nikonin, już wyraźnie intensywnie myśląc. – Pogłowimy się... – Pokiwał głową w zamyśleniu. – Towarzyszu pułkowniku – nagle zmienił temat – co do ludzi. Skoro ma nas być niewielu... Sam znałem jednego, który by się nadał, jeśli żyje... Pozwólcie...

Arlwów skinął energicznie głową na znak, że daje majorowi wolną rękę.

– W brygadach nadgranicznych można też poszperać, jakby co – dorzucił pułkownik. – Po-zbieracie coś z tego. Jak nie, to się przeszkoli, ale to, cholera, potrwa, a czasu na zabawy nie mamy. Będzie wsparcie od miejscowych, ale o ich umiejętnościach mało wiemy. Więcej się napinają, niż potrafią... zresztą ich ma prowadzić Dwunastka. Informacja. My musimy iść ostrzej, po naszymu. Sprzęt i złom poleci jak zawsze. Rozpakowanie i dystrybucja to wszystko w gestii Grubej. Mamy tylko określić, ile planujemy tonażu. Zrobią, jak uważają, że będzie bezpiecznie, i zameldują, tak że to mamy zabezpieczone. A potem pozostaje opanować drogi odwrotu i po sprawie. No, panowie... zanim ustalimy, co, jak, gdzie i po jaką cholere, jedno muszę zaznaczyć: idziecie na pierwszą linię – dodał uroczyście, jakby już było po nich. – To zaszczyt – dorzucił, chcąc wymazać złe wrażenie.

– Pójdziemy, pójdziemy. – Nikonin wspaniale udawał brak jakiegokolwiek zainteresowania.

Nienawidził pchać się tak daleko. Wiedział od dawna, w co gra, i rozumiał, że to nie będzie picie samogonu w wiosce. Ale finał, ho, ho. Musiał się przyłożyć, zabezpieczyć wszystko, jak należy. Już widział te zarwane noce. I był spokojny. Pozostawało myśleć, planować i czekać na efekty.

*

„Coś się kończy, coś się zaczyna”, od kilku dni to zdanie tłuło się Adamowi po głowie. Wyświechtane haselko zawsze wracało, kiedy zamykał jakiś rozdział. Kończył z jedną, brał na cel kolejną.

Było mu jednak szkoda. Głównie wspólnych chwil, bo bywało bardzo miło. No i gdzieś w głębi duszy liczył po cichu, że może to już... Że wystarczy przygód i zawinie do portu. Ale to nie teraz. Za wcześniej.

Kiedys ktoś powiedział mu, że usatkwować się można, jak człowiekowi stuknie trzydziestka. Już coś ma, coś tam wie, kobiety same się zlecą. Ale Thomal przesuwiał sukcesywnie tę granicę. Nie śpieszyło mu się. Rodzice, którzy gędziliby mu banały i mądre opowieści z morałem, mieszkali daleko. Żył, jak chciał... Wybierał wolność i marzenie o byciu kimś znaczącym, posiadającym prawdziwą, budzącą strach i szacunek władzę.

Kiedys któraś z jego kobiet, z tych mądrzejszych, po szkołach od ludzkich problemów, próbowała mu wyłuszczyć podczas rozstania, że ma problem, ale wyśmiała ją okrutnie. Nie przejął

się specjalnie. Dokonał wyboru i już. Co się zdarzy, to się zdarzy. Nie analizował.

Toteż kolejny wybuch zazdrości, żalów i wściekłości nie robił na nim wrażenia. Przyjmował to w ciszy, z miną zatroskanego spaniela, ale niewiele mówił prócz zdawkowych: „Tak musi być, tak będzie lepiej” – i takich tam bzdur. Było mu obojętne. Choć miał w sobie tyle kindersztuby, by przynajmniej udawać, że sytuacja i jego przytłacza.

Też przerabiał psychologię. Najbardziej nie lubił w tym cyrku upiornej świadomości zadawania ran dziewczynom, które przecież tak naprawdę niczemu nie zawiniły. Dawały się oczarować, czasem same szczerze się angażowały, a po pewnym czasie... wszystko się waliło. Zwłaszcza te młode znosiły to wyjątkowo ciężko. Nie chciały go znać.

Ola była młoda, bardzo młoda. Sprawiała wrażenie, jakby świat jej się zawalił. Zaufała mu. Nie przypuszczała, że takich momentów być może przeżyje jeszcze w przyszłości kilka.

Przechodziła tamtego dnia z grupką dziewczyn z roku. Dostrzegła ich w wielkim oknie. Stała, patrzyła długo. Bajka o koleżance z pracy, podstawówki, czy co by tam jeszcze nawymyślać, nie zadziałałaby. Adam nawet się więc nie tłumaczył. Poddał się od razu. Miał tylko nadzieję, że Beata nie będzie go o nic wypytywała. Też nie była głupia.

Chciał pomóc Olce w wyprowadzce, ale honorowo odmówił. Czekala chyba na jakieś wyjaśnienia, ale Adamowi już nie zależało. Spakowała się więc szybko i sprawnie. Wiele rzeczy nie miała. Wyniosła się ponoć do koleżanek, mieszkać kątem na stacji. Potem miała szukać czegoś innego.

W domu zrobiło się cicho. Dziwnie. Thomał nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo przywykł do obecności kobiety. Próbował wypełnić tę dziwną pustkę i nawet sprawnie wrócił do zapomnianych nawyków. Przede wszystkim mógł spokojnie pomyśleć, ułożyć sobie w głowie jakiś plan działania. To szło mu znacznie lepiej, kiedy paradował po mieszkaniu w gaciach i wyciągniętym podkoszulku wśród porzucanych wojskowych pism i szpeju z rekonstrukcji, o którym prawie zapomniał.

Zajrzał na forum, na którym dawno go nie było, i nadrobił zaległości. Życzenia dla jego zgrai. Potem wyszedł do sklepu po whisky. Zamówił kilka rzeczy w Internecie. Bibeloty: ładownica, jakiś magazynek z epoki. Jak dziecko wśród zabawek.

Czas zabaw jednak przemijał. Cel był inny. Najpierw spowiedź.

*

Piotr Nikonin ślęczał w biurze ponad przypisany mu czas. Nie lubił tego miejsca. Ponure, szare i zimne. Ale nie miał wiele do roboty w domu. Był sam jak palec.

Rozłożył przed sobą kilka arkuszy. Teczki osobowe wybrańców. Najlepsi, jakich wyznaczono. Pasowało mu trzech. Jeden z nich najbardziej.

Wszyscy byli bitni, już odznaczeni, w miarę młodzi i, co najważniejsze, pasowali do układanki. Legenda i kamuflaż miały być niecodzienne, nieomal pionierskie. Bał się tego, ale przynajmniej eliminował ewentualne podejrzenia. Żadnych chamskich zagrywek z rozróbami i bronią na wierzchu. Ślepy by odkrył takie przygotowania. Teraz nic z tego. Zwykle ciekawe hobby, szczytna idea. Lubili to na Zachodzie bardzo. U nich też, ale tu była to zabawa dla bogatych.

Wziął do ręki dwie kartki i porównał. Tak. Pasowali. Wpisywali się w klimat i dużo umieli. Zerknął na zdjęcie po prawej. Na samo wspomnienie dawnych spotkań aż coś go zakłuło w pierś.

Zabrzączał jeden z telefonów na biurku. Odblokował, sprawdził. Esemes. Przeczytał. Serce zabiło mu prędeej. Wszystko zaczynało się układać, jak chciał. Ucieszył się i pomyślał nawet, że

może już niedługo to wszystko się zmieni. Kto wie, może nie będzie więcej pustego domu i uda się poskładać kilka odłożonych na bok przez wyjazdy i robotę spraw.

Zerknął na wyświetlacz jeszcze raz. Prędko skasował wiadomość i wyłączył telefon. Był jego, na kartę, na specjalne okazje. Ale tutaj, w gmachu, wszystkie wiadomości rejestrowano. Musiał go wyrzucić zaraz po wyjściu.

Okręcił aparat w dłoni. Jedno słowo, a tak podnosiło na duchu.
„Dotarli”.

*

Bernard Zachrostowski nie był typem gościa, do którego od razu czuło się sympatię. Zwłaszcza kiedy obracało się jego córkę, a pan pułkownik doskonale o tym wiedział. I nie wywijał z tego powodu radosnych hołubców.

Adam Thomał przez krótką chwilę zastanawiał się, czy naburmuszona, pełna dystansu poza jest przeznaczona specjalnie dla niego, czy w pracy ludzie też mają z nim krzyż pański. A może w stolicy tak trzeba? Na pewnym szczeblu poziom uprzejmości i zwykłego ludzkiego ciepła jest może ograniczony ustawą, jakimś tajnym okólnikiem?

Beata musiała się przejąć sprawą, do której ją dopuścił. Może nawet nie samą treścią, pozabawioną szczegółów – takich jak choćby wypadek na półwysp, i to pod przykrywką miłosnej eskapady z inną kobietą – ale autentycznym strachem, jaki w nim wyczuła.

Pułkownik albo bardzo kochał córeczkę, albo sprawa w jej relacji brzmiała intrygująco, bo dał się namówić na spotkanie, które miało się odbyć u niej w mieszkaniu. Ku uldze Thomala Beata nawet słowem nie wspomniała o wariatce spod okna. Tylko on wiedział, ile nerwów kosztowało go zachowanie zimnej krwi.

Zachrostowska oddała Adamowi i swojemu ojcu pokój do dyspozycji, a sama ulokowała się w salonie, nie chcąc wiedzieć nic więcej. Istniały sprawy, w których nie miała zamiaru brać udziału. Przerazała ją już samo to, czego się dowiedziała.

Pułkownik, choć w cywilnym ubraniu, w obejściu był służbowy i zimny. W zwykłej koszuli i lewisach zasiadł na fotelu przy komputerowym biurku. Dawał wyraźny znak, kto tu jest wyżej w hierarchii. Adam zadowolony był jakimś stołeczkiem. To jednak nie było ważne. Mówił wolno, ze szczegółami i zgodnie z prawdą. Pominął jedynie motywacje, jakie pchnęły go do tej sprawy, i postać Olki. Starał się wyrażać jasno. Był elokwentny, ale bez zbytej przesady, zrezygnował też z żartów i puszenia się jak na pierwszym spotkaniu. Pułkownik nie odzywał się ani słowem. Patrzył tylko na Adama, przyprowadzając go o bóle w klatce piersiowej. Ale Thomał nie wychodził z roli. Kiedy skończył, nabrał powietrza i wyprostował się, kładąc grzecznie dłonie na udach. Czuł na skórze krople potu. Serce tłukło się w piersi, kiedy czekał na reakcję pułkownika. Po człowieku skale nie spodziewał się pochwał.

– Tak.

Zachrostowski wydał z siebie jeden dźwięk, półszepem i żaden nerw nie drgnął mu przy tym na twarzy. Siedział nieruchomo, nie spuszczać wzroku z Adama. Thomał dopiero po chwili spostrzegł, że prawie zupełnie wstrzymuje oddech. W głowie mu zawirowało. Sapał, łapiąc tlen.

– Ciekawe, co pan mówi. – Wreszcie z ust pułkownika wyszło dłuższe zdanie.

„Analizuje czy uznał, że ma przed sobą pojeba?”, myślał Thomał gorączkowo.

– Potrzebowałbym to w jakiejś pisemnej formie – oznajmił w końcu Zachrostowski.

– Mam to spisane. – Adam był dobrze przygotowany.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął niewielki pendrive.

– Proszę, to dla pana. – Podał mężczyźnie.

Pułkownik wziął przedmiot w palce i obrócił kilka razy.

– Wszystko? – Ewidentnie już kończył.

Na słowo uprzejmości nie można było liczyć.

– Chyba tak... – Thomał kiwnął głową.

– Dobrze. – Zachrostowski wstał. – Zobaczę, co się da zrobić.

Brzmiał nie mniej oficjalnie niż rzecznik prasowy w telewizji, ale Adamowi błysnęło w głowie, że doczołgał się do mety. Tak czy siak zaznaczył swoją obecność i na razie musiało mu to wystarczyć.

Pułkownik uprzejmie, acz oschle wskazał na drzwi. Wyszli obaj.

– Jak? – Beata wyjrzała z pokoju. – Pogadaliście sobie?

Uśmiech tego dnia miała śliczny albo tak się Adamowi zdawało od wzbierającej w nim euforii.

– Tak, pogadaliśmy. – Zachrostowski przemienił się w sympatycznego tatusia. Uśmiechnął się nie mniej cudnie od córki.

Thomał poczuł satysfakcję. Teraz wszystko powinno pójść gładko.

*

Zaparkowane auto w grzecznym rzędku kilku innych pojazdów nie zwracało niczyjej uwagi. Dostawczy bus nie wyglądał na najnowszy. Łapała go rdza, a ciemna folia na oknach miejscami była podziurawiona i poplamiona. Nie rzucał się w oczy. Dlatego też nikt z przechodniów nie interesował się zawartością wozu. Pewnie zabiegani Duńczycy uznali, że to kolejna ekipa ze Wschodu robi gdzieś w pobliżu remont. Przywykli.

Było ich dwóch. Po trzydziestce. Wysportowani, gibcy. Zawodowcy. Nie wyróżniali się niczym szczególnym. Kościste twarze. U kierowcy lekki zarost. Fryzury frywolne, niedbałe. Stroje dobrali perfekcyjnie. Z daleka wyglądali jak tysiące innych przybyszów ze Wschodu w duńskiej stolicy. Bluzy z kapturami, watowane kurtki, spodnie dresowe. Jeszcze jedna dwójka zagubionych imigrantów.

Kierowca odgiął rękawiczkę i zerknął na zegarek. Nabrał nosem powietrza i przytrzymał chwilę.

– Druga – oznajmił.

Kolega nie zareagował. Każdy radził sobie, jak umiał. Ten gapił się w ciemne już o tej porze okna.

– Do dzieła – sapnął niewyraźnie kierowca, kończąc wreszcie długie, nudne ślęczenie.

Kolejne w ich karierze. A zawsze wyglądało to podobnie.

Wyjazd z Kaukazu. Transport na miejsce działania. Okrężny, długi, przez różne kraje. Wy magał skupienia. Wszystko na fałszywych papierach albo w ogóle na dziko. Potem aklimatyzacja. Ktoś załatwiał metę, utrzymanie i pierwsze informacje. Dość ogólne. Inny organizował papiery, legendy, numery telefonów. Szefostwo obiecywało premię. Grzech było nie korzystać, choć bez wsparcia i osłony nawet oni się bali.

Kierowca szarpnął klamkę i otworzył drzwi. Chwycił z podłogi czarny plecak. Wyciągnął z niego małą szaszetkę i schował do kieszeni.

Śpieszyło mu się i krew w nim niemal wrzała. Lubił ten moment przed akcją. To uderzenie mocy, podniecenia. Wydawało mu się, że unosi się kilka centymetrów nad ziemią, jak nie czło-

wiek, a ktoś niezwyknięty.

Ruszył ostro. Drugi gonił go prędko, ale nie biegle. Nie powinni zwracać na siebie uwagi. Rzut oka na ulicę. Wąską, zabudowaną ciasno niekończącymi się ścianami podobnych kamienic, malowanych kolorowo starych czynszówek, bez fajerwerków i popisów architektów.

Znajdowali się w dzielnicy uniwersyteckiej, ale tak naprawdę była to śródmiejska sypialnia. Auto postawili przy zasłoniętej ceglanym murem, jedynej na ulicy nagiej działce. Ograniczało to liczbę ewentualnych świadków, a gdyby coś miało się spieprzyć, dawało możliwość ucieczki z tego zabudowanego tunelu.

Cel był po skosie, trzy numery dalej. Plomba, wbita między kolorowe przeciętniaki, wyróżniała się znacznie. Solidnie odnowiona, czysta, bez tych esów-floresów mazanych sprejami po elewacjach.

Było jasne, że jest dobrze pilnowana.

Nałożyli zrolowane kominiarki tak, żeby na razie uchodziły za czapki, na nie nasunęli kaptury. Pochylili głowy.

Przeszli kilka kroków, kryjąc się za zaparkowanymi autami i omijając sterczącą ze ściany kamerę nad głównym wejściem. Dotarli pod wąskie drzwi ukryte w dość głębokiej wnęce z wideodomofonem. Ustawili się plecami, tak żeby nie było widać twarzy w obiektywie nad nimi.

Naciągnęli kominiarki. Kierowca sprawnie, wyćwiczonym ruchem wydobył szaszetkę i otworzył ją. Metalowe wytrychy wszelkich kalibrów błysnęły w ciemności. Wiedzieli, jaki to typ zamka, więc dobór narzędzi był kwestią kilku sekund.

Drzwi puściły. Weszli w długi korytarz połączony z klatką schodową. Budynek należał do jednego człowieka. Mieszkania i biura połączono w loft.

Informacje o rozkładzie pomieszczeń i ich przeznaczeniu rozpracowano isticie perfekcyjnie. Kilka wizyt ludzi pracujących dla ambasady, pod przykrywką interesantów, wystarczyło.

Wnętrze było inne niż fasada. Odrestaurowane na nowoczesną modłę. Lustra, szklane donice, aluminiowa recepcja.

Podzielili się. Kierowca ruszył ku ladzie, a jego kompan z dobytą bronią został przy drzwiach do pierwszego mieszkania. Wszystko bezszelestnie.

Skrzyneczka alarmu ukryta była na tyłach.

Plastikowa obudowa ustąpiła. Nic niezwykłego. Standardowy, choć nie najtańszy model używany w kilku miejscach. Centrala postarała się o instrukcję obsługi.

Kilka przeciętych kabli. Cisza. Kierowca kiwnął głową na znak, że się udało. Zgodnie z rozpoznaniem alarm oplatał mieszkania, okna i piętra. Tylko drzwi wejściowe były go pozbawione. Może była to spuścizna dawnego skandynawskiego poczucia pewności i bezpieczeństwa. Jednak tu, w takim miejscu, wydawało się to nedorzecznoscia. Nie mieli głowy dociekać.

Ważne, że ułatwiono im robotę.

Kierowca wrócił do drzwi po lewej stronie korytarza. Prędko je sforsowali. Mieszkanie było przestronne. Kilka ekranów na biurku. Prawdopodobnie podłączone do kamer w budynku. Pro wizorka. Lokatorzy może znali się na historii i wiekowych artefaktach, ale co do bezpieczeństwa... byli gówniarzami.

Drugi wiedział, co ma robić. Kable, dyski. Na wszelki wypadek. Nie było wiadomo, czy kamery nagrywają, czy tylko przekazują obraz, ale nie ryzykowali.

Kierowca sięgnął pod bluzę. Broń miło ciążyła. Przeładował ostrożnie. Sforsował kolejne drzwi.

Oczy już przywykły do mroku. Salon. Kanapa, telewizor na ścianie, stół przy kuchennym

aneksie.

Stawiał kroki ostrożnie. Jedyną rzeczą w tym budynku, która pamiętała chyba początki kamienicy, była drewniana podłoga. Potrafiła skrzypieć.

Zza jednego z wysokich okien wychodzących na ulicę dobiegł odgłos silnika. Coś tłukło się po bruku. Samochód był stary, jeszcze daleko, ale robił sporo hałasu. Żółte promienie poszły po ścianie, łamiąc oświetlenie marnych kilku latarni.

Kierowca skulił się, wpatrując w okno, z bronią ciągle wyciągniętą przed siebie. Samochód minął kamienicę z jakimś metalicznym trzaskiem. Mężczyzna odwrócił głowę ku celowi, wejściu do następnego pokoju, i prawie dostał zawału.

Nie pojmował, jak mógł dać się tak złapać. Chwila nieuwagi...

Drzwi do drugiego pomieszczenia, potężne, lakierowane na biało, były uchylone. Stał w nich człowiek. Nie za wysoki, ubrany w koszulkę i jakieś obszerne spodnie. Tarł twarz, najwyraźniej wyrwany ze snu.

„Cholerny samochód czy pech?“, gdyby nie okoliczności, roztrząsanie przyczyn byłoby łatwiejsze.

Napastnik wyczyścił umysł. Działał jak automat. Lata niekończących się szkoleń i praktyki. Skulony w pół wyciągnął ramiona. Glocka z tłumikiem wymierzył pewnie. Trzask, drugi, krótki błady błysk. Dźwięk łusek na podłodze. Tamten nawet nic nie zauważył. Nie zdążył. Leżał już na progu swej sypialni w rozlewającej się kałuży krwi.

Kierowca zrobił kilka kroków. Upewnił się, że rozwiązał problem. Nie mógł chybić z tak krótkiego dystansu. Zajmujący parter ochroniarz nie żył.

Ominął zwłoki. Długim susem wskoczył do sypialni. Musiał się upewnić, że nie ma tam nikogo innego. Szafa, przejście do łazienki, łóżko. Pusto.

Wrócił do pokoju z komputerami. Drugi z napastników czekał cierpliwie, celując w wyjście na korytarz. Kiwnął głową na znak, że jest bezpiecznie. Kamery już nie działały. Ruszyli na przeszkloną klatkę schodową. Drzwi poddały się wytrychom i zaczęły wspinać się po schodach.

Jeszcze jedne drzwi, ostatnia przeszkoda. Drewniane, stare jak i dom. Wiekowe wierzeje opierały się najdłużej. Trzy zamki puszczały kolejno, ale obaj włamywacze musieli robić długie pauzy, nasłuchując, czy nie zbudzili nikogo po drugiej stronie.

Głuchy trzask i ostatnia zasuwa odskoczyła. Weszli.

Krótki, ale przestronny korytarz, na jego końcu, z lewej, wejście do kuchni, naprzeciwko łazienka. Trzecie drzwi po prawej były wejściem do salonu.

Znaleźli się w wielkim apartamencie, choć odmiennym od reszty domu. Duże przestrzenie wypełniono szafami, komodami i zegarami. Ściany pokrywały obrazy i biała broń. Podłogę w centralnej części pokoju dziennego zaścierał wzorzysty dywan przynoszący na myśl dawne kobierce z osmańskich namiotów.

Wkroczyli na niego pewni, że stłumi kroki. Przystanek, kilka chwil nasłuchiwanie. Nic. Lokatorzy spali.

Rozdzielili się, kiwnięciami głów wyznaczając kierunki poszukiwań. W kolejnym pomieszczeniu, w wielkim łóżku, okryci białą pościelą leżeli właściciele. Kobieta i mężczyzna.

Kierowca przełożył broń do lewej ręki. Prawa zawędrowała do kieszeni bluzy.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie i o dziwo, bez głośniejszego szmeru.

Mężczyzna w łóżku otworzył oczy, kiedy silne ramię zaczęło nim potrząsać. Przerazenie, jakie spadło na niego, kiedy sen odpłynął jak miłe wspomnienie, o mało nie przyprawiło go o zawał serca. Chciał coś powiedzieć, ale dłoń w rękawiczce zacisnęła się na ustach. Odruchowo

próbował się wyrwać. Poczł jednak na czole broń.

Człowiek w czerni syknął i wskazał na kobietę obok. Mężczyzna zwrócił głowę w jej stronie i omal nie krzyknął. Wymowny gest napastnika uświadomił mężczyźnie, że nie śpi, ale jest nieprzytomna. Jednak oddychała. Żyła.

Napastnik wcisnął tłumik pistoletu pod zuchwę mężczyzny z taką siłą, że tamten stracił na chwilę oddech. Podziałało.

– No to co? – wyszczał włamywacz po rosyjsku.

Tamten rozumiał. Z informacji wynikało, że zna język.

– Porozmawiamy?

*

Z wysoka, w pięknym słońcu stepowej wiosny, okolica wyglądała jak zieleniący się ocean traw. Pola po horyzont. Gdzieś w oddali połyskująca wstęga rzeki, żadnych wsi, osad ni miasteczek.

I tylko jeden element niweczył ten wspaniały widok. Szary, odległy, niepasujący tu punkt. Im byli bliżej, tym mogli dostrzec więcej szczegółów. Ciężarowe auta, sterty skrzyń, namioty w rzędach, kontenery pod siatkami maskującymi, schron i posterunki obronne. Jedyną w tej okolicy drogą ciągnęły ciężarówki i wozy terenowe, wyrzucając w niebo obłoki kurzu.

Im bardziej się zbliżali, tym wyraźniej widzieli, że to nie byle punkt przeładunkowy, lecz istny konglomerat. Była tu nawet rampa kolejowa i tor nikaący w bezkresie, a kawał pustego placu na obrzeżu tej całej instalacji wyznaczono na lądowisko – wystarczyło postawić kilka radarów i połowe centrum dowodzenia.

Maszyna, wielki, budzący respekt Mi-17, objuczona pylonami z wyrzutniami rakiet, siadała na lądowisku w oszałamiającym hałasie silników oraz wśród trzasku latających wokół kamieni i małych gałęzi. Potem przyziemiły kolejne.

Ale to były tylko pozory siły. Dobrze do filmu albo kolejnego propagandowego reportażu, który notabene realizowała właśnie jedna z rządowych telewizji. Nawet największe ptaki z arsenału nie miały bowiem szans z najnowocześniejszymi systemami przeciwlotniczymi. A tych, i to niedaleko od tego miejsca, było tak wiele po każdej stronie, że lotnictwo zostało praktycznie uziemione. Dla bezpieczeństwa i uniknięcia strat. Nikt nie latał dalej, niż musiał.

Jeśli potrzebny był szybki przerzut środków, a raczej sił i uzupełnień, śmigłowce lądowały najbliżej granicy, jak tylko się dało. Jeszcze przed rozpoczęciem inwazji – której przecież tak naprawdę nie ogłoszono – stworzono sieć polowych punktów przerzutu.

Tym transportem, który właśnie wylądował, w step pchały się dwa świeże plutony „ochotników”, naznaczonych na doradców, dowódców lub na siły do zadań specjalnych przez dwie republiki wyzwolone spod władzy faszystów podczas ostatniej wojny.

Grupa ludzi, najlepszej proveniencji i mogących poszczycić się sporym doświadczeniem, wyszła z maszyn, ale bez zbędnego entuzjazmu. Targali plecaki, a co poniektórzy także wielkie drewniane skrzynie z amunicją. Inne zabawki leciały w pozostałych maszynach. Żelazny zapas.

Wszyscy pasażerowie nosili maskujące kombinezony albo kurtki dziwnie przypominające wzory zachodnich państw. Większość nie miała hełmów. Popularniejsze były baseballówki okrywające głowy osadzone na szerokich karkach. Niektóre twarze były nieogolone. Długie brody podpowiadały, że ich właściciele to przedstawiciele islamskich kohort gdzieś z Kaukazu. Wszyscy byli silni i sprawni, ale z ich oczu nie biła pycha. Bali się.

Major Piotr Aleksandrowicz Nikonin wyszedł z wrót ładunkowych. Odróżniał się od reszty,

był o wiele węższy, smuklejszy i nie targał ze sobą wielkich pakunków, skrzyń ani zapasów na trzy dni walki. Miał maskujący mundur, kurtkę w jednolitym, piaskowym kolorze, czapkę i żadnych dystynkcji. Kamizelkę kuloodporną z przytroczonymi ładownicami niósł na ramieniu, jakby nie była mu potrzebna. Broń, prócz pistoletu w kaburze, zwykły karabinek AK-101, tyle tylko że z kolimatorowym celownikiem, przerzucił niedbale przez drugie ramię.

Mimo braku dystynkcji biła od niego siła. Współpasażerowie nie zamienili z nim więcej niż kilka słów, początkowo traktując z góry jak jakiegoś dokooptowanego sztabowca albo rezerwistę, ale parę ripost rzuconych przez Nikonina zakończyło rozmowy.

Major nie miał ochoty niczego udowadniać, gadać też mu się nie uśmiechało. Udał, że zasnął, w kilka chwil po starcie. Takie podróże w hałasie i niewygodzie zaczynały go irytować. Nalatał się w życiu, naspał po górach, lasach i bagnach. Teraz od tego byli inni. Te tu młode byczki. On na swoje blizny zarobił. Pod mundurem kryło się ich kilka.

Twarde życie przyniosło mu też parę korzyści. Zielone światło z góry dało możliwość dorozić takim jak on, zasłużonym, wiernym wiarusom, bez obaw, że ktoś coś kiedyś im wypomni. Tak więc po godzinach miał o niebo lepsze warunki do relaksu niż przeciętny żołnierz czy nawet major którejś ze zmechanizowanych brygad. Może zdiadział, może robił się stary, ale zaczął wsiąkać w ten cały luksus i wcale mu on nie przeszkadzał.

Pluton ochotników ustawił się w dwuszereg równie niemrawo, jak wysiadał z maszyn. Jakiś pulchny bojec w rozpiętym ostentacyjnie kombinezonie i pasiastym podkoszulku zaczął powitanie i objaśniał, jak się mają zachować w czasie przemarszu. Myny zrzedły im jeszcze bardziej, a przecież każdy wiedział, co ma robić i jakie przygody mogą mu się przydarzyć.

Nikonina nie dotyczyło to w ogóle. Minął zebranych luźnym krokiem, mając gdzieś spojrzenia grubego szpanera. On ściągnął tu własny transport.

Pokryty kamuflażem opancerzony Tigr stał obok wielkiej przemy skrzyń, które jacyś poborowi w pocie czoła wrzucali na kolejne ciężarówki.

Kierowca zaszutował.

– Jak podróż, majorze?

Niski chłopaczek musiał zostać poinformowany, kogo i gdzie będzie wiozł.

*

Uciekł daleko. Od sprawy, problemów z Olą, ale i od Beaty. Musiał. Chciał odmiany choć na chwilę. Wszelkie te problemy dręczyły i nie dawały się skupić. Za dużo się działo, a niepewność w czekaniu na to, co ustali pułkownik – jeśli w ogóle zechce się dzielić informacjami – była wręcz zabójcza.

Adam jak każdy facet – choćby nie wiadomo, jak się wykręcał i udawał, że to go nie dotyczy – w momentach niepewności uciekał do domu rodzinnego, żeby pobyć sobą.

Matka i ojciec, stęsknieni, przejmujący się jego życiem. Doskonałe jedzenie. Regularne posiłki. Nic z mikrofal. Żadnych mrożonek. Słodkie lenistwo, czasem jakaś pomoc. Spacer po okolicy. Do tego brat, jego żona, ich dzieci. Zastanawiał się, czy sam pasuje do takiego obrazka. Przerażało go to i jednocześnie obezwładniało.

W tym otoczeniu czuł się jednak idealnie. Doszedł nawet do wniosku, że gdyby jakaś dziewczyna obiecała mu, iż będzie cały czas niańczony jak małe dziecko, byłby gotów poddać się takiemu traktowaniu.

Dom na wsi. Daleko na Kujawach. Odnowiona ceglana chałupa. Piękny, zadbane ogród. Pola, las. Blisko jezioro. Bez syfu, meneli, trupów, biurokracji i tępaków na każdym poziomie.

Świat tu zwalniał. Wydawał się lepszy. Raj.

Był Wielki Piątek. Thomał, choć w swoim życiu nie odwiedzał zbyt często kościoła i nie przestrzegał zasad religii, tu potulnie akceptował domowe zwyczaje. Asceza, post i tak dalej. To też odgrywał perfekcyjnie. Jego azyl został naruszony dzwonkiem telefonu. Zerknął zły, że go nie wyłączył. Krzysiek. Świat się upominał o jego uwagę.

– Wesołego Alleluja – rzucił do mikrofonu kumpel, by zaraz w swoim stylu dowalić: – gnojku. Znów ani be, ani me... Nawet na kawę nie wpadniesz... – wyrzucił na jednym oddechu.

Adam milczał długo. Krew napłynęła mu do skroni, budząc prawdziwy gniew. Był gotów odszczeknąć się w najbardziej wulgarny sposób, jaki przychodził mu na myśl. Szukał odpowiedniego zwrotu.

– Jesteś? – Krzysiek pewnie myślał, że to błąd połączenia. – Halo, Adam?

– Cześć – rzucił Thomał. – Wesołego... – wykrztusił kilka sztampowych życzeń. – Wpierdoliłeś mnie w gówno – dorzucił bez żadnej pauzy.

Też potrafił dowalić.

Teraz po drugiej stronie zapadła cisza.

– Że co? Jaja sobie jakieś robisz? – Głos Krzyśka był wręcz grobowy.

– Nie... wrąbałeś mnie w syf.

Adam zerknął za siebie. Rodzinka kręciła się po kuchni. Wyszedł na tonący w słońcu ganek.

– Nasz wspólny kolega trochę namieszał... Będą kłopoty albo raczej pozbędziesz się kolegi. W każdym razie, jeśli masz jakieś kontakty... to je urwij.

– Mhm. – Krzysztof musiał wszystko sobie poukładać. – Tak źle? – Zrobił się dziwnie potulny. Był wyraźnie zmęczony. – Ja z nim nie gadam, tylko raz, jak potrzebowałeś... Stare i niemile dzieje.

– Tak, tak, kurde, źle – teraz Adam odzyskiwał wigor. – Wywinął numer...

– Nie tak, nie... – Krzysiek szybko przerwał i przeklął pod nosem. – Wpadaj po świętach...

– Nie mogę, mam urlop.

– A u mnie od groma roboty. To może... – Zydelski nie poddawał się – ...majówka militarna? Czytałeś na forum? Może być dziadostwo, ale warunki i perspektywy kławe. Mnie uda się wyrwać. Przyjedź. Pogadamy. ■

Rozdział 5

Dzień był naprawdę gorący. Jakby po kilku tygodniach wiosny zaczęło się lato.

Słońce przypiekało, a słaby wiatr nie koił nagłego przypływu upału. Nieco cienia można było znaleźć jedynie w kilku zagajnikach i ogrodach, ciągle nie do końca zazielenionych.

Były jeszcze schrony. Głębsze, bardziej solidne niż kilka miesięcy temu. Wkopane głęboko w ziemię i zapewniające błogosławiony chłód.

Kto jednak mógł, nie miał służby albo określonych zadań, siedział w domach w osadzie, gdzie usytuowano główne kwatery. Może nie najbezpieczniejsze, bo ewidentne jako cele dla artylerii, ale tym mało kto się przejmował.

Wszystko otoczono rowami, w których powinni się chronić przy ostrzałach, ale bardziej zorientowani wiedzieli, że jedna celna ześrodkowana salwa Gradów czy haubic rozniesie wszystko. Żadna szczelina w ziemi wtedy nie pomoże.

Nastroje miejscowych nie spadły za nisko dzięki świadomości, że wróg był daleko ze swoimi działami oraz wyrzutniami i nie miał sił podchodzić bliżej. W oficjalnej wersji... bał się.

Nikonin włożył kevlarowy hełm i kamizelkę, jak wszyscy wkoło. Znajdował się na froncie, może nie na pierwszej linii, bo punkt dowodzenia batalionu był od niej oddalony, ale wyraźnych śladów walki naoglądał się po drodze. Wolał być gotów.

– Zaraz zobaczycie... – Dowódca, o krótkiej fryzurze na jeża, świeży jeszcze major, był podniecony, ale i wyraźnie spięty.

Nikonin obrzucił gościa szybkim, zdziwionym spojrzeniem. W papierach miał wpisane kilka ładnych lat w służbie, wojaże tu i tam, ale był też znacznie młodszy od wizytatora. I przez to biła odeń ta chłopięca, irracjonalna radość połączona z fascynacją, jaka towarzyszyła wszystkim nowym, którzy dostali się tam, gdzie planowali robić karierę.

Nikonin jeszcze niedawno gotów byłby mu zazdrościć tej całej satysfakcji, ale w tej chwili miał to w dupie. Chciał zrobić swoje i wiać na bardziej bezpieczny teren, zanim to prowokowanie losu źle się skończy.

Ciasna salka wzmocnionego betonem schronu, zamaskowanego pod wiejską chałupą, zagotowała się od nadchodzących radiem informacji. Niewielki sztab, ulokowany w błotnistej dziupli, czekał z niecierpliwością.

Byli tu sami zawodowi oficerowie armii Federacji Rosyjskiej. Kilku. Choć nie dało się stwierdzić tego po pobieżnym oglądzie. Każdy nosił się, jak chciał, dlatego dostrzec można było różne rodzaje mundurów, a nawet cywilne bluzy, spodnie i buty. Przecież zgodnie z okólnikiem grali przed światem i wszystkimi wkoło rolę dobrowalców – ochotników, którzy sami wdepnęli w to gównno.

– Kurwa ich mać. – Wgapiony w ekran komputera łysy facet w czapce Nike pod hełmem, odziany w obszerny maskałat i kamizelkę, aż się zatrząsł.

Młody major musiał dobrze znać faceta, bo wesołkowaty nastrój oczekiwania zgasł w nim raptownie.

– Co jest? – Odszedł od sporej mapy okolicznego pogranicza i nachylił się nad ekranem.

Było tam widać jak na dłoni okopy i wioski, których obraz przekazywały wszystkim zainteresowanym przydzielone do batalionu drony.

Nikonin o większości tych zabawek – kiedyś drogich i trudnych do wyrwania – mógł marzyć,

gdy płatał się po górach od Kaukazu po Pakistan. Bezzałogowe aparaty, radary artyleryjskie. Technika wkroczyła szerokim frontem, wywracając wszystko do góry nogami, ale i oszczędzając ludzi. Choć właśnie miało się okazać, że nie do końca.

– Jebani... – Łysy lejtnant odruchowo uniósł daszek czapki, podrapał się palcem w czoło i na moment opadł ciężko na oparcie. – Nakryli ich... – Stuknął w ekran.

Dowódca pochylił się niżej, gryząc wargi tak mocno, że aż zrobiły się bordowe.

Nikonin przysunął się do nich. Jeśli działo się to, co myślał, mogło się okazać, że jego wypad w ten syf stanie się bezsensowny.

Obraz był wyraźny, świetnej jakości. Jedyne głoś dochodził nikły, ale to mało kogo obchodziło.

Operujący aparatem najwyraźniej musiał prędko się chować, bo powietrzna maszynka zgubiła obserwowany punkt i jej obiektyw płatał się nad zagajnikiem, który z dwu stron został otoczony słupami ziemi wyrzuconymi przez wybuchy.

Nikoninowi zrobiło się gorąco. Był w takim kipiszu kilka razy i wiedział, co tam się dzieje.

Dla niego ten widok, czy to z samego środka akcji, czy z boku, był przerażający.

Dopiero teraz częstotliwość między wysuniętą grupą a rozsypanymi dla bezpieczeństwa gdzieś w okolicy wyrzutniami zapełniły podniesione głosy, choć bez paniki i krzyków.

– Wasyl, Wasyl... – ktoś rzucił w kodowany mikrofon pseudonim punktu dowodzenia. – Muszkiet, tu Muszkiet...

Trzaski, rumor padających pocisków – relacja na żywo z tego, co Nikonin widział na ekranie coraz bardziej przerażony. Bo przecież mógłby przysiąc, że zna ten głos.

– Nakrywają nas ogniem... – trzaski i huk – ...dajcie...

Grzmot poszedł po sali.

– Wywołuj Miroczkina. – Dowódca batalionu zareagował błyskawicznie.

Spiął się jeszcze bardziej, nastroszył i widać było, że myśli intensywnie tylko o jednym.

– Niech zapierdala i ich zabiera! – Polecenie było głośne, nie mniej niż odgłosy w radiu.

– Ewakuujcie... – Dopiero teraz znajomy głos w eterze otarł się o strach.

Na ekranie aż dwa błyski rozeszły się między drzewami, kładąc je, jakby nic nie ważyły.

– Niech wałą, kurwa! – Młody major ryczał, wydając kolejne polecenia.

Nikonin nasłuchiwał meldunków z linii wpatrzony w wojnę na monitorze.

– Czemu jeszcze nie strzelają? Widzą to samo! – Major wrzał, czerwieniąc się z wściekłości.

Złapał słuchawkę radiostacji, odepchnął spoconego i nie mniej rozgorączkowanego łącznościowca i sam zaczął rozmowy, uznając chyba, że ten za mało się stara.

– Gównu mnie to obchodzi... Dostaliście ostatni namiar... – Potem poleciała długa wiązanka przekleństw.

Nikonin był pod wrażeniem. Może nie lingwistycznych popisów, ale efektu, jaki młody poeta osiągnął.

Nie zazdrościł mu, podobnie jak nikomu w bazie. Cała ta technika... Nie było pięknie ani sprawnie. Wróciło kilka wspomnień, niemal żywych obrazów. Też kiedyś wołał w przestrzeń. Prosił o pomoc.

Błotniste wzgórze gotowało się i jaśniało od pożarów, gorących jak lawa smugowych pocisków, żarzących się odłamków. Był wtedy gówniarzem, poszedł do walki drugi, może trzeci raz, czując cały ciężar odpowiedzialności. Za zadanie, za ludzi... I to dla nich błagał, czekając ratunku, który, Bogu dzięki, wreszcie nadszedł... Choć dla wielu spóźniony.

Błysk na ekranie i satelitarne połączenie z dronem, albo raczej jego operatorem, zerwało się.

– Muszkiet?! Muszkiet! – Dowódca batalionu ryczał do słuchawki zaciśniętej w palcach tak mocno, że aż mu kłykcie zbieleły.

Nikonin uznał, że to, co widzi, jest gorsze od wspomnień. Dużo gorsze. Taka była kolej rzeczy. Każda kolejna wojna zawsze okazywała się okrutniejsza. Tu nie walczyli ze zwykłymi najemnikami, zbrojnymi co najwyżej w moździerz i kilka wyrzutni. Tamci po drugiej stronie, być może nieogarnięci i narwani, byli uzbrojeni po zęby. Prawie jak regularna armia. Niemal jeden do jednego.

Wszystko to dotarło do Nikonina z całą okrutną mocą. Taka była ta dziwaczna wojenka o dwie dziwaczne republiki, które mało kogo obchodziły – dwie plamy na mapie...

Bunkier i usytuowana nad nim chałupa zachybotwały się ze skrzypieniem starych dech i sypnęło tynkiem. Potem przeszedł głośny huk. Rozlał się wkoło, zmieniając się w metaliczny zgrzyt i porażający świst, jakby skowyt dziesiątek luf. Trudno było dociec, czy bili w wyznaczony cel, czy po całości, żeby najlepiej się osłonić, ratować, co jeszcze się dało...

*

Obrazek jak jeden z tysięcy już znanych. Nieprzyjemnych.

Nikonin stał przy wejściu do parterowej chałupy. Murowanej, z białej drobnej cegły, pokalczonej i popękanej od wstrząsów i ostrzałów.

Wieś, a w rzeczywistości teraz punkt bojowy ochotniczej jednostki, okalały drzewka sadów owocowych, rozplenione młodniki brzoź i wierzb. Istna wyspa pośrodku pól i łąk.

Dudnienie dalekich, głuchych eksplozji niesione wiatrem po stepach zniknęło przykryte stalowym szczękiem dorzynanych silników. W ciemnej wyrwie między drzewami, jak w bramie szańca twierdzy, za ostatnimi blokhauzami, wzbil się połyskujący w słońcu złoty tuman kurzu.

Z kłębu tej kurzawy wypadł transporter, potem następne. Wjechały pędem między domy wsi. Karetki, zwykłe ciężarówki, które ściągnięto na gwałt, żeby wiozły rannych do najbliższego ambulatorium, już stały w pogotowiu.

Ciężkie BTR-y dowleki się jakimś cudem i nie trzeba było być wielkim geniuszem, by dostrzec, że wyszły z piekła. Popalone, powgniatane. Ostatni ze stopioną oponą, potrzaskany odłamkami.

Żołgi i desant zaczęły wygrzebywać się pędem z wnętrza. Nie siedzieli, jak to zwykle bywało, na panczeru, kiedy bali się eksplodujących pod podłogą min. Wiali spod ognia, ścigani ostrzałem jeszcze kilometr albo dwa.

Nikonin liczył. Ci ciągle sprawni, brudni od kurzu, spoceni, ale niedrażnięci, brali głębokie oddechy i wracali wyłuskiwać spod panczerzy kompanów, którzy nie mieli tyle szczęścia. Część ludzi ze sztabu tylko patrzyła, część usiłowała pomagać.

Zrobił się rwetes. Mieszanka krzyków, soczystych wiązanek przekleństw i narzekań. Wściekli na cały świat zwiadowcy nawoływali pomocy noszowych i długo nie czekając, sami wlekli rannych, by zaraz niemal rzucić ich na paki dwóch kamazów.

Ranni mieli nasiąknięte krwią ubrania i byli tak brudni od posoki i sadzy, że nie dało się rozpoznać ich twarzy. Koledzy szybko ściągali z nich kamizelki, zabierali broń. Któryś jęczał. Jakiś bojec dał mu papierosa i poklepał po ramieniu.

Kilku sanitariuszy wskoczyło na skrzynie i zaczęło błyskawicznie zmieniać pierwsze prowizoryczne opatrunki. Szczeknęły klapy i dwie sanitarki ruszyły, szarpiąc potwornie i wyrzucając burą ścianę kurzu i kamyków.

Ocaleni stali długo, odprowadzając samochody spojrzeniami. Wyglądali na bojowych, sil-

nych, twardych zawodników. Cali w pyłe, sadzy, objuczeni bronią, ładownicami i taśmami amunicji. W takich momentach cały ten bagaż doświadczeń i poza niczym Rambo na niewiele się zdawały. Nikonin też o tym wiedział.

Ci tam, stojący na drodze, bali się i nie wierzyli jeszcze, że przetrwali. Pewnie nie pierwszy raz znaleźli się w takiej jatce, ale sądząc po ich zaciętych, zszokowanych obliczach, teraz było bardzo źle.

I jeszcze lęk o kumpli. Wszystko naraz.

Nikonin rozważał nawet przez chwilę, czy nie odpuścić i nie dać im momentu na otrzeźwienie. Postarzał się. Zmiękł. Ale przecież to nie były małe dzieci, które spadły z rowerków, lecz najtwardsi ludzie w tym kraju. Ich emocje oraz lęki może i obchodziły zatroskaną zwierchność, jednak najważniejsze były i tak rozkazy.

A na ich wykonanie nie zostało wiele czasu.

Nikonin wymownie kiwnął głową na krzątającego się między swoimi ludźmi młodego majora.

Dowódca zebrał się w sobie i wyprężył, jakby przypominając sobie o własnej funkcji. Podszedł do najwyższego w tym żalonym towarzystwie obitych ludzi. Klepnął go w ramię, powiedział coś na ucho i wskazał gestem głowy na Nikonina.

Facet był wyższy od swego dowódcy prawie o głowę. Brunet, którego młode lata ewidentnie dobiegały z wolna kresu, i tylko oczy, żywe, duże i błyszczące, stanowiły dowód, że ich właściciel nie poddaje się tak łatwo. Miał dłuższe od innych włosy, iście cywilną fryzurę. Kilka dni słońca starczyło, by jego twarz zmieniła barwę, i teraz na brązowawej cerze odcinały się niezbyt długie białawe blizny.

Żołnierz schował odruchowo głowę w ramiona i lekko przechylił. Otworzył wąskie usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko zastygł na kilka sekund, gapiąc się bezmyślnie przed siebie.

Polecenie dowódcy obudziło go wreszcie i ruszył prędkim, sprężystym krokiem w stronę Nikonina.

– Witam porucznika... – Przywitanie nie było ani trochę regulaminowe, choć twarz majora przybrała marsowy, oficjalny wyraz.

– Porucznik Anton Władysławowicz Gerda... – dukał jak na defiladzie żołnierz.

– Cześć, Wielki! – Nikonin nie mógł dłużej wytrzymać.

Błysnął uśmiechem i złapał chłopaka za ramię, po czym potrząsnął jego dłonią z całą mocą.

– Ostro się za was wzięli. – Odsunął się, taksując przez sekundę brudny ubiór ciągle zaszokowanego Gerda. – Chodź... Musimy porozmawiać. – Spowaźniał i wskazał dom za swoimi plecami.

Izba, którą przydzielono gościowi z kraju – ku ledwo skrywanemu niezadowoleniu kilku podoficerów – nie była niczym szczególnym. Pokój, jakich tysiące po wsiach dawnego imperium. Krzywa podłoga, kilka wiekowych, rozpadających się sprzętów.

Wewnątrz było prawie ciemno. Okna, i tak dawno wybite, zasłonięto deskami i workami piasku. Nikonin podszedł do fotela obitego sztuczną, przetartą do cna skórą i przesunął go jak najdalej od tej barykady.

– Siadaj. – Wskazał Antonowi wersalkę takim gestem, jakby zarządzał całym tym przybytkiem.

Dziwny grymas zagościł na twarzy Gerda. Pokiwał głową, tłumiąc wzbierający śmiech.

– Ot, major – westchnął i zwałił na ziemię cały swój pokrwawiony majdan.

Opadł na łóżko, przetarł twarz i wyciągnął nogi. Był wycieńczony. Lęki i napięcie ostatnich

godzin spływały z niego, zastępowane niemiłosiernym zmęczeniem. Do tego bolały go chyba wszystkie mięśnie.

– Proszę, proszę. – Popatrzył na majora dłuższą chwilę mętym wzrokiem, rozpamiętując dawne czasy, wspólne sprawy. – Jak ręka, Boss? – wypalił nagle żywiej.

– A dziękuję. – Nikonin uniósł ramię i pokręcił nim kilka razy. – Śladu nie ma.

– Dobrze, dobrze – powiedział Anton i głośno ziewnął.

Przechylił się przez brzeg łóżka i podniósł kilka szklanych butelek, które przy nim stały. Cmoknął niezadowolony. W żadnej nic nie zostało. Zdegustowany złapał za kamizelkę i odpiął od niej pocziwą manierkę. Nikonin patrzył cierpliwie. Miał jeszcze czas i rozumiał, że Gerd musi ochłonać. Równowaga wracała wolno, jak świetnie by się nie było wyszkolonym i jak by się nie udawało twardego i sprytnego.

– Chcesz? – Wielki potrząsnął buklakiem.

Major pokręcił głową.

– No to co? – Gerd znów opadł na łóżko. – Odwiedzasz nas ot tak? Przydzielili cię do tego gówna? – zapytał bez cienia wahania, tylko nie był pewny, czy słowo, którego użył do opisu otaczającej go sytuacji, jest adekwatne.

– Wielki. – Nikon pochylił się i oparł łokcie na udach. – Ile ciebie tak ganiają?

Tamten długo milczał, patrząc znów szeroko otwartymi oczami, po czym prychnął nerwowym śmiechem.

– A jak ty myślisz? – padło nieprzyjemne, retoryczne pytanie. – Tam u was powinni wiedzieć. – Rozkręcał się, jakby zmęczenie gdzieś ulatywało.

Potarł twarz.

– W domu już o mnie zapomnieli... Wpadam na chwilę, kilka dni i potem... Piach w zębach albo ten syf... – Uniesiony nad głową kciuk wskazał gdzieś w tył.

– A co u Julii? – Nikonin spróbował przerwać potok żalów, ale prędko zrozumiał, że forma nie była najlepsza.

Anton zamilkł. Poza linią stawał się olbrzymim, nieogarniętym, roztrzepanym, ale spokojnym gościem, teraz jednak zmienił się nagle, jakby jakaś szpila ugodziła go do żywego. Zaciśnięte usta tak mocno, że pobladyły. Pałący wzrok przeszywał majora na wskroś.

– Rozumiem. Wybacz. – Nikonin skinął głową ledwo zauważalnie.

Gerd uspokajał się wolno.

– Jak długo tu siedzisz? – Nikonin próbował łagodzić skutki swojego faux pas.

– Niecały miesiąc.

Major przechylił głowę, jakby szukał jakiegoś istotnego szczegółu na fizjonomii dawnego podwładnego.

– Nie, nie jestem tu na stałe – odpowiedział na przebrzmiałe dawno pytanie. – Przyjechałem... – wyprostował się i padł na oparcie starego mebla – ...po ciebie.

Gerd drgnął.

– Dlaczego? – Zawahał się.

– Potrzeba mi ekipy. – Nikonin przybrał uśmiech zawodowego sprzedawcy. – Dobrej, starej ekipy. Porozjeżdżaliśmy się po świecie... – Romantyczny wtęret marnie mu wyszedł.

– Inni żyją? – zapytał Wielki.

– A co, nie wiesz? – teraz Nikonin się zdziwił. – Racja... firma jedna i ta sama, ale...

– Ale co?

– Kiedyś ci opowiem, Wielki. Teraz mam propozycję. – Spowaźniał.

– Zamieniam się w słuch.

– Zejdiesz z linii... – Nikonin mówił wolno, półgłosem, patrząc wprost w oczy porucznika – ...i dostaniesz urlop. Nie powiem, że strasznie długi. Powiedzmy, tydzień. Uregulujesz swoje sprawy. – Imienia dziewczyny nie wymieniał już z ostrożności. – Potem mam dla ciebie robotę... na zachodzie, ale bez czołgów i samolotów. Kilka dni na rozpoznanie. Potem planowanie i... jedna, góra dwie doby na działanie.

– Szybko, ładnie i miło. – Znużenie Gerda przeobrażało się we frustrację. – Jak u Turka, co? Nikonin przygryzł język i odczekał cierpliwie kilka chwil.

– Tak – skłamał z całą bijącą zeń pewnością, choć takich prościzn w tym rzucie nie przewidywał. – Postaram się, żeby przenieśli cię do szkolenia.

Trafił w punkt. Wiedział dużo. Nie jechałby nieprzygotowany.

Liczba zadań, jakie wydzielala zwierzchność, narastała w takim tempie, że odrzucano podania co bardziej doświadczonych oficerów, ale i szeregowych żołnierzy, którzy prosili o przeniesienie gdzieś, gdzie było spokojniej.

– Obiecuję. – Major dla efektu wymownie unióśł dwa palce.

– Tak... – Gerd znów opadł leniwie na łóżko, przekręcił się na bok i podparł głowę ręką.

Wyglądał na nieprzekonanego, ale oczy mu pojaśniały.

– Jeden rzut i spokój? – Jego głos przepełniła już mniej skrywana radość.

Z takim stażem, z tyloma wyjazdami na koncie przecież zasłużył.

– Tak – odparł pewnie Nikonin. – Ale jedno jeszcze. – Anton wiedział, że nic nie idzie prosto. – Mój autorski pomysł, to i zapytam. Interesujesz się historią? Dobrze pamiętam?

– Trochę tam czytałem... wiesz przecież. – Gerd nie bardzo pojmował, co to ma do rzeczy.

– Nie, nie o to chodzi. – Nikonin machnęła lekceważąco ręką. – Ze dwa, trzy lata temu uczestniczyłeś w misji rozpoznawczej. Brałeś nowych na wycieczkę. Przyszły teren działań operacyjnych. Topografia, zabudowa. Norma.

Gerd zagwizdał. Wstał i z pochyloną głową ruszył do szczeliny w workach ułożonych na parapecie. Przystanął, oparł się o nie ramieniem.

– O to ci chodzi. Było coś takiego. Ale to nie tylko służbowo. Parę wyjazdów zaliczyłem na własne konto...

– To będzie powtórka – Nikonin przerwał ostentacyjnie.

Zarzucił nogę na nogę.

– Na całego. To, co ćwiczyliśmy... ćwiczyliscie, znaczy się... Jest dobry czas i możliwość.

Anton zerknął przez ramię zmrużonymi oczami.

– Możliwość, mówisz. – Westchnął głęboko. – To będzie trudniejsze niż... – Wskazał palcem w podłogę, wyraźnie tracąc resztki dobrego samopoczucia. – Logistyka, transport... – zaczął wyliczać na palcach – ...a potem najgorsze. Odbój. Nie, nie. – Zaczął dreptać w miejscu. – Nie jestem pewien... Jak nas dopadną...

– Nikt cię nie dopadnie. Wielki, kurwa mać! – Nikonin poderwał się i złapał porucznika za ramię. – Coś ci się przestawiło w mózgu czy jak?

Głędzenie Wielkiego robiło się irytujące.

– Daliśmy radę tutaj, damy radę i gdzie indziej. Chłopaki, jak trzeba, na wycieczki śmigają nie pod takimi szyldami. O motocyklach słyszałeś? A kibice? Nie kłopot. Zresztą... moja brocha, żeby wszystko wypaliło. Wierz mi, będzie grubo, normalnie przygoda życia... – Nikonin zamilkł raptownie. Zbyttno się rozpędział.

Podszedł bliżej i powiedział cicho:

– Zbierzemy grupę. Szybko. Zaufaj. Stratny nie będziesz.
Poklepał Gerda po ramieniu.

*

O ile przed Wielkanocą Adam Thomał odczuwał nerwowe podniecenie, a nawet szczątkową radość, której nie zniweczyło gwałtowne rozstanie z Olką, to teraz nie było już tak przyjemnie.

Rodzinna sielanka skończyła się razem z jego wyjazdem. Naprawdę czuł się tam dobrze, jak mało kiedy ostatnimi czasy.

Potem wróciła codzienność, dziesiątki domysłów i wątpliwości.

Pułkownik Zachrostowski milczał. Nie dawał znaku ani oficjalnie, ani żadnym innym kanałem. Jasne było, że czas świąt być może nie sprzyjał badaniu sprawy, ale przecież to były służby. W teorii nigdy nie zwalniały i nie odpoczywały. Powinno coś się dziać.

Adam nie był głupi. Nikt nie miał obowiązku dzielić się z nim szczegółami, liczył jednak choć na zwykłe „dziękuję” albo „przydało się nam to i owo”. A potem może i jakąś nieśmiałą ofertę, propozycję lub choć słowo o tym, że ktoś tam będzie pamiętał i kiedy Thomał poprosi o wsparcie, dostanie list z referencjami, by pójść tam, gdzie by chciał.

Tymczasem niepokojąca cisza trwała.

Dowlekl się do domu w ciągle sporym poświętecznym ruchu. Zaparkował wóz pod klatką. Wtargał na piętro bagaż, na który w większości zebrał się wielki zapas jedzenia, jaki ofiarowała mu matka. Popakował wszystko do lodówki oraz szafek i dopiero potem zrzucił z siebie kurtkę i buty.

Ogarnęła go nieprzyjemna pustka i jeszcze gorsza cisza. Powiódł wzrokiem po zagraconym, niesprzątanym od dawna mieszkaniu.

Zabolało. Znów był sam jak palec. I jak zawsze w takich chwilach, między kolejnymi związkami, wściekał się na siebie.

Wkurzające uczucie mógł ukoić tylko jakikolwiek hałas, natychmiast, już.

Radio na lodówce było bliżej niż wieża. Włączył. Właśnie kończyły się wiadomości:

„...pod kryptonimem Ząb Rekina mają być największą tego rodzaju operacją sojuszu w tym roku w Polsce. To test dla solidarności paktu, przy formowaniu tak zwanej szpiczy, której powołanie ogłoszono...”

Potem nadano pogodę i muzykę. Adam słuchał jednym uchem, niewiele rozumiejąc. Wcale nie chciał rozumieć. Chciał tylko zagłuszyć wszystkie nawracające myśli o pieprzonym życiu.

Nawet przemknęło mu przez myśl, że to może jakiś zaczątek depresji. Tyle o tym mówili w telewizji, a i w robocie przecież ostrzegali.

Wyciągnął telefon i znalazł numer Beaty. Odchrząknął, zerknął w rozpiszę przyczepioną na lodówce, gotów zaproponować spotkanie, i wcisnął zieloną słuchawkę. Długo czekał, ale włączył się tylko komunikat, że abonent jest czasowo niedostępny. Spróbował jeszcze raz.

„Cholera, co jest?”, nastroszył się.

Wyraźnie go olewała. Jego? Nie był do tego przyzwyczajony. Przecież to zwykle on wybierał moment, kiedy palić mosty.

Włączył Internet. Zalogował się na Facebooka. Zignorował kilka nowych wiadomości, głównie odpowiedzi na frywolne zapytania wysłane do koleżanek z reka.

Otworzył skrzynkę e-mailową. Przejrzał listę odebranych wiadomości i aż cmoknął. List od Beaty. Otworzył prędko, zagłębił się w treść i... usiadł.

„Adaś.

Wiem, że jest nam fajnie. Bawiłam się rewelacyjnie, świetny z ciebie facet, ale musimy zrobić przerwę. Trzeba odpocząć. Będzie lepiej.

Buziaki, Beata”.

Zrobiło mu się gorąco.

– Kurwa mać! – zaklął.

Jakby ktoś dał mu pałą w głowę. Czuł się fatalnie, pod czaszką się gotowało od pytań i wątpliwości. No bo co zrobił nie tak, że pozbyły się go aż dwie laski naraz?! I co gorsza, pierwszy raz w życiu się tym przejął. Ubodło to jego dumę. No i Beata... jego łącznik. Nie rozumiał, co się działo.

Nabrał głęboko powietrza. Poczłapał do pokoju i podszedł do niewielkiego, prowizorycznego barku zmontowanego w szafce z podświetlaną szybką. Sięgnął po whisky i szklanę, nalał sporą porcję. Cierpki, ostry smak pomagał myśleć. A miał o czym.

Nie lubił tego, ale w tym wypadku nie miał wyjścia. Musiał odegrać rolę bijącego się o kobietę lowelasa. Pociągnął jeszcze łyk.

Stawka była warta i tego upokorzenia.

*

– Kurwa jebana ich mać – zaklął młody mężczyzna wgapiony w ciekłokrystaliczny spory ekran laptopa i przetarł twarz w przestrachu.

Był przypakowany, co maskował luźniejszym sportowym strojem, nosił krótką fryzurę i ciągle się garbił. Na imię miał Arek, ale wolał ksywkę Diabeł. Pamiątkę z ustawek na kompanii.

Oficjalnie to on tu dowodził, choć w tym tandemie działali jak zespół, jak równy z równym.

– A jak nam nie wolno?

Drugi z ochroniarzy, niższy, ale też napakowany, najwyraźniej pękał.

Gdyby nie ciemniejsza, bardziej kaukaska albo środkowo-azjatycka karnacja i nieco dłuższe kruczoczarne włosy, mógłby uchodzić za bliźniaka swego towarzysza. Nie wiedzieć czemu, nazwali go kiedyś Harpun i tak już zostało.

Stał teraz ubrany w cienki sweter i narzuconą nań czarną kurtkę softshell, przestępował z nogi na nogę i z nerwów cmokał, patrząc na ekran ponad ramieniem kompana.

– Weź się, chłopie, uspokój.

Diabeł pchnął go. Jemu też ta fucha wcale się nie podobała, a ilość adrenaliny pozwoliłaby obdzielić całą drużynę ludzi. Tymczasem kwitli tu zupełnie sami, jak pustelnicy, już kilka cholernych tygodni. Bez możliwości wychodzenia w ciągu dnia na zewnątrz. Żadnych dziewczyn, wody – nic z tych przyjemności.

Zaopatrzenie dowoził im ktoś wydelegowany od majora Nikonina. Tak jak mówił Cegła podczas ostatniego spotkania, robili poza korporacją, więc musieli uważać. Tylko legalnej roboty było szkoda. Zamknęli szkołę sztuk walki i zniknęli, pisząc na stronie facebookowej, że wybywają do rodzin. Jeden na urlop, a drugi do chorej matki. Za długo to trwało i bali się, że ich uczniowie wreszcie się jednak wkurzą i pójdą szukać innych trenerów i szkół.

Kiedy przyszło „grzeczne zapytanie” o tę robotę, doszli do wniosku, że zajmie im to tylko chwilę, że to taki dodatek, zresztą bardzo dobrze płatny. Mieli inne zadania i nawet w ostatnim czasie, kiedy wszystko wkoło przyśpieszało, nikt nie zmieniał im priorytetów, dopóki nie pojawił się towarzysz major z tą swoją propozycją. Niezrozumiały, obgadywaną po kątach, no ale każdy sobie jakoś dopomagał na boku, więc się nie dziwili. Aż do tej nocy.

– Może nam nie wolno – odezwał się znowu Harpun, nie dając się wyrwać z pesymistycz-

nych przeczuć.

Nie był taki na co dzień. Przy młodych raczej epatował bojowym duchem i zarażał wiarą w swoją siłę.

– Zobaczymy.

Diabeł nachylił się do krzesła obok i sięgnął po rzuconą niedbale kurtkę. Cały czas jednak patrzył w ekran.

Sprzęt nagrywający kupili tu na miejscu, w Polsce. Świetne rzeczy. Kamery bezprzewodowe przekazujące obraz na ich komputer. Obstawili nimi swój obiekt. Dziwny dom, starą, sypiącą się rudere niemal przy głównej drodze w turystycznej miejscowości nad polskim Bałtykiem.

Dwa obiektywy ulokowali przy szosie, w obu kierunkach. Zamaskowali elegancko. Nikt się nie czepiał. Nikt nic nie widział. Zresztą tu ciągle było prawie pusto, nawet teraz, gdy przyszła wiosna.

Pozostałe kamerki strzegły samego domu, ustawione tak, by widać było dojścia z kilku kierunków. Wiele robić nie było trzeba. Tylko czasem ruszyć się, wymienić baterie albo od biedy przetrzeć obiektyw, tak by nikt nie widział, że ktoś się interesuje ruiną.

Mieszkali kilka domów dalej, więc musieli umieć przewidywać i reagować odpowiednio wcześniej, gdyby coś się zaczynało dziać. Trasę skrytego podejścia opanowali szybko. Robili to bezszelestnie i sprawnie. Tylko raz musieli interweniować, ale poszło elegancko.

– To ten z marca? – Harpun zadał dręczące go pytanie. – Jak myślisz?

– Coś ty. – Diabeł zaprzeczył energicznie. – Przecież o tym gadaliśmy. To był jakiś lump albo ciekawski gnojek. Partacz. Dostał wpierdol i... – Męczyło go opowiadanie po raz dziesiąty tego samego. – Tu coś...

Splótł palce na brzuchu i kręcił młynki kciukami. Myślał gorączkowo.

– Kurwa, jestem pewien – obwieścił nagle głośno i pewnie. – Ten wózek mignął mi przedwczoraj i dziś rano. Czemu nie zrobiłem zrzutu z ekranu... – Wściekł się na siebie za ten brak reakcji.

Oni naprawdę tu zgrzybieli. Tracili szósty zmysł, który predysponował ich do tej niełatwej, ale jakże ekscytującej pracy.

– Ja pierdołę... – Głos Harpuna zadrżał. – Państwowi?

Zaczął dreptać po piwnicznym pokoju, w którym zrobili punkt dowodzenia.

– No i co? – Diabeł był bardziej bojowy. – Jak będą próbowali... – Słowa ugrzęzły mu w gardle.

Aż taki głupi nie był, żeby rzucać wyzwanie miejscowej policji.

– Nie, nie sądzę. Oni by się nie kryli... – stwierdził, odpędzając chmurne wizje. – Sprawdźmy, co będzie – zarządził stanowczo.

Wstał i narzucił kurtkę. Pochylił się przed ekranem i zastygł w bezruchu, myśląc intensywnie. Nie mógł prosić o instrukcje. Te już dostał. Ogólne, więc trzeba było liczyć na siebie.

Bronić domu czy raczej odganiać intruzów we dwóch można było, kiedy tłukło się po łbie jakiegoś gnojka, co skakał przez płot, sądząc, że tam przekima albo wyrwie coś na złom. Choć i z tym różnie mogło być. Teraz robiło się grubiej. Arek to wiedział, czuł każdym nerwem, choć panował nad sobą lepiej niż kompan.

Ciemny samochód, błyszcząca audi kombi, przemknął przed domem w stronę Helu. Zaraz nawrócił, minął obiekt i zwolnił.

Diabeł przełknął ślinę. Coś się działo i w żaden sposób nie potrafił sobie tego tłumaczyć.

Jeśli wcześniej narzekał na nudę, to teraz na bank szykowała się robótka. Paskudna zresztą.

– Zbieraj się – rzucił do rozdygotanego Harpuna.
Opanowanie Diabła, choć sztuczne i niełatwe dla niego samego, koło nastrój.
– Jasne – odparł już spokojniej towarzyszu.
Uniósł sweter z boku, tak by nie przysłaniał kabury.

*

Zaparkowali daleko. Byli ostrożni. Przemykali z dala od latarni i ciekawskich oczu turystów, których nad morze zwabiła aura. Nie natknęli się na żaden patrol, ani policji, ani ochrony, jakby ci zrobili sobie długą przerwę na kawę.

Przybysze byli sprytni, a przynajmniej tak im się zdawało. Podchodzili cicho, odsunęli kawał blachy ogrodzenia i zaczęli wdrapywać się przez płot.

Diabeł kuczał pod drzewem jakieś dwieście metrów dalej z kurtką narzuconą na głowę, by osłonić blask niewielkiego tabletu. Bardzo podobały mu się takie udogodnienia. Sygnał kamery mógł odbierać zewsząd, z każdego zsynchronizowanego z nimi urządzenia.

Gości było dwóch. Ubrani na ciemno, w jakieś dresy, kurtki, rękawiczki, ale z gołymi głowami, bez kamuflażu.

– I jak? – Harpun, który kuczał obok, osłaniając kolegę, trącił go w bark. – Idziemy czy odpuszczamy?

– Czekaj! – Spod kurtki doleciał cichy syk.

Coś tu nie grało i nie sposób było odgadnąć, co właściwie. Dowódca chciał pewności, jednego sygnału na potwierdzenie, że naprawdę kroi się coś grubszego.

Na dowody nie trzeba było długo czekać. Dwóch facetów, silnych i roslých, obeszło wolno dom. Wyciągnęli latarki i zaczęli świecić po zasłoniętych oknach. Wyraźnie szykowali się do sforsowania przeszkody i kombinowali, jak zrobić to najciszej. Ale nie to było dziwne. Kiedy odkryli po kilku minutach okno do piwnicy – które ochrona po ostatnim incydencie zakamuflowała, choć wyraźnie nie najlepiej – jeden z dwójki przybyszów złapał się za ucho i wyprostował.

– Jasna cholera! – Diabeł zmrużył piekące oczy. – Mają z kimś kontakt.

– Kurwa! – Harpun nachylił się, ciekaw obrazka z kamery, jakby to było ważniejsze niż pilnowanie tyłów.

Zamilkli na kilka sekund i żaden z nich nie miał ochoty odzywać się pierwszy.

Było oczywiste, że nowi goście to nie jakieś łachudry. Ewidentnie ktoś ich przysłał, teren został rozpoznany, a im samym dano ochronę. Nie było wiadomo, czy teraz także Diabła i Harpuna ktoś nie podgląda albo nie śledzi. Zawiał mocniejszy wiatr. Zrobiło się chłodniej. W którymś z ogródków zaczął ujadać pies.

– Idziemy. – Diabeł sam nie mógł uwierzyć, że zdołał to powiedzieć.

Harpun odsunął się i pokręcił nerwowo głową.

– A co? Odpuszczisz? I co powiesz? – szeptał Diabeł poirytowany, choć bardziej na sytuację niż na kumpla. – Polecenie dostałeś: pilnować. Chuj wie, o co tu chodzi, co jest w tej daczce, ale jak nam wleżą, to co powiemy?

– A... – Harpun zaczął się jąkać. – A jak to policja? – Zadawał to pytanie po raz drugi.

– Nie, nie oni. – Diabeł wydobył z siebie tyle pewności, ile zdołał. – Przyszliby oficjalnie w dzień, nie po nocy... – Gapił się w pustkę. – To ktoś inny.

Zgasił tablet, zawinął w kurtkę i schował pod krzak.

– Spokojnie. Pewnie o nas nie wiedzą. Są ostrożni, ale wyluzowani, nie spodziewają się tu nikogo.

Nie było czasu ani miejsca na bojowe przemowy i kreślenie planów. Diabeł złapał Harpuna za ramię i pociągnął za sobą. Ten już nie protestował. Nie miał odwrotu. To była wojna, a on miał słuchać rozkazów.

Dłoń odziana w rękawiczkę powędrowała do biodra. Diabeł nie lubił tej broni. Walther P99 jakoś mu nie leżał, ale ich znajomy hurtownik miał pod ręką tylko to z nowocześniejszych cudniek. Jeszcze były ciepłe, dopiero wyprowadzone z fabryki. Kolejna cholerna niedogodność przy działaniu poza korporacją. Na samo wspomnienie ręce zaczynały dygotać. No bo przecież teraz, w tej godzinie, byli zupełnie sami.

Zostało jeszcze kilkadziesiąt metrów. Sprawdzili tłumiki. W tych warunkach nieodzowne. Pochylili się, stąpając cicho i bardzo wolno, osłaniając się wzajemnie.

Włamywacze musieli poczuć się wyjątkowo pewnie, bo im Diabeł i Harpun byli bliżej, tym wyraźniej dochodziły do nich urywane słowa i trzaski łamanych desek. Diabeł skinął przez ramię, Harpun potwierdził. Przyśpieszyli. Zatrzymali się, kucając pod blaszanym płótem. Nic nie widzieli, ale odgłosy były tu wyraźniejsze.

Przepętlili dalej, za róg, od wschodniej strony. Kawał blachy, tym razem przy ziemi, był poluzowany i zastawiony trzema pustakami. Odsunęli to wszystko sprawnie, bez hałasu.

Diabeł znowu ruszył przodem. Otwór, jaki sobie przygotowali już na początku tej „pracy”, był na tyle szeroki, by mogli się przeczołgać. Poszło gładko.

Podwórce było zasłane kawałkami gruzu obrosniętego trawą, kopcami piachu i desek. Ochrońniarze działali szybko. Długie, ostrożne kroki. Dotarli do ściany. Wysunięte ręce i lufy pistoletów mierzące w półmrok. Okrążyli taras ze schodami prowadzącymi do nieistniejącego dawno ogrodu. Głosy były wyraźne. Dwie osoby przed nimi mówiły po polsku.

Diabeł i Harpun przywarli do ściany, wciągając głęboko powietrze. Puls szalał, pot rosił czoła. Chwila na opanowanie i... Naprzód!

Wyskoczyli. Niemal jednocześnie i jak się okazało, prawie w ostatnim momencie.

Ciemność rozjaśnił blask latarek. Dwaj mężczyźni, na pierwszy rzut oka niemłodzi – jeden w połowie wciśnięty w okienko, i drugi, który mu pomagał – zamarli.

Urwany trzask. Jeden, drugi. Krótki żółtawy błysk. Obaj byli martwi. Zrobiło się niemal cicho. Tylko wiatr miotał konarami wciąż nagich drzew.

Diabeł podszedł ostrożnie. On nigdy nie chybiał. Obmacał pierwszego trupa. Z prawej strony dało się wyczuć kaburę z bronią. Ważniejsze jednak było to, co miał w uchu – niewielką słuchawkę i mikrofon na kablu biegnącym pod ubiór. To nie były pijaczki, ale profesjonaliści.

Wyrwał całe to oprzyrządowanie. Pomiał i zdeptał.

Zabezpieczył broń.

– Pomóż! – rozkazał Harpunowi i podwinąwszy rękawy, złapał drugie zwłoki.

Chcieli roboty, to ją teraz mieli. Trzeba było się śpieszyć, zanim... przyjdzie ktoś jeszcze.

– Musimy... – Harpun sapał, targając trupa po ziemi – ...zawiadomić majora. – Otarł spoczone czoło. – Niech coś, kurwa, wymyśli albo sam tego gówna pilnuje... Jeszcze raz taka chujnia...

Przeciągnął palcem po szyi w bardzo wymownym geście.

*

– Szary? Szary, kurwa mać! – Szpakowaty mężczyzna w audi prawie że ryczał do słuchawki, jednocześnie regulując pokrętkę częstotliwości. – Co u was!? – krzyczał w eter, nie mogąc zrozumieć, co się wydarzyło.

Przecież pół minuty temu jeszcze się odzywali. Obydwaj. Wchodzili do środka, a teraz... Spróbował wywołać ich jeszcze raz, po czym dał spokój. Kilka sekund tłukł pięściami w koło kierownicy, ale niewiele to pomogło.

Wahał się chwilę, czy nie podjechać kawałek i nie sprawdzić, co się stało, ale plan był inny.
– Kurwa mać! – wściekał się.

Sięgnął po telefon. Napisał krótkiego esemesa i wysłał. Zapiął kurtkę, a z jej kieszeni wyciągnął broń.

Nie podobało mu się to wcale, ale musiał iść. Nie mógł ich zostawić.

Otworzył drzwi. Omiótł go zimny wiatr od morza. Przywiał ze sobą złe przecucie i wątpliwości.

*

Nocne wiatry przyniosły zupełną zmianę pogody. Słońce już przyjemnie grzało, wisząc na bezchmurnym niebie. Nastrój poprawiał się od samego patrzenia na ten obrazek.

Dzień w porcie zaczynał się pracowicie. W pobliskiej stoczni również. Statki przy podniszczonych nabrzeżach zrzucały ładunek lub go pobierały. Różne bandery, różne załogi. Sporo z Rosji. Sankt Petersburg i okolice.

Po nabrzeżach jeździły auta zapracowanych jak zawsze agentów wożących wypłaty, wizy albo zakupy i tony dokumentów. Od chłodni ciągnęły kolumny ciężarówek, a tiry pełne ziarna uzupełniały zapasy w silosach. Na wodzie kręciły się łodzie pilotów i holowniki pędzące po klientach czekających, by wyprowadzić ich na zatokę. Wszystkiemu towarzyszył lekki metaliczny pomruk i trzask blach z drugiej strony kanału.

Ochroniarz, pan Walerian, zwany przez podwładnych Elvisem ze względu na charakterystyczną czuprynę, weteran WOP, najtwardszy z portowych żetonów, sumiennie wczytywał się w kartkę, którą dostał od załoganta wielkiego statku rybackiego.

Znał ten język bardzo dobrze, więc zwykle nie potrzebował tłumacza, ale tym razem treść – bardzo techniczna – była zbyt skomplikowana.

Uniósł głowę. Okrętowy dźwig porzewiałej niebieskiej jednostki opuszczał sporą skrzynię na naprężonej linie. Dwóch marynarzy umiejętnie przechwyciło ją, kiedy tylko zbliżyła się do nabrzeża, i poczęło ostrożnie układać na krótkiej ciężarówce, która parkowała tuż obok burty.

– I to jest to? – Walerian wskazał świstkiem na ładunek, taksując go, jak to miał w zwyczaju, surowym, dogłębnym spojrzeniem profesjonalisty.

Czy to teraz, czy to za minionego ustroju nigdy nie dawał sobie w kaszę dmuchać i pilnował, jak należy, by przepisy były wykonywane. Inna sprawa, że obecnie coraz częściej gubił wątek, mylił firmy spedycyjne albo agentów przypisanych do konkretnych statków, potem się wściekał i obrażał, ale jako że był w okresie ochronnym, nikt nie mógł go ruszyć, a niższego stanowiska dla niego na razie nie potrafiono wyznaczyć.

– To, to jest... – Rzucił okiem w papier, ale nie bardzo mógł zrozumieć.

– To jest element silnika. – Uprzejmy i o dziwo ciągle opanowany blondyn w podkoszulku i dzinsach uśmiechnął się.

Rosjanin tym najprostszym z opisów wybawił Waleriana z trudu ponownego rozszyfrowywania tekstu.

– Bez tego nie ruszymy się z miejsca. Trzeba to naprawić albo wymienić. Armator już załatwił. W Poznaniu zrobią. Za kilka dni będzie z powrotem.

– Tak, tak. – Walerian zmrużył oczy, popatrzył na głównego mechanika i zdawało się, że

wietrzy podstęp.

Ale chłopak nie tracił pogody ducha. Szczerzył kły i patrzył spokojnie.

– No... no dobra. – Walerian jeszcze raz rzucił okiem na dokument.

Zapotrzebowanie na nowe części wystawił sam kapitan. Była pieczętka, podpis. Wszystko, jak należy. Tak się robiło. Jeśli kapitan, a to persona poważna, sygnuje tak wielki transport, zna czy się sprawa podbramkowa. Różnie przecież bywało. A takie wypadki kosztują słono i nikt by sobie z tego żarcików nie robił. Zawsze przecież ci agenci, z którymi trzeba się wyklócać, wymądrzają się, że czas to pieniądz. No a oni, ci z ochrony, nie zwykli zaglądać w paki posyłane w kraj. Choć ta była wielka i może trzeba by było.

– No to jak? – Kąciki ust blondyna uniosły się jeszcze bardziej. – My musimy płynąć dalej, a im prędzej to załatwimy...

Poklepał ochroniarza po ramieniu, po czym jego dłoń zjechała w dół i Walerian poczuł, jak marynarz wkłada mu coś do tylnej kieszeni spodni. Nabrał powietrza i udał przez chwilę, że się waha.

– Dobra – powiedział w końcu, wydał usta i pańskim gestem złożył kwit. – Jedziemy na bramę. Pogadam, żeby puścili prędko.

Uniósł daszek czapki i ścisnął dłoń mechanika. Zaraz potem ręka powędrowała do kieszeni spodni, gdzie dało się wyczuć nieduży zwitek banknotów.

*

Adam zapiął ostatni guzik koszuli. Robiło się ciepło, więc bluzę – swoje ulubione odzienie – zarzucił tylko na ramię, tak na wypadek, gdyby pogoda miała się niespodziewanie zmienić. Sprawdził, czy ma w kieszeni spodni portfel. Łyknął kawy, złapał klucze i wyszedł na klatkę. Zamknął drzwi i zbiegł szybko na dół.

Na dworze było niespotykane ciepło jak na drugą połowę kwietnia, ale bardzo się tym nie martwił. Po lodowatym początku wiosny milsza aura po prostu wszystkim się należała.

Zanim otworzył auto, wybrał numer Beaty i przyłożył telefon do ucha. Dwa sygnały i zaraz automat. Wyłączała za każdym razem. Nic nowego od kilku dni.

Wysłał esemesa. Udał, że chce pogadać. Bardzo zależało mu na jakiejś wieści od jej tatusia. Począł chwilę, ale nic nie przyszło w zwrotnej wiadomości.

Wsiadł więc do auta, odpalił silnik i ruszył. Drogą pełną kolein i wyżłobień, które podobno tej wiosny mieli zakryć betonowymi płytami, dojechał do asfaltu – wąskiego traktu obsadzonego ciasno drzewami. Skręcił w lewo. Przyśpieszył. Nie miał do przebycia dalekiego dystansu, ale wolał uniknąć korków na głównej szosie. Zresztą o tej porze były już niemal pewne.

Minął domy, całkiem spore wille, piętrowe bryły wyrastające jedna po drugiej w tej do niedawna pustawej okolicy. Włączył radio. Jakieś wywiady z politykami. Pewien nieśmiertelny ekspert, chyba doradca prezydenta, mądrzył się na temat tego, jak to nadchodzące manewry niewiele wnoszą do bezpieczeństwa Polski i jak on by to wszystko lepiej poukładał. Przepytyujący o dziwo jakoś bardzo nie cisnął gościu, raczej potakiwał, nie siląc się na kontrargumenty.

Adam tylko westchnął i zmienił stację. Nie lubił się irytować od samego rana, poza tym wielka polityka i jej koncepcje teraz niewiele go zajmowały.

Zastanawiał się, co robić dalej. Doszedł do wniosku, że po południu odwiedzi Beatę w pracy. Ba, żeby mu nie uciekła, sam wyskoczy wcześniej. Jeśli się nie uda, pójdzie do niej do mieszkania. Dawno powinien to zrobić. Pokłady cierpliwości prędko mu się wyczerpywały.

W lusterku mignął mu czarny lakier jakiejś terenówki. Nie była nowa. Pojawiła się znikąd

i jechała szybko. Kiedy odbicie auta urosło, można było dostrzec, że to stare terrano.

Adam patrzył w lusterko wsteczne z zaciekawieniem. Rankami ruch był tu minimalny, a tego wozu nigdy wcześniej w okolicy nie zauważył. Czarny samochód przyśpieszył z rykiem mocnego, nie najmłodszego motoru. Wyskoczył na lewy pas i krztusząc się, zrównał się z autem Adama.

Jechali tak bok w bok kilka sekund. Thomal zmarszczył brwi, gotów zabić wzrokiem szofera w aucie obok. Ten jednak nie odpuszczał, do tego obrócił głowę w stronę Adama. Pół twarzy zasłaniał mu szalik i postawiony kołnierz ciemnej kurtki. Nie uśmiechał się, nie gestykulował, tylko patrzył. Kamienna twarz. Nagle dodał gazu, wrzucił kolejny bieg i bez problemu pomknął dalej, zostawiając za sobą chmurę spalin. Prawie nie zwolnił, wpadając na krzyżówkę, po czym skręcił w prawo i zniknął.

*

Thomal pobrał broń, zrobił kawę i zaczęła się odprawa. Jak zawsze.

Coraz cieplejsze dni sprawiały, że uaktywniało się więcej kieszonkowców. Na dworcu też kradli, ale tam to już nie drobnicę, lecz całe walizki. Do tego w nocnym, przy baszcie, nieopodal nabrzeża rzeki, doszło do próby włamania. Ku uldze Adama ta sprawa przypadła komuś innemu. On i Stefanek mieli zająć się patrolowaniem starówki i okolic. Fajniej, niż wpaść w Dolne Miasto.

Po odprawie wszyscy zaczęli wychodzić, by pobrać kluczyki do aut. Włoski zbierał papiery przy swoim biurku.

– Adam – rzucił oficjalnym tonem, kiedy Thomal był już jedną nogą na korytarzu. – Mam sprawę. – To też nie brzmiało dobrze.

Thomal machnął na kolebę, żeby szedł sam. Podeszedł do biurka szefa, łykając nerwowo ślinę. Przypominały mu się studia i egzaminy ustne.

– Siadaj!

Włoski nagle stracił zainteresowanie papierzyskami. Oparł się w krzesło, skrzyżował ręce i gapił się jak za każdym razem, kiedy przesłuchiwał zatrzymanego.

Adam znał go dobrze. Wiedział, że musi się pilnować. Spojrzenie aspiranta wszystko tłumaczyło. Wszedł w swój bojowy tryb.

– Słuchaj, sprawa jest dziwna, nieprzyjemna. Jak zwał, tak zwał zresztą.

Włoskiemu nie drgnęła nawet brew. Musiało być ostro.

– Na Mazurach odwalili jednego dziadka... – Wstęp był mocny i Thomal już wiedział, co będzie dalej. Bez powodu Włoski by mu o tym nie mówił. – Znasz go chyba...

Szczęka Włoskiemu drgnęła, jakby zazgrzytał zębami. Ten tik też znali na komendzie.

Adam odruchowo skulił się i napiął mięśnie.

– Nazywał się Borowiak. To co? Znałeś go?

– Znałem to zbyt wielkie słowo – bąknął Adam.

W głowie miał istny kalejdoskop myśli i nic nie potrafił z tego ułożyć. Jedyne człowiek, który wiedział więcej o Kaliczu, niż było w aktach sprawy, poszedł do piachu. Jak? Czemu? Te pytania nasuwały się automatycznie i przerażały.

– Tak czy nie?! – warknął Włoski.

– Tak. – Thomal skapitulował. – Poznałem go. I co z tego?

– No, tego... – Włoski wreszcie drgnął, popatrzył na podwładnego z wściekłością i wypalił: – ...tego to ja, kurwa, nie wiem! Powiesz mi?! Bo wewnętrzny dopytuje! – Cios był nawet do-

tkliwszy niż wiadomość o morderstwie. – Nieoficjalnie na razie. To co, byłeś w tej wsi?

– Byłem – Thomal uznał, że dłużej nie będzie kręcił.

Aspirant przecież i tak wiedział wszystko.

– Facet zginął zaraz po świętach. Zrobili raban. Poszli na wieś i co się okazało...? Pan szanowny – wskazał palcem w nos podwładnego – odwiedzał wioseczkę, a nawet był u tego całego Borowiaka. Ktoś ci go pokazał. Pominę milczeniem, za kogo się tam przebierałeś. Ludzie zeznali. – Zdawało się, że szef wydziału poweselał. – Jakiś ormowiec miejscowy zapamiętał numer auta... panie redaktorze. – Ten ostatni zwrot pełen był zjadliwej ironii. – Czego ty tam szukałeś, do cholery?!

– Pogadać chciałem... – Thomal nie miał zamiaru wyjść na pierdołę. Mina szefa szybko jednak wskazała, że to zła droga. – Szukałem czegoś w sprawie... Kalicza – wyznał wreszcie.

– A widzisz. – Włoski kiwnął głową. – Pamiętam. Miałeś jakieś wątpliwości i co? Nie wytrzymało się? Seriali się naoglądałeś czy marnych powieściel naczytałeś? – walił uszczypliwościami jak w bęben. – I jakie efekty? Spisek jakiś odkryłeś? – Zaniósł się złośliwym śmiechem.

– I co teraz? – zapytał zaczepnie Thomal. Włoski przycichł prawie natychmiast. Znów wrócił mu nastrój godny inkwizytora. Pochylił się nad biurkiem, podparł na łokciach i skłonił głowę.

– To teraz, że masz nauczkę za wpierdalanie się tam, gdzie nie trzeba. Mało masz roboty, to ci podeślę. Przesłuchają cię ci z Olsztyna. Nie wiem, wpadną tu czy każą ci jechać do nich. Zznasz, co wiesz, i co ważne, że to nie ty.

Znów przez chwilę trząśł nim śmiech.

– Mam alibi. Byłem na świętach u rodziny.

– I tyle. – Włoski klepnął delikatnie w stół. – No ale wewnętrzny będzie wachał dłużej. Chyba ich znasz... Zresztą się nie dziwię. Ocierasz się o zabójstwo. Jakieś prywatne śledztwo? Miejscowi opowiedzieli o twojej wizytacji. Trzeba nadać bieg sprawie. Złapią trop, będą łązić, parzyć. Nie, nie mówię, że dobrać ci się do dupy, bo przebieg służby masz wzorowy, ale bądź gotów na kłopoty. Może urlop? Choć nic nie sugeruję. Na razie wszystko idzie normalnie. No – nabrał głęboko powietrza, uważnie lustrując Adama wzrokiem – to do zadań. Nie zatrzymuję dłużej.

Thomal wyszedł na parking. Oparł się o ścianę i utonął w rozmyślaniach. Jedno nurtowało go najmocniej, niemal boleśnie.

„A jeśli zabili go przeze mnie?”.

Przecież facet żył sam, na uboczu, nie przeszkadzał. Sprzedał wiadomości. Zarobił i nawet nie zdążył przepić.

Wiadomość o domu Kalicza i Duńczyka musiała być zatem ważna. Ktoś szedł tym samym tropem... To musiała być robota kolegów Jurija. Tak miał zamiar zeznać. Facet nie zdążył dotrzeć do dziadka, ale jakoś przekazał wiadomość. Przecież był jeszcze ten ktoś, kto załatwił antykwariusza w Sopocie... Nie złapali go. Antykwariusz był stary, mieszkał sam, więc na hit medialny się nie nadawał. Ludzie zapomnieli, choć wojewódzka szukała ciągle. Niestety, nie było dowodów, że to wszystko się wiąże, ale... Uznał, że tego będzie się trzymał. No chyba że sprawdzą jego bilingi i odnajdą niejakiego Ptasznika, choć to akurat wydawało się mało prawdopodobne.

Nie był może Kojakiem, ale swoje wiedział. Nikt go nie uzna za sprawcę. Tego był pewny. Miał przecież chronione tyły. Rodzice zeznają. Jak już, to dowalą mu się do wycieczki do Niwy i do tego, co dziadek mu opowiedział. Musiał wymyśleć jakąś historyjkę, ułożyć ją elegancko i sprzedać. Kiedy wszystko się rozwiąże, powie, jak było naprawdę.

Zrobił kilka kroków i znów nagle stanął.

„A jeśli nic się nie rozwiąże?”, przerażająca myśl przeleciała mu przez głowę.

Miałby wyzerowane konto. Nic nie zyskał, nic nie stracił, no, może z wyjątkiem siniaków i kilku tysięcy złotych. Szkoda by było. Był blisko...

„Nie, jestem blisko. Jeśli nie chcą mi pomagać...”.

Przypomniał sobie dom na półwyspie, lanie, odziane na czarno typy. Ale co miał robić? Nikt się tym najwyraźniej nie zajmował albo i gorzej – Zachrostowski też zaczął knuć, cicho, po swojej linii, żeby medale lądowały na jego piersi.

– Niedoczekanie – prychnął sam do siebie i pokręcił głową.

Musiał coś wymyśleć.

– Idziesz, kurna?! – Stefanek wylazł zza węgła niezłe wkurzony. – Czego chciał Włoski? – pytał, burcząc pod nosem.

– Idę, idę. – Adam machnął ręką i ruszył do auta.

*

Aż żał było chować się do budynku i zostawiać taki piękny dzień na zewnątrz. Słońce, lekki wiaterek i co ważniejsze, pierwsze kuse spódniczki na ulicach. Nie można było się napatrzyć. Anton wiedział na pewno – zdziczał. Tak długo przesiadywał w różnych kretyńskich miejscach zapomnianych przez Boga i normalnych ludzi.

W ciągu ostatnich kilku dni intensywnie nadrabiał zaległości, przypominając sobie szczegóły kobiecej anatomii, ale i tak było mu mało. Energii i pomysłów starczyłoby mu chyba na pół roku.

Gapił się przez okno SUV-a niczym napalony gnojek i znów nabierał ochoty na zabawę.

– Szybko załatwimy i będzie czas...

Nikonin prychał śmiechem pod nosem od samego patrzenia na tego wielkoluda. Też kiedyś był w jego wieku i też musiał nadrabiać, odreagowywać.

Samochód wydostał się z zakorkowanego prospektu i prędko ruszył w nieco spokojniejsze rejony. Ulice się zwężyły, a chodniki zniknęły, zmieniając się w rozdeptane pobocza. Wokół ciągały się pola, a na nich niskie domy jeszcze półnagich przedmieść.

Gerd wiedział, że sprawy, o których będą rozmawiali, lepiej przerobić w nieco odleglejszych miejscach, i był na to gotów, choć żałował, że spódniczek było tu mniej. Zamiast nich gdzieś snuły się starowinki w chustach.

Osiedle musiało być nowe, bo wyglądało na niezamieszkałe. Wyrastało nagle pośrodku pola, z dala od czegokolwiek, co przypominałoby cywilizację. Sklep? Szkoła? Nic z tych rzeczy.

Białe równe klocki, ale ozdobione czarnymi wstawkami marmuru, szkłem i eleganckimi portalami niczym z filmów SF. Do tego spore tarasy z wnękami napełnionymi ziemią i białym grysem.

Zajechali na tył jednego z takich domów, a potem na podziemny parking. Pilotem Nikonin otworzył bramę. Tu też było pusto.

Major zaparkował daleko pod ścianą, blisko windy. Pojechali na ostatnie, piąte piętro. Nikonin pełnił rolę przewodnika.

– Powinni być. – Zastukał w brązowe lakierowane drzwi na końcu sterylnej białego korytarza.

Usłyszeli szmer we wnętrzu i zaraz im otworzono.

Mieszkanie było przestronne i jasne. Naprzeciw wejścia znajdowała się wielka szklana ścia-

na, a za nią taras. Meble z najwyższej półki. Mieszanka lakierowanych komód i krzeseł oraz białych skórzanych sof i foteli. Stolik z alkoholami, ogromny telewizor na ścianie, jakieś fikuśne obrazki, w rogu biurko z komputerem. Linia frontu w Donbasie to to nie była na pewno.

W pokoju czekało kilku mężczyzn. Wyglądali na skupionych albo zestresowanych.

Zza biurka wstał starszy facet o nienaturalnych, bardzo wyraźnie zmienionych chirurgicznie rysach twarzy. Wielki mało nie prychnął śmiechem. Znał te nowobogackie zwyczaje. Nawet w służbie, gdzie który się dorobił, musiał coś poprawić. Skoro sam prezydent to lubił... Pohamował jednak wesołość.

Reszta zebranych też wstała. Znał tylko jednego. Wróciły wspomnienia, ale zaraz przerwał je donośny głos.

– Powitać bohatera!

Pułkownik Filip Arlow nosił nienagannie skrojony garnitur i koszulę, ale bez krawata. Wyciągnął dłonie wysoko i opuścił je Wielkiemu na ramiona, co wyglądało nieco komicznie.

Wielki zrobił tylko głupawą minę, nie bardzo wiedząc, jak ma postąpić, i zakłopotany zagapił się w podłogę.

– Pozwólcie zameldować – próbował jakoś wybrnąć. – Anton...

– A dajcie spokój... – Arlow złapał jego dłoń i potrząsnął.

Uśmiechał się przy tym i promieniał, ale każdy z zebranych doskonale wiedział, że to teatr.

– Towarzysze, przedstawiam wam bohatera – wybrzmiało doniośnie.

Wielki prawie poczerwieniał. Nie lubił takich zagrywek. Doskonale wiedział, że w tej branży każdy ma zasługi, a takie powitanie mogło nie zaszkodzić mu przyjaciom.

– Bez przesady – uznał, że musi coś odpowiedzieć.

Arlow chyba pojął, że przesadza. Utkwił tylko w Wielkim zaciekawione spojrzenie i zaciął usta.

– Majora Nikonina znacie już oczywiście. – Poprawił marynarkę i wskazał ręką oficera. – Waszego dowódcy wam nie będę przedstawiał. – Poważniał z każdym słowem. – Towarzysza Malegnietowa też chyba pamiętacie. – Wskazał na rudego mężczyznę.

– Cegła! – Wielki pierwszy raz rozpromienił się szczerą radością.

– Wielki, byku! Dobrze wyglądasz.

Przywitali się, klepiąc dobrodusznie po plecach, jakby wszyscy wkoło zniknęli.

– Ty, znaczy wy... sami? – Wielki spojrzał na Nikonina zdziwiony. – Nikogo więcej z naszej ostatniej bandy...? – Niepewne pytanie ugrzęzło w połowie.

– Nie. – Major smutno pokręcił głową.

– Günter... – Cegła wyręczył dowódcę w odpowiedzi – ...siedzi w Samarze. Wózek. Irak, dwa lata temu... Nie pobiega już. – Zabrzmiało to przesadnie ironicznie. – Szalone czasy, co?

– Przejebane. – Wielki sapnął cicho.

Cegła ciągnął dalej.

– Motyl, Johnny... – Umilkł.

Obrócił się do wielkiego okna. Wracało do niego wszystko z siłą tamtego bólu, straty przyjaciół i zamieszania – bardaku w Gruzji i Iraku, nieśmiały prób w Syrii oraz szalonego tempa.

Kilka sekund ciszy przerwał znów jowialny głos pułkownika.

– Ci dżentelmeni to kapitanowie Olegin i Matwiejew. – Wskazał na dwóch mężczyzn.

– Sidor.

– Foma.

Przedstawili się, ściskając mocno dłoń Wielkiego.

– Ja jestem pułkownik Arlwow. – Mężczyzna w garniturze wyprężył się, jakby z obawy, iż o nim zapomną. – Twój nowy dowódca. Pozwól, że cię przywitam w naszym... No właśnie – uśmiechnął się. – Zastanawiasz się pewnie, o co w tym wszystkim chodzi. Napijecie się? – nagle zmienił temat.

Wskazał na karafki trunków.

– Piotrze, możesz?

Nikonin przytaknął.

– Nie mamy właściwie nazwy – rzucił major prosto z mostu. – Nazywamy siebie grupą Filipa. Bez górnolotnych nazw i sloganów – dodał.

– I bez biurokracji, która zeżre kiedyś cały ten kraj. – Arlwow błysnął zębami.

Podał Wielkiemu szklanę. Widać bardzo chciał grać rolę poczcivego, wesołego typka. Anton znał takich. Szyszki z samej góry, które czarowały nowych, wabiły tak, by czuli się pewnie i dobrze, a potem łubudu w sam środek gówna. Musiał uważać.

Pułkownik uniósł dłoń.

– Za spotkanie.

Wypili jednym haustem, lekko się krzywiąc.

– Właściwie po co tak stoimy? Siadajcie – nakazał Arlwow z uśmiechem i sam dał przykład, moszcząc się w głębokim, miękkim skórzanym fotelu.

Odstawił szklanę na przezroczysty stół między meblami, poprawił poły marynarki, tak żeby się nie mięły, i znieruchomiał. Skupił całą uwagę na nowym, jakby go badał.

Cyrk się skończył.

– Jesteśmy grupą do robienia zamieszania. – Głos Arlwowa był cichy, spokojny i bardzo wyraźny. – To, w czym brałeś udział... Turcja chociażby, to wszystko rozkazy góry. Planowana, zwykła praca. Jednak takie działania, przy całej finezji i pomysłowości naszej firmy, wymagają papierów. Czasu i dyskusji. Pomysł przychodzi, ale ci podlegają tamtym, a sąsiedzi mają, dajmy na to, lepszy sprzęt i możliwości. Międzywydziałowe wojenki podjazdowe, skamlenie o budżety, a to teraz drażliwa sprawa. Centrala musi wybierać... a do tego, lokalne, nazwijmy to, ośrodki. Też pracują na pełnych obrotach. Robienie choćby szumu w informacjach. Pewnie domyślasz się, ile to wymaga nakładów. A weźmy jeszcze zadaniowanie źródeł. Ho, ho.

Pułkownik zamachał rękami.

– Robią jedno, a tu jeszcze dochodzą inne sprawy. I miej na to czas. A jak go brakuje, kiedy pośpiech, o błąd nietrudno. Po co nam to?

Zrobił pauzę.

– Trzeba być ostrożnym i sprawnym. – Frazes był bezpieczny. – Dlatego powołano taką komórę jak nasza. Tak naprawdę poza zarządem głównym, poza dowództwem, nawet poza ministrami. Nie, nie wyobrażaj sobie, że my jesteśmy jakąś superelitą. Bez przesady. O ile wiem z firmowych plotek, takich grup powstało kilka. Kontynentów jest parę, są duże, a zadań coraz więcej. Zresztą sam wiesz... Wojna...

– ...w której tysiące niewidzialnych żołnierzy oddają niesłyszalne strzały – dokończył Anton, zaskoczony, że ciągle to pamięta.

– Brawo, brawo! – Pułkownik z aprobatą skinął głową. – Właśnie o to chodzi. Niewesoło. Wrogowie napierają. Zaczęło się... wiesz gdzie. Ukraina... Choć tak naprawdę wleźli na nasz teren lata temu, kiedy to pierdolone NATO zaczęło się rozlewać. A my musimy coś zrobić, bronić się, przenieść konflikt dalej... Przynajmniej ich nastraszyć, skołować. – Przerwał znowu, lekko zasapany. – O czym to ja... Tak.

Popatrzył na chłopaków. Siedzieli, potulnie słuchając. Nie zdradzili się niczym. I dobrze. Niech nowy myśli, że to wszystko ku chwale ojczyzny. Wielkie słowa. Przynajmniej teraz. O fuchach i tak mu powiedzą, był tego pewien. Nawet mimo zakazów, kiedyś przy wódce...

– Widzisz, gadam tyle... – pochylił się, splatając dłonie na kolanach – bo ostatnim moim przydziałem przed objęciem opieki nad tą trzódką był wydział wojny informacyjnej. Wcześniej Europa... a jeszcze wcześniej... – Znów przerwał. – Krótko mówiąc, mieszmamy w szeregach wroga. I to tak, że oni sami nie wiedzą, kto przyjaciel, kto nie, kto pro, kto anty. I powiem szczerze, ja sam czasem się gubię. Choć najważniejsze to głaskać wszystkich. No ale czasami... Trzeba przywalić. Raz a porządnie, na szybko, bez planów, rozpisów i zapotrzebowań...

– I to robicie wy – wtrącił Wielki.

– Taaak – odparł pułkownik, jeszcze uważniej przyglądając się żołnierzowi.

Chciał coś rzucić o ogładzie, jaka obowiązuje oficera, ale odpuścił. Nie zamierzał strofować i straszyć na samym początku. Nowy mózg odwyknął na tych wszystkich wojażach.

– Urlop jak? Minął za szybko? – Arlwow starał się przykryć irytację zmianą tematu, ale i tak zabrzmiało to uszczypliwie.

Brał ludzi z dołów zawsze tylko po zasięgnięciu opinii. Czasem krnąbrnych, ogłupiałych od krwi, rozbitych, ale ci nigdy nie fikali. Przejmowali się albo byli wdzięczni, skakali, jak im kazał. Jeśli z tym miało być inaczej, nie napawało to optymizmem.

„To naprawdę inne pokolenie. Gorsze? Zmęczone na pewno”, pomyślał Arlwow.

– Dziękuję. – Anton kiwnął głową, chyba wyczuwając nastrój nowego pracodawcy. – Krótko, ale starczyło, żeby odsapnąć – powiedział neutralnym tonem.

– Popracujemy, to pójdiesz się polenić. – Arlwow oparł się wygodnie w fotelu i wyciągnął nogi, zakładając jedną na drugą. – Major opowie ci, co i jak. Ładnie nam obmyślił, naprawdę ładnie. – Udał, że klaszcze. – Góra pochwaliła, a to rzadkie. Niech więc się produkuje. – Wskażał otwartą dłonią Nikonina, wstał, podszedł do alkoholu i złapał karafkę.

Nikonin usiadł wygodniej na krześle.

– Towarzysz pułkownik ma rację. Zasłużysz na urlop. Teraz czas nas goni, a zresztą nie naporcisz się... – Przechylił głowę. – Wierz mi. – Z oczu biła pewność siebie. – Dodam jeszcze, że działamy na rozkaz... czynników.

Wszyscy pojaśnili na twarzach. Cegła nawet zdobył się na uśmiech.

– Bez domowych wojen. Mamy prawo dobierać ludzi z każdego wydziału i podległych komórki i teraz nasza uwaga padła na ciebie. Masz specyficzne hobby.

– Ale ja dawno nie... – Wielki speszony podrapał się w szyję.

– Bo miałeś co innego do roboty – wtrącił pułkownik.

– Właśnie... Ostatnio bawiłem się w żołnierzyka ze trzy lata temu, a to i tak z...

– ...z rozkazu – dokończył Nikonin. – Żadnych przyjemności dla samego siebie, nie? – dopowiedział, wlewając do szklanek kolejną porcję alkoholu.

Pułkownik wznosił toast.

– Za nas, towarzysze! – rzucił prawie jak rozkaz.

Wypił prędko, skrzywił się i uważnie, z wielkim rozbawieniem, obserwował, jak nowy się męczy.

Trzeba było dłuższej chwili, żeby Wielki doszedł do siebie. Podali mu soku, popił. Specnaz był twardy, ale bez przesady. Od tych przyjemności też najwidoczniej odwykł.

– No dobra, do rzeczy... – Nikonin z trudem wyrzucił z siebie słowa, również rozbawiony. – Najpierw robimy rozpoznanie. Legenda jest prosta. Nie będziesz miał większego problemu. Po-

tomek bałtyckich Niemców... pasuje idealnie. Pojedziesz okreśną drogą, ale o to się nie martw. Legalnie, jak zawsze z papierem jak się patrzy. Czasu masz mało, ale ogarniesz wszystko, w to nie wątpię. Łeb zawsze miałeś nie od parady.

Wielki słuchał uważnie.

– Zanim powiem, po co to wszystko, musisz wiedzieć, że na rozpoznanie pojedziecie we trzech. Ty, Cegła i ktoś, kogo wyznaczę. Jeden z miejscowych. Siedzi w tym długo, zna rynek, atmosferę, będzie pilnował, żeby nikt się nie zagalopował. Spokojnie – dodał, widząc, że Anton otwiera szerzej oczy. – Swoją człowieka, naprawdę. Da radę. Ocenicie, co i jak, zrobicie dokumentację, przygotujecie raport, a potem pomyślimy, jak dalej to ugryźć. Nasi poszumiają po okolicy, ale więcej nie musisz wiedzieć. Ja z chłopakami dołączę na samym końcu, w zasadniczej fazie. Trzeba przypilnować wielu dupereli. Jeśli szambo ma się wylać, to z mnóstwa dziur naraz. Żeby nie dało się zatamować. Jak, pasuje ci? – Pytanie zabrzmiało jak dowcip, bo Anton nie miał wielkiego pola manewru.

– Tak, oczywiście.

Inna odpowiedź oznaczałaby powrót gdzieś na front, bez względu na to, gdzie by się on nie znajdował.

– No i elegancko. – Arlow klasnął w rękę. – Dostaniesz lokum. Będziesz miał czas i... traktuj to jak wypoczynek. Luz, chłopie, luz. Nie masz strzelać, masz myśleć i patrzeć. No i na początek... przeszkolić nas w tych waszych historycznych wygibasach.

*

– Nie podoba mi się... ale okej. Ty rządzisz.

Gruby głos mężczyzny był przepełniony szczerym zawodem, a może też lekką nutą złości. Nie lubił, kiedy go oszukiwano, a jeszcze bardziej nie lubił porażek.

Z tego wszystkiego nie chciało mu się nawet rozmawiać. Robił to tylko ze względu na pewną niedającą się już ukryć zależność. A co za tym szło... obowiązek. Miał dość całej niekomfortowej sytuacji, tylko wizja nagrody trzymała go jako tako w ryzach.

– Nie, nie wierzę. Gnojek nie z tych.

Przecież nie sądził, że Thomał będzie się dzielił swoimi tajemnicami. Rozgryzł go. Niespełniony egoista. Proste.

– A nawet jeśli... – zaśmiał się – ...to dostanie.

Spowaźniał raptownie. Z trudem zniósł sączący się ze słuchawki potok rześzystych przekleństw. Tak, to było głupie.

– Przepraszam – przyznał potulnie.

Znów dłuższa więzanka.

– Tak, tak, to nie było na miejscu. – Starczy już tego kajania się. – Wracając do naszej sprawy... – przerwał podniesionym głosem.

Zabrzmiało groźnie. Tak jak trzeba. Miał swoje lata, nie musiał dawać się obsztorcowywać.

– ...możemy zrobić tak, żeby nasz stójkowy nie miał czego szukać. Ale o tym trzeba pogadać... – z trudem przeszło mu to przez gardło – ...z tamtymi osobiście.

Chwila wątpliwości z drugiej strony.

– Spokojnie. Biorę to na siebie. Jeśli warto? – Odwagi mu nie brakowało.

Nic tak nie motywuje jak wizja wygranej.

– Mają pezeta, to na bank – tłumaczył dalej. – Obserwują. Wejdiesz im z papierem? I co powiesz? No, tak myślałem. Pogadam... Deal może jaki się urobi? Na początek, a potem, kto to

wie. – Nerwowo się zaśmiał, jakby już wszystko szło po jego myśli. – A może wolisz... – Znow był poważny. – Dobra, dobra, ja sam. Czekał. Odezwę się.

*

Lubelski dworzec PKS dosłownie tonął w ulewie. Krzywy plac postojowy zniknął dawno pod głębokimi kałużami.

Setki ludzi, którzy każdego dnia i każdej godziny ruszali stąd do swoich domów w ościen-nych wioskach i miasteczkach, z trudem mieściły się pod nowymi i starymi wiatami, wypatrując z utęsknieniem autobusów.

Nawet Arab, przygotowujący kebaby z mrożonego mięsa w swoim lokum tuż obok wejścia do poczekalni, zamknął okienko, bo dmuchający wiatr zaczynał zacinać deszczem na kuchnię.

Bus z Kowla wtoczył się w czasie najgorszego pandemium, z isticie filmową oprawą. Długi samochód białej barwy, upstrzony plamkami rdzy, wjechał w alejkę od ulicy Ruskiej w tej samej chwili, kiedy błysnął pierwszy tej wiosny piorun. Echo grzmotu rozlało się ponad miastem. Ludzie struchleli, a deszcz zaczął lać jeszcze mocniej, by po kilku sekundach przemienić się w drobny grad.

Ukraiński bus zatrzymał się z dala od budynku, przy rzędzie blaszanych wiat, stojących tu chyba od wojny. Były podrzewiałe nie mniej niż parkujące tu wehikuły, pociągnięte jedynie zieloną farbą.

Pasażerów w busie było sporo. Z Ukrainy przybywało ich zawsze wielu. Głównie kobiety szukające pracy jako sprzątaczk i opiekunki albo takie, które już miały pracę i przyjeżdżały regularnie.

Tym razem było też kilku młodzieńców. Silnych i rosyłych. Nosili ortalionowe kurtki z kapturami i uwijali się prędko, otwierając drzwi do bagażnika, zanim jeszcze szofer wy dostał się zza kierownicy.

Uprzejmie pomogli kobietom wytargać walizy i zaraz sami zarzucili na ramiona swoje plecaki.

Nie mogli czekać. Nie znali miasta, byli tu pierwszy raz, ale miejsce spotkania znajdowało się tuż przed nimi.

Ruszyli biegiem, skacząc przez kałuże. W poczekalni też panował tłok i harmider – pełno ludzi starych i młodych, z wielkimi torbami i pakunkami. Młodzi mieli dobre oczy i wyszkolenie. Wyłowili z tego bajzlu, co chcieli.

– Jak, młodzieży świata? – Facet przy drugich drzwiach był kilka lat po pięćdziesiątce, siwy i szczupły, a jego twarz zdobiły głębokie bruzdy. W jasnym krótkim paltociku wyglądał jak zmokła kura.

– Dziękujemy, dobrze. Tylko ciasno. – Blondyn o szerokiej szczęce wysilił się na kurtuazyjny zwrot.

– Jak ciasno, to i cieplej. – Siwy zarechotał, zadowolony ze swego dowcipu.

Goście tylko udali, że się uśmiechają.

– No, dobra – zarządził mężczyzna – do auta, zapraszam. – Wskazał drzwi. – Jedziemy. ■

Rozdział 6

Obrzeża miasta, do niedawna jeszcze pola i wsie, zostały zaścielone ogromnymi połaciami betonu, nowymi drogami i chodnikami. Jakby deweloperzy ogłosili konkurs, kto szybciej coś wybuduje i więcej zarobi. Nieważny styl czy wygoda, byle nawciskać domów, mieszkań i ruszać dalej. To osiedle było niezbyt urokliwe i bardzo rozległe. Adam żartował czasem, że wygląda jak jakieś przyszłe slumsy, podobne do tych w Rio czy Mogadiszu. Różniło się od nich jedynie tym, że jeszcze wyglądało dobrze, choć sądząc po tempie wznoszenia klocków i obserwując ich jakość, można było sądzić, iż zbyt długo przytulnie tu nie będzie.

Przejsie od parkingu na obrzeżach tej twierdzy, gdzie jeszcze bywały wolne miejsca, do samego celu trwało dobre pięć minut. I to pod górę.

Thomal skręcił w uliczkę kretyńsko pobudowanych okno w okno bloków i podszedł do jednej z klatek.

Powinien zrobić to wczoraj, tak jak planował, ale informacje Włoskiego zwyczajnie pozbawiły go ochoty na cokolwiek.

Wybrał numer mieszkania na domofonie.

– Tak, słucham – odezwała się po trzech dzwonekch Beata.

– Cześć, tu Adam. – Thomal był łagodny i miłutki, jak tylko on potrafił. – Wpuścisz mnie? – rzucił jakby nigdy nic. – Pogadamy?

Cisza trwała dłuższą chwilę.

Wreszcie Beata głośno westchnęła.

– Nie. Nie mogę, Adam. Pisałam ci...

– Beatka... – poziom adrenaliny wzrastał z każdym kolejnym zdaniem – ...nie wygłupiaj się! Co się dzieje?

– Adam! Daj spokój. Koniec i już!

Denerwowała się naprawdę czy tak doskonale grała?

– Ale powiedz chociaż, o co chodzi? Czy ja coś zrobiłem? – To już brzmiało gorzej w jego wykonaniu. Melodramatycznie, wręcz żałośnie.

– Adam, jeśli się nie odczepisz... – dziewczyna stała się poważna i surowa – ...mam numer do oficera dyżurnego, powiem, że mnie nachodzisz i...

Thomal zamarł z rozdziawionymi ustami.

„Skąd ona zna takie hasła...”, pokręcił z niedowierzaniem głową. Sprowadziła go na ziemię. Skutecznie. „Tatuś...”, Adamowi przyszło do głowy jedyne możliwe skojarzenie. „Tatuś maczał w tym palce”.

Domofon kliknął i nastąpiła zupełna cisza. Żadnego cześć, zegnaj i takich tam.

– Kurwa mać! – ryknął Thomal i łupnął pięścią w blaszaną skrzynkę na ulotki.

Zrobił to z taką energią, że aż się wgięła.

Ktoś na klatce otworzył drzwi od mieszkania. Zaraz doleciał Adama odgłos kroków na schodach. Thomal był tak wkurzony, że nie pogardziłby byle kłótnią z przypadkowym adwersarzem, ale uznał, że nie może przesadzać. Nie chciał dawać Beacie powodów, żeby naprawdę musiała dzwonić do fabryki.

Wyskoczył z przedsiionka i ruszył do auta. Prawie biegł.

Opadł wozu i otworzył drzwi, szarpiąc za klamkę. Poczował, że słabnie. Oparł się dłońmi

o dach samochodu.

Cały ten blamaż wiele go kosztował. Kobiety z nim zrywały, ale zazwyczaj dawał im ku temu jakiś powód. Najczęściej on decydował, kiedy powiedzieć dość. W tym przypadku wcale nie chodziło jednak o Beatę. Była fajna, dobrze się z nią bawiło, ale... To było głupstwo.

– Wystawili cię – przyznał sam przed sobą cichym, żalonym szeptem.

Tak, to bolało o wiele mocniej. Tyle poświęceń, czasu i po co? Znow był sam, w punkcie wyjścia, bez szans na sukces.

W tej samej chwili od zachodu, tam gdzie biegła znaczona szumem aut obwodnica, przebił się donośniejszy dźwięk. Dudnił i potężniał. Adam podniósł głowę.

Po pomarańczowym od zachodzącego słońca niebie przemykały cztery śmigłowce.

Przez jedno uderzenie serca miał nadzieję, że lecą rozwalić w drzazgi całe to osiedle. Ostrze-
lać rakietami, spuścić napalm czy co tam mogły mieć. Maszyny przemknęły dość nisko, stając się atrakcją dla dzieciarni i dorosłych, po czym zniknęły za budynkami.

*

Noc była spokojna i ciepła. Przez ostatnie dni miasteczko z wolna wracało do życia. Sezon był tuż-tuż.

Po plażach łązili jacyś studenci, palili ogniska, pili, baraszkowali. W dyskotekach znow gło-
śniej łupało muzyką. Pojawiło się też więcej samochodów parkujących przy chodnikach. W do-
mach wokół opustoszałej rudery zaczęły pomieszkiwać jakieś osoby. Lato nadchodziło wielkimi
krokami i trzeba było się na nie przygotować. Sprzątać, zamiatać, wyrzucać i palić śmieci.

Diabeł i Harpun nie cieszyli się zbytnio z tego powodu. Za dużo ludzi, za wiele możliwych
pytań i coraz cieżniej. Od czasu nocnych, dramatycznych wydarzeń siedzieli jak na szpilkach.
Jeszcze bardziej podenerwowani, w ciągłym napięciu patrząc w ekran monitora.

Ciał pozbyli się z wielkim trudem i raczej nie powinny zostać znalezione. Gorzej, że gdzieś
tam stało samotne auto nocnych wizytatorów. Trudno.

Po takim sprzątnięciu zwykle dostawało się wolne. Na uspokojenie nerwów, wymazanie pa-
mięci i reset przed następną robotą. W tym przypadku nie było o tym mowy. Ugrzęźli jak na
pierwszej linii, pod jakimś Stalingradem, bez szans na wymianę. Już dawno nie ruszali się po za-
opatrzenie. Jeszcze trochę, a zostaną im same suchary i konserwy.

Szef kazał siedzieć i czekać, co będzie, póki czegoś nie wymyśli. Podobno ludzi brakowało...
„Wszystkie rezerwy w walce”, usłyszeli.

Obiecano im premię, sporą, i to nieco tłumilo ich strach, jednak miło nie było. Gdyby coś się
działo... jakaś powtórka z rozrywki, mieli dzwonić, ale w ostateczności. Wódz myślał już ponoć
o kolejnych krokach i ewakuacji, ale na to trzeba było czasu. Przynajmniej kilka dni. Taki urok
samodzielnych akcji.

Diabeł kiwał się przy ekranie jak ćpun. Powinien kończyć zmianę. Jeszcze niecałe pół godzi-
ny. Oczy piekły, ogarniała go senność. Miał dosyć.

Ulica była pusta, jak to przed świtem. Od kilku godzin nie pokazał się żaden wóz ani tym
bardziej człowiek. Raz środkiem przedelfilowało stadko dzików.

Diabeł podparł głowę rękami i otarł umęczone czoło, marząc o chwili spokoju. No i przede
wszystkim o świeżym powietrzu. Przetarł oczy, wracając do obrazka na ciekłokrystalicznym
ekranie, i prawie dostał zawału.

Szosa toczył się wolno jakiś samochód. Niby nic niezwykłego, ale nasuwało się kilka niecie-
kawych wspomnień.

– Kurwa – wyszeptał, kiedy samochód zatrzymał się prawie idealnie pod jedną z kamer.

Diabeł wyprostował się i zastygł, czekając, co będzie dalej. Już chciał ryknąć, żeby Harpun wstawał, ale tylko chwycił Walthera, gotów ruszać i bronić ich placówki. Z auta jednak nikt nie wysiadał.

„Może turysta?”, aż obruszył się na swoją własną naiwność.

Instynkt mu zaśniedział. Takich przypadków w naturze nie było.

W drzwiach od strony pasażera ktoś otworzył szybę i z wnętrza pod najbliższe drzewo pofrunął jakiś kamień albo pakunek. Samochód nawrócił, niezgrabnie najeżdżając na chodnik, i znów stanął. Kamera była daleko, ale można było dostrzec, że szofer rozgląda się na boki.

– Szuka nas. – Diabeł aż odsunął się w fotelu.

Tamten mrugnął światłami, choć nie można było dociec, czy to znak dla tych, którzy go obserwowali, czy dla swoich.

– Harpun! – Wrzask poniósł się po podziemiu i odbił od sufitu.

– Czego? Idą? – W odpowiedzi usłyszał bełkot kumpla.

Diabeł stał rozdygotany z pistoletem w dłoni, jakby miał ruszać do ataku.

– Zastąp mnie... Zastąp – powtórzył, bo Harpun ciągle dochodził do siebie. – Coś się szykuje. Muszę sprawdzić.

Wyszedł z domu ostrożnie i cicho. Boczne drzwi, zero światła. Teraz nie było takiego komfortu jak jeszcze kilka dni temu. Pojawiło się paru sąsiadów, no i tamci... też obserwowali okolicę. Był pewien.

Ciepło. Nawet niewielkiej bryzy od strony morza czy zatoki. Absolutny spokój.

Droga jak zawsze okrężna. Długa i z wieloma przystankami. Im bliżej był szosy, tym bardziej serce wyrywało się z piersi. Znał to uczucie aż nadto dobrze. W każdy krok musiał włożyć coraz więcej wysiłku. Mięśnie napinały się, jakby organizm zabraniał poruszać się dalej i dawał ostrzeżenie: „Uciekaj!”. Jak marsz na nierozpoznaną pozycję wroga, gdzie czekają już snajperzy.

Ostatni przystanek przy parkanie. Spokój. Ciągle nawet wiatru. Diabeł wytężył wzrok. Szukał tego czegoś, co wyleciało z auta. Znalazł. Podskoczył, złapał. Mały pakunek. Kamień obwiązany foliowym woreczkiem.

Schował do kieszeni i ruszył biegiem. Przystanął po kilku sekundach i słuchał. Nikt go nie gonił.

– Co to? – Harpun rzucił pytanie, jak tylko Diabeł wpadł do piwnicy.

Rozdarli worek. Kamień owinięto kartką zapisaną drukowanym tekstem.

– Kurwa mać! – Diabeł gwałtownie wypuścił z siebie powietrze, kiedy wyczytał się w pierwsze linijki. – Telefon! – rozkazał.

Dostał aparat bez zwłoki. Wybrał numer. Dwa, trzy sygnały. Zero reakcji. Znów zadzwonił. Czekał dłużej. Chwila napięcia. Zadzwonił drugi aparat – wiekowa nokia.

– Cześć! Co jest?! Jest sprawa! Bardzo, kurwa, ważna sprawa...

*

Frank Clowding, dwudziestoosmioletni bosman trzeciej klasy US Navy, stał przy relingu górnego pokładu. Pogoda była słoneczna, ale wiało i nawet całkiem nieźle bujało. Fale rosły bałwanami, połyskując złoto odbitym światłem. Idealna sceneria, żeby strzelić ciekawą fotkę.

Tłum tutaj był nawet spory. Ci, którzy nie mieli służby, obstawili każdą otwartą przestrzeń. Zbrojni w aparaty i telefony czekali na przedstawienie. To, że zaraz się zacznie, ogłoszono kilka minut temu.

USS „Jason Dunham” był największą jednostką spośród trzech okrętów, które przerzucono na Bałtyk specjalnym rozkazem przesłanym prosto z dowództwa US Navy.

Wszystkie okręty amerykańskiej marynarki wojennej i sił sojuszniczych, które operowały w pobliżu rosyjskich wód, były ciągle drażnione w ten czy inny sposób. Odkąd zaczęły się awantury, tam daleko, na Wschodzie, w miejscach, o których Clowding w życiu nie słyszał, służba przestała być już taka spokojna. Co nie znaczyło, że było mu z tym źle.

Tego jeszcze nie widział, nie z bliska. Ponoć kiedyś jacyś hadźibowie chcieli ostrzelać ich rakietami z jemeńskiego brzegu, ale tej próby nikt, kto nie siedział w centrum bojowym albo na mostku, nawet nie dostrzegł. Tylko huk armaty oznajmił, że ktoś gdzieś się na nich zasadzał, ale raczej marnie skończył.

– Uwaga, nadlatują – oznajmił kapitan w radiowęźle.

Wszyscy unieśli obiektywy, czekając na odpowiedni moment. Tylko to wycelowano w niebo. Nie było alarmu, włączania systemów obrony, tak żeby tamci nie podejrzewali prowokacji. Wyraźny rozkaz gdzieś z góry.

Dmuchało wiatrem. Wraz z nim doleciał stłumiony huk od strony dwóch kropek, które pojawiły się nad horyzontem. Rosły w oczach. Leciąły przeraźliwie nisko, niemal nad samymi falami. Daleko za nimi pojawiła się kolejna para.

Pierwsza kropka zrobiła się wyraźna.

– Wielki, skurwiel – zdziwił się Frank, cały czas pilnując, żeby maszyna zmieściła się cała na ekraniku aparatu.

Samolot wyrwał nagle w górę, mocno przyśpieszając. Huknęło. W tej samej sekundzie błysnęło kilkanaście fleszy. Maszyna przemknęła nad pokładem, sprawiając, że głowy zebranych powiodły za nią jak oczarowane.

SU-24 przechylił się na skrzydło i rozpoczął nawrót bokiem do drugiego w linii okrętu. Na pylonach nie miał nic, nawet dodatkowych zbiorników z paliwem.

Frank prędko sprawdził, jak mu wyszły zdjęcia. Był zadowolony. Uznał nawet, że spróbuje posłać to do jakiegoś pisma o lotnictwie. Ale najpierw Facebook.

Podniósł głowę i wystawił ręce gotów na kolejne ujęcia. Okazji na fotografowanie rosyjskich samolotów w trybie bojowym nie miał w życiu wielu.

*

– Kurwa! – Cegła inaczej nie potrafił wyrazić przerażenia.

Stał pod ścianą hangaru przy zwykłym drewnianym stole i trzymał w palcach szary strój.

– W tym mamy iść?! – poszło echem po pomieszczeniu.

Reszta też nie była zachwycona. Podchodzili do sortów, tykali, kręcili nosami. W czymś takim jeszcze nie występowali.

– Jakiś, kurde, teatr – burknął brodac, łapiąc w dłoń gryzący chałat jak z koca.

– Pierdole taki kamuflaż! – Cegła nasadził na głowę wyraźnie za ciasną czapkę i splunął. – Wielki – zazgrzytał zębami – długo będziemy musieli ganiać w tym dziadostwie?

Anton bawił się setnie, patrząc na szok, jakiemu ulegał jego nowy oddział.

– Nie czytałeś? Dzień, dwa. I macie się jeszcze bawić. I to dobrze.

– Bawić?! – Brodac parsknął, kręcąc głową.

Podniósł jakiś pas i szelki. Wyglądał, jakby gapił się na muzealny eksponat.

– Spokojnie. – Wielki z wolna odnajdywał się w roli eksperta.

Przynajmniej tym górował nad tą zbieraniną. Jeszcze dwóch zupełnie nowych w tej firmie,

przeniesionych ze spadochroniarzy, bawiło się w to co on, ale krótko.

– Dobra. – Klasnął. – Zakładać to... dziadostwo. Ja postaram się, żebyście wyglądali i zachowywali się jak ludzie. Przepraszam, od dziś nowa rola. Lekcja pierwsza: jesteście rekonstruktorami.

*

Adam zatrzymał auto pod swoim blokiem. Wsiadł, zabrał z fotela torbę z zakupami i podziękował opatrności za mrożonki i mikrofalówkę.

Był zmęczony. Podróż, przesłuchanie, a w dodatku i myślenie, układanie klocków oraz to napięcie, które towarzyszy człowiekowi, kiedy musi się pilnować, dawały się we znaki.

Po okolicy rozszedł się wrzask kilkorga dzieciaków. Ganiały po niedokończonym nigdy placu zabaw wciśniętym między trzy niskie bloczki pośród pustych ciągle pól.

– Czołem – rzucił sąsiad.

Młody tatuś, Romek. Miły, żonę miał całkiem, całkiem. Oddany rodzinie, uprzejmy i do tego społecznik. Niedoszły radny.

– Cześć. – Adam machnął ręką, szukając kluczy.

– Dali popalić? – Romek jak zwykle suszył zęby.

– Oj tak, dali. – Adam zdobył się na błąd, ledwo dostrzegalny grymas i pokiwał głową.

Nie miał ochoty ani siły wdawać się w sąsiedzkie pogaduchy o niczym.

– Miłego wieczoru – pożegnał się Romek uprzejmie, jak to miał w zwyczaju, i wrócił do pilnowania dzieciarni.

Jeszcze nie tak dawno Thomał skwitowałby tę całą cukierkowość jakimś niewybrednym słówkiem godnym prawdziwego twardziela. Ale teraz rozmowa z normalnym człowiekiem, który nie babrze się w gównie świata jak on, nie wydała mu się nawet irytująca.

Romek miał rodzinę, swój mikrokosmos i dbał o niego. I jeśli kiedykolwiek Thomala dopadały jakieś wątpliwości – a to ostatnio działo się coraz częściej – przypominał sobie o tym. Dla takich jak on poszedł do służby, choć z biegiem czasu zapomniał, kogo ma bronić, jakby wtopił się w zupełnie inny świat.

Złapał się na tym, że stoi z siatką, kluczami i uśmiecha się do siebie, patrząc na bawiące się dzieci.

Zazdrościł? Nie. Pokręcił głową wkurzony, że staje się sentymentalny. Nawet jeżeli coś w nim pękało, musiał to skleić i nie dać się załamać, bo inaczej będzie po wszystkim. Może i rodzinny spokój był fajny, jednak brak adrenaliny by go chyba zabił. Nawet jeśli oznaczało to codzienny kierat z wszelkiej maści mętami w rolach głównych.

Wszedł prędko na klatkę, wbiegł na piętro, otworzył drzwi i wkroczył do mieszkania.

Opadł na kanapę w pokoju i zaczął raz jeszcze porządkować sobie to, co im powiedział. Musiał pojechać do Olsztyna, tam prowadzono śledztwo, bo sprawa była zbyt poważna, żeby zlecać przesłuchanie dochodzeniówce z Gdańska.

Bał się najbardziej tego, że mają coś więcej. Pytali jednak tylko o datę i cel podróży. Rzeczywiście, ktoś spisał numery, kiedy auto stało pod sklepem. Niewybaczalna partanina.

Chyba wzięli go za ostatniego kretyna albo jakiegoś katorżnika. Uwierzyli, że facet – pracujący przecież na rzecz zespołu z komendy wojewódzkiej, która poszukiwała zabójcy Kalicza – na podstawie znanych sobie poszlak zaczął niuchać na własny rachunek. Zrzucać to na karb jakiegoś tajnego rozkazu byłoby kretynizmem. Ci tu przecież nie badali zabójstwa Kalicza, byli z innego miasta, nie znali tematu, chyba że tyle co z akt, które przejeździ w ramach własnego po-

stępowania. I mieli co innego na wykazie.

Adam uważał, teoria, którą przedstawił, była realistyczna, bo do informacji o szopie pod Niwą każdy gliniarz z dochodzeniówki mógł dotrzeć, choćby przesłuchując rodzinę czy znajomych Kalicza. Zresztą w tej branży zawsze gdzieś szło echo.

Ale grzebać w sprawie tylko dlatego, że „coś mu nie grało”? Dwa podstarzałe byczki, które z nim gadały, mało nie postukały się w czoła.

Potem zaczęły się przytyki, że pewnie Thomał szukał legendarnego skarbu, który zabity gdzieś ukrył, a zabójca nie puścił pary z ust. Tym samym przesłuchujący go zdradzili, że wiedzą, iż pod Niwą coś wykopano, ale wszystko poszło na „skarb państwa”.

Adam tę część przeczekał z najwyższym trudem. Obawiał się, że to prowokacja, że obserwują, jak on zareaguje, ale chyba bał się na wyrost. Tylko on wiedział o domu na półwyspie. On i... właśnie. Teraz już nie tylko on.

Przedstawił swoją teorię o wspólniku Jurija, którego ten jakoś musiał powiadomić, by dokończył dzieła. Kalicz, Borowiak, wszyscy się przecież podobno znali. O dziadku z Sopotu nie wspominał, wolał nie przesadzać. O nim powiedział mu Ptasznik, a tym lepiej się było nie chwalić.

Tamci pokiwali głowami, spisali wszystko, ale poważnie do tego nie podchodzili.

Na razie miał spokój. Teraz czekał na drugą rundę z tymi od spraw wewnętrznych. Ci powinni raczej pochwalić Adama za nadgorliwość, a nie karać, lecz trudno było zakładać tak optymistyczną wersję wydarzeń.

Na wszelki wypadek postanowił przeszukać swoje mieszkanie zaraz po powrocie. Nie ze względu na podsłuchy czy pluskwy, ale pod kątem wszystkiego, co trefne. Ze dwa ślepaki z jakiejś inscenizacji, jakaś za duża petarda. Chciał być czysty i pewny, że do niczego się nie doczepią.

Miał zamiar się za to zabrać, ale na miękkiej kanapie zrobiło mu się tak błogo, że z wolna zaczął odpływać. Ostatnie przemyślenia, zanim zasnął, dotyczyły pułkownika. Doszedł do wniosku, że facet go oszukał. Zebrał wszystko i albo sam robił na sukces, albo Thomał trafił kulą w płot ze swoją teorią. Nie! Tak głupi nie był. Nie było przypadków i zbiegów okoliczności. Wlazł w rzekę pełną piranii i musiał uważać.

Jeszcze gdzieś głęboko tliło się w nim przekonanie, że należy wykonać ostatni ruch. Zawańczyć. Ale zaczynał się bać.

*

Chłopak, który spokojnie człapał mostkiem łączącym Bramę Grodzką na starym mieście z lubelskim zamkiem, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Można go było wziąć za jednego z dziesiątek tysięcy studentów, którzy zamieszkiwali to miasto.

Wysoki, jak to bywa w pokoleniu zrodzonym na początku lat dziewięćdziesiątych, szczupły. Ubrany jak setki mu podobnych w rzeczy z sieciówek, bez ekstrawagancji godnej większych miast – dżinsy i koszula, bo dzień był ciepły. Miał też plecak turystyczny, nie za duży, jakby szedł na wykłady.

Kilka kroków dalej, w dole, po parkingu szedł jego towarzysz. Obaj udawali, że się nie znają, choć kilka minut temu rozdzielili się przy Krakowskim Przedmieściu.

Pierwszy niby-student wspinał się zamkowym wzgórzem ku wierzejom kwadratowej, niskiej budowli. W pewnej chwili oparł się o balustradę obok długich schodów. Były zapełnione, głównie młodzieżą, choć paru turystów też by się pewnie znalazło. Udał, że grzebie w plecaku,

i sprawdził, czy kumpel kieruje się tam, gdzie było umówione.

Kiedy wskoczył na ostatni schodek i usiadł, jak gdyby nigdy nic, spostrzegł, że jego wspólnik zalewa się potem i drży. Ewidentnie ogarnęła go niemoc, zwrócił nawet uwagę kilku dziewczyn, które zaczęły rzucać cicho między sobą jakieś żarty.

Obserwujący tylko pokręcił głową, zły, że na niektórych nie można liczyć. Przecież on miał o wiele gorzej. Ryzykował. Właśnie. Po co tutaj? Powiódł wzrokiem po placu w dole, a potem pogapił się na zamek. Niegdyś straszne więzienie, teraz muzeum.

Chłopak sam znalazłby z tuzin lepszych obiektów. Bardziej tłocznych i symbolicznych. Ale z rozkazami organizacyjnymi się nie dyskutowało.

Skinął głową, uważając, żeby nikt, kto nie musiał, nie dostrzegł tego gestu – był przeznaczony dla wspólnika.

Otworzył plecak i wyciągnął butelki. Zabrzęczały. To nie były jednak procenty. Błysnęła zapalniczka. Nikt nie reagował, nie przeszkadzał. Tylko wspólnik poderwał się z miejsca. Włożył rękę pod koszulę i wyszarpał plik kartek.

– Wiel... – Głos uwiązał mu w gardle, chyba ze strachu. – Niech żyje Wielka Ukraina! – zawył i rzucił plikiem ulotek tak nisko i tak mocno, że nie zdążyły się rozsypać.

Dopiero wiatr cisnął wkoło kilka papierów ozdobionych czerwono-czarnymi flagami.

Student nieśpiesznie, korzystając z tego, że ludzie wokół patrzą na popisy kolegi, uniósł koktajl Mołotowa najwyżej, jak potrafił. Zamachnął się i butelka z brzękiem i szumem buchającego płomienia rozprysła się na drzwiach zamku. Zaraz podpalił drugą. Trafił idealnie. Wejście zapłonęło gwałtownym pożarem.

Dopiero teraz podniosły się krzyki, ale ciągle nikt nie próbował go obezwładnić.

Wspólnik wystrzelił jak z procy ku długiemu zejściu w bok od zamku. Postępował zgodnie z planem, choć nieco za szybko. Przecież nic im nie groziło.

Ruszył za nim. Nie brał plecaka. Nie był mu potrzebny. Za drzwiami muzeum zrobił się kłopot. Ktoś krzyczał, ktoś bluzgał. Nie interesowało go to. Swoje zrobił.

Truchtał wolno w dół po dziurawym chodniku. W dole, na trawniku, przystanął samochód. Czekał, jak było zaplanowane. Punktualnie i o czasie.

*

Hotel był ogromny, czterogwiazdkowy, choć obyty w podróżach i konwenansach wielkiego biznesu człowiek nie ślepił od jego blichtru. Żadne tam Bizancjum, raczej ułagodzona elegancja i nowoczesny wystrój. Nie to co inne w okolicy, gdzie często remontami maskowano niedoróbki budowniczych poprzedniej epoki.

Ludzi nie widział wielu, choć pogoda pozwalała sądzić, że już powinien zaczynać się najazd turystów. Przecież lokalizacja była idealna. Brzeg morza na nieco opustoszałym terenie, na granicy Sopotu i Gdańska, wśród szumu fal i w otoczeniu jedynie kilku biurów i sanatoriów.

Romuald Wódka włożył najlepszy garnitur, choć ku swemu niezadowoleniu zorientował się, że przez zimę materiał musiał się... zbiec. Mówiło się trudno. I tak czuł się wyróżniony.

Miał pieniądze, ale był tylko mechanikiem, nieprzyzwyczajonym do takich miejsc. Hotele zwiedzał na wakacjach z żoną i dziećmi, ale tam człapał w klapkach i obszernych, wygodnych szortach.

Teraz wkroczył w otwierane automatycznie drzwi, unosząc głowę w, jak mu się zdawało, dostojnej pozie godnej biznesmena.

Z lewej miał recepcję z dwiema panienkami za kontuarem. Na wprost bar, pod kręconymi

schodami, i kilka foteli, gdzie zamierzał poczekać na pana mecenasa. Wcale jednak nie musiał. Jeden z niewielu gości przy stoliku uniósł głowę zza gazety, poderwał się na jego widok i uśmiechnął szeroko, zapinając guzik dopasowanego garnitur, chyba włoskiego.

Z Michał Kowalewskim Wódka znał się osobiście, rozmawiali kilkukrotnie, choć obydwaj zawsze w bardziej swobodnych strojach. On w jakimś wiekowym uniformie, a mecenas w lekkiej kurtce i dżinsach. Teraz przy Romualdzie Wódce Kowalewski wyglądał jak zawodowy model: wysoki szatyn o szerokich ramionach, nienagannie przystrzyżonych włosach i z lekką opalenizną. Musiał sporo trenować. Okulary w przezroczystych oprawkach dodawały mu sznytu inteligentika.

Ruszył prędko do grubasa, ściągając na siebie rozmarzone spojrzenia dziewczyn z recepcji.

– Serdecznie witam... – pochylił się w nieco przesadzonym geście, wyciągając prawicę – ... panie Romualdzie.

Życzliwość poparł uściskiem obu dłoni przybyłego.

– Miło znów pana widzieć. – Mecenas nie przestawał się uśmiechać. – Wspaniale pan wygląda.

Powiódł rozbawionym wzrokiem po obłej sylwetce, ale tutaj nadmiar wazeliny Wódka wychwycił od razu.

– Panie Romualdzie. – Kowalewski podszedł bliżej i ściszył nieco głos, ale ciągle tryskał optymizmem. – Myślałem, że usiądziemy sobie w barze, porozmawiamy, ale okoliczności się nieco zmieniły...

Wódka cofnął głowę, aż objawił mu się na szyi drugi podbródek.

– Nie, nie, proszę się nie obawiać. – Mecenas w mig spostrzegł zaniepokojenie rozmówcy. – Wszystko zostaje wedle naszych ustaleń. Chodzi o to, że... – rozejrzał się wkoło, aktorsko był świetny – ...zaistniały pewne okoliczności.

– Jakie okoliczności? – spytał Wódka dosadnie i głośno.

Miał już nieco dość popisów erudycyjnych prawnika, a i w tym wdzianku robiło mu się za ciepło mimo pracującej klimatyzacji.

– Otóż, drogi panie Romualdzie – Kowalewski nieco wychodził z roli, niepewny reakcji kontrahenta – jest tu ze mną... – zacisnął wargi – ...główny inwestor naszego przedsięwzięcia.

Wódka zrobił wielkie oczy. Musiało to znaczyć, że poważni ludzie mają go za kogoś, z kim należy rozmawiać osobiście, a nie przez prawników. Na tak dalekim etapie zwłaszcza.

– Gdzie? – zapytał prosto z mostu.

– Czeka w apartamencie. Tam są lepsze warunki do rozmów. Zamówimy coś do pokoju. – Kowalewski zerknął przez ramię na bar. – Wiadomo, okazja jest...

– No to proszę prowadzić – zaordynował zadowolony grubas. – Z przyjemnością porozmawiam z pana szefem.

*

Apartament był spory, usytuowany na ostatnim piętrze. Dwa pokoje, sypialnia i pokój dzienny z biurkiem oraz stołem na sześć osób. Wszystko w jasnych kolorach, skąpane w przytłumionym świetle kilku lamp. Przyjemny nastrój burzyły tylko obrazy rozruchów w którymś z miast Polski na ekranie telewizora. Wódka nie potrafił dostrzec nazwy na pasku wiadomości. Za oknem było jeszcze bardziej interesująco i urokliwie. Korony zieleniących się drzew, tonąca w szarości zmierzchu plama wód zatoki, a w oddali połyskujące światła półwyspu.

– Zapraszam dalej, zapraszam. – Kowalewski ponaglał uprzejmie. – Jesteśmy! – rzucił gło-

śniej.

Drzwi do drugiego pokoju otworzyły się i stanął w nich szczupły facet, niewiele młodszy od Wódki. Miał krótko ostrzyżone włosy i pociągłą twarz z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Nosił ciemnogranatowy garnitur, też chyba szyty na miarę, koszulę z szerokim kołnierzem i grubo wiązany krawat. Wyglądał jak jakiś sportowiec i Romualdowi Wódce znów zrobiło się nieco głupio. Nawet był gotów poprzysiąc sobie, że w końcu się za siebie weźmie.

Mężczyzna zrobił krok do przodu. Miał powolne i majestatyczne ruchy. Rzucił uważne spojrzenie ku gościowi i dopiero wtedy ukłonił się, błyskając uśmiechem.

– Panowie pozwolą. – Kowalewski wskazał na obu naraz. – Pan Romuald Wódka – zaczął od gościa. – Niestrudzony popularyzator historii, wiedzy o technice wojennej, pasjonat i, miejmy nadzieję, nasz rychły wspólnik – zakończył z uśmiechem godnym kupca, na który Wódka nie zwrócił uwagi.

Pochwały zawsze dobrze na niego wpływały. Nawet kiedy wiedział, że to gra. Prawnicze gadanie. I przede wszystkim biznes.

– Pan Igor Koriel – uwaga mecenasa skupiła się na gospodarzu – jest podobnie jak i pan, panie Romualdzie, wielkim fanem historii. Jak już wspominałem w korespondencji, pan Koriel jest obywatelem Finlandii, gdzie prowadzi swoją firmę. Właściwie teraz to już poważne konsorcjum. Sektor budowlany, drzewny, paliwowy – wyliczał, widząc, jak oczy Wódki robią się coraz większe.

Prawnik powoływał się wcześniej tylko na jakiegoś „inwestora”. Anonimową postać z cienia, a tymczasem on istniał naprawdę. Humor poprawiał się Wódce coraz bardziej.

– Igor. – Gospodarz wyciągnął rękę. – Mamy wspólnie pracować, powinniśmy mówić sobie po imieniu.

Znał polski dobrze, ale wschodnia naleciałość była aż nadto wyraźna.

– Romuald. – Wódka ucisnął dłoń, promieniejąc radośnie, choć nie spuszczał oka z rozmówcy.

– Moja rodzina pochodzi z Rosji. – Koriel wyczuł wiszące w powietrzu wątpliwości. – Taka historia. Finlandia była kiedyś w imperium carów...

– Tak, wiem. – Wódka wszedł mu w słowo z gromką przechwałką, ale Fin nie wydawał się urażony.

– Proszę, siadaj. – Wskazał wysokie krzesło przy stole. – Zjemy coś i napijemy się? – rzucił retoryczne pytanie.

Zaraz skinął na Kowalewskiego, a ten przyniósł karafkę whisky i tacę z trzema szklankami.

Wypili za spotkanie, wybrali z menu kilka dań. Gospodarz miał gest.

Czekając na kelnera, rozmawiali o głupstwach. Pogodzie, sytuacji w kraju, zainteresowaniach. Narzekali nieco. Tu prym wiódł Wódka, ale szybko przestał, widząc nerwowe reakcje mecenasa. Jeszcze nie wiedział dokładnie, o co chodzi, ale młody prawnik wyraźnie zaczynał się denerwować.

Kiedy wypili, żartując, że to zawsze ciekawe, kiedy Wódka sączy whisky, Romuald zaczął opowieść o swoim muzeum. O pojazdach, o ich historii, każdej śrubce, panewce i nakrętce. Jak było trudno to znaleźć, wyremontować i – co ważniejsze – utrzymać. Potem mówił o pomysły na imprezę i przebierańcach, którzy nie pojmują, jak wiele trzeba zrobić przy takim wydarzeniu.

Pozostali rozmówcy byli cierpliwi, bardzo cierpliwi, choć Koriel musiał się mocno pilnować. Nienawidził tracić czasu, a tego wieczoru miał jeszcze trochę planów. Siedzieli jednak, siłąc się na pogodny nastrój, i kiwali głowami.

Przecież nie byli pierwszymi naiwnymi, którzy nie rozpoznaliby tematu. Na tym polegało główne zadanie Kowalewskiego i jego kancelarii.

Wódka mógł udawać wielkiego historyka, znawcę zagadnienia i pana historycznych imprez, ale prawda była zupełnie inna. Balansował na krawędzi. Istniał dzięki układom, niedotrzymywaniu niektórych umów i wręcz absolutnemu wyzyskowi pasjonatów. Zresztą tych ubywało z imprezy na imprezę i z każdym kolejnym rokiem miał większy problem z szukaniem naiwnych pomocników.

Kilka razy wypożyczał sprzęty do filmów, ale to też się kończyło. Wojenne były drogie. Producenci woleli robić romantyczne komedie. Więc powstała fundacja. Jedna z wielu, jakie tworzone przy sporych prywatnych firmach, żeby uciekać z majątkiem albo podatkami. W jego przypadku było podobnie, choć doszło jeszcze muzeum.

Wszystkie czołgi i samochody zostały zgromadzone w jednym miejscu i tylko czasem były wywożone na pikniki czy zloty. I co najistotniejsze, o muzeum zrobiło się głośno. Pisano o nim w kilku pismach motoryzacyjnych, Wódka pokazywał się w telewizji. Pod tym względem uchodził za solidną firmę, a dla nieznających się na rzeczy – za dobrą markę.

– Dobrze, panie Romualdzie. – Igor wybrał moment, żeby przerwać. – Przejdźmy do konkre-
tów.

Poprawił krawat i dał znak prawnikowi. Ten skinął głową, przełknął ostatni kęs i otarł usta chusteczką.

Wódka był z siebie zadowolony. Wiedział, przeczuwał, a teraz miał pewność. Młody mece-
nas bał się tamtego. Było to widać w każdym jego geście, jakby obawiał się narazić szefowi.

Romuald też się nieco zląkł. Nie miał zamiaru oddawać się pod kontrolę jakiemuś ruskiemu, fińskiemu – czy skąd by on nie był – raptusowi. Wsłuchał się jednak w płomienną opowieść prawnika i z każdym zdaniem wątpliwości się wykruszały. Potrzebował wsparcia, inwestycji. Sam lubił dostatnie życie, ale teraz, choć jeszcze pchał ten wózek, pieniądze mu się kończyły, a i perspektywy nie były wesołe.

Nie był jednak głupi. Wiedział dobrze, że opowieści o panu przemysłowcu mogą być zwykłą bajeczką. Że za nimi kryje się może coś niepokojącego. On też miał swoich prawników. Ostrze-
gali go, że może ktoś potrzebuje pralni dla ogromnych dochodów w zamian za ułamek tej kwoty – pokaźny, ale zawsze ułamek – albo ucieka przed fiskusem. Jednak nic nie wiedział na pewno, a sposobów na współpracę było wiele.

Czekał cierpliwie, aż Michał Kowalewski zahaczy o jakiś niepokojący temat. Ale nic takiego się nie stało. Młody gadał o historii, o chęci stworzenia prawdziwego centrum jej promocji, tej całej rekonstrukcji, o której Wódka już nie mógł słuchać. Nic nielegalnego.

Dziwił się coraz bardziej, ale jednocześnie robiło mu się lżej na duszy. Zawsze to kilka lat więcej w spokoju do emerytury. Od wyników dzisiejszej rozmowy zależało, ile na tę emeryturę odłoży.

– I na koniec... – Kowalewski znów zrobił się bardziej uroczysty.

„Skubany, dobry jest. Zajdzie daleko, goguś”, pomyślał Wódka.

Naprężył się, wyprostował, gotów usłyszeć clou tego spotkania. Tę ciemniejszą stronę umo-
wy.

– Udało się nam pozyskać w bardzo wyjątkowych okolicznościach i na bardzo atrakcyjnych warunkach pewną nieruchomość...

Prawnik uniósł wzrok w stronę Igora. Ten nieznacznie drgnął.

– Posiadłość... Dom na Półwyspie Helskim, panie Romualdzie. Bardzo dobra lokalizacja.

Budynek przedwojenny, w całkiem dobrym stanie. Wymaga kilku napraw...

– Najważniejsze, że za półdarmo – wtrącił Fin.

Wódka wyszczerzył zęby. Lubił takie określenia.

– I ten dom to...? – Patrzył raz na jednego, raz na drugiego z rozmówców.

– Uważamy, że byłaby to doskonała lokalizacja dla, powiedzmy, najcenniejszych eksponatów – oświadczył Kowalewski pełen zawodowego profesjonalizmu.

– Panowie. – Wódka chrząknął. – Ja mam czołgi, transportery... Bardzo fajnie, że udało się wam znaleźć coś takiego, ale ja swoich rzeczy tam nie pomieszczę.

Igor zerknął na prawnika i zaśmiał się krótko.

– Ależ, Romualdzie, nikt nie każe ci zmieniać siedziby. Dwie lokalizacje to nawet lepiej. Nieprawdaż? Sprzęt ciężki, twoje, nazwijmy to, zabawki niech stoją tam, gdzie teraz. Turyści, pędząc nad morze z głębi kraju, będą wpadali oglądać skarby, a ty będziesz informował ich, że to nie wszystkie. Tam urządzimy nowoczesne, prywatne muzeum. Temat się wymyśli. Historia bogata. Parę aut też wciśniesz, a potem dorobi się interaktywne sale, pokazy filmów 3D. O, wiem – klasnął w dłonie – znasz muzeum w Overloon?

– Znam. – Wódka przytaknął ostrożnie.

Na samo wspomnienie sal pełnych broni, pocisków, czołgów i amfibii oraz na myśl o tym, że Fin chce coś podobnego stworzyć tutaj, zawirowało mu w głowie.

– No widzisz. – Igor uniósł brwi. – Nie byłoby fajnie zrobić tak samo? – zapytał.

Wódka prawie dał się przekonać.

„Dobry są. Obaj”, myślał i szukał gorączkowo powodów tej rozmowy. Prawdziwych. Muzeum to nie tartaki czy budowa dróg. Nie przynosiło kokosów. I jeszcze ten dom. Nie rozumiał, z wyczajnie nie rozumiał.

„A może... to prawda?”, wewnętrzny głos z łatwością radził sobie z wątpliwościami.

Przecież powody tak naprawdę nie były ważne. Najważniejsze było gromadzić, ile się da i jak długo się da, a potem niech się dzieje, co chce. W świat pójdzie, że to wszystko z pasji, z uwielbienia dla historii.

– No dobrze, dobrze – wreszcie wykrztusił zgodę. – Jaka forma współpracy? – spytał, ostentacyjnie unosząc głowę.

– O, to niuansy – wtrącił prawnik, znów wzrokiem szukając poparcia u szefa. – Spółka albo raczej... zadziałały z fundacją.

Kolejne porozumiewawcze spojrzenie.

– Przepraszam na moment. – Prawnika wstał i zniknął w drugim pokoju.

– Może jeszcze?

Igor uniósł karafkę z bursztynowym płynem. Wódka nie oponował.

Młody wrócił prędko, trzymając w ręce neseser.

– Panie Romualdzie. – Kowalewski stanął obok Wódki, kładąc teczkę na stole.

Odblokował zamki.

– Niech potraktuje to pan jako zaliczkę na poczet... zaliczki. – Pojaśniał zadowolony z własnego wicu. – Będzie tego więcej.

– Na pewno będzie więcej – potwierdził Igor i podniósł szklanekę w geście toastu.

Prawnika otworzył teczkę, bawiąc się doskonale i czekając na reakcję gościa.

Wódka prawie spadł z krzesła. Rozdziawił usta i wytrzeszczył oczy. Trwał tak długo, aż wreszcie nieśmiało, jakby nie dowierzał, dotknął jednego banknotu palcem.

– To dla mnie? – Nawet nie zorientował się, jak głupio to zabrzmiało.

– Oczywiście. – Igor wypił resztkę whisky i odstawił szkło. – Taka premia za prędkie decyzje.

Podsunał się bliżej gościa. Mecenas znów wyszedł z pokoju.

– Posłuchaj – wycedził wolno Fin.

Wódka momentalnie się otrząsała. Dobrze przeczuwał, coś tu śmierdziało.

– Będzie tego więcej. – Igor mówił coraz szybciej. – Zaufaj mi... ale wymagam dwóch rzeczy. Pierwsza. Masz oficjalnie zasiedlić budynek przed imprezą. Rób w mediach szum, chwal się, opowiadaj. Pomożemy. – To ostatnie słowo było niepokojące. – Zrobimy hałas w portalach, militarnych periodykach. Władza się ucieszy, bo pozbędzie się rudery, a zyska nową atrakcję. A tam konkurencja spora. Moi ludzie zajmą się renowacją, remontami. Tak, żeby na czas wyglądało to jako tako.

– Jasne. – Wódka kiwnął głową, ale uniesiona ręka gospodarza nakazała mu milczenie.

– Drugą sprawę znasz? Na pewno. Taki był wymóg. Przyspieszysz imprezę o dwa miesiące.

W rozszerzonych, czarnych teraz jak węgiel żrenicach Igora odbijało się blade światło lampy. Wódka zatrzęsł się i strużka potu spłynęła mu po karku.

– Załatwione – wymamrotał bez przekonania.

To było ryzyko. To znaczy w normalnych warunkach by było ryzyko. Ba, klęska nawet. Impreza historyczna o ugruntowanej pozycji w kalendarzu turysty. Nakłady samorządów, lokalnej prasy i biznesu. I co? Przenieść to wszystko z sierpnia na... koniec maja? Na długi weekend Bożego Ciała. Jeszcze ksiądz proboszcz był gotów pogonić mu kota... Ale teraz miał przed sobą rekompensatę, i tylko to oraz wizja dalszych zysków się liczyły.

– Pogadaj z Michałem. Umówicie się na jutro, obgadacie szczegóły, finansowanie. Gdyby coś, mów, że masz inwestora, nikt nie musi nic wiedzieć. Na razie.

Przekaz był jasny i oczywisty. Igor zerwał się z miejsca, dając znak, że kończy spotkanie. Zapiął guzik marynarki i wyciągnął dłoń. Wódka również wstał i pokłonił się ciężko.

– Robisz piknik? Gdzieś nad morzem? Sopot? Gdynia? – Fin rzucił jeszcze kurtuazyjne pytanie.

– Tak, tak. A dokładnie to pomiędzy. Powinienem rozreklamować tę moją... naszą imprezę, jeśli termin się zmienia. Musi być frekwencja, bo i z grupami będzie raczej kiepsko. – Wódka uśmiechnął się sztucznie. – Planuję spore przedsięwzięcie. Przejazd kawalkady prawie przez całe Trójmiasto. Ludzi zbieram...

– Dobrze, że o tym mówisz. – Igor podrapał się w skroń, przerywając, jak się spodziewał, kolejną za długą opowieść. – Znam paru takich, co lubią te zabawy. W Finlandii też mamy podobny ruch. Podeślę kilku do ciebie. Nie martw się, będzie komu walczyć. – Roześmiał się znów z błyskiem w oku. – No i ochrona też będzie. – Zerknął na zegarek. – Właśnie, jeszcze dziś muszę to omówić. Dlatego wybacz... – Wskazał drzwi.

– Oj tak, rozumiem.

Wódka pożegnał się i podreptał do wyjścia, dopiero teraz czując, że nogi ma jak z waty. Nie wiedział tylko, czy to sprawa alkoholu, czy emocji.

Gospodarz zamknął drzwi, oparł się o nie i głęboko westchnął. Rozluźnił krawat, zdjął marynarkę i rzucił ją na krzesło.

Piotr Nikonin nie lubił takich spotkań, nie czuł się najlepiej w podobnych rolach, ale był dumny, że się udało.

Wszedł do drugiego pokoju. Otworzył sejf i wyciągnął pistolet w kaburze. Zaczepił o pasek. Potem nalał sobie jeszcze whisky i wypił prędko. Był spóźniony. Drugie spotkanie było o wiele

trudniejsze, ale i... ważniejsze. Po to tu przyleciał, łamiąc chyba wszystkie możliwe reguły i zakazy. Ryzykował. Ale miał negocjować z ciekawymi ludźmi. Jakby co, legenda była. Werbował tego Wódkę, nikt nie powinien się domyślić. Chłopaki nie puszcza pary z ust. Byli przygotowani.

Nikonin zakładał właśnie skórzaną kurtkę, kiedy zadzwonił telefon.

Odebrał. Słuchał przez chwilę.

– Okej – rzucił do mikrofonu i rozłączył się.

Tam, gdzie jechał, nie wykryto żadnych niespodzianek. Na razie.

*

Noc była ciemna, bezksiężycowa i znowu chłodna. Wioska spała, szosą nikt nie jeździł, a do lasu nie chodził tym bardziej. Teren firmy jaśniał od reflektorów rozstawionych wkoło, tak żeby oświetlić każdy skrawek posesji i żeby obraz w kamerach był idealny.

Po zmroku w zwykłej firmie tej wielkości nie przebywa zazwyczaj zbyt wielu ochroniarzy. Jeden, może dwóch. Czterech to już tłum. Zwykle są to emeryci dorabiający kilka groszy do marnych zusowskich wypłat.

Tutaj było zupełnie inaczej. Nocą ochronę tej hurtowni spożywczej i koegzystującej z nią firmy transportowej stanowiło dziesięciu ludzi, a kiedy docierały jakieś specjalne przesyłki albo szefostwo sobie zażyczyło, liczba strażników zwiększała się do piętnastu.

Za dnia potrafiło być ich jeszcze więcej. Co poniektórzy kierowcy zrzucający ładunki nie mogli się temu nadziwić. Każda firemka cięła koszty, a tutaj... jak w wielkiej korporacji.

Nikt nie zadawał pytań. Tak byli nauczani. Zresztą zatrudniało się i wynajmowało sprawdzonych ludzi. Kierowców i dostawców. Tym pierwszym było wszystko jedno, gdzie i u kogo jeżdżą, zwłaszcza że zarobki były wysokie, ci drudzy cieszyli się, że mają zbyt i faktury opłacone o czasie.

Ta dbałość o kwestie finansowe utrwalała poczucie wspólnoty, a nawet elitarności. Prezes szukał pracowników tylko po znajomych, czasem zatrudniał kogoś z polecenia i sam długo sprawdzał nowych. Jeśli zaś chodzi o zarząd, poszczególni kierownicy przebywali tu często całymi godzinami ponad ustawowy czas, doglądając pręźnie działającej firmy. Tak jakby nie mieli domów.

Opłacało się. Firma dostała kilka nagród i dyplomów od lokalnych władz, zadowolonych z podatkowych wpływów. Nawet media zajmujące się biznesem zrobiły kilka materiałów i wyróżniły ją raz czy drugi. Przedsiębiorstwo sponsorowało też, mniej lub bardziej oficjalnie, różne festyny, imprezy, a nawet koncerty. Parafia coś dostała, potem strażacy i wszyscy byli zadowoleni.

Taka oaza biznesowego eldorado w samym niemal centrum Polski.

Strażnik, czterdziestoletni były policjant, jeden z kilku, którzy mieli prawo noszenia broni na służbie w firmie, wyszedł ze swojej ogrzewanej stróżówki. Pilotem uniósł szlaban. Poprawił bluzę, czapkę z napisem „Tadex-trans Security” i wyprężył się jak na wizytacji. Jechał tu twórca całego tego przybytku.

Właściciel pojawiał się bardzo rzadko i zazwyczaj był to powód pewnej nerwówki, choć szef nie krzyczał, nie sprawdzał, a jedynie witał się uprzejmie z napotkanymi pracownikami. Do pilnowania, by wszystko chodziło jak idealna maszyna, miał swoich zarządców. Obawiali się go, więc spinali, jak mogli, i pewnie dzięki temu wszystko grało, jak należy.

Auto, dwuletnie bmw, przejechało wolno. Szef skinął głową na powitanie i ruszył prosto do

pierwszej z brzegu rampy – betonowego podwyższenia, z którego wyładowywano towar do wielkich wrót. Tam czekało już trzech ludzi: prezes-zarządca i dwaj ochroniarze.

– Dobry wieczór! – krzyknął zarządca, jak tylko szef otworzył drzwi auta.

Ten wysiadł i poprawił jasną marynarkę z wielbłądziej wełny. Leżała idealnie.

Miał pięćdziesiąt pięć lat, ale prezentował się świetnie. Dbał o siebie. Niejednemu mógł za imponować, i to mimo swego nie za wysokiego wzrostu oraz już lekko przeredzającej się fryzury.

Przeskoczył schodki prowadzące na rampę jak młodzik. Uśmiechnął się szeroko. Zgodnie ze swym zwyczajem podał rękę najpierw ochroniarzom. O ludzi umiał dbać. Przynajmniej świetnie udawał. Dla nich był to zawsze nie lada zaszczyt. Dopiero w następnej kolejności przywitał się z prezesem. Zatrudnił go tu na samym początku, kiedy wznosił z ruin tutejsze popegeerowskie rudery, a potem rozbudowywał firmę.

Mężczyzna miał teraz równo czterdzieści lat, spisywał się doskonale, nie robił problemów. I co najważniejsze, potrafił dobrać współpracowników. Takich wybitnie uzdolnionych, mało interesujących się nie swoimi sprawami i posłusznych. Całą kadrę, tę prawdziwą i tę działającą pod przykryciem, sklecił samodzielnie. Miał też instynkt. Przeczuwał zagrożenia i potrafił reagować zawczasu.

– Cześć. – Prezes jako jeden z niewielu był z szefem na ty i mógł mówić tak przy załodze.

Właściciel podał mu rękę i uściśnął znacząco.

– Panowie, dziękujemy. – Prezes kiwnął na obstawę.

Posłuchali natychmiast. Oddalili się do głównej wartowni.

Prezes przyłożył kartę do czytnika, wklepał kod w elektroniczny zamek i drzwi we wrotach ładunkowych puściły.

Weszli do hali. Nie włączali wszystkich świateł. Przeszli między żelaznymi regałami pełnymi przygotowanych do wysyłki towarów, które ciągnęły się całymi metrami.

Przy końcu hali znajdowały się kolejne wrota. Rzadko otwierane oddzielały ogólnie dostępną powierzchnię od niewielkiego pomieszczenia. Strefa absolutnie zakazana i zapomniana przez pracowników. Nawet kamery nie obejmowały tego zakątka.

Prezes wyciągnął z portfela inną kartę. Takie miał tylko on i właściciel. Zamek kliknął i można było przesunąć drzwi.

Weszli, przymykając je za sobą. Wpojona ostrożność. Przecież byli tu teraz sami.

Jarzeniówki dawały dużo białego światła.

– Kazałeś zawiadomić, kiedy będą. – Prezes z dumą wskazał równe rzędy sporawych skrzyń ustawionych do połowy ściany.

Właściciel podszedł wolno, założył ręce na plecach i uniósł głowę. Wodził oczyma po drewnianych opakowaniach.

Wyraźnie przejął się widokiem. Potrzebował chwili spokoju.

– Ile to lat? – zapytał niespodzianie.

– Słucham? – Prezes nie zrozumiał.

– Pytam, ile lat to ciągniemy? To znaczy tutaj. Sześć?

– Siedem – poprawił młodszy.

– O, proszę! – Szef zatrzęsł się od cichego śmiechu. – Nawet ja się pogubiłem. Tak. – Przygryzł wargę ciągle wpatrzony w drewniane kufry. – Ostatnie?

– Dziś wieczorem. Zgodnie z planem.

– Tak. – Szef jakby nie słuchał. – A to nie wybuchnie? – Wyciągnął palec i odwrócił się

z troską wymalowaną na twarzy.

– No coś ty? – Prezes był pewien, że to żart. – Dobrze zapakowane, zabezpieczone. Nie ma prawa. – Wzruszył ramionami. – Chyba że byłby pożar, ale to wytrzyma dużo. To tylko maskowanie. – Podeszedł bliżej i palnął pięścią w deski. – W środku coś mocniejszego – mruknął.

Szef podrapał się po brodzie.

– Ta partia skąd?

– Szczecin.

Prezes czuł się dumny. Logistyka, rzecz ważna w tym fachu, była czymś na kształt jego hobby. Spisał się na piątkę. Bez jednej wpadki.

– Poprzednia z Gdańska – wyliczał dalej. – Pierwsza też Gdańsk, ale normalnie. Terminal. Utonął w morzu innych puszek. – Zaśmiał się.

– Zbierzesz chłopaków i zaczniecie rozdzielać. – Szef przerwał krótki moment triumfu. – Ślijcie to różnymi drogami...

– Wiadomo. Zaczniemy pojutrze. Nie ucz ojca... – odparował prezes.

Zagalopował się. Ale przecież nie był nowicjuszem.

– Słuchaj! – Właściciel poczerwieniał. Wiele wybaczał, ale nie miał zamiaru znosić impertynencji. – To nie zabawa. Tym razem to poważne jak nigdy. Zapomniałeś?

– Przepraszam.

Prezes był zbyt podenerwowany i zmęczony, by dawać się opieprzać. Wolał przeciąć to od razu.

– Odstawisz transport, ale u konkurencji. Dwie inne firmy, spore, z dużymi magazynami, żeby nie sposób było wyłuskać, jakby siedli na ogon. Kiedy będzie po wszystkim, nawet nam nie odpuszczą i będą niuchali. Opinia publiczna nie pozwoli zamieść spraw pod dywan, więc chcę, żeby dotarli do nas jak najpóźniej. Po to trzeba na obcych.

– Jasne.

– Nasi komandosi niech się zameldują, jak wejdą na teren. – Właściciel wydawał kolejne polecenia. – Wolałbym bez niespodzianek. Powrót obstalowany? – Zabrzmiało to jak pytanie sprawdzające.

– Tak jest. – Prezes nie dał się podejść. – Dwa zestawy. Nasi przyjaciele wiedzą, gdzie mają czekać. Pomogą w przetruciu, ale nie wiedzą kogo. Nie muszą. A propos, goście się zjeżdżają. Ci samodzielnie.

– Kłopoty?

– Żadnych.

– Lokum?

– Wszystko załatwione. Pensjonaty, jak zazwyczaj. Granica też przygotowana. Odpuszczą na chwilę, będzie okienko. Tyle teraz wali tu ludzi z Azji, że nikt o nic nie zapyta. Wezmą kasę i już. Potem przerzut bliżej miejsca działania.

– Dobrze, dobrze. Damy radę. – Właściciel wyduł wargi, wyraźnie nad czymś się zastanawiając. – A jak zaczną interesować się nami... – westchnął – tak na serio... – nabrał głęboko powietrza, znów gapiąc się na skrzynki, jakby to był ósmy cud świata – ...będzie trzeba się przenosić.

Zamilkli obaj na kilka chwil.

Tyle wspomnień, emocji związanych z tym miejscem. No i naprawdę stworzyli coś, co grało.

– Dobra, idziemy – zarządził szef.

Po raz ostatni obrzucił spojrzeniem drewniane skrzynie, zgasił światło i zamknął wrota.

*

Nocą las utonął w niskim obłoku mgły. Warunki zatem były idealne. Zero ruchu, zero ludzi. Oprócz nich.

Było ich trzech. Nieco złachane stroje: kurtki, plecaki. Młodzieńcy o lekko kaukaskich rysach, ale bardziej z gatunku wystraszonych emigrantów aniżeli łaknących krwi islamistów.

Mieli może po dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Ci, z którymi wyruszali dwa dni temu, nie różnili się od nich zbyt. Rozdzielono ich, rzucając na inne punkty.

Brunet o połyskującej, bardzo gęstej, nieco za długiej czuprynie zrzucił tobolek na wilgotne liście. Otworzył go, wyszarpał mapę, a zaraz potem foliowe zawiniątko. Przyświecił zapalniczką. Nie mógł się mylić. Punkty terenu, które mijali, zgadzały się idealnie. Tyle kilometrów. Ale dali radę.

Westchnął i rozerwał opakowanie zawiniątko. W środku był telefon. Włączył go. Działał bez zarzutu. Wybrał numer, którego cała trójka musiała się nauczyć na pamięć.

Ktoś odebrał po trzecim sygnale.

– Cześć. Jesteśmy. Czekamy.

Trzy słowa. Krótkie potwierdzenie. Żadnej emocji. Koniec.

Rozłączył się od razu i sam zasiadł pod drzewem. Było nieprzyjemnie wilgotno, ale jemu to nie przeszkadzało. W nogach miał tyle kilometrów, że musiał odpocząć. Spać nie miał prawa, jeszcze nie teraz.

Nic nie mówili. W takiej chwili mieli być niewidzialni i niesłyszalni.

Brunet odganiał tylko znużenie, co rusz powtarzając w myślach cały plan. Mieli czekać. Pół godziny czy całą, tego nie dookreślono. Bus, sygnał reflektorami. Potem baza. Kilka dni. Przerzut bliżej celu i znów czekanie na sygnał.

*

Do drzwi gabinetu ktoś gwałtownie zapukał.

– Wejść! – Arlow podniósł głowę znad papierów, poirytowany.

Od dawna już nikt nie śmiał mu w ten sposób przeszkadzać.

W drzwiach stanął poczerwieniały i zdyszany kapitan w mundurze. Oczy miał wystraszone. W dłoni, wyciągniętej nienaturalnie przed siebie, dźmierzył kilka złożonych kartek.

Arlow opadł głębiej w fotel. Jeden rzut oka na podwładnego wystarczył, by stwierdzić, że to nie są dobre nowiny.

– Towarzyszu pułkowniku... – Mundurowy szybko zamknął za sobą drzwi. – To przyszło kwadrans temu – zaczął z nową mocą.

Położył na biurku plik kartek i cofnął się o krok. Arlow wiedział, że jego oficer łączności zna treść.

– Co się dzieje? – zapytał, hamując panikę.

– Może wy sami... – Kapitan poprawił kołnierz koszuli, jakby nagle zaczął go dusić.

Pułkownik rozłożył papiery. Oparł się na łokciach i czytał prędko. Z każdym zdaniem coraz szybciej łykał ślinę. Pobladł. W nerwowym odruchu zaczął zaciskać szczękę, spozierając raz na meldunek, raz na wielką mapę na końcu gabinetu.

Kapitan czekał na rozkazy, przestępując z nogi na nogę. Przynajmniej zrzucił z siebie ten ciężar. Stary brał na siebie o wiele więcej.

Kilku jego pewniaków okazało się błaznami. Jeśli to, czego się właśnie dowiedział, potwier-

dzi się, znajdzie konieczność przebudowania kilku struktur. Teraz, kiedy toczyła się wojna, a plany były w realizacji. Co to oznaczało? Bałagan. Chaos. Wewnętrzne dochodzenia.

Ale to później. W tej chwili trzeba było próbować ratować całą tę misterną koncepcję. Za zaniechanie konsekwencje byłyby jeszcze surowsze. Zawsze trzeba było chronić dupę, żeby, jak nie wyjdzie, wykazać, że coś się robiło.

Blamaż w takiej chwili oznaczał koniec grupy. Niejeden generał albo minister rzuciłby ich na pożarcie, nie lubili niezależnych struktur. Nawet jeśli podlegały górze.

Arlwów padł na krzesło, czując, jak krew wybija mu takty w skroniach. Potarł brodę. Jeśli miał jakiegokolwiek wątpliwości, to teraz one się ugruntowały. Chciał czy nie, trzeba było dbać i o siebie. Jeszcze kilka takich stresów i naprawdę wszystko mogło się skończyć. A potem co? Emerytura? W każdym razie oszczędności wyparują szybko.

– Co robimy? – nieśmiało, podszyte strachem pytanie kapitana wyrwało Arlwowa z rozmyślań o niepewnej przyszłości.

Podrapał się w głowę, ciągle zaciskając szczękę i patrząc w depeszę. Westchnął i wstał.

– Zaraz poinformujesz resztę. – Może pułkownik w tej chwili nie wyglądał na pewnego siebie, ale głos miał mocny i zdecydowany, jak na oficera przystało. – Nie wiem, jak to zrobisz, ale mają się dowiedzieć i zaczynać... zgodnie z instrukcją. – Potrząsnął wydrukami. – Przekażesz wiadomość, że przesuwamy wyznaczone terminy. Mają ruszać od razu. Cele i metody bez zmian. Ale mają zacząć natychmiast.

Sam nie wierzył w to, co mówił. No bo przecież ich źródła, te najcenniejsze, najpewniejsze, nigdy się nie myliły. Data była potwierdzana kilkakrotnie.

– A grupa rozpoznania? – Kapitan myślał trzeźwo. – Z nimi nie ma żadnej łączności. – Twarz mu stężała.

Arlwów usiadł w fotelu, oparł się i zacisnął palce na podłokietnikach.

– Z nimi musi skontaktować się Nikonin. Nikonin – powtórzył, lekko kręcąc głową, jakby nie potrafił uwierzyć, że wymawia to nazwisko. – Skoro już tam jest. Znajdzie ich na pewno. I niech koordynuje już na miejscu... – Chwila zamyślenia. – No – pułkownik nastroszył się jak kogut – do roboty. Meldować, jak dojdą potwierdzenia.

Kapitan skinął głową i ruszył do drzwi.

Arlwów został sam. Słyszał swój przyśpieszony puls. Najzwyczajniej w świecie się bał.

Dał się zaskoczyć.

– Jak gówniarz. – Nie wiedział, czemu powiedział to na głos.

Prześledził jeszcze raz tekst na kartkach i zatrzymał się na fragmencie, który najbardziej go niepokoił.

– Skurwysyny – syknął, gotów splunąć przez zaciśnięte zęby.

„Jak on do tego doszedł?“, zahuczało natarczywie pytanie. Nikonin okazał się sprytniejszy, niż myślał.

Coś mu jednak w tym wszystkim nie grało. Nie miał tylko pojęcia co.

Wstał i przeszedł się po biurze. Zerknął przez ramię na telefon. Zrobiło mu się zimno. Miał obowiązek informować najwyższe czynniki.

„Nie. Za duże ryzyko“. Poukłada wszystko, aby miało pozory porządku, i wtedy będzie składał raporty.

„I jeszcze stary“, denerwujący szczegół, ale nie mniej niż inne.

Arlwów obiecał go informować, kiedy tylko odnajdą jego zabawki. I tak długo się to ciągnęło, a generał ponoć naprawdę żalił się na Kremlu. Tam go lubili, przecież był legendą. „Jak on

do tego doszedł?”, pytanie wróciło ze zdwojoną siłą, zapalając kilka lampek w głowie starego razwiedczyka. Niepokój, zazdrość i złość wymieszały się w nim w jednej sekundzie.

„Mnie taki numer?”, zżymał się w myślach. Tu nie można było ufać nikomu. „Błąd, straszny błąd”.

Nie było wyjścia. Jeśli chciało się odnieść sukces, należało wszystkiego dopilnować. Stawka była wszak ogromna. Pułkownik myślał intensywnie. O planie operacyjnym, o kolejnych punktach, datach i miejscach. Żadnego dowodu, ale ta informacja... ta cholerna informacja była jak iskra poruszająca lawinę domysłów.

Uspokoił się. Sięgnął po rozpiskę na następne dni. Możliwości poruszania się miał dość spore, choć w tej sytuacji ryzykował.

„Trudno”, uznał niewesoło.

Powinien zabukować bilet. Nawet dwa. Zmontować przerzut kilku pakunków. Wolał zrobić to sam. Miał ku temu sposobność. W tym światku to nie problem, tylko kwestia ceny. Należało otworzyć kilka skrytek z „drobniakami” i można było zaczynać. Właściwie czemu by nie? Nie będą robili mu koło pióra. Nie pozwoli na to.

Arlwow wyszedł z pokoju.

*

Krzysztof Zydelski normalnie nie palił. Rzucił dawno, po krótkim romansie z tym nałogiem, teraz jednak nie potrafił się powstrzymać.

Wiatr od morza hulał po pasie lotniska, budując specyficzny nastrój. Było ich trzech. On – oficer, człowiek wytypowany do zadań, które pochłonęły mu z życiorysu ostatnie tygodnie. Starszy chorąży Robert „Mucha” Krawiec, którego uczynił szefem ochrony pododdziału realizacji czy prościej – przybocznym, któremu ufał. No i sojusznik, podporucznik Celt.

Dla żadnego z nich taki widok nie był czymś niezwykłym, ale w obecnej sytuacji stawał się symbolem. Zwłaszcza dla Polaków.

Wielki C-17, czterosilnikowy kolos, maszyna transportowa US Air Force, wypluwał ze swojego wnętrza dwa przygotowane na dalekie podróże śmigłowce Seahawk. Do tego sporo skrzyń ze wszystkim, czego ludzie Celta i im podobni, którzy zjeżdżali się grupami, będą potrzebować.

Zydelski wymienił z Robertem porozumiewawcze spojrzenie i obaj jak na komendę westchnęli.

– Ząb Rekina, co?

Krzysztof pokręcił głową, dopalił i rzucił peta na beton. Odwrotu raczej nie było. Zapowiadały się pracowite dni.

*

Sebastian wyłączył komputer i westchnął ciężko. Pociągnął spory łyk coli i oparł się na miękkim fotelu. Nie było mu do śmiechu.

Z jednej strony cieszyło go, że będzie miał wycieczkę do Gdyni. Za darmo, czemu by nie. Rodzice pozwolą. Na wszystko pozwalają. Ale z drugiej, chciał też wpaść do Zośki na grilla. Fajna była. I sama go zaprosiła. Chyba jej imponował całym tym swoim zaangażowaniem.

Postanowił sobie, że wróci zaraz po demonstracji. Na własną rękę. Kto mu niby miał zabronić? Grzesiu, koordynator, był tumanem od ogarniania. Myślał, że będzie wielkim posłem czy liderem, ale okazał się naiwny jak dziecko. Sebastian pracował o wiele ciężiej od Grzesia, a mimo to szef go nie wybrał. Może potrzebował idioty.

Odłączyć się będzie więc łatwo. Gdyby był trener... Nie, Diabeł to inna sprawa. Nie pozwoliłby na samowolę. No, ale jego znów miało nie być. Tym razem też coś mu wypadło.

*

Hotel stał na uboczu, daleko od głównej drogi, i chyba przez to nie cieszył się specjalnie wzięciem. Ludzie z Grubej zajęli się nim miesiące temu i dość często podsyłali kogoś na przechowanie, żeby przybytek nie zbankrutował. Przecież był potrzebny.

Piotr Nikonin siedział na tarasie ozdobionym kiczowatymi gipsowymi rzeźbami.

Słońce przypiekało jak w lipcu, więc skrył się pod wielkim barowym parasolem, nieco wytartym i wyblakłym, ale na to też nie narzekał.

Ciemny terenowy nissan nadjechał od północy, połą drogą, ciągnąc za sobą obłok kurzu. Kiepski dojazd był jeszcze jednym powodem marnej kondycji hoteliku.

Samochód wtoczył się podjazdem na niewielki, skryty za węglem parking. Teraz stały tam już dwa auta.

Nikonin zszedł schodkami i leniwym krokiem ruszył na powitanie gości. Powinien sam po nich pojechać, ale nie miał najmniejszej ochoty ruszać się z tego odludzia. Stąd wszędzie było daleko i nikt się nim nie interesował. Zwłaszcza szefostwo. Dyskretne, a na pewno łase na pieniądze. W Grubej upewnili się we wszystkich tych kwestiach.

Nikonin wysłał po nich człowieka stąd. To znaczy siedzącego tutaj od ładnych paru lat, w tym część czasu w miejscowym więzieniu, gdzie znalazł dobrego współpracownika do tej roboty. Nie było łatwo. Nie tak, jak przypuszczał. Wypłacił im coś na kształt premii, bo zamiast posłać ich na regenerację, musiał skierować w bój prawie od razu, nie za dwa tygodnie, jak powiedzieli grubasowi Wódce.

Wszystko cholernie się komplikowało. Powodowało to napięcia i niezdrowy niepokój. Zwłaszcza w jego przypadku. Przecież zerwał się ze smyczy na jakiś czas, sądząc, że wszystko poskleja i wróci. Teraz musieli go obserwować. Ale powinien przywyknąć i wkalkulować to w ryzyko.

Wysiedli z auta. Cała trójka.

Dwóch mężczyzn, na których czekał, przyjechało, jak było ustalone, w ramach UE, jako obywatele Estonii. Stara część planu. Mieli tamtejsze papiery, choć Tallina na oczy nie widzieli. Łatwiej było ich przerzucić przez Litwę. Po roku 2008 i małej rozróbie, spowodowanej przez komputerowych speców centrali, nadzór nad granicami Estonii nieco się zwiększył.

Przylecieli więc do Wilna legalnie, na zwykłych paszportach. Wizy wydano im bez problemów. Nawet podobizny na zdjęciach były niemal idealne. Dostali dwutygodniowe pozwolenie na pobyt. Wystarczyło, żeby przerobić się na Estończyków, nieco zmienić wygląd i miejsce pobytu, wykonać zadanie, wrócić do Wilna i potem spokojnie do siebie.

– Witam turystów – rzucił z daleka Nikonin, przybierając pozę wczasowicza.

Prawie tak właśnie wyglądał. Luźne jasne spodnie, podkoszulek i rozpięta kolorowa koszula.

– Cześć. – Wielki otaksował go ze zdziwieniem, po czym zaczął się rozglądać.

Sam też przypominał raczej gościa, który wylazł z domu po papierosy, niż oficera GRU. Choć Nikonin uznał, że nad jego emploi będzie trzeba jeszcze popracować. Widać było, że dopiero co zszedł z linii. Szara bluza z kapturem mimo pięknej pogody, zielone bojówki, postura mięśniaka i ciągle nieodrośnięte włosy.

– Witam. – Major przywitał się z Cegłą.

Jemu też przyjrzał się uważnie, ale tu nie miał zastrzeżeń. Letnie maskowanie, jak należy.

Szorty, T-shirt. Cegła ginął w tłumie.

– Zabierać graty do pokojów, a potem obiad. – Nikonin klasnął w dłoń.

Jeśli miał odgrywać zwykłego turystę, to w każdym momencie. Bez rozkazów albo poważnych, skupionych min.

Diabeł otworzył bagażnik i zrobił ruch, jakby wskazywał pozostałym rzeczy i nie miał zamiaru czekać za długo, a tym bardziej pomagać. Gapił się półprzymkniętymi oczami, wściekły albo obrażony, albo wszystko naraz. Nikonin rozumiał go, ale ignorował. To było wojsko. Urazy i stesy mógłby sobie zgłaszać u jakichś tam Amerykanów. Nawet przeszło mu przez głowę, że ci nielegalowie zbytnio się rozleniwili. Potrzeba było świeżej krwi.

Wielki i Cegła zabrali sportowe torby i dwa plecaki.

– Wszystko macie? – Major wołał się upewnić.

– Jest, co trzeba – mruknął Cegła.

– Dobra, chodźcie.

Nikonin machnął dłonią, nie mając zamiaru proponować pomocy. Otworzył tylko drzwi bocznego wejścia do recepcji.

Wielki wchodził ostatni. Mijając majora, przystanął.

– Stary kazał cię pozdrowić – wyszeptał.

Nikonin zamarł. Spodziewał się czegoś takiego, ale później, po wszystkim.

„Wie coś?“, natarczywa, nieprzyjemna myśl wwierciała się w umysł.

Szarżował. A tu każda taka akcja wyjdzie. Kwestia czasu. Musiał się bronić i ustalić legendę. To zawsze było najważniejsze.

Przecież przyjechał służbowo, by dopinać sprawy, a że się przeciągnęło? Telefon od Diabła wyrócił wszystko. Ryzykował i okazało się, że dobrze. Pogaduszki z Polakami dały mu informacje na wagę złota. Coś cennego, czym miał zamiar zrehabilitować się za samowolkę – zmianę terminu dostawy, jak określali to w centrali.

*

Aura nastrajała do wypadu za miasto. Gdzieś nad jezioro, na łąkę, byle dalej od tej betonowo-asfaltowej dżungli napełniającej się stopniowo ludźmi i męczącym hałasem.

Szara pustka zimy i wczesnej wiosny odeszła w niepamięć. Ulice zaludniły się turystami. Wszelkie znaki na niebie i ziemi, a właściwie raporty oraz ostrzeżenia z komend wojewódzkich z głębi kraju, wykazywały, że sezon zaczyna się także dla wszelkiej maści mętów, sunących, gdzie łatwiejszy łup. Zresztą żadnych ostrzeżeń nie było potrzeba. Ci, co wycierali bruki, wiedzieli doskonale, że lepsza pogoda oznacza więcej roboty.

Turystyczno-złodziejska masa wylała się na ulice tuż przed długim weekendem i miasto jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyrwało się z letargu.

Kiedy pod koniec kwietnia temperatury, ku zaskoczeniu wszystkich, przekroczyły dwadzieścia pięć stopni, jak na zawołanie zjawily się dziesiątki autokarów z obwodu królewieckiego. W autobusach jechały zastępy ludzi przybywających po wszelkie dobra: jedzenie, ubrania i sprzęty AGD. To wszystko albo drożało, albo zniknęło z rosyjskich magazynów, odkąd sankcje – kara za rozróbę na Ukrainie – zaczęły odciskać swe piętno.

Do Gdyni wchodziły natomiast wycieczkowce z setkami Japończyków i jankesów, którzy rozpełzli się po miastach aglomeracji jak każdej wiosny. Do tego tradycyjne zastępy Skandynawów i Niemców. Pstrykali zdjęcia, zasiadali po knajpach. Ulice, bary i burdele zostały zapełnione także przez rzesze marynarzy i żołnierzy.

Zapowiadane manewry zbliżały się wielkimi krokami i kilka jednostek już rozlokowywano w okolicy. Oficjalnie niczego jeszcze nie rozpoczęto, jednak co jakiś czas niebo przecinały myśliwce i śmigłowce, a ulicami częściej niż zwykle przemykały wojskowe ciężarówki. Rzeczy dawno niewidziane w większej liczbie.

W Trójmieście pojawiła się dodatkowo jeszcze jedna grupa wizytatorów. Młode gnojki. Ale nie z żadnej armii czy floty, przynajmniej nie oficjalnie, choć ostrzyżeni na krótko, w sportowych ubrankach. Takiej liczby „sportowców” naraz Thomal jeszcze nie widział. Odcinali się na tle kolumn emerytów, rozbrykanej młodzieży, podfruwajek w miniówkach albo gogusiów w rurkach. Chodzili grupkami, niby zwiedzając miasto. Nie byli to kibole, przynajmniej nie w większości. Nie było też do nich dojścia. Wywiadowcy nie bardzo wiedzieli, jak sprawę ugryźć. Nie mieli o tych grupach prawie żadnej wiedzy. Po prostu najazd obcych i już.

Adam widywał ich każdego dnia. Przeważnie byli to, jak się wydawało, Ukraińcy oraz przybysze z Kaukazu. Jakby cały Wschód wybrał sobie Trójmiasto za cel wiosennych wypadów. Thomal uznał to za zapowiedź kłopotów. Nie mylił się.

Coś wisiało w powietrzu i pewnego dnia spadło na miasto deszczem nieszczęść. Ktoś obrzucił butelkami z benzyną konsulat Federacji Rosyjskiej. Na szczęście nie narobił wielkich szkód. Ci zawodowcy tak bowiem szykowali się do akcji, człapiąc pod płótem wiele razy, że zauważył ich pierwszy lepszy patrol. Czterech roślących niespokojnych sportowców.

Na kolejny incydent nie trzeba było długo czekać. W konsulacie ukraińskim też wybuchł pożar, ale sprawcy zbiegli.

Najpierw odpowiedzialnością za to obarczono rejonowe komendy, ale potem ktoś poszedł po rozum do głowy, uznając, że grozi miastu wariant lubelski. Tam też było wesoło. Kilku – podobno studentów ze Lwowa – nabroilo na starym mieście. Odwet przyszedł prędko. Dziwnie prędko. Kamienie i siekiery poleciały w okna zamieszkałego przez Ukraińców akademika już w kwadrans po „koktajlowym zamachu”. Wydawało się, że nikt nie zwrócił uwagi na ten szczegół. Tylko jakaś mała internetowa telewizja wykazała tę dziwną zbieżność, wskazując, że to raczej nie mógł być przypadek.

Jak było naprawdę, trudno dojść, ponieważ sprawy nabrały tempa. Bójki, napady na zwalczające się grupki obu stron. Nagle objawiły się dziwaczne, nieznane nikomu frakcje i partyjki. Słowianie, narodowcy, jakieś ukraińskie bojówki ludowe. Brakowało chyba tylko Czejenów i Apaczów do kompletu.

W centrum Lublina zrobiło się gorąco jak w czasie stanu wojennego. Bójki przerodziły się w zamieszki. Za tym burdelem goniła policja. Kilka kompanii prewencji. Najpierw tylko miejscowi, a potem dodatkowo posiłki z innych miast. Trwało to tak ze dwa dni i nagle wszystko uciхло. Skończyło się, jakby ktoś powiedział: „Dość! Do domów!”.

Tylko mądrale w telewizorach, zwłaszcza ci, co naukę zaczynali w dawnych czasach, zaczęli pisać, że brunatna hydra podnosi łeb. Potem poszło kilka reportaży pełnych rzekomej troski, ale przede wszystkim potępienia. Ministrowie zaczęli płodzić przemowy i gromić rywali w kampanii, których, nie wiedzieć czemu, obarczali winą za wszystko. Tamci z kolei mówili o prowokacji. Cóż, tak też w historii bywało. Zresztą każde paliwo w polityce było dobre.

Przełożeni Adama się przestraszyli. Od komendanta wojewódzkiego aż po Szmerra. Ściągnęli, kogo się dało, i na miasto. Gorzej niż podczas Jarmarku. Prikaz był jasny: zero pobłażliwości. Pojawiły się ostrzeżenia przed prowokacjami. Przecież zasadnicza część manewrów miała odbywać się w tej okolicy. Musiał być tu zatem spokój.

Adam i Stefanek jeździli, pilnowali, ganiłi i padali na pysk. W miasto puszczono zastępy

żandarmerii, prewencji, nawet sokistom nie darowano. Jeśli Thomal chciał na chwilę zapomnieć o Beacie, jej ojcu, wewnętrznych i całej aferze ze skarbami Kalicza, to góra zafundowała mu idealną terapię.

Mało kiedy miał tak wszystkiego serdecznie dość. Tego miasta, ludzi, Stefanka i swojej roboty. Potrzebował odmiany. Jeszcze przed tą całą galopadą postanowił, że pojedzie na półwysep i sam podraży sprawę opuszczonego domu, tej cholernej wyspy skarbów.

Pewnego wieczoru, kiedy sącząc Perłę, rozważał kolejne punkty planu „włamu stulecia”, doszedł jednak do wniosku, że to bez sensu. Skoro taka persona jak Zachrostowski wie o wszystkim i siedzi cicho, to wszystko jest już albo obstawione, albo dawno wygrzebane. Przeleciało mu koło nosa. I stąd pewnie też śledztwo wewnętrzne, ostrzeżenie, żeby nie plątał się pod nogami.

Postanowił więc siedzieć cicho. Nie chciał skończyć jak Borowiak. Już wiedział, że system jest nieszczelny jak stare okno. Borowiaka odwalili, a Adam dostał ostrzeżenie. W końcu był policjantem, nie jakimś tam emerytem. Bardzo chciał tak myśleć. Koniec zabaw w Jamesa Bonda i szukania chwały.

Pogodził się z tym szybko, ale potrzebował oddechu.

Impreza gdzieś trochę dalej od domu była tym, czego potrzebował. Może jednak z niej nie zrezygnuje. Co więcej, przygrucha sobie jakąś miejscową podfruwajkę, pobawi się, a potem się zastanowi, co dalej.

Jeśli Szmerr będzie nieugięty i nie da mu urlopu, weźmie zwolnienie w ostatniej chwili przed wyjazdem. Ryzykowne, ale musiał spróbować.

Znalazł lekarza, znajomego ze szpitala MSW, i wtedy nastąpił cud. Gęste jak mgła napięcie w mieście i okolicy nagle opadło. Tłumy napakowanych chłystków prawie przestały się pojawiać. Nie zniknęły zupełnie, ale było ich o wiele mniej. Bandyterka też spasowała, nie dało się tylko stwierdzić, czy to za sprawą jakiejś tajemnej siły, czy nacisku i aktywności policji z ostatnich dni.

Powoli komendanci rejonowi wracali na pozycje wyjściowe. Znow były wolne dni, urlopy, choć wszystko pod obostrzeniem, że sytuacja może się pogorszyć i należy być gotowym do działania. ■

Rozdział 7

Bus zatrzymał się przed pogrążonym w mroku domem i tylko snop światła reflektorów dawał nieco jasności.

Brama uchyliła się wolno. Diabeł rozejrzył się wkoło, lecz tylko dla zasady, bo i tak niczego by nie dojrzał. Teraz działał już oficjalnie, ale i tak czuł się nieswojo. Nie wierzył ustaleniom z tymi, z którymi dogadywał się major. A może zwyczajnie zdziaczał w tym więzieniu.

Podszedł nieśpiesznie do szoferki. Kierowca opuścił szybę.

– Cześć. – Nawet się uśmiechnął, ale Diabeł go nie znał.

Jakiś Polak, ochroniarz. W środku byli też inni. Nietutejsi. Pomachał im. Siedzieli skupieni, przejęci. Wiedzieli, co nastąpi, i im chyba kooperacja też się nie podobała.

Szofer wyciągnął jakiś papier i odczekał, aż Diabeł go przeczytał.

– No dobra – westchnął Diabeł i złożył kartkę. – Czepiać się nie będę, ale cicho, bo noc. Godzina i nas nie ma – rozkazał. – Rano ktoś to wszystko tu ogarnie, zanim zwałą się tłumy.

Powlókł się do ogrodzenia i szerzej otworzył bramę.

*

Adam dostał wolne na długi weekend. Zapakował do auta worek transportowy, śpiwór, dekony karabin i trochę jedzenia. Z tym różnie bywało na wyjazdach, a znając organizatora tego zlotu, miało być jeszcze gorzej niż zazwyczaj.

Kiedy wsiadał do samochodu, na horyzoncie, pod błękitnym niebem, dostrzegł klucz ciemnych punkcików. Jakieś śmigłowce leciały ku morzu.

– Zaczynają – powiedział sam do siebie nieco zdziwiony, bo oficjalnie wojenne gry miały rozpocząć się dopiero po majówce.

Otworzył okno. Słońce na niebie, ciepły lekki wiaterek i ten przyjemny, niedający się opisać zapach prawdziwej wiosny w powietrzu. To nastrajało optymistycznie.

Zapuścił silnik, włączył radio.

Drogę pokonywał szybko, choć wybrał dłuższą trasę, przez miasto. Było pustawo. Najwyraźniej kto miał wyjechać, zrobił to dzień wcześniej. Korki tworzyły się ponoć tam, gdzie zawsze, w drodze na Hel.

Minął Sopot i miał przed sobą ostatnią prostą. Obóz rekonstruktorów zlokalizowano na porośniętym drzewami wzgórzu. Dawniej był tu tor motocrossowy, a jeszcze wcześniej – granica pomiędzy wolnym miastem a Polską. Teraz pogranicze Sopotu i Gdyni. Prawie odludzie.

Adam właściwie nie wiedział, po co jego ekipa bierze w tym udział. Organizator, Romuald Wódka, był starym wyjadaczem. Miał na swoim koncie pierwsze plenerowe bitwy, i to takie, które w Polsce uznać można było za wydarzenie. No ale lata mijały, zapał i pasja u wielu też, a u Wódki szczególnie. Stał się biznesmenem, i to z gatunku najgorszych kapitalistów.

Jego imprezy odbywały się tylko dlatego, że facet czarował coraz to nowsze, młode ekipy albo wolnych strzelców zastępujących stare wygi, którym z kolei uczestnictwo w tym cyrku przestawało się podobać.

I tak z biegiem lat z dawnej chwały została nazwa. Przypadkowi ludzie albo turyści, nieprzygotowani i niewiele wiedzący o historii. Mogliby robić inscenizacje od Mieszka I po ochronę w supermarkecie, a Wódka i tak by chyba na to pozwalał. Byle był ruch, jego pojazdy i sponso-

rzy. Że nikt ze starej gwardii nie wpadał? Kogo to obchodziło? Nowi za to balowali, czasem przekraczając wszelkie granice i dając się we znaki miejscowym.

Teraz Wódka miał nowy pomysł. Nawet intrygujący. Przejazd kolumny aut i czołgów aż na Hel. Tam miał ogłosić jakąś niespodziankę, choć nikt nie spodziewał się wielkich fajerwerków.

„Musimy się wyhasać”, tak mówili niektórzy członkowie grupy Thomala, a i on sam tak tłumaczył sobie przyjęcie zaproszenia na ten piknik. Blisko i za darmo. Można się było wyrwać z domu i spotkać ze znajomymi, choć tłumów ze swojej grupy się nie spodziewał.

Organizator też chyba zrozumiał, że całej armii tu nie zaprosi. Zapowiadał zatem obecność bogatych właścicieli zabytkowych terenówek, a na dokładkę przybyszów z zagranicy.

„Chyba nie wiedzą, na co się piszą”, pomyślał Thomał, skręcając w przejazd pod torami prowadzący ku zlotowisku.

Zbocze było wysokie, dość rozległe i piaszczyste, dopiero na szczycie zaczynały się gęste lasy.

Obóz wyglądał jak fort, obstawiony wzniesionymi przez właścicieli terenu wieżami i palisadą. Na pierwszy rzut oka prezentował się imponująco. Cała masa równo ustawionych pojazdów: kołowe, gąsienicowe, duże i małe, czołgi, transportery, ciężarówki. Prawdziwie rasowych eksponatów było jednak tylko kilka. Chyba miały brać udział w wieczornej inscenizacji. Reszta stanowiła zasłonę dymną, jak zawsze zresztą. Ilość zamiast jakości.

Dalej stały rzędy namiotów uczestników. Po lewej, na sporym płaskowyzu, koparka drążyła transeje. Przygotowywano miejsce inscenizacji.

Thomał zobaczył wóz pirotechników i facetów w jaskrawych kamizelkach. Skoro już zaczęli pracę, znaczyło, że miało być na bogato.

– Skąd ty masz sponsorów? – wyrwało się Adamowi, gdy parkował wóz w rzędku cywilnych aut należących do uczestników.

Spostrzegł kilka znajomych twarzy. Zapowiadało się całkiem znośnie, a już na pewno wesoło.

Wysiadł z samochodu, kiedy zadzwonił telefon.

– Cześć, panie kapitanie – rzucił Adam wesoło. – Jestem już. Widziałeś, jak wjeżdżam? Gdzie...

– Nie będzie mnie. – Głos Zydelskiego był zmęczony i cichy.

Adam milczał przez chwilę zaskoczony.

– Coś ci jest? – zapytał prosto z mostu.

– Robota. Zaciągnęli mnie w chomąto. – Krzysztof westchnął ciężko, jak człowiek, który ma wszystkiego dość. – Szkoda. Opowiesz o Marianku kiedy indziej. Zresztą nie odzywa się do mnie. Krzyżyk mu na drogę. Może wpadnę wieczorem, ale tylko na chwilę. Popatrzę, jak wojujecie, i wracam. Siedzę w Gdyni... – urwał nagle, jakby spostrzegł, że powiedział za wiele.

– Trudno. – Adam udał złość. – Przywiozłem ciężkiej wody do pogadania, ale jak tak... Uważaj na siebie – nie wiedział, skąd mu się to wzięło. Rozłączył się i wygramolił z auta.

Powiało od zatoki. Daleko za linią drzew lśniła woda. Półwysep brązowo-zielonym paskiem odcinał się na horyzoncie. Widoczność była doskonała.

Wyciągnął z bagażnika sprzęty i poszedł, kręcąc głową, szukać miejsca w obozie, gdzie można było to wszystko rzucić.

– Powitać! – doleciał go chórek zadowolonych głosów.

Było ich trzech. Wyleźli spomiędzy zaparkowanych czołgów.

– Wy już tu? – Adam postawił graty i przywitał się z każdym z zaprzyjaźnionej grupy. – Co

tak wcześniej? Spać nie możecie? – Popatrzył po wystrojonych w kostiumy kumplach.

– No co? – Roman, dawny znajomy nieszczęsnego Jurija, mrugnął, a jego okrągła buźka przybrała jeszcze bardziej zawadiacki wyraz. Oj, lubił takie wypadki. – Mamy blisko, to po co w domu siedzieć. – Puścił oko do Adama.

Wyglądał jak zadowolony dzieciak.

– Zaraz po przemarszu trzeba zorganizować jakiś bankietek – oznajmił.

Thomał się uśmiechnął.

– Może dopiero po inscenizacji? – zapytał, ale odpowiedziały mu tylko wesołe spojrzenia. – No a moi? Są?

– Coś ty. – Marek, niższy od Romka, pokręcił głową. – Tylko my. Poza tym widzisz... – Powiodł ręką wokół. – Pustynia. Nie licz na wielu, nie u tego pana.

– A on już przyjechał? – Adam właściwie nie wiedział, czy go to interesuje.

Miał gdzieś Wódkę i jego czeredę.

– Imć pan generał na stanowisku. – Brzuch Romka zatrzęsł się od śmiechu. – Już dyryguje we sztabie, i to nawet trzeźwy. Jakiś nieborak przybity dzisiaj. Zobacz, jaką Europę urządził. Pierwszy raz chyba. Stołowa, stary, nawet prysznic! A to nie są tanie rzeczy. Jak ludzi rozpieści taką reklamą, to mu jeszcze gotowi tłumem się zwalić za te dwa tygodnie – znów zarechotał. – Przytargał te swoje kampery i siedzi o tam... – palec Romka wskazał za linię zielonych namiotów – ...pod lasem.

– A tam można się rozłożyć? – Adam skinął na pierwszy z brzegu półokrągły NS.

– Wal śmiało, nikt nie sprawdza rezerwacji. – Romek znów się roześmiał. – O listy czy zapisy też nie pytają. Każdy z ulicy wejdzie. Gratów pilnuj. Cholera, jak oni to ogarniają. – Podrapał się w głowę.

Adam pożegnał chłopaków i poszedł zanieść rzeczy. Prędko nałożył mundur. Był sam w wielkim namiocie. Inne też były puste. Teren ogromny, nieogrodzony, zaproszenie dla złodziei. Mógł pomyśleć o tym wcześniej. Teraz złapał flintę, plecak i odniósł z powrotem do auta. Zabrał tylko portfel, dokumenty, telefon i blachę. Zawsze może się przydać. Reszta powinna być bezpieczniejsza w zamknięciu.

Właśnie zatrząskiwali bagażnik, kiedy od ulicy nadjechały trzy samochody. Czarny nissan, a za nim jakieś dwa busy. Pędziły pod górę z wyciem silników, wzbijając obłok kurzu. Minęły pole inscenizacji, namioty i zniknęły na ich tyłach, pod laskiem.

Zrobiło się prawie zupełnie cicho. Czasem tylko cieplejszy wiatr dmuchnął z szumem w kornarach. Dźwięki głównej arterii tu nie dochodziły. Cisza. Tak jak i w obozie. Nikogo. Nawet chłopaki Romana gdzieś przepadli.

Ten zastój trwał tak długo, że zdawało się, iż na świecie zamarło życie. Adam miał wrażenie, jakby był tu sam. Uśmiechnął się do siebie na myśl, że mogłoby tak być.

Popatrzył na zegarek. W planie z forum było napisane, że wielka parada zaczyna się o dwunastej. Miał więc jeszcze dwie godziny. Postanowił zatem pozwiedzać. Obszedł plac wokół. Pogadał chwilę z pirotechnikami. Tak jak myślał, czekało ich sporo roboty i nie mieli czasu na pogaduszki. Zdradzili tylko, że ma być ostro. Ładunki na ziemi, potem wieczorny pokaz.

Zwiedzał ten cały dziwaczny, wyludniony obóz. Wódcę naprawdę musiało się wieść albo oczarował jakiegoś milionera. Thomał sięgnął po telefon. Wybrał numer szefa grupy. Nie odpowiadał. Znalazł innego kumpla na liście. Długo czekał na połączenie.

– No cześć. – Wreszcie się dodzwonił. – Będziecie? Kwitnę tu jak palant... Dużo? Cholera. Korki...? Tak... O kurde... Okej.

Rozłączył się i włączył Internet. Ledwo tu śmigał. Przeglądarka wgrywała się z prędkością zółwia.

Ruszył przed siebie, co chwilę zerkając, czy urządzenie załapało. Minął sanitariaty i wszedł między niskie samosiejki. Słyszał głosy dobiegające z aut i jakieś trzaski dalej, w lasku. Ten zakątek był jak mały cygański obóz.

Dwa spore kampery, miejsce bytowania sztabu organizatorów. Kontenery jak na budowie, wciśnięte w róg. Osobne ubikacje, łazienka w specjalnym przenośnym module. Pryzmy skrzynek okrytych siatką maskującą. To wszystko otaczał niewielki druciany płot, gdzieś tam też obłożony zielono-brązową siatką. „Tak się o siebie boją?”, pomyślał Adam i ruszył dalej, gotów zwiedzić tę ostoję.

Stanął przy wjeździe i znowu popatrzył na ekran telefonu. Zadziałało. Wpisał nazwę strony, która go interesowała. Znowu chwilę czekał i aż gwizdnął z wrażenia.

Ostatni news mówił o pożarze jakiegoś autobusu, który zapalił się ni z tego, ni z owego na środku ulicy, ale nie to było najważniejsze. W aż trzech szpitalach ogłoszono alarmy bombowe i trwała ewakuacja. Do tego jakiś tir rozkraczył się na obwodnicy. Jakby tego było mało, grupa wyrostków zaczęła blokadę drogi z Gdyni do Gdańska, oznajmiając, że to sprzeciw wobec amerykańskich knozań. Tak to nazwali.

Weekend weekendem, ale narobiło się zamieszania. Zatory i wypadki. Jeśli ktoś ciągnął na Hel, tam gdzie korki były znakiem rozpoznawczym, to teraz musiał się liczyć z tym, że postoi jeszcze dłużej. Stąd chyba właśnie ta cisza od strony szosy.

Adam przejrzał inne witryny. Donosiły o wybuchach na stacji transformatorów gdzieś pod Łodzią. W Lublinie jakieś cymbały zorganizowały pochód pierwszomajowy i doszło do przepychanek.

Te dziwaczne wydarzenia zepchnęły na dalszy plan informacje o manewrach. Gdzieś na samym końcu pisano dopiero o kilku okrętach NATO, które zbliżały się do Gdyni. Jeden, znany z przygód z rosyjskimi bombowcami, stał na redzie w otoczeniu paru polskich jednostek, czekając na pozostałe.

Informacje o patrolach ponad Bałtykiem też utknęły na ostatnich szpaltach. Nawet ujawniony kolejny incydent z udziałem rosyjskiego bombowca strategicznego, który mało co nie zahaczył brzuchem o anteny brytyjskiego niszczyciela, prawie nikogo nie obszedł. Tak jak i manewry przy estońskiej granicy zapowiedziane na trzeciego maja.

– Co tu się, kurwa, wyrabia? – wyszemrał półgębkiem Adam.

– Proszę zawrócić! – usłyszał w tej samej chwili.

Podniósł głowę. W jego stronę od cygańskiego taboru pędził dryblas. Młody, łysy, bardziej gruby niż przypakowany.

Nosił czarne bojówki, koszulkę w takim samym kolorze, a na niej taktyczną kamizelkę. Pierwszy ochroniarz, którego Adam tu zobaczył. Jednak jacyś byli. Szkoda, że nie tam, gdzie należy.

Chciał rzucić coś w stylu: „Lepiej byście namiotów pilnowali”, ale uznał, że nie chce mu się strzępić języka.

– Słyszysz pan? – Łysy wyciągnął dłoń we władczym geście. – Tu nie wolno chodzić. – Białe kłaczki brwi zmarszczyły się w czymś, co miało być chyba groźną miną.

Thomal mało nie parsknął śmiechem, ale zdołał się pohamować. Chłopaczek był od niego o dobre dziesięć lat młodszy, więc to jego spinanie się, jakby bronił Fortu Knox, bardzo Adama bawiło. Thomal miał ze sobą blachę i nawet zastanawiał się, czy jej nie użyć. Zanim się jednak

odezwał, łysy odwrócił się. A twarz z groźnej nagle zmieniła się w zaniepokojoną.

Zza kampera, gdzie stał zaparkowany bus, spoglądał w ich stronę jakiś facet. Ubrany był w historyczny mundur, ale twarz miał ciemną, mocno opaloną, a włosy rude i krótkie. Ćmił papierosa.

Łysy wyraźnie się go bał. Thomał spojrzął z rozbawieniem na ochroniarza, ale natychmiast spoważniał.

Spod kamizelki łysego drąga, na plecach, wyłonił się fragment nazwy firmy: MAR-SECURITY.

Thomał odruchowo skulił się w sobie. Nerwowo rozejrzał się wkoło. Tego się nie spodziewał. Przecież Ptasznik powinien zapaść się pod ziemię. Przynajmniej w teorii.

– Panie, idź pan stąd! – Łysy odwrócił się i postąpił kilka kroków ku Adamowi, gotów chyba użyć wyuczonych na kursie chwytów.

– Tak, już, już.

Wycofał się rakiem za pierwszy namiot.

– Co tu się... – Nerwowo łykał ślinę i próbował znaleźć rozwiązanie.

Odruchowo złapał telefon i wybrał numer Włoskiego, na szczęście szybko przyszło opamiętanie. Co miał mu niby powiedzieć?

Od strony torów w górę pięła się kolumna aut. Adam struchlał.

– Boże! – prawie krzyknął, rozpoznając pierwsze z nich.

Stare czarne terrano. Za nim jakiś SUV. Znów dwa busy, tym razem towarowe.

Ręce zaczęły mu się trząść. Wsunął się do namiotu, wyjął telefon i zaczął pstrykać zdjęcia. Opląciło się.

– O, skurwysyny – wymówił prawie bezgłośnie, widząc dawnego znajomego. Siwy, wysoki, barczysty chłop. Nie za młody. Przyjezdni zaraz się zmyli. Nie gadali z nikim.

Drżenie ciała nasiliło się, kiedy w głowie zahuczało od wątpliwości. Nie wiedział, czy ma wiać, czy zostać. Był tak blisko, dosłownie kilka metrów od nich. Musiał, po prostu musiał wiedzieć, co to wszystko znaczy.

Opanował się. Rozejrzał, czy w pobliżu nie ma ochroniarzy. Pusto. Wszedł z namiotu i pochylony wolno ruszył wokół obozowiska. Marian Ptasznik marnie trenował swoich ludzi.

Płot też był do niczego. Wystarczyło przemknąć bliżej lasu, by odkryć sporą przerwę w drucianym parkanie.

„Szańce macie do dupy”, ucieszył się Adam i cicho, ostrożnie przecisnął się przez szparę, uważając, żeby nie nadziać się na odstające pręty.

Odwrócił głowę, kiedy usłyszał trzask jakiejś gałązki. W lesie, w cieniu drzewa, odwrócony plecami stał wartownik. Facet miał kaburę z bronią. Nie jakieś tam historyczne repliki. Zrobił krok i obrócił się. Nie zauważył policjanta przywierającego do ziemi pod płotem otulonym maskowaniem.

Teraz było widać, że prócz pistoletu nosił też karabinek. Adam odruchowo podniósł telefon. Zrobił zdjęcie. Zaraz też wyłączył aparat. Nauczka z Juraty. Odczekał kilka chwil, ostrożnie sprawdzając, czy od tyłu nikt się nie zbliża.

Z lasku dobiegł szmer jakichś kroków i ktoś krzyknął. Adam mógłby przysiąc, że po rosyjsku. Facet z bronią pod drzewem rzucił coś do niewidocznej teraz reszty, machając ręką. Chyba ich uciszał.

Thomał położył się płasko na ziemi. Próbował kontrolować oddech. Ludzie Ptasznika, facet z ABW, Rosjanie. Szukał jakiegoś wytłumaczenia ich obecności, ale nic sensownego nie potrafił

wymyślić. Wiedział za to, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Czegoś pilnowali, to było pewne.

Zaczął wolno się cofać. Jeszcze podniósł głowę. Pod którymś z kontenerów pojawiło się paru facetów w historycznych mundurach różnych armii. Nie wyglądali na rekonstruktorów. Ubrania mieli jak po starszym wyrośniętym rodzeństwie i wyraźnie nie czuli się w nich najlepiej. Palili, pluli pod nogi. Milczeli, nawet nie patrząc na ochroniarzy, jakby dla nich tamci nie istnieli. Na coś czekali. Potem nadszedł Wódka. Facet lubił robić zamęt i nie mniej lubił, kiedy traktowano go jak generała. Umizgi, saluty, te sprawy. A tu nic. Grupa olała go dokumentnie. Nawet nie spojrzeli na niego. Wódka przemknął obok nich ze wzrokiem wbitym w piach.

Następnie pojawił się wysoki, szczupły, poważny mężczyzna. Adam włączył telefon ponownie, ścisząc dźwięk, i zrobił zdjęcie w ostatniej sekundzie. Gość poszedł za Wódką, a za nim podążyło jeszcze kilku mężczyzn. Thomalowi wydawało się, że zniknęli w kamperze.

Coś trzasnęło za płotem. „Majówka, kurwa”, zaczął powtarzać w myślach bliski paniki.

Zastanawiał się też gorączkowo, co zrobić. Najpierw musiał się stąd wydostać, ale potem? Kogo mógł bezpiecznie powiadomić? „Krzysiek. Przecież on w wojsku był. Zna Mariana, może będzie wiedział, z kim on się lubi bawić”, przemknęło mu przez myśl.

Ale czy zielonych w ogóle by to obeszło? To przecież nie była ich bajka. Oni mieli dzisiaj inne zabawy. Z drugiej strony nie mógł ufać nikomu innemu.

Zaczął się czołgać w kierunku wyrwy w ogrodzeniu. Wychylił się. Rozejrzał dokładnie. Potem ruszył biegiem do auta. Od strony parkingu robiło się coraz głośniejsze.

*

Nie reagował. Dopadł samochodu i ruszył z wyciem silnika, aż koła zabuksowały w ziemi. Wskoczył na asfalt i jeszcze docisnął gaz. Wykręcił numer Krzysztofa i włączył głośnik.

– Co jest?! – Kapitan był wyraźnie zniecierpliwiony. – Chłopie...

– Jesteś mi coś winien – przerwał mu Adam, zaciskając palce na kierownicy – wjechałeś mnie w syf, to teraz musisz mi pomóc. – Zydelski zamilkł. – Mów, gdzie cię łapać. Coś się szykuje. Nie wiem co, ale nasz znajomy kręci się w okolicy. Ptasznik – uprzedził ewentualne pytanie kumpla. – A jak jest on, to... będzie rozróżba. Razem z nim są jacyś ruscy...

Thomal skręcił w boczną drogę. Pchać się głównym traktem nie było sensu. Już teraz niewielki dotąd ruch gęstniał. Zator musiał mieć kilka ładnych kilometrów.

– Kurwa mać! – usłyszał w odpowiedzi.

Skręcił na krzyżówce w stronę wąskiej uliczki idącej wzdłuż torów. Niewielu wiedziało o tym skrócie. Wyminął jakiegoś emeryta, który chyba spał za kierownicą.

– Robi się jakiś syf! – warknął, dając upust wściekłości na kierowcę, na Ptasznika, na wszystko wkoło. Wdusił klakson. – Słyszałeś o ostrzeżeniach, o zamachach?! – nie pozwalał wejść sobie w słowo.

Po drugiej stronie dał się słyszeć szum, a po chwili jakieś szepty.

– Kurde, ty to masz wyczucie chwili...

– Ty za to masz... – odwarknął Adam, dodając jeszcze gazu, choć już z trudnością trzymał się wąskiej dziurawej drogi. Dobrze, że chociaż skrót był przejezdny. – ...różnych znajomych.

Grał va banque.

– Zawiadam ich, a ja pokażę, co zdobyłem. Kurwa, człowieku, coś się dzieje.

– No dobra, przyjeżdżaj.

– Dawaj adres – niemal wykrzyczał.

Zydelski powiedział kilka słów.

– Okej – odparł zdziwiony Adam. Znał tę okolicę, kiedyś wujek zabierał go tam, żeby popatrzeć na duże auta. – Będę niedługo.

*

Wyjechał na dwupasmówkę omijając centrum. Tu też nie było luzno, ale on się nie przejmował. Gnał slalomem, nie zważając na klaksony. Potem Morską. Minął dworzec. Robiło się coraz ciasniej. Trakt na Hel. Jeszcze te światła. Szedł na całość. Skracał sobie drogę, jadąc po chodnikach i zostawiając za sobą bluzgających i przerażonych przechodniów.

I tak trwało to za długo. Skręcił pod estakadę biegnącą na drugą stronę kanału portowego. Tu było prawie pusto. Docisnął gaz, aż zawył silnik.

Do lotniska dolatywał jakiś helikopter, mignęła mu też wojskowa terenówka, i to raczej nie polskiego wojska. Pogłośnił radio. Było po jedenastej. W eterze rozbrzmiewały hiobowe wieści o kolejnych zdarzeniach w kraju i za granicą.

W Berlinie jakiś Arab wysadził się w powietrze. Drugiego „rozrywkowego” chłopca pojmano żywcem kilometr dalej.

W Polsce same plagi egipskie. Podpalenia, zamieszki, a nawet jakaś strzelanina w Przemyślu. Jakby było mało nieszczęść na to przedpołudnie, paru śmigłowcom Federacji Rosyjskiej zdarzyło się wlecieć nieco dalej, aż nad Mazury. Rosjanie zaprzeczali, oskarżając polską stronę o prowokację, ale rząd zwoływał specjalne posiedzenie.

– Kurwa mać! – warknął Adam, przebierając palcami po kierownicy. – Ruscy pod Sopotem – powiedział głośno, kręcąc głową. – I pan Marian.

Naraz stało się oczywiste, skąd to Bizancjum na zlocie.

„Wódka wie czy tylko robi za parawan?” przeleciało Adamowi przez głowę.

Odbił właśnie w Hutniczą. Ulicę składów, firm oraz baz transportowych.

Znalazł adres. Tak, pamiętał to miejsce z dzieciństwa. Obdrapana hala. Kiedyś warsztaty naprawcze i baza paliwowa. Wszystko szare, popękane. Czarna od olei trylinka, stare zarastające dystrybutory i barak kierownictwa połączony z kotłownią.

Skręcił w kierunku zamkniętej bramy. Z wzniesionej z pustaków stróżówki dopiero teraz wyłoniło się trzech facetów.

Krzyśka poznał od razu i prawie gwizdnął. Dzień był naprawdę pełen zaskoczeń.

Kumpel nosił jasną, piaskową koszulę, a u grubego pasa kaburę z bronią. Na szyi dyndał mu jakiś wielki identyfikator z czerwonym paskiem.

Dwaj towarzyszący mu ludzie też wyglądali groźnie. Niski, łysawy i kościsty miał na sobie lekką kamizelkę kuloodporną narzuconą na cywilne ubranie i kaburę przytroczoną do pasa. Trzeci był chudy, najmłodszy i trzymał się z tyłu, ale również nie krył broni.

Krzysztof skinął głową i powiedział coś do pozostałych. Najmłodszy otworzył zaraz bramę. Zydelski i jego łysy kompan bez pytania wsiedli do auta Thomala.

– Cześć.

Łysy nic nie powiedział. Krzysztof burknął tylko:

– Jedź.

Objechali ruinę, kierując się na czarny od resztek węglowego miaku plac, na którym stało kilka pick-upów Toyoty i jakieś czarne land rovery. Tu też nakładzono jakichś skrzyń. Bliżej budynku warczały agregaty.

– Idziesz z nami. – Zydelski był ponury i zasadniczy jak mała kiedy.

Adam chciał coś powiedzieć, ale zimny wzrok kolegi zmusił go do milczenia.

Kiedy szli ku starym porzewiałym wierzejom, Thomał spostrzegł jakiś ruch na dachu. Ktoś mu się przyglądał zza czarnych szkielek na zamaskowanej twarzy.

Jeśli wcześniej się bał, to teraz mało nie narobił w gacie.

Za drzwiami było głośno. Dzwoniły jakieś telefony, kilka osób rozmawiało, a echo odbijało się od ścian. Przejścia przez wąski, krótki korytarzyk broniło dwóch mężczyzn w kevlarach, z bronią krótką i długą.

Przeszli obok otwartych drzwi. Thomał zdołał zajrzeć do środka i prawie przystanął. To był kosmos. Wielki ekran w końcu sali, na którym wyświetlano film. Znał miejsce z kadru. Kawalek plaży w Gdyni, tyle że widziany z wysoka. Obok mniejszy, ale i tak robiący wrażenie monitor, i też jakiś widoczek, tyle że bardziej ogólny.

Dalej umieszczono stalowe biurka z komputerami. Kręciło się wokół nich kilka osób, faceci w koszulkach polo i bojówkach. Usłyszał jakieś słowa po angielsku i po niemiecku.

Krzysiek otworzył jakieś rozsypujące się drzwi i weszli do zagrzybiałego, cuchnącego pomieszczenia.

Zydelski zamknął za sobą wejście i ujął się pod boki.

– Dobra, kurwa twoja mać. – Powitanie było zaskakujące. – Panie policjant! – Furia wyraźnie w nim narastała. – Co tam masz, że mi dupę zawracasz? I mam nadzieję... – zaczął mówić wolno, złowrogo cedząc każde słowo – ...że to coś poważnego.

Adam nagle zrozumiał, że jego historyjka musiała żałośnie brzmieć przez telefon. Był tu marną pluskwą. Teraz miał na to dowód. Krzysiu Zydelski, ten śmieszek z reka, nie był w wojsku gaciowym, któremu stopień dali na pożegnanie, choć Thomał jeszcze nie pojmował, co to wszystko znaczy i jaka organizacja tu się rozsiadła.

Chcąc zatrzeć złe wrażenie, włączył telefon i odszukał dzisiejsze zdjęcia.

– Popatrz. Sprzed niecałej godziny. Tego człowieka już kiedyś widziałem. – Starał się być rzeczowy. – Płatał się... – szybko wynalazł odpowiednio neutralny zwrot – ...przy sprawie, którą prowadziłem.

Zabrzmiało ładnie i ogólnikowo, bez wikłania się w szczegóły, bez brudów. Ci tu, kimkolwiek byli, nawet przy tej technice, nie mogli wiedzieć o wszystkim, co się wkoło nich dzieje.

Pokazał pozostałe zdjęcia, nieco niewyraźne, ale to wystarczyło. Jedna, druga postać i... Krzysztof dostał rumieńców. Skinął na łysego.

– Mucha, popatrz – powiedział, wyraźnie podekscytowany.

Obaj milczeli.

Oglądali zdjęcia, nerwowo stąpając w miejscu, aż wreszcie obydwaj popatrzyli na siebie.

– Dobra. – Krzysiek raptownie przerwał ciszę. – Zabieram to.

Rzucił się do wyjścia.

– Pilnuj go! – krzyknął przez ramię do Muchy i zniknął za drzwiami.

*

Grupki przebierańców zjeżdżały się spóźnione i w ciągu kilkudziesięciu minut zrobił się z nich niemały tłum. Rozgadani, roześmiani, jak dzieci na kolonii, wkładali mundury i szykowali się gorączkowo na przejazd historycznymi autami. Byli jak ruchomy baner reklamowy majowego weekendu, nadchodzących imprez i nowego muzeum pod znakiem historii i militariów.

Romuald Wódka popędzał tę zbieraninę, jak to miał w zwyczaju, choć kilku starych wyjadaczy dostrzegło jego zdenerwowane, co objawiało się w coraz częstszych grubiańskich przytykach.

Dzieciarnia, świeżo upieczeni mechanicy i kierowcy ze stajni „pana organizatora” uruchamiali silniki w co ciekawszych eksponatach, szykując się, by dołączyć do kolumny, która składała się głównie z wiekowych terenówek.

Rekonstruktorów było najmniej. Nie dotarli tu przez zawieruchy w miastach albo po prostu zignorowali imprezę. Zasiadali po jednym, po dwóch w dżipach, dyskutując o konstrukcji aut, w których jada, bądź o tym, co tego dnia zaczęło wyrabiać się w Polsce.

Wódka miał szczęście. Gdyby nie grupa od nowego sponsora, ludzi byłoby mało.

Fin przysłał ze dwudziestu, może więcej. Wódka nie miał czasu ani ochoty liczyć. Zresztą zjeżdżali się grupami, po kilku, dowożeni jakimiś autami. Docierali na ostatnią chwilę. Wiele nie rozmawiali i wyraźnie trzymali się z boku. Ważne, że zapchali dziurę, mieli sprzęt i uniformy.

Major Piotr Nikonin vel Igor Koriel stał z papierosem w ustach, skryty w połowie za siatką maskującą niewielkiego obozowiska, i patrzył na ten cyrk. Zresztą sam po części brał w tym udział. Bawełniany mundur pasował do niego jak kwiat do kozucha, ale teraz był najlepszym kamuflażem. Zerknął na zegarek. Dłużyło się jak jasna cholera.

– Co, palimy? – zza pleców doleciał głos zdziwionego Ptasznika, za którym dreptał nieodłączny Malinowski.

– A tak jakoś – zbył grubasa.

Nikonin nie miał zamiaru się tłumaczyć. Nienawidził rozmów o niczym w samym środku operacji, kiedy dowodził. Poza tym irytowali go. Obydwaj. Samą swoją obecnością. Już wtedy, podczas nocnego spotkania w jakimś lesie, wzbudzali w nim najgorsze odruchy. Przymilający się, posłuszni, proponujący pomoc, nie zważający na to, że rozmawiają z człowiekiem odpowiedzialnym za śmierć trojga ich ludzi. Liczył się pieniądz. Zero lojalności wobec swoich.

Gdyby nie byli potrzebni i nie mieli dojść do najważniejszych źródeł informacji... Nikonin nie gadałby z nimi długo.

– Ładunek gotowy? – zapytał.

– Oczywiście. – Ptasznik wyprężył się, spoważniał, patrząc na swojego siwego towarzysza o pulchnej twarzy. Też byli profesjonalistami. – Niech ta zgraja stąd ruszy... – machnął głową na formującą się kolumnę – ...i moje chłopaki ładują. Zabieramy, gdzie pan wskazał. – Lekko się uklonił.

Za to, ile mu obiecano, był gotów i na takie poddańcze gesty. Klepnął się jeszcze w czoło, jakby coś sobie właśnie przypomniał.

– Pan pamięta o stosownych... – szukał odpowiedniego słowa – ...pakietach dla moich przyjaciół? – Wskazał kciukiem za siebie.

Nikonin nic nie odpowiedział. Takie zagrywki denerwowały go. Nie znosił ponaglenia. Zduślił niedopałek.

– Mielicie się nie pokazywać bez powodu – fuknął ostro.

Zostawił Polaków i poczłapał w stronę kampera – jego chwilowej bazy. Wszedł do środka. Smród stęchlizny przyprawiał go o zawrót głowy.

„Trzeba jeszcze trochę wytrzymać”.

Byli prawie wszyscy, a na pewno ściśle jądro grupy. Wielki, Cegła, Diabeł i Harpun. Do tego Olegin i Matwiejew oraz dwóch oficerów dopiero co przeniesionych z WDW. Reszta to ludzie od znajomych Cegły ze środkowej Azji.

Tamci wiedzieli, jak przeszkolić swoich żołnierzy. Materiał mieli dobry. Działali sprawnie i jak było trzeba – brutalnie. Choćby w Danii. Sprawili się pierwszorzędnie i rozplłynęli w powietrzu, tak że nawet zarząd się nie połapał. A co dopiero tamtejsze delegatury. Teraz zostali ściąg-

gnięci jak do pożaru. Ale major umiał planować. Założył, że kilka dni na aklimatyzację może się przydać, i nie pomylił się. Ludzie czekali, tylko Gruba doprowadziła ich na miejsce nieco wcześniej.

„Starczy tylu?”, Nikonin ciągle nie był pewny, ale zaraz uświadomił sobie, że tłumowi nie potrzebuje. Przecież grupę rzuca na punkt zapasowy. Cegła miał pilnować. Znał ich najlepiej. Wczoraj rozpoznali swoją miejscówkę. Legenda była genialna, zwłaszcza jeśli chodzi o taki obiekt. W pobliżu jednostka wojskowa, rządowe ośrodki, ale na przebierańców, którzy przygotowują otwarcie nowego muzeum, nikt nawet nie zwrócił większej uwagi. W kilku, razem z ich szefem Ibramem, sprawnie rozłożyli sprzęt. Wrócili, jakby nigdy nic, i teraz czekali na sygnał. Resztę zadań wypełnił Ptasznik. Zbój, ale z koneksjami. Można było rzec, dar losu.

Wszyscy drgnęli na widok szefa i chcieli wstać, ale powstrzymał ich gestem. Gra toczyła się o dużą stawkę. Przynajmniej tak im mówiono. Powrót starych czasów. Major pamiętał je lepiej, młodzi... żyli karmieni mitami, ale to dobrze. Trzeba w coś wierzyć, żeby oddać się temu bez wahania.

Nikonin wziął jakiś taboret, usiadł, opierając się plecami o zlew, i założył ręce na piersi. Patrzył przez chwilę na zgromadzonych w zupełnej ciszy. Żegnał się z nimi, ale nie mógł tego powiedzieć. Nie mógł dać po sobie nic poznać. Bóg raczył wiedzieć, ile go to kosztowało.

– Gratuluję wszystkim. Dotarcie na miejsce i przygotowanie pozycji na piątkę – rzucił do nich.

Nieprzywykli do pochwał pokiwali głowami, zdobywając się tylko na niepewne uśmiechy.

Major obdarzył każdego z nich długim spojrzeniem i klepnął się w uda. Wstał, zniknął na chwilę w sypialnej wnęce, pogrzebał w torbie. Wrócił z butelką najprawdziwszego koniaku w ręce.

– No to co? – Mrugnął z teatralną radością.

Matwiejew rzucił się prędko w poszukiwaniu naczyń. Znalazł dwie szklaneczki, jeden kieliszek, jakiś blaszany kubek i kilka plastikowych jednorazówek.

Major rozlał trunek.

– Chłopaki. – Tak do nich jeszcze nigdy nie mówił.

„Pomyślą, że się starzeję. Wszystko jedno”, mało go już obchodziły jakiegokolwiek oceny.

– Za powodzenie! Za was! – Uniósł szkło.

Reszta powtórzyła gest.

Dowódca polał raz jeszcze. Alkohol rozpałał krew.

– No, a teraz do zadań. – Nikonin był znów starym majorem, surowym i skupionym. – Cegła – zwrócił się do Madzda. – Spraw się. Pojedziesz z pierwszą grupą tych przebierańców. Kawalek drogi, a nie możecie wlec się za tym złomem na gąsienicach. Bierz wszystkich swoich. Nasz przyjaciel pasjonat da wam jakieś lepsze wózki z kolekcji, żeby się nie rozkraczyły po pierwszym metrze, no i żeby przykrywka była. Cel powinien znaleźć się w zasięgu koła dziewiątej wieczór. Jeśli nie, dam znać. Ustawisz wszystko dla Wielkiego na pół godziny przed terminem i wiejesz. Spotykamy się jutro. Miejsce znacie. Nie zamarudźcie. Im szybciej się zawiniecie, tym większa szansa, że nie ogarnie was kordon. No dobra.

Wskazał głową drzwi.

– Powodzenia. Nie możemy dłużej czekać.

Cegła nałożył czapkę. Wyglądał kretyńsko, ale kamuflaż był najważniejszy. Złapał plecak, reprodukcję wiekowego tornistra, i zaczął się żegnać.

Jeszcze uścisk dłoni. Stał w drzwiach, nabrał głęboko powietrza i wybiegł.

– No a wy... – Uwaga majora skupiła się na Antonie. – Wiem, że niezłe zamieszanie ci funduję – powiedział z lekkim uśmiechem.

– Damy radę. – Wielki wzruszył ramionami.

Nie mógł dać po sobie poznać, że zaczyna się bać.

– Grubas się nie czepiał o ten złom? – Major skierował dłoń ze szklanką w prawo, ku ścianie. Po tej stronie za kamperem zaczynał się las.

Anton nie musiał wiele mówić. Skupione dotąd oblicze ozdobił znaczący uśmiech.

– Wy tłumaczyłem. Zero komplikacji. – Był z siebie zadowolony.

Nikonin skinął głową z aprobatą.

– No, jak tak... rebiata, do zadań! – Odstawił szkło i klasnął w dłonie. – Składać mi to ustrojstwo do kupy. Ale tak, żeby nikt nie wypatrzył. – Polecenie było dla wszystkich oczywiste. – Ustawicie potem, przed samym odpaleniem.

Po chwili został sam. Nalał sobie jeszcze odrobinę koniaku.

Poszedł do wnęki z łóżkiem. Otworzył solidną płaską torbę na komputer i wydobył laptopa w ciężkiej ochronnej obudowie. Uchylił okno i o brzeg zahaczył rozczapierzoną antenkę. Podpiął ją do sprzętu, włączył go i cierpliwie czekał.

*

Adama rozbolały nogi. Nie wiedział, jak długo tu jest.

Dwa razy pytał Muchę, która godzina, ale ten był nieugięty. Stał z założonymi rękoma i patrzył w sufit wyraźnie rozdrażniony.

Policjant przycupnął pod ścianą. Zaczynał mieć wątpliwości, czy dobrze zrobił.

Posypała mu się ta intryga. Zapętlili się, gadał, z kim nie powinien, i przeczuwał kłopoty. Jakby tego było mało, to gdyby planowali go przycisnąć – a na to się zanosilo, sądząc po okolicznościach – znajomość Zydelskiego z Ptasznikiem musiała się wydać.

Drzwi rozwarły się gwałtownie, ze zgrzytem starych zawiasów. Krzysztof taszczył trzy składowane krzesła i plik papierów pod pachą. Skinął na Muchę, żeby ten zamknął drzwi. Adam zauważył, że na zewnątrz jakby przycichło. Nie było już słycać gwaru głosów.

– Siadaj! – rozkazał twardym tonem Zydelski, rozstawiając krzesła.

Potem podał jedno wartownikowi i sam zajął miejsce. Na jego twarzy wymalowane było napięcie i, jak się zdawało Thomalowi, obawa.

– Ta rozmowa będzie ważna, więc dobrze się zastanów, zanim odpowiesz na moje pytania – obwieścił dość oficjalnie.

– Krzysiek, co się tu... – Adam wskazał na drzwi, ale Zydelski wyraźnie nie miał ochoty niczego tłumaczyć.

– Słuchaj – potrząsnął niecierpliwie trzymanym papierem – nie przerywaj, a może potem ci to wszystko wyjaśnimy. – Nie zabrzmiało to ani trochę przekonująco. – Mówiłeś, że znasz... – rozłożył jedną z kartek – ...tego człowieka.

Adam zmarszczył brwi. Na zdjęciu był siwy jegomość, który robił za obstawę Ptasznika. Ten sam, którego widział dzisiejszego przedpołudnia w obozie.

Obrazek był nieco niewyraźny, robiony z daleka, ale wszystko się zgadzało.

– Tak. To on. O ile wiem, ale może się mylę, funkcjonariusz ABW.

Zydelski posłał Musze długie spojrzenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował.

– Zgadza się. Major Marcin Malinowski.

Nadał policzki i głośno wypuścił powietrze. Pamiętał, jakich dojsć szukał Adam kilka tygodni temu. Cała sprawa wyglądała bardzo podejrzanie.

Thomal skinął głową prawie niezauważalnie. Zydelski z Ptasznikiem znali się krótko, pewnie nieoficjalnie i dojsć do tych faktów zabrałoby ewentualnym śledczym nieco czasu. Nie wiedział, o co chodzi, ale nie chciał wsypać kumpla.

„Spokojnie”, Adam powtarzał w myślach, nie spuszczać wzroku z Krzyśka, jakby chciał uruchomić w sobie jakiś talent telepatyczny.

Był święcie przekonany, w stu procentach, że ich rozmowy słucha ktoś jeszcze oprócz Muchy. Za wysoki poziom na wykpienie się byle notatką służbową. Może stąd brał się ten wystraszony wyraz twarzy Zydelskiego.

– Dobra. Teraz nie jest ważne, o co był podejrzewany. – Zdanie neutralne, ale Adam wiedział, że kryje się w nim podtekst, któremu towarzyszyła niema prośba w spojrzeniu Zydelskiego.

Żadnych szczegółów i nazwisk.

– Pozostałych, których z nim widziałeś... – Głos Zydelskiego znów był oficjalny jak na odprawie. Jeszcze jeden dowód, że należało być ostrożnym. – ...dziś rano, jak rozumiem? Gdzie?

– Na granicy Sopotu i Gdyni. Na terenie planowanej inscenizacji. Tor...

– Rozumiem – przerwał Krzysiek. – Jasne. Powiedz, znasz ich? Co to za ludzie? – zabrzmiało ostro.

– Krzychu... Nie wiem, co to za ludzie!

Thomalowi skoczyło ciśnienie. Nie lubił roli przesłuchiwanego.

– Na historyczne inscenizacje przyjeżdżają różni. Skąd mam znać każdego? Mówię tylko, że ten... – ugryzł się w język, żeby nie zakląć – ...łajdak tam był. Wkoło jacyś Rosjanie czy inni Azjaci. Nie, nie uważam – dorzucił na jednym oddechu, widząc, że kolega szykuje kolejne pytanie – żeby facet był tam służbowo, pod przykryciem rozpracowując ruską mafię albo coś podobnego. Śmiem twierdzić, że jest wprost przeciwnie. Mam informacje, które mogą...

Świadomość potencjalnego istnienia szerszego audytorium sprawiła, że sam zaczął gadać jak na oficjalnej odprawie.

– Starczy.

Zydelski musiał znów się wystraszyć, że padnie kilka zdań za dużo. Przerwał, ale nazbyt gorączkowo. Mucha spojrział na niego zdziwiony.

– Masz nosa. – Krzysiek uśmiechnął się kącikiem ust. – Powiem ci, jak to wygląda.

Nabrał powietrza, co znaczyło, że opowieść będzie dłuższa.

– Kilka dni temu jedno ze źródeł w gdańskim porcie przekazało pilny meldunek. Z ruskich drobnicowców, które parkują w stoczni albo na nabrzeżach, schodziło sporo pakunków. Osobno, poza dostawą. Żaden fracht wpisany w papiery. Usterki albo paczki kapitana do nadania poza portem. Oficjalnie nikt tego nie sprawdza. To rzadkie, wyjątkowe i pilne sprawy. Taki jakiś układ.

Zacisnął wargi i wyraźnie się zmieszał.

„Nie tylko nasi słuchają. Będą wyciągać wnioski, że tak się pruje z tajemnic kuchni?”, pomyślał Thomal.

– Wystarczy – ciągnął dalej Krzysztof – że kapitan dołączy specyfikację, opisze, co jest w pakunku i gdzie on idzie. Do tego pieczętka i jazda. Czas się liczy, nie ma powodów uprzykrzać życia załogom, to i cały personel przymyka oko...

Twarz Zydelskiego przeciął skurcz. Odruchowo złapał się za ucho. Zorientował się, co zrobił,

i udał, że tylko drapie się w głowę.

Thomal nawet nie drgnął, ale teraz miał absolutną pewność, że Krzysiek musi mieć słuchawkę. Jakiś wywiadowczy cud techniki. I ktoś go chyba przez to maleństwo ponagla.

– Ze względu na szykującą się imprezę... – Zydelski powiódł wzrokiem po salce – ...kontrywiad nawet się tym zajął. Jeszcze sojusznicy w to weszli. Podobnych pakunków nie było zwykle tak dużo. Założyli więc obserwację. Skrzynie załadowano na jakiegoś grata i powieziono w Polskę. I tu było już coś nie tak, bo adresat mieszkał zupełnie gdzie indziej, niż stało w papierach. Paczuska poszła do jakiejś firemki w wypizdowie... – Znow skurcz mięśni twarzy i zapewne ponaglenie.

Krzysiek, zdaje się, miał dość. Udał, że drapie się po uchu, i chyba wyłuskał odbiornik, bo na jego oblicze spłynęła wyraźna ulga.

– Zaczęli jej pilnować, ale to nie takie proste. Ruch tam jak cholera, tiry rozjeżdżały się po całej Polsce. Nie było rutynowej kontroli, żeby ich nie płoszyć. Zniknęło gdzieś w magazynie. A potem pewnie poszło dalej w kraj na jakimś innym wózku. Trudno było zgadywać, co, w czym i skąd pochodzi. Normalnie na takie zabawy celnicy, skarbowka czy abwehra mają kilka miesięcy. I tak się głowiły te nasze orły, kiedy do firmy wpadł ten właśnie facet.

Zydelski potrzęsnał fotografią Malinowskiego.

– Był krótko. Niby jest urlopowany. Nie umawiał się, nie dzwonił. Na telefony przecież nasi też im siedli. Wiedział o tym albo podejrzewał. Zaraz zresztą wyjechał. Orły za nim, ale był do bry. Zna się, uciekł raz-dwa i... zniknął.

Krzysiek oparł się na krześle i zamilkł.

– Trochę mało – wyszeptał Thomal, prostując nogi. – Myślałem, że to coś gorszego. – Był zaskoczony i nie ukrywał tego. – Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi? I gdzie my właściwie jesteście? – zdobył się na pytanie.

– Poczekaj. – Krzysiek chciał grać według swoich zasad. – To wcale nie mało. Ruskie paczki, dziwne interesy. Zaraz po wizycie naszego majora z firmy wyjechało kilka tirów. Obserwacja im usiadła na dupie, ale... to właśnie ciekawe – westchnął. – Nie było sposobu, żeby zweryfikować, co i gdzie pojechało, kiedy zostało przepakowane. To jest grubsza afera... Poza tym w tej firemce pracownicy dostali urlop i został tylko sam prezes i kilku przydupasów. Oni też próbowali zniknąć, ale nasi ich obsiedli i pilnują. Nadążasz?

– Tak. Chyba tak. Ktoś ich ostrzegł.

– A kto ci przychodzi na myśl? – Zydelski brzmiał jak profesor na egzaminie.

– Malinowski. – Adam otworzył szerzej oczy.

– No właśnie... Nie mamy twardych dowodów, to tylko poszlaki, ale od pewnego czasu krąży informacja, że Rosjanie uruchomili... jak by to nazwać: niezależny ośrodek decyzyjny. – Zawiesił głos, patrząc na Adama. – Ambasada jest obstawiona – zaczął tłumaczyć najprościej, jak potrafił. – Generalnie znamy wszystkich pracowników, po sprzętaczkę włącznie. Można za nimi łązić, pilnować. Który prawdziwy dyplomata, który szpion. Prędzej czy później dojdzie się prawdy. Z ich łącznością podobnie, ale na ten temat więcej nie mogę powiedzieć. Istnieją także utajnione ośrodki. Zresztą nie tylko u nas. Chyba wszyscy tak mają, ale ruscy... oj, oni tu pozostawiali wiele niespodzianek.

Milczący Mucha pokiwał głową.

– Kiedyś ci opowiem... – dodał Krzysztof. – Do rzeczy – wrócił na właściwy tor. – Ruscy gadają dużo. W eterze ich pełno, ale odkodować trudno. Taka metoda. Tylko odbiorca... nieważne. Chodzi o to, że sojusznik zza wielkiej wody wyłapuje takie wiadomości i dłubie. Czasem coś

wynajdzie. Często w tych niejasnych komunikatach powtarza się jedno słowo: „Gruba”. To zapewne kryptonim. Wielcy analitycy uznali, że może być to coś à la podziemne centrum dowodzenia. Zaczęliśmy składać fakty i podejrzewamy, że panowie transportowcy robią na drugi etat. Zwłaszcza że...

Zydelski zawiesił głos i wyciągnął przed siebie kolejne zdjęcie.

– To też twoja fotka. Znasz go?

Adam pochylił głowę. Na zdjęciu był jakiś drażal w starym mundurze. Oczy miał wąskie, uważne i skupione. Szczupły, w miarę młody.

– Nie – odpowiedział.

– To masz szczęście. – Krzysiek zaśmiał się nerwowo. – Ten pan – puknął palcem w podobiznę – wyskoczył nam przed chwilą na bębnie. To znaczy... nie nam. Wielkiemu bratu. Mają takie bajery, że Facebook się chowa.

Obaj wojskowi zanieśli się śmiechem.

– Daliśmy jego podobiznę do komputera... – Krzysiek zaczynał wyraźnie się ekscytować. – I ten gość, jak wynika z bazy danych, plątał się po Ukrainie. Dokładnie po słonecznym Donbasie i wierz mi, turystą nie był. Ukraińcy go cyknęli jeszcze przed inwazją. A połowiczna zgodność objawiła się na fotce sprzed paru lat... z Afganistanu.

Krzysiek spoważniał. Mucha też zaciął usta w kreskę, splótł palce i pochylił głowę, patrząc na czubki butów.

Thomal poczuł się nieswojo.

– Znaczy się – nie miał zamiaru poddawać się nastrojom panów weteranów – Malinowski kręci z... kurwa! – Oczywiście wniosek dotarł do niego, jakby ktoś walnął go patelnią w czerep. – Z ruskimi dywersantami?!

Zerwał się z krzesła.

Jeszcze przed chwilą sądził, że to mafia, banda złodziei i morderców, ale to? Oblał go zimny pot. Naprawdę miał się czego bać. I jeszcze szybkie obrazy w głowie. Ci dwaj tam pod domem. Miał wielkie szczęście.

– Siadaj – poprosił Mucha.

Thomal wykonał polecenie od razu.

– Nie mamy pojęcia, co się dzieje – przyznał Krzysztof. Głos mu złagodniał. – Weźmiemy ich pod obserwację. Ty podpiszesz nam... – sięgnął po trzecią z kartek – ...taki dokumencik. Tajność i tym podobne rzeczy. No chyba że nie chcesz, to zaraz...

– Chcę, chcę.

Adam nie miał ochoty na gierki. Z tymi, których namierzył, nie było żartów. Potrzebował pleców, najlepiej takich wyposażonych w długie ręce z bronią.

Zydelski wyciągnął długopis. Pochylając się nad kartką, Thomal zastanawiał się, czy mówić o domu ze skarbem, o Zachrostowskim, czy też nie odkrywać wszystkich kart. Przecież już się przejechał na uczciwości. Milczał więc, czekając, co będzie dalej.

– Chodź. – Krzysztof wskazał drzwi. – Fajne bajery tu mamy. Zaraz ci wszystko pokażę.

*

Obraz z satelity na monitorze specjalnego komputera majora Nikonina nie różnił się wiele od podobnych ujęć dostępnych w komercyjnych serwisach czy nawet na najpopularniejszych portalach. Jednak możliwość oglądania ziemi z lotu ptaka na tym urządzeniu była bardzo istotnym udogodnieniem. Niezwykle prosty, ale też niezwykle drogi system pokazywał wszystko, co dzia-

ło się na wyznaczonym terenie w czasie rzeczywistym. Z potężnym przybliżeniem, jeśli takie było potrzebne.

Przygotowany do tego zadania zestaw składający się z komputera i odbiornika sygnału z satelity był dziecinnie prosty w użyciu. Nie wymagał żadnych skomplikowanych dostawek. Postęp techniczny musiał kosztować sporo, ale zdawało się, że rezultat nie odbiegał jakością od zabawek używanych po drugiej stronie oceanu.

Piotr Nikonin uważnie przepatrywał okolicę. Specjalnym padem ustawił sobie widok ogólny Półwyspu Helskiego. Ten skrawek ziemi interesował go najbardziej. Tysiące kilometrów wyżej soczewki potężnego obiektywu objęły region i przez kilka godzin miały być do jego dyspozycji. Nikonin zastanawiał się, czy reszta widzów – skrytych gdzieś w centrach zarządzania – ogląda to samo co on, czy też dla nich przekaz realizuje inny satelita. Ci po drugiej stronie zapewne też patrzyli. Wszyscy brali więc udział w ogromnym, tajnym reality show.

Ktoś załomotał w drzwi i zaraz je uchylił. Jeden z Czeczenów od Cegły gapił się wielkimi oczami, przerażony jak diabli.

– Do towarzysza majora – zdążył bąknąć, kiedy mocarne ramię odrzuciło go na bok.

Nikonin spał się cały, nie bardzo rozumiejąc sytuację.

Kiedy zobaczył gościa, zdziwił się bardzo i zamarł. Spodziewał się wprawdzie czegoś podobnego, ale nie przed robotą. Później... to już nie mogło mieć znaczenia.

– No, witam – rzucił pułkownik Arlwow i zdjął ciemne ray-bany, które wraz z szarym garniturem rodem z tropików nadawały mu iście biznesowego sznytu. Wzrok miał dziki, ale usta wyginały się w uprzejmym uśmiechu. – Marną macie obstawę – warknął. – Pusto jakoś.

– Witam, towarzyszu pułkowniku.

Dopiero po dobrej sekundzie dotarło do Nikonina, jak słaby ma głos.

– Parada już wystartowała, stąd te luzy. Zapraszam.

Major odłożył opancerzonego laptopa na łóżko i wskazał stolik w niewielkiej kuchence.

Arlwow rzucił coś do człowieka skrytego za drzwiami. Nie był sam, to oczywiste.

„Kogo ze sobą wziął?”, zastanawiał się major, choć nie miało to przecież żadnego znaczenia.

– Co to jest? – Pułkownik zatoczył trzymanymi w palcach okularami po zatęchłym wnętrzu.
– Takie cudo kupiłeś na emeryturę?

Prowokował. Nikonin zachował jednak kamienną twarz.

– O, na emeryturę planuję lepsze lokum. – Uśmiechnął się lekko i wskazał siedzisko. – Co pana sprowadza? – zadał głupie pytanie, ale na razie nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. – Czas jest gorący. Zaczynamy pod wieczór, chyba że coś się zdarzy... – Puls mu przyśpieszał. Oddech też.

– Już zaczęliście. – Arlwow przestał udawać.

– Tak, chłopaki przygotowują arsenał... – Nikonin zachował zimną krew. Nie da się podejść. Nie był gówniarzem.

Arlwow przygryzł wargi, przewracając oczami. Walczył jeszcze ze zbliżającym się wybuchem.

– Przyjechałem nadzorować akcję – powiedział lodowatym tonem. – Zniknąłeś nam – przeszedł do meritum, ale ciągle mówił spokojnie. – Zaszyleś się przed samym rozpoznaniem i buch! – Klasnął w dłonie, garbiąc się i spozierając teraz spod zmarszczonych brwi. – I proszę, nowiny. Ciekawe, bardzo ciekawe.

Twarz mu stężała.

– Dla kogo ty pracujesz? – warknął znienacka i kiwnięciem głowy kazał Nikoninowi siadać.

Podstawowy zarzut. Norma. Nikonin usłuchał. Odpiął kołnierz starego uniformu, bo zaczął go nieprzyjemnie uwierać.

– Pracuję, jak należy, przecież widać. Wszystko zgodnie z planem...

– To prawda – zgodził się Arlwow. – Plan przygotowałeś ciekawo. To fakt. Ale tylko wyskoczyłeś do Polski i bęc, zmieniasz wszystkie ustalenia... Sam przyznasz, że pachnie to prowokacją. – Pogroził palcem. – A tak na serio? – Przystawił dłoń do serca. – Powiedz szczerze. Jak długo wiedziałeś o skrytce? – Pytanie zawisło w powietrzu jak gradowa chmura.

– O skrytce? – Nikonin poczuł, że się poci.

– No, no, nie udawaj. – Pułkownik kwaśno się uśmiechnął. – Miałeś przygotować grunt i wracać, a ty siedzisz i siedzisz. Ryzyko, nie? Więc musi ci się opłacać. Przejrzałem wszystkie materiały. Nie, dowodów nie mam, ale wygląda to ciekawie. Jakaż ta opatrność łaskawa. Słać nam robotę w pobliżu tak ciekawych miejsc. Wiesz, może ja jestem stary, ale co nieco w głowie jeszcze mam. No to jak? To gdzieś tutaj czy na tym półwyspie?

Zamilkł. Podniósł głowę. Triumfował.

– Tam. – Major przełknął ślinę. Stary czytał w nim jak w książce. – Znalazłem ją niedawno. Przypadkiem. – Jeszcze usiłował kłamać. – Mamy wojnę, prawda? Informacja, jaką dostałem, była pilna. Opłaciło się, więc jeśli możecie...

Usiłował negocjować. Wszystko zaplanował sam.

– ...Odpuścić? – Arlwow oparł dłoń o blat i zastukał palcami. – Mamy wątpliwości. Ja i góra. – Nerwowy tik, zbyt szybkie mrugnięcie, kazał Nikoninowi sądzić, że nie wszystko, co słyszy, jest prawdą. – Znacie zasady. Szkoda, że po tylu latach... – Nawet nie maskował zadowolenia.

– I wy tu przyjechaliście... – Piotr rozpiął jeszcze jeden guzik, robiło mu się nieznośnie gorąco – ...nadzorować?

– Tak. – Pułkownik nie spuszczał z niego oczu. – Mam przypilnować wszystkiego i podjąć śledztwo. Potem przedstawicie raport. Przeczytamy, zweryfikujemy... Oczywiście, jak wszystko się uda...

Zaprezentował uśmiech, w którym można było dopatrzeć się ukrytej groźby.

– No i musimy pomyśleć, co zrobimy z waszym odkryciem – dorzucił, patrząc Nikoninowi prosto w oczy. – Wszystko zależy od tego, jak to się opracuje i ukryje. Pewnie już coś zaplanowałeś. Posłucham, zaproponuj... – Arlwow wyprężył się. – No, a potem, kto wie... Może damy spokój. – W źrenicach pułkownika pojawił się niepokojący błysk.

– Chcecie ryzykować osobiście? – Pytanie nie było mądre. – Tu pełno Amerykanów. Agencja... A wy taka persona. Nie lepiej z daleka? – Nikonin mówił spokojnie, choć wściekłość z wolna burzyła w nim krew.

Arlwow się zdradził, to było jasne. Szefostwo nigdy nie ingerowało w prace na takim etapie. Powody były co najmniej dwa. Oba teraz mało ważne.

– Nie zaprzeczasz, widzę – powiedział pułkownik. – Muszę ci pogratulować, zaskoczyłeś mnie. Pod osłoną takich przedsięwzięć, w takich okolicznościach, wywieźć zabawki to pestka. Bo już je masz, prawda? Dużo?

Nikonin wytarł spoczone ręce o spodnie, po czym szybko odpiął swój skórzany pas. Arlwow niczego nie zauważył.

– Trzy skrzynki, trzy walizki – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Co to, do cholery, jest? – Thomal rozłożył ręce, wkraczając do hali.

Zobaczył ekrany, biurka i spojrzenia zaciekawionych ludzi, nieco niezadowolonych z obecności kogoś nieznanego. O nic nie pytali, Zydelski też go nie przedstawiał. Musiał pełnić tu ważną funkcję, skoro mógł wprowadzać, kogo chciał. Mucha nie odstępował ich na krok. „Jak wierny pies”, pomyślał Thomal.

– To jest – Zydelski zatoczył szerokie koło ręką – JACT-B, Join Allied Counter Intelligence Team Baltic.

– Jakies zawody na żaglówkach robicie? – Thomal zażartował, ale kumpel nawet się nie uśmiechnął, wpatrzony w ekrany.

– Ta, zawody. Coś w ten deseń. NATO lubi takie szyldy – powiedział po chwili.

Podszedł do najbliższego biurka, podniósł coś, co wyglądało jak zwyczajny telefon, i wykręcił numer. Czekał chwilę i zaczął rozmowę.

Już po kilku słowach i Adamowi zrobiło się gorąco. Zydelski celował w najwyższe piętra ministerstw.

– O czym to ja... – Odłożył słuchawkę. – Podpisałeś nam lojalkę, to mogę mówić. JACT powstał na zamówienie Brukseli. No i Waszyngtonu, ma się rozumieć. Mamy osłaniać kurewsko ważny transport, a nasi szanowni sojusznicy nie bardzo nam ufają. Przynajmniej w najważniejszych kwestiach. Zresztą – westchnął i pomachał podniesioną z blatu fotką Malinowskiego – trudno im się dziwić. No ale ktoś gdzieś wysoko w białym domku postanowił być dobry i zrobić nam prezent, to i mamy...

– Jaki prezent? – Adam gubił się w tych aluzjach.

– O tym mówię.

Dłoń Krzysztofa wskazała obraz na wielkim ekranie. Zieloną połąć morza przecinało kilka punktów ciągnących białe smugi buzującej wody.

– Specjalny zespół wiezie nam z Turcji kilka maszynek. Pierwsze wejdą dziś. Kolejne... pod koniec tych... manewrów. – Ostatnie słowo wypowiedział wyraźnie z ironią.

– Jakich maszynek? Mów normalnie, bo niewiele rozumiem. – Thomal czuł się coraz bardziej zagubiony.

– Ktoś wymyślił, że natowska, a w szczególności amerykańska broń atomowa, ta taktyczna, musi mieć nowy dom. W starym pożar i kto wie, może być bum. I grzyb pójdzie.

– No nie pierdol! – Pod Adamem ugięły się nogi.

– Niezły kosmos, co? – Teraz nawet Mucha się odezwał.

– Dokładnie – Zydelski potwierdził. – Dają nam na przechowanie taktyczne bomby atomowe.

– Gdzie? – Twarz Adama oblał rumieniec.

– Pod Gdynią, od strony Zatoki Puckiej. W podziemnych jaskiniach. Miały być drążone pod zbiorniki gazu. Ktoś wpadł na pomysł, że to doskonałe, naturalne miejsce do przechowywania ładunków. Głęboko, a nad tym wszystkim spore klify. Budują to latami. Leją stropy z betonu.

– Boże! – Adam złapał się za głowę.

Tego było za wiele. A to przecież miał być zwykły dzień. Schwycił jakieś puste krzesło, zasiadł i schował twarz w dłoniach.

– Wody? – spytał z troską w głosie Zydelski.

Policjant przytaknął bez słowa.

Mucha zniknął na chwilę i wrócił, niosąc plastikowy kubeczek.

– No to widzisz, co mnie odcina od rekonstrukcji. – Krzysztof założył ręce na piersi wpatrzony w ekran.

– Ty... tu dowodzisz? – Thomal zdobył się na nieśmiałe pytanie.

Krzysiek posłał Musze nerwowy uśmieszek.

– Czy dowodzę? Powiedzmy. Nominalnie tak. Jak mówiłem, sojusznicy chcieli pewności. To już nie zabawa. O ile wiem, wszystkim rządzi Bruksela przy udziale jankesów. Mnie zrobili czymś na kształt figuranta... – Ściszył głos. – Działalem z Amerykanami na misjach, potem kilka lat w wywiadzie. – Zaśmiał się. – Nudziło mi się, kurde, to mam zajęcie.

– Na jakich misjach? Może się wreszcie czegoś dowiem o tobie? – zapytał Thomal. Niespodziankom, jak się okazywało, nie było końca.

– Kilka lat Jednostka Wojskowa Formoza. Dochrapałem się kapitana. Afganistan, Irak i inne urocze miejsca.

– Skubany – wykrztusił Adam, chowając głowę w ramiona.

Podziw, który czuł, był szczery, tak samo jak i zaskoczenie.

– Umiesz być tajemniczy. A teraz taka figura. – Pokręcił głową, jakby wdział kumpla po raz pierwszy.

– Spokojnie, nie ma się co ekscytować – odparł Krzysiek, uśmiechając się kącikiem ust. – My tu jesteśmy od nadzoru kontrwywiadu, czyli od zabezpieczenia. Jak ochroniarze w markecie. Zarząd całego tego bajzlu siedzi gdzie indziej i tak jak my pilnuje. Do nas mają spływać informacje z terenowych źródeł i rozpoznania, z sojusznicznych służb i jednostek. Mamy analizować albo podpowiadać. Jak trzeba, samemu ruszyć tyłek. Bruksela chciała, żeby było sprawnie i szybko jak na misji, kiedy się szukało brodatych. Sam wiesz, że nasze orły potrafią dać dupy, a i jeszcze nie wiadomo, komu strzelą z ucha. Specjalnie albo przez za długi jęzor. – Znów podniósł z biurka zdjęcie Malinowskiego i machnął nim w powietrzu. – Jak się spisemy, może wreszcie przestaną na nas patrzeć jak na dzikusów...

Zadzwonił telefon. Zydelski odebrał momentalnie i równie szybko zakończył rozmowę.

– Okej – rzucił w salkę. – Mamy zgodę – przeszedł na angielski. – Na początek bierzemy na oko ten obozisk. Póki co oni tylko śmierdzą. Mają wszystkie pozwolenia. – Pstryknął palcami na jakiegoś faceta w rogu.

Facet wyglądał jak zaaferowany gracz jakiejś strzelanki. Siedział wyciągnięty na krześle, wpatrzony w spory monitor i bawił się joystickiem. Na znak Krzysztofa skinął głową i wyprostował się. Zydelski podał mu jakąś pozycję i kazał przełączyć widok na większy ekran.

Adam zrozumiał, że to on pilotuje latającego gdzieś wysoko drona.

– To, co nam przyniosłeś – Zydelski nachylił się do Adama – to najpoważniejsza sprawa na dzisiaj. Przyjrzymy się naszym koleżkom, a potem zobaczymy, co dalej.

Mrugnął, a jego wzrok zdradzał ekscytację.

*

Długo milczeli. Arlwow palił papierosa za papierosem nieskory nawet do kurtuazyjnych pogaduszek. Łaził po wnętrzu na pozór znudzony, ale major wiedział, że to tylko pozory.

Nikonin siedział jak więzień, z rękami na stole, wpatrzony w blat, i szukał w głowie pomysłu na wydostanie się z tej matni.

Arlwow wyciągnął z paczki kolejnego papierosa i zerknął na zegarek.

– Jeśli chciałbyś się z tego wywinąć, to pamiętaj... Ty wiesz, co cię kompromituje do końca – powiedział z uszczypliwością w głosie.

Z nudów można i pognębić człowieka. Zawsze coś.

– Te tłuکی, które wzięłeś do pomocy... – Machnął dłonią z papierosem w stronę okna tak

gwałtownie, że na mundur Nikonina opadł popiół. – To, że w ogóle ich zabrałeś, już pachnie trybunałem. – Mlasnął, jakby szykował się do splunięcia. – Oj, podpadłeś, podpadłeś... – Pokręcił głową i znów popatrzył na zegarek.

– Nic nie wiedzą. To tylko wykonawcy. – Nikonin odezwał się i natychmiast tego pożałował.

– Co? Nie wiedzą? – Pułkownik cały się spiął. – To po co oni tutaj przyjechali?

– Mieli dojścia – odpowiedział major na niewygodne pytanie – do tutejszej służby. Dzięki nim wiemy o przesunięciu terminu... Powinniście się cieszyć. Tak stalibyśmy jak te dupy i czekali, a w tym czasie wszystko przeszłoby koło nosa... I po wielkiej prowokacji. Wtedy główny zarząd byłby szczęśliwy? – Też potrafił być nieprzyjemny.

Arlwow usiadł. Myślał. Coś mu nie pasowało. Branie do spótki obcych ludzi było grzechem śmiertelnym, ale współpraca ze skaptowanymi oficerami czyniła sprawę bardziej skomplikowaną. To oznaczało cień szansy na wybronienie się. Obaj o tym wiedzieli.

Pułkownik przechylił głowę i przyglądał się przez chwilę Nikoninowi, aż wreszcie wykrztusił, dusząc papierosa o stół.

– Cóż. Jak będziesz się stawiał... A zresztą, co ja ci będę mówił. I tak się nie wywiniesz – rzucił krótko. – Chyba że się dogadamy.

Nikonin stężał. Podniósł oczy. Jeśli potrzebował impulsu do działania, to właśnie go otrzymał. Zerwał się z miejsca. Wziął zamach zbrojnej w pas dłoni, tłukąc nim na oślep. Arlwow się tego nie spodziewał. Próbował się osłonić, ale był o sekundę za wolny. Te kilka lat więcej robiło różnicę.

Nikonin uderzył pułkownika w twarz. Poczul satysfakcję. Serce mu waliło, ale podobało mu się to.

Klamra trafiła w czoło, a ześlizgując się, ugodziła w nos. Arlwow krzyknął, a z jego łuku brwiowego trysnęła krew.

– Co ty... – jęknął.

Nikonin powtórzył cios, a następnie błyskawicznym ruchem zerwał z okna firanek i doskoczył do pułkownika. Zarzucił Arlwowi pas na szyję i zacisnął pętlę, jak potrafił najmocniej. Pociągnął przeciwnika pod stół. Wetknął mu firanek w usta i docisnął palcem. Ofiara próbowała się wyrwać, gryźć, ale major stłumił opór ciosami łokcia.

Wyjął zza spodni pistolet, wyciszzonego Walthera. Prędko go odbezpieczył. Wbił zimny tłumik mocno w szyję zalanego krwią pułkownika.

– Co mówisz? – warczał, plując śliną. – Nie wywinę się?

Jego szeroko rozwarte oczy o wielkich ciemnych źrenicach naszły krwią.

Arlwow próbował odwrócić głowę. Szef tajnej grupy najzwyczajniej w świecie umierał ze strachu. Nikonin pociągnął za pas i potrząsnął swoją ofiarą.

– Ty skurwysynu. – Zacisnął zęby, cedząc słowa. – O to ci tylko chodzi. Nie różnimy się wcale. – Na czoło wystąpiła mu gruba pulsująca żyła. – Gównu cię obchodzi ja. Was wszystkich gównu obchodzimy!

Zacisnął mocniej pętlę na szyi Arlwowa.

Pułkownik zacharczał, tłukąc nogami o stół.

– Wystraszyłeś się, co? Że przejdzie ci koło nosa taka okazja? Przyznaj, po to polazłeś do tego dziada?! No?!

Walnął łufą w czoło krztuszącego się oficera. Z pieniących się ust dochodził tylko nieskładny bulgot.

– Miałem uwierzyć, że lojalność wobec starych nauczycieli jest taka wielka? Kurwa twoja

mać! Co my robimy? Powiedz? – Wcisnął lufę jeszcze mocniej w szyję Arlwowa. – Ganiamy jak psy gończe na zawołanie takich ludzi jak ty. Ile to wszystko kosztowało? Wiesz? W dupie to masz. Jurija trzeba było poświęcić. Ja z nim kiedyś, jeszcze w Karabachu...

Cios rękojęścią pistoletu był mocny, aż krew trysnęła majorowi na twarz.

– Jemu co obiecali, kilka dolarów? Milczy. Nie sypnie. Dobrze wyszkolony. I wiesz co... Dlatego załatwił wszystko od razu. Kazaliście szukać. W porządku. Kazaliście ukarać. Nie ma sprawy. Załatwił faceta. Przedtem docisnął. A potrafił. Wiedział, gdzie ten cholerny Kalicz pokrywał te swoje precjoza. Myślisz, że by tego nie wyciągnął? Ale ty byłeś zajęty kłanianiem się dziadkowi. Wielki generał Paradkow. Przyjaciel, mentor największych. Pojeb, któremu odważyło na stare lata, że jest reinkarnacją carów! Chuj wam w dupę!

Pułkownik jeszcze walczył. Usiłował złapać Nikonina za nadgarstek. Łupnął nogami w blat. Raz, drugi.

Otworzyły się drzwi. Nikonin zauważył to kątem oka, zdając sobie sprawę z tego, że hałas zwabił obstawę. Olbrzym w garniturze, który stał w wejściu, zastygł na sekundę, nie rozumiejąc chyba tego, co widzi. Prawa dłoń powędrowała pod marynarkę, ale za późno. Major wyprostował ramię i rozległ się trzask wytłumionego strzału. Facet poleciał na podłogę.

Nikonina nie bardzo to obeszło.

– Na czym to ja skończyłem...

Chciał wyrzucić z siebie wszystko.

– A, tak... Załatwiłem antykwariusza. Jak mi kazano. Wszystkich, którzy wiedzieli, należało uciszyć. Ostrzeżenie dla innych. Był jeszcze jeden dziadek, ale jego zdjęli moi nowi koledzy. Szybko i sprawnie. Do dziś policja nie wie, co to było. – Odetchnął głęboko. – Kalicz nie wywiózł swoich skarbów za granicę. Jemu to już obojętne, dla nas jak znalazł. Jedną skrytkę odkryła policja. Jak? Nie mam pojęcia. O drugiej nikt nie wiedział. Kazałem oczyścić przedpole. A ty, wielki pułkownik, sądziłeś, że i ja grzecznie jak jakiś kundel będę ci przynosił wszystko, żebyś ty potem... Ty wiesz, co może podpisać człowiek, kiedy go torturują, grożąc rodzinie? Duńczyka mieliśmy z głowy. Dom był mój, niemal legalnie. Prawnicy to gorsza banda niż my...

Zaniósł się upiornym śmiechem.

– Szukałem tylko sposobu wywiezienia tego wszystkiego. Po cichu, bez robienia zamieszania. Bo okolica trefna, a i u nas zaczęliby pytać. I tu pojawił się pan ochroniarz – szarpnął pasem – też gnój, jak my wszyscy. Więc po co walczyć? Sami zaproponowali. Przystąpiłem na propozycję. Przy takiej protekcji, przy takich wejściach? Myśleli, że my mafia. No w sumie prawda. Okazja, jak widzisz, sama się nadarzyła. Jeszcze sam kazałeś mi wszystko obmyślać. Prowokacja, kurwa mać.

Splunął z obrzydzeniem.

– A miejscowi? Obiecali transport i pomoc. Oczywiście, że nie za darmo. Ale oni myślą ciągle, że ja taki głupi. Potrafili ustalić datę naszego pokazu, pomogli wytargać skrzynki i przygotować lokum na przeczekanie. Swoje zrobili. Tylko czekać, jak się zacznie ta wasza gierka. Prężenie mięśni jak u wróbla.

Spazm nerwowego śmiechu zatrzęsł nim jak galaretą.

– Co, nieprawda? – Spoważniał tak samo nagle, jak się roześmiał. Zaciśnął dłonie na pasku, aż paznokcie wbiły się w skórę. – Prawda, prawda, i ty to wiesz. Nic nie potraficie, nic. Wojny? Gówno, Filipku, gówno. Nas nikt się nie boi, bo wszyscy wiedzą, że możemy tylko straszyć. Dziś zabijemy ich stu, dwustu i co to da? Cena ropy podskoczy, pożyjemy jeszcze rok. A potem? A ja nie chcę myśleć, co potem!

Przysunął usta do ucha Arlwowa i wyszeptał:

– Ja mam dość. Ja chcę żyć jak człowiek. Wygodnie. Spokojnie. Może z rodziną. Może jeszcze mam szansę.

Zacisnął pętlę na szyi pułkownika i uniósł głowę.

W końcu zabrakło mu sił. Sapnął. Opuścił wzrok. Arlwow był siny. Nie żył.

Nikonin rozluźnił pas. Czas jakby się zatrzymał. Major dyszał, ręce nabrzmiały mu krwią. Opadł na podłogę.

Z wolna napięcie odeszło. Był dziwnie spokojny. Gdzieś spod przygniatającego zmęczenia i oszołomienia przebijała się jakaś dziwna radość. Narastała, wchodziła w każdy zakamarek jego umysłu, dodawała siły.

Nikonin wstał wolno. Bolały go ramiona. W ustach mu zaschło.

Dopiero teraz się wystraszył, ale lęk zaraz uleciał. Kogo miał się właściwie obawiać?

Wziął kilka głębokich wdechów.

Podszedł do laptopa.

Polecenia dla obiektów szły wolno, z opóźnieniem nawet kilkunastu sekund, mijając jakieś punkty pośrednie. Rozszerzył obraz. Widział kawał zatoki i półwysep. Poleciał maszynie przesunąć widok. Miejsce, w którym był, zdawało się niewidzialną plamką na ogromnym terenie.

Myślał intensywnie. Wstał od laptopa i podszedł do kranu. Schował broń. Obmył twarz i chwilę patrzył w kuchenne okienko. Teraz nie miał odwrotu.

Nie spostrzegł, że przez ekran przelatuje niewielka szara maszyna.

*

Krzysztof Zydelski przygryzł paznokciec u kciuka, wpatrując się w główny monitor. Przelot drona z jednego zakątka wybrzeża w drugi nie trwał długo.

Teraz widzieli rząd namiotów, kontenery, nagi płaskowyż wśród wzgórz i lasów. Na obrzeżach stał otoczony płotem podobóz. Kilka aut. Niewielki ruch. W lesie jakieś postacie krzątały się, montując coś pod zadaszeniem z płachty.

– Co zamierzasz? – niecierpliwiał się Adam.

Kręcił się na biurowym krześle, mieląc kciukami powietrze.

– Czekaj – nakazał Krzysztof. – Na razie patrzymy. Nic nie kombinują, nie ma powodu...

Między kontenerami pojawił się jakiś człowiek. Przechadzał się nerwowo, rozglądając wkoło.

– Nie kombinują? – Adam cmoknął i wyprostował się na siedzisku.

Krzysztof, blady, popatrzył na kumpla i przetarł dłonią twarz. Poznał Ptasznika. Chciał coś powiedzieć, kiedy jeden z ludzi siedzących przy komputerach zerwał się z krzesła, ściągając słuchawki z głowy.

– Meldunek od zespołu. Dwa bombowce na kursie. Znów zaczynają.

Wszystkie oczy wpatrywały się teraz w Zydelskiego. Czekali na polecenia. Ale przecież to nie była jego działka. Tak daleko nie sięgał.

– Dajcie namiar na konwój. Przełączyć na ogólny – polecił Krzysztof.

Na ekranie coś mignęło i pokazał się obraz morza oraz kilku punkcików. Szum w sali znów przycichł.

Adam wiedział, czego się boją. I jemu udzielił się strach. Wojna była tuż za progiem.

*

Szef grupy Sebastiana był młody, nowy, ale bardzo zasadniczy. Kazał wznosić okrzyki, machać flagami, nawet kiedy telewizja dawno sobie poszła, a mijający ich ludzie przestali się nimi interesować.

Darli się bez większego sensu.

Tyle ich, co pooglądali sobie dziewczyny i tę kawalkadę starych pojazdów, która z orkiestrą i załogami rozdającymi sprawiedliwie pozdrowienia na prawo i lewo przetoczyła się przez centrum.

Wódz nagle zamilkł. Wyciągnął telefon. Słuchał długo, uważnie i potakiwał.

– Dobra – oznajmił, kiedy skończył rozmowę. – Jest rozkaz!

Sebastian poczuł coś na kształt dumy. Jakby walczył jak prawdziwy żołnierz.

– Mamy zakończyć demonstrację. Koledzy Słowianie, przenosimy się do Sopotu!

– Wreszcie jakaś odmiana – ucieszył się Sebastian, zwijając z kolegą transparent.

*

Nikonin jeszcze raz zmoczył twarz, po czym dokładnie ją wytarł. Zerknął w lusterko nad zlewem. Nie było źle.

Poprawił pistolet. Głęboko odetchnął. Pochylił się ostrożnie nad ciałami, uważając, żeby nie ubrudzić się krwią. Przeszukał kieszenie trupów i wyszedł na zewnątrz. Słońce grzało miło. Teraz dopiero uświadomił sobie, jak w środku musiało być duszno. Rozejrzał się uważnie. Ptasznik, jego ludzie i jeszcze jeden gość w garniturze.

„Udają biznesmenów, skurwysyny”, pomyślał z obrzydzeniem.

– Żołnierzu! – ryknął wściekle.

Młody ochroniarz, niewiele niższy od kolegi, który leżał w kałuży krwi obok Arlwowa, odruchowo przyjął pozycję zasadniczą.

„Marnie wyszkolony do działania pod przykrywką. Odruchy niedobre”.

– Do mnie! Pułkownik wzywa. – Nikonin kiwnął na niego ręką.

Chłopak ruszył szybkim krokiem.

Major złapał za klamkę. Począł i otworzył drzwi w ostatniej chwili, kiedy ochroniarz wszedł już na stopień. Zamarł podobnie jak jego poprzednik.

– Co, kur... – nie dokończył.

Szczęknął zamek pistoletu i kula przebiła czaszkę. Nikonin spokojnie zabezpieczył broń. Rozejrzał się. Chwilę mocował się z wystającymi poza kamper nogami, ale wreszcie udało mu się domknąć drzwi.

To była najłatwiejsza część. Początek drogi ku wolności.

Ruszył prędko szukać współników. Ptasznik palił papierosa, kucając pod jedną z kontenerowych łazienek. Na widok Rosjanina szybko się podniósł.

– Panie Koriel! – krzyknął i cisnął papierosem w trawę.

– Ruszamy! – Głos i postawa Nikonina nie pozostawiały miejsca na dyskusję. – Kwadrans. Nie dłużej. Niech pan szykuje swoich. Będą musieli nas przechować.

Zrobił krok i wystawił twarz ku słońcu.

– Będzie na ostro – wymamrotał do siebie.

– A goście? Byli jacyś...? – Ptasznik nieśmiałym ruchem wskazał parkujący daleko czarny wóz. Terenowe bmw.

– Moja sprawa. – Major uciął wątek. – No, szkoda czasu.
Machnął ręką i Ptasznik potulnie ruszył w kierunku busów.
Nikonin wyciągnął telefon. Włączył szyfrowanie i wybrał numer.

*

Cegła odebrał po dłuższej chwili. Stał na tarasie, słuchając pierwszych odgłosów festynu – banda dzieciaków prawie roznosiła historyczne autka, kobiety w fatałaszkiach z lumpeksów, które według nich były ubraniami z epoki, głośno się śmiały, orkiestra przygrywała jakieś wojskowe melodie, a z tłumu mundurowych, którzy bawili się w wojenki, co jakiś czas wnoszono okrzyki.

Byli pierwsi. Czekali, aż zjawi się kolumna. Zamiast niej przyjechało kilku milczków, którzy w ogóle nie rozumieli po polsku.

Żaden z uczestników festynu nie przeczuwał niczego. Tyle że zabawa w wojnę powoli się kończyła.

– Tak? – Oficer nie miał wesołego głosu.

– Cegła, jesteś? – Boss mówił prędko. – Namierzyli nas...

Chwila ciszy była jak gong.

Madźd nie pytał o nic. Nie było sensu. Ufał dowódcy. Jak zawsze. Potrafił opanować lęk, teraz jednak przyszło mu to z trudem. To nie odludne góry. Teren był niedobry. Dużo ludzi, kamerzy, świadkowie. Wszystko przeciwko niemu. Ale tamci nie wiedzieli, co ma się wydarzyć. To była szansa.

– Zaczniecie za dziesięć minut – instruował Nikonin z napięciem w głosie. – Dasz czas, że bym zwinął ludzi i sam mógł się przygotować. – Przerwał. – Rozumiesz?

– Tak jest! – Inna odpowiedź nie wchodziła w grę.

– Twoi ludzie dadzą radę? – zapytał z wahaniem major.

– Muszą. Dziesięć minut.

Cegła skończył rozmowę. Dłuższe pogadanki nie były wskazane. Nie w tych warunkach. Spojrzał poza balustradę na oczekujący momentu kulminacyjnego tłum. Jego trzódka też tam była. Stali w kącie wydeptanego ogrodu otoczonego blaszanym parkanem. Ciągłe grali fanów historii. Tyle że bez tej euforii, wesołości i szpanu co miejscowi. Wydawało się, że nikt nie zwracał na to uwagi, a o specjalne powody ich wizyty nikomu nawet nie śniło się pytać.

„Gwiazdory jebane”, Cegła pokręcił głową.

Nie było czasu lepiej ich przygotować. Cała grupa miała inne zadanie i tylko oni o tym wiedzieli. Oslaniać, a jeśli trzeba będzie... Pogodzili się z nieuniknionym. Kolega rudego z dalekiego Kaukazu wybrał dobrze. Tacy... komercyjni męczennicy.

Wódka był zadowolony, że miał kim obstawić nowe muzeum. Ciągłe żył marzeniem i wizją sporego funduszu.

Cegła wyczekał, aż któryś z chłopaków kontrolnie podniesie głowę, szukając szefa. Machnął ręką. Zaczęli ulatniać się z tłumu. Po kolei, bez paniki.

*

Jeśli jeszcze kilka chwil temu w sali panowało przesycone obawą wyczekiwanie i skupienie, to teraz wszystko wybuchło. Telefon dzwonił, ludzie przekazywali informacje, i to o dwóch sprawach naraz.

Ta druga, świeższa, nagle stała się clou całej operacji. Bombowce były daleko, a obserwowana

ne z wysoka wyglądały surrealistycznie. Jak jeszcze jedna prowokacja.

To, co zdarzyło się przed momentem na łodzi, przerażało bardziej.

– Można to puścić jeszcze raz? – Zydelski wisiał na słuchawce. – Podeślij to, kurczę... Tak, zaraz będzie – raportował komuś raz po angielsku, raz po polsku.

Adamowi puls podskoczył tak, że aż zrobił się czerwony na twarzy.

Za wiele tego było, za wiele jak na jeden dzień. Jakby los zażartował z niego i naraz rzucił wszystko, co miał w arsenale.

Nagrany przed momentem kamerami bezzałogowca film puszczono jeszcze raz. W tym miejscu nie było nowicjuszy, widzieli niejedno, nie powinni się dziwić, ale i tak dali się zaskoczyć.

Człowiek w mundurze dawnej armii wyszedł z wozu kempingowego. Potem pojawił się drugi. Obaj weszli do środka, a ten w uniformie po prostu go zastrzelił. Z widzów uczynił świadków zabójstwa.

– Co oni, kurwa, robią? – mamrotał pod nosem Krzysiek, kręcąc głową.

Człowiek z bronią pogadał z grubasem. Ptasznik nerwowo dreptał przy zabójcy.

– Zróbcie zdjęcie i do sprawdzenia – poleciało krótkie, stanowcze polecenie.

Adam zobaczył, że Zydelski jest przerażony. Gdyby wydało się, że zna Ptasznika...

Krzysztof sięgnął po telefon. To góra miała zadecydować. Słać zwykły patrol, ryzykować czy czekać, aż napięcie opadnie, i wtedy szukać gościa.

– Coś szykują... – Głos operatora drona wyrwał Zydelskiego z marazmu.

Rzut oka na przekaz. Parkujące w osobnym obozie pojazdy zaczęły ustawiać się w linii.

Mężczyzna w mundurze zwoływał ludzi. Zostawili swoje roboty pod plandeką uwieszoną pod drzewami i biegli prędko w jego kierunku. Coś zaczynało się dziać.

*

– Chłopaki! – rzucił Nikonin.

Próbował być spokojny, ale oni nie byli głupi. Poznali od razu, że coś jest nie tak. Sposepniali.

– Wykryli nas! – dowódca wykrztusił z siebie kłamstwo.

– Jak to możliwe? – zapytał Wielki i raptownie pobladł.

– Cegła i brodaci nas osłonią. – Nikonin udał, że nie słyszy pytania. – Mamy transport. Odskoczmy – rzucał prędko słowa, licząc, że nikt więcej na razie o nic nie zapyta.

Przeszło mu przez głowę, żeby zostawić ich wszystkich. Ratować siebie dzięki znajomościom Ptasznika. Załatwić to wszystko po swojemu i przeczekać. Arłwow o tym nie wiedział, ale Nikonin miał jeszcze kilka legend na kryzysowe sytuacje. Bardzo dobrych legend. Mógł się rozplątać w świecie i spokojnie żyć.

Ciągle jednak potrzebował tych ludzi, którzy teraz patrzyli na niego z niepokojem. Później... nie myślał, nie planował. Był pewny, że mogą go nie zrozumieć. Zbyt wąskie mieli horyzonty. Jak to ludzie z dołu, ufający bezmyślnie dowódcom, którzy, jacy by nie byli, zawsze mieli ostatnie słowo. Sam się z tego już dawno wyleczył.

Gdzieś w głębi duszy nawet było mu ich żal. Przecież byli jak bracia. Jeśli poszliby z nim, niektórzy mieliby cień szansy. Gdyby wrócili... Podlegali przecież zdrajcy.

– Dalej według planu. – Machnął pistoletem w stronę lasku i skrzyń zakrytych plandekami. – Brać, co jeszcze zostało, i do wozów! No już! Nie ma czasu! – krzyknął.

Rozbiegli się zbierać zabawki.

– Ty. – Nikonin złapał Wielkiego za ramię.

Ten podniósł głowę i spojrzał majorowi prosto w wąskie szpary oczu.

– Przygotujesz salwę. Weź kogoś z naszych do pomocy.

Anton kiwnął głową ze zrozumieniem. Nie był żółtodziobem.

– Masz. – Nikonin sięgnął do kieszeni spodni i podał mu kluczyki do bmw. – Nastaw starter na trzydzieści minut i dołączaj.

– Co się dzieje, Boss? – zapytał Wielki dziwnie spokojnie.

Major uciekł wzrokiem, bojąc się, że Wielki zacznie pytać o Arlwowa.

– Sygnał z góry... – Jeszcze jedno trudne kłamstwo. – Wiesz, jakie są zasady... Nie mogą...

– Nie mogą nas dopaść. – Wielki rozumiał.

Ktoś wdusił klakson. Ptasznik i jego mała obstawa zaczęli się niecierpliwić.

*

– Śledź ich! – rozkaz Zydelskiego był wyraźny.

Operator drona ustawił widok tak, by w szerokim formacie objąć całą grupę.

Zachowanie jednego z ludzi wydawało się najbardziej ciekawe. Obiektów skupił się na wysokim mężczyźnie. Nie było widać go dobrze. Gałęzie, między nimi płachta. Śledzony pochwycił jakieś niewidzialne sznury, zaczął je rwać, szamotać się po zaroślach. Minęło kilka sekund i plandeka opadła. Zwinął ją i odsłonił to, co się pod nią kryło.

Kilka osób westchnęło głęboko. Mucha złapał się za głowę i zaczął nerwowo wiercić się na krześle. Zaraz zerwał się z miejsca i pobiegł gdzieś w korytarz, zamieniając kilka szybkich zdań z wartownikami. Kamera zatrzymała się na odkrytej właśnie niespodziance.

– Co to jest? – Thomał autentycznie nie rozumiał.

– Możesz jeszcze zbliżyć? – Zydelski miał inne zmartwienia niż opisywanie sytuacji.

– Nie da rady.

Zydelski znowu chwycił telefon i zaczął coś cicho ustalać.

Adam wyłapywał urwane słowa. Kapitan kazał ostrzegać inne jednostki. Słać śmigłowiec do pościgu. Dalej było coś o plutonach, maszynach...

Adam zmrużył oczy i omijając poruszony zespół, podszedł bliżej ekranu, gapiąc się na dziwaczne konstrukcje.

Długie zielone rury oparto na stelażach. Zwykła szyna z dwiema podporami. Chyba nawet regulowanymi, ale prymitywnie. Z tyłu jakieś obciążenie. Kilka przewodów. Zbiegały się w jeden punkt. Wyglądało to jak cholerna prowizorka. Szalony sen kowala. Wielki lewarek. Podnosiło je trzech ludzi, kierując w stronę morza. Przynajmniej tak to wyglądało.

Wysoki żołnierz na ekranie złapał małą skrzyneczkę, otworzył i zaczął przy niej manipulować. Coś krzyknął do towarzyszy i wszyscy pobiegli do aut.

W tej sekundzie wrzawa w sali podniosła się jeszcze bardziej.

– Co to za dziadostwo? – Adam przeszedł na angielski, szturchając jakiegoś siwiejącego już faceta siedzącego przy najbliższym komputerze.

– Broń biedaków. – Facet odsunął słuchawki i stukając w klawiaturę, nawet nie patrzył na Polaka.

– Możesz powtórzyć? – Adam nie rezygnował i nadstawił uszu. Nie znał się na tym slangu.

– Broń biedaków. – Komputerowiec podniósł wzrok. – Słyszałeś o Hamasie? Walili czymś podobnym w Żydów. Tyle że... Tak... – westchnął z wyraźnym niepokojem – ...to gównem jest jakieś inne.

Thomał czuł się jak człowiek z jedną nogą w grobie. Skronie pulsowały, kręciło mu się

w głowie i był gotów wiać. Uciec i nigdy nie wracać.

*

Cegła nie zęgnął się z ludźmi przesadnie długo. Ani on, ani jego podwładni tego nie lubili.

Rozdał im porcje amfetaminy. Specjalnej. Mocniejszej w działaniu. Dodawała siły i leczyła z niepotrzebnych lęków.

Odmówili krótką modlitwę w głównej sali niedoszłego muzeum. Sprawnie i cicho, żeby nie zwracać uwagi tłumowi za oknami. Zeszli do piwnicy. Cała dziewiętnastka. Zostawili za sobą żałosne zabawki, drewniano-aluminiowe repliki, i pobrali to, co dostarczyła firma. Karabinki. Podrasowane M4 i AK-47. Nic z ich aktualnego arsenału. Zasada była taka, jak zawsze: nie dać się zidentyfikować po broni.

Mieli tego sporo. Granatniki, celowniki kolimatorowe – zachodnie, zgodnie z życzeniem Nikonina – a do tego kamizelki, granaty i mnóstwo amunicji.

Pobiegli na wyższe piętra. Dowodzenie przejął Ibram. Sprawdzony w boju człowiek. Nie wyglądał na islamistę, a o tym, że nie jest jednym z nich, świadczyła tylko nieco ciemniejsza karnacja. Zamknął i zabarykadował drzwi wejściowe do domu.

Rozdzielił ludzi po piętrach. Kazał im siedzieć cicho. Ostatnią kondygnację i taras wyznaczone dla ciężkiej artylerii – czterech wyrzutni, choć Wielki uznawał to określenie za przesadzone. Trzy belki mocowane ze sobą sworzniem. Lekkie i wyważone, z możliwością nastawienia kąta strzału. Przeszły przez Grubą w kilku partiach. Podobnie jak oporządzenie i broń, choć ta ostatnia trafiła tu częściowo również z półlegalnego źródła, jako sprzęt specjalny dla pewnej firmy budującej komercyjne strzelnice.

Ibram do ich obsługi wyznaczył pierwszą z brzegu czwórkę ludzi. Ułożyli zestawy sprawnie, zaraz po przyjeździe, pilnując, żeby nikt ich nie dostrzegł. Oni składali, Polacy kręcili się w piwnicy. Nie dociekał. Każdy ma swoje rozkazy.

Teraz wytargali dwie rury, jak nazywali tę broń, na taras od strony ogrodu. Był przestronny, ale z trudem pomieścił oba zestawy. Dwa pozostałe miały być na strychu. Miejsce było dobre, tylko należało sprawnie i w miarę cicho odrzucić kilka starych dachówek.

W dole nikt nie zwracał na nich uwagi. Ludzie pstrykali fotki, rozmawiali z mundurowymi o ich sprzętach i planach na najbliższe dni. Dopytywali o dalszą część imprezy. Jeśli ktoś nawet podniósł wzrok ponad parkujące wkoło dżipy, i tak nie rozumiał wiele. Ot, jeszcze jedna zabawka w arsenale pana Wódki, który nie zapominał, jak należy się promować, i skakał od jednego dziennikarza do drugiego. Udzielał wywiadów, fotografował się z władzą wszelakich szczebli. Jego na razie nic więcej nie interesowało.

– Gotowe! – krzyknął Ibram.

Połączył ostatni kabel detonatora z prostym mechanizmem zegarowym od pospolitego, elektronicznego budzika i popędził schodami w dół, gotów na spotkanie Najwyższego.

Cegła siedział już w wiekowym zabytku militarnej techniki. Wódka na życzenie sponsora przydzielił jego ludziom kilka aut, pocziwych uazów i land roverów. Zapalił silnik i wolno, przepychając się przez tłum, wytoczył się na ulicę.

*

Zydelski mówił coraz szybciej.

– Dwie drużyny... – wyliczał, przygryzając wargi, wpatrzony w ekran – naszych jedna. – Jak od południa? Gdańsk? Dobra – przytaknął, choć wcale nie wyglądał tak, jakby rozkaz go uspo-

koił.

Znów zadzwonił jakiś telefon.

– Red One ma być w powietrzu za trzydzieści sekund. Biorą się za nich – oznajmił kapitan głośno.

Tu już nie on decydował. Robił to ktoś wyżej.

Adam myślał szybko.

„Gaz? Kurwa mać, a jak to coś jeszcze gorszego?”, dygotał od wizji, które pojawiały się w jego głowie.

Słyszał jakieś pomruki, polecenia, ale dolatywały do niego jakby zza ściany, stłumione i nie-realne.

Ktoś z dowództwa nakazywał pilne użycie masek. Ktoś inny powiadamiał okręty, te bliżej i te dopiero docierające w rejon, że robi się gorąco.

Nagle Adama olśniło. Poderwał się na równe nogi i podskoczył do Zydelskiego.

– Dom! – prawie krzyknął.

– Co?

– To chyba tam wlecze się ta cała parada! – tłumaczył podekscytowany Thomal. – Cholera wie, kto i co tam jest!

Krzysztof milczał, marszcząc brwi..

– Nie mam możliwości, żeby to sprawdzić – fuknął, zły, że gliniarz mówi o czymś, na co on sam powinien wpaść. – Nie mam tyle sprzętu. Zaraz podeślę tam śmigłowiec... Wiem, co robić.

Nie lubił, kiedy ktoś włąził mu w kompetencje.

*

Ibram zerknął na zegarek.

– Pół minuty – rzucił ostrzeżenie i jego ludzie przypadli do ścian, kryjąc twarze i uszy.

Tłum cały czas bawił się na podwórzu, choć teraz był mniejszy. Kiedy buchnął pierwszy obłok dymu, niewielu pojęło, o co chodzi. Gdy z dachu od strony zatoki z sykiem bluznął ogień, co niektóre kobiety zaczęły piszczeć. Dzieci krzyczały, ale raczej z radości, mężczyźni zatkali uszy, a niektórzy unieśli wyżej aparaty i telefony.

Wszyscy czekali, cóż to za atrakcję wymyślili organizatorzy. Jakiś pokaz, strzelaninę?

– O, będzie wojna! – rozległy się pojedyncze głosy i tłumiony pomruk wyczekiwania jak przed przedstawieniem.

Tylko Romuald Wódka zerwał się zza stołu, rozlewając miskę grochówki. Przecież niczego nie planował. Jeśli miał kiedykolwiek choć cień wątpliwości co do sponsorów, to teraz to wszystko wróciło do niego, budząc przerażenie. Dopadł drzwi i zaczął szarpać za klamki wejścia do rudery. Zamknięto je na głucho.

Dym na poddaszu rozlał się nagle wokoło gryzącą chmurą. Pierwsi turyści chyba zaczęli rozumieć, że to raczej nie tak miało wyglądać, i pośpiesznie się oddalali.

Dwóch siwych, starszych dżipowców rzuciło się pędem montować atrapę karabinu zasilaną na gaz, psiocząc, że zaczyna się inscenizacja, o której znów nikt im nie powiedział i oni nie są przygotowani.

Potem ponad dach wyrósł potężny słup ognia. Żywy płomień buchający ze startującego silnika. Trzask przeszedł w ogłuszający ryk. Tego było za wiele. Dzika wrzawa paniki wypełniła okolicę.

*

Bosman Frank Clowding nie potrafił poruszyć żadnym mięśniem. Ogarnął go strach.

– Kurwa mać! – wyrwało mu się niekontrolowane przekleństwo.

Troje ludzi, których miał pilnować, popatrzyło na niego, niewiele rozumiejąc. Z każdej strony okręt obstawiono stanowiskami broni maszynowej i strzelcami, którzy wespół z pontonami sił specjalnych mieli bronić jednostki przed dywersantami.

Czegoś takiego się jednak nie spodziewali. Przynajmniej nie tutaj.

– Jemen, jebany Jemen! – powtarzał Clowding przerażony.

Spiął się i schował głowę w ramiona.

– Trzymać się! – Tyko takie polecenie przyszło mu do głowy.

Patrzył i czekał.

Z cienkiego paska łądu, widocznego na północnym wschodzie zatoki, uleciał w niebo słup dymu. Ciągnął się tak kilkadziesiąt metrów, aż pocisk, który go wytwarzał, przyśpieszył.

Długo nie było niczego słychać. Ze sporym opóźnieniem doleciało krótkie stuknięcie i szum.

Pociski wyrzutni BM-27 wystrzeliwane salwami, przez całe baterie czy dywizjony, powodowały potworne spustoszenie na ogromnych obszarach. Jednakże słane pojedynczo nie stanowiły takiego zagrożenia. Były wielkie, trudne do transportowania, odpalania i, co najważniejsze, mało precyzyjne.

Wydział techniczny głównego zarządu wprowadził jednak kilka modyfikacji specjalnie dla grupy Nikonina, dostosowując ten oręż do działań specjalnych i do użytku szynowej wyrzutni.

Pociski były mniejsze, składane z dwóch części, o lepszej stabilizacji zapewnionej dzięki lotkom. Udało się zwiększyć nieco zasięgi.

Kiedy pierwszy z pocisków wzbijał się w niebo, na lądzie znów buchnęły kłęby brązowawego dymu. Gdy startował drugi, ponad drzewa wzbijała się czarna pionowa chmura.

Na USS „Jason Dunham” nie było paniki. Może tylko niedowierzanie, ale załoga musiała szybko sobie z tym poradzić. Nie ogłoszono alarmu bojowego, stan pogotowia na amerykańskiej jednostce i okrętach polskiej marynarki trwał bowiem od samego rana. Wszyscy byli w gotowości. Broń, hełmy, kamizelki.

Radar niewielkiej wyrzutni RIM, umieszczonej nad hangarem śmigłowców, działał samodzielnie. Włączony i przygotowany do akcji miał wykrywać nadlatujące pociski, namierzać je i niszczyć.

Wieloprądnicowa kasetka obróciła się w stronę zagrożenia z lekkim zgrzytem, kiedy tylko pierwsza rakietka wzbijała się w powietrze i skierowała mniej więcej na pozycję okrętu. Skryty pod kopułką radar określił tor jej lotu. Dwie owalne osłony odpadły i z wyrzutni z trzaskiem wyrwał się pocisk.

Clowding próbował go śledzić, ale poza bladym obłoczkiem dymu, jaki unióśł się nad śródookręciem, nie dało się nic zobaczyć.

Po chwili rozległ się drugi strzał. Sekunda, dwie. W głowie bosmana pojawiła się przerażająca wizja, że to wszystko na nic.

Nagle dostrzegł błysk, obłok na niebie, a potem drugi. Dudnienie niesione wiatrem. Clowding poczuł ulgę.

Ludzie zaczęli wiwatować. Zaraz zagłuszył ich głos z radiowęzła. Mówił dowódca.

– Zostaliśmy ostrzelani. Powtarzam, zostaliśmy ostrzelani. Pozostać na stanowiskach, to może jeszcze nie być koniec.

Wyłączył się i w tej samej sekundzie znów coś oderwało się od ładu.

RIM zareagował. Pocisk pomknął ku celowi. Trafił. System nie pozwalał rakietom wroga zbliżyć się na tyle, by musiały zadziałać Phalaxy – sześciolufowe działka mające strącać rakiety, które przejdą przez zaporę kontrpocisków.

Daleko na wodzie wyrósł gejzer wody. Wyglądało na to, że ostatni ładunek nie był sprawny i spadł.

Na moment zapadła niemal zupełna cisza.

– To już?

Marynarz Morez stał z rozdziawionymi ustami, trzymając swojego przydziałowego Brownin-ga M2, i gapił się na bosmana. Wyglądał, jakby był zawiedziony.

– Co to właściwie było?

Na horyzoncie dym w jednym miejscu robił się gęstszy.

– Nie wiem. – Clowding poprawił ciskający go w podbródek pasek kevlarowego hełmu. – Może jakieś ćwiczenia?

*

Te kilka chwil, od odpalenia do eksplozji, było dla wszystkich bez wyjątku wiecznością. Struchleli, niektórzy nawet chyba zaczęli się modlić.

Adam miał jak najgorsze przeczucia.

– Meldunki o skażeniach?! – Zydelski zmusił się, by zapytać.

Znów upiorne wyczekiwanie.

– Nic. „Dunham” nic nie melduje. – Facet od łączności wydawał się spokojny, ale teraz nie było pewne.

– Nie ogarnę wszystkich celów. – Operator drona nerwowo kręcił się na krześle.

– Spokojnie – polecił Zydelski, choć w nim samym się gotowało.

Złapał słuchawkę i przez chwilę cicho z kimś rozmawiał, po czym zwrócił się do swoich ludzi:

– Red One biorą na siebie półwysep. Mają swoje latawce, wezmą go na podgląd. – Z trudem poskramiał emocje. – Wszystkie inne zespoły w pogotowiu pilnują portu wojennego i Gdańska. – Kurwa – syknął, zakrywając mikrofon. – Kurwa, mieli drugie stanowisko!

Do Thomala i tak niewiele docierało. Patrzył na poruszające się obrazy i trzymał się za głowę. Gdyby się domyślił wcześniej...

– Wiosek nie da rady ewakuować – ktoś przekazywał złą informację.

Zydelski wyraźnie tracił panowanie nad sobą. Tego jeszcze nie doświadczał. Nigdy u siebie, na własnym podwórku.

– Para dyżurna Hindów niedaleko – mówił, podliczając w jakimś amoku własne siły. – Kolejna dwójka miała przylecieć na samo powitanie. Wieczorem. Trzeba ich poderwać. Kurwa, mało.

Znów chwycił telefon i rozpoczął kolejne konsultacje z tajemniczą górą.

– Ścigamy tych w samochodach – rzucił po chwili do Muchy, który natychmiast zerwał się z miejsca i gdzieś pobiegł. – Chuj wie, co tam mają. Nie zdążymy odstrzelić wyrzutni, zanim odpali. Psia mać! – Zydelski wskazał drżącym palcem na ekran. – Ale resztę trzeba zdjąć... Jeden Mi-24 idzie z jankesami... Drugi...

Podszedł prędko do sporej radiostacji, zabrał słuchawkę operatorowi i zaczął wywołanie:

– Zielony Dwa...

Otworzył stronę na laptopie, gdzie zaznaczono współrzędne obozu. Przekazał i powtórzył.

Począł na potwierdzenie i wydał rozkaz. Więcej nie mógł ryzykować.

– Jak to my? Ścigamy?! – dotarło z opóźnieniem do Thomala.

– Wszyscy na pozycjach! – krzyknął Krzysiek, plując śliną. – Pilnują portów. Cholera wie, co to jeszcze będzie... Dostałem zgodę... Mam do dyspozycji jedną grupę!

Nawet nie patrzył na Adama.

– Martinez! – krzyknął do gościa w drugim końcu sali. – Przejmujesz. Będę w kontakcie.

Tamten wykonał coś na kształt salutów.

– Muszę zabrać sprzęt – rzucił Zydelski do nadbiegającego Muchy, który wracał właśnie na stanowisko w pełnym oporządzeniu, z karabinkiem HK G36, w hełmie i objuczony magazynkami.

– Ptaki gotowe. Trzeba się śpieszyć. Poderwano dwa MiG-i do osłony podejścia – raportował łącznościowiec, ale mało kto go słuchał.

– Macie dla mnie jakąś broń? – zapytał Adam.

Zydelski spojrział na niego ze złością.

– Powiedziałem, że my lecimy – oznajmił, akcentując wyraźnie słowo „my”. – Ty – znów wycedził wyraźnie i głośno – zostajesz tu. – Odwrócił się na pięcie i klepnął Muchę, żeby się śpieszył.

Adam popatrzył po ludziach. Nie znali go, nie interesowali się nim. Ale on nie miał zamiaru być widzem. Już nie. Za daleko dotarł.

– Czekaj!

Pogonił za oficerem. Wpadł w grupkę zbrojnych cyborgów tuż przed wejściem. Za budynkiem huczały silniki.

– Czego chcesz? – fuknął Zydelski, mocując pasek hełmu.

– Idę z wami! – Thomal nie pytał.

Cała czwórka cicho się roześmiała.

– Mam go...? – Mucha pacnął pięścią w otwartą dłoń.

– Nie twoja liga – powiedział Zydelski do Adama.

Kapitan odbierał od jednego ze swoich ludzi HK416.

– Krawężników tam nie potrzeba – dodał.

– Mam tu zostać? – Thomal zacisnął pięści.

– Nie mogę cię zabrać – usłyszał w odpowiedzi. – Przepisy. Standardy.

Głupiej już nie mogło zabrzmieć.

– Szefie, czas... Zielony Dwa zaraz rusza – ponaglał Mucha. – Olej go...

– Mam tu zostać? Ciebie słuchają, to co, może i mnie posłuchają? – Thomal cedził słowa, patrząc na oficera.

Zydelski się zawahał.

– Mówisz, że sojusznicy lubią działać zgodnie z przepisami. To może opowiem im o naszych wspólnych przyjaciółkach. O tych... jak to było? Standardach? – Adam nie odpuszczał.

Trójka zbrojnych patrzyła na dowódcę, czekając na jakąś reakcję.

– Idźcie, dogonię was – rozkazał Zydelski. – No już, zaraz będę! – Machnął groźnie ręką.

Odczekał, aż wyjdą na zewnątrz. Odgłos pracujących silników prawie tłumiał słowa.

– O czym ty, kurwa, gadasz? – Poczzerwienił i zacisnął zęby.

– O czym gadam? – Thomal też się nakręcał. – Dałem ci w prezencie tych dupków. Gdyby zwiali... Chuja byś wiedział, a tak... – Wskazał palcem na salę. – Ryzykuję własną dupą.

– I dziękuję pięknie – syknął Zydelski. – Chwali ci się, ale starczy. My to załatwimy... –

Drżącą ręką regulował radiostację na kamizelce. – To nie film.

– Gównu załatwicie!

Thomał przyciągnął Zydelskiego za ramię bliżej drzwi.

– Wlazłem w to gówno między innymi przez ciebie. Ktoś zaczął kręcić pętlę na moją szyję, bo chciałem dojść prawdy. I teraz co? Na ostatniej prostej mam oddać wszystko? Zostać z niczym? Nie! – Machał rękami jak oszalały. – I nie pierdol, że nagroda mnie nie minie, bo ci przypierdole!

Argument zadziałał. Zydelski musiał szybko uświadomić sobie, że to nie koniec. Będzie proces, śledztwo. Tego całego błota już nigdy nie uda się zmyć. Niebezpieczeństwo końca spokojnego życia i emerytury dotarło do niego i wywołało dreszcz.

– Dobrze. – Potarł twarz, choć sam chyba nie wierzył, że wypowiedział to słowo. – Lecisz, tylko trzymaj się, kurwa, z tyłu – wymówił przez ściśniętą żuchwę, śląc Adamowi spojrzenie pełne wściekłości.

*

Kawalkada złożona z dwóch busów, terenowego terrano i luksusowej maszyny, której Wielkiemu zazdrościli wszyscy pozostali, gnała prosto pod wiadukt.

Major siedział w terrano razem z Diabłem, Harpunem i jakimś Polakiem, który robił za ochroniarza i kierowcę. Ptasznik i Malinowski jechali w pierwszym busie, mieli pilnować przesyłki. Boss wiedział, co robi. Dał im do opieki dwóch Czeczenów. Reszta zespołu podróżowała w drugim dostawczaku.

Nikonin włożył w ucho słuchawkę radiostacji.

– Test, test – powiedział i dmuchnął.

Kodowane radyjko działało, jak należy.

Wyciągnął ze schowka mapę. Nie mieli daleko.

– Jedziemy miastem. Powtarzam, miastem. – Polecenie było jasne i major nie zamierzał wysłuchiwać obiekcji.

Wiedział, że pomiędzy budynkami będzie ich trudniej zatrzymać. Wolał być przygotowany.

Potem mieli dostać się do magazynu w jakiejś wiosce na południe od Trójmiasta. Tam czekają kilka dni. Utajniony ośrodek, zwany Grubą, przygotował już dla wszystkich drogę odwrotu. Pojedynczo, bez zwracania uwagi. Dla niego samego również. Ale on nie miał zamiaru z niej korzystać. Cicha umowa z Ptasznikiem i jego kolegami gwarantowała co innego. Paszport, dowód. Pełna legalizacja, a potem: witaj, Europo... Duńczyk, wspólnik Kalicza, miał paru dobrych klientów. Pewnie zainteresowaliby się zawartością skrzyń i kupili wszystko bez mrugnienia okiem. Choć już samo to, co znajdowało się w walizkach, starczyłoby na uwicie przytulnego gniazdko. Prócz tego fundusz operacyjny. Przecież nikomu nie był potrzebny, a major przestawał istnieć, więc i nie trzeba było rozliczeń. Ach, życie wydawało się piękne.

Na placu, pośród pustych namiotów na wzgórzu, zostali tylko pirotechnicy. Odprowadzali zdziwionymi spojrzeniami ten pędzący konwój.

Zrobiło się cicho. Byli sami. I dopiero po chwili, gdzieś od morza, razem z wiatrem doleciał do nich stłumiony, przerywany dźwięk pracujących wirników.

*

Dwa szare Seahawki HH-60H, należące do HSC-22, oderwały się od płyty lotniska niecałe trzy minuty wcześniej. Zatoczyły krąg, oczekując, aż w powietrze wzniosą się dwa potężne Mi-

24 – przydzielone im wsparcie. Niecały kilometr dalej latające czołgi rozdzieliły się. Jeden pomknął nad Gdynię – inna grupa też potrzebowała osłony.

Trzy maszyny pokonały prędko zatokę, robiąc zwrot na wschód i kierując się na kraniec półwyspu. Podporucznik Celt z Navy Seals siedział w otwartych drzwiach, tuż obok snajpera, i wpatrywał się w obraz przekazywany mu przez taktycznego drona. Ich prywatną zabawkę, którą zespół zabierał na linię. Wypuszczono ją tuż przed startem. Nie była tak wielka i fajna jak Predator, ale swoje potrafiła. Przydawała się, zwłaszcza kiedy cele mnożyły się jak króliki.

Niewielki samolocik napędzany silniczkiem może i wyglądał niepozornie, ale jego wbudowana kamera dawała wgląd w sytuację. To bardzo pomagało.

Cel był daleko. Na razie znaczył go tylko słup dymu wyrastający ponad drzewa. Na niewielkim płaskim ekranie wszystko było wyraźniejsze i nie wyglądało zbyt dobrze.

Zwinny samolocik robił ciasne skręty, nie spuszczając oka kamery z domostwa, z którego dokonano ostrzału. Ciemna szara bryła zakryła się płomieniami. Dach palił się najmocniej i trudno było dojść, czy to efekt jakiegoś ładunku, czy działanie startującego silnika rakiety odpalanej spod dachówek.

Wkoło, między ciasno rosnącymi sosnami, dało się dostrzec porzucone samochody osobowe, stare zielone dżipy i jakieś czołgi. To wszystko otoczone wszelkim śmieciem zostawionym przez uciekający tłum. Instrumenty muzyczne po lokalnej orkiestrze, torebki, plecaki i telefony. Jacyś ludzie kryli się pod pojazdami. Dalej, w uliczkach, chowało się ich więcej, choć znaczna liczba puściła się w panicznym biegu ku swoim kwaterom i samochodom, myśląc, że to najlepszy sposób, by wydostać się z tego zamieszania. Na jedynej w tej okolicy szosie stworzył się wielki zator.

Uwagę zaniepokojonego dowódcy zespołu Seals przykuwał teraz jednak tylko jeden cel. Płonący coraz mocniej dom.

– Może posłać im kilka rakiet? Będzie po sprawie – usłyszał w słuchawkach pytanie swojego zastępcy.

Popatrzył na lecący nieco za nim drugi helikopter.

– Kuszące, ale nie wiemy, czy nie wzięli zakładników. I co tam w ogóle jeszcze gnojki mają – odparł Celt, ciągle szukając choćby najmniejszej odpowiedzi na monitorze.

Nienawidził takich sytuacji. Brak rozpoznania i orientacji na ziemi były czymś najgorszym. Nie lubił improwizować. Nie w takich momentach. Ale teraz innego wyjścia nie miał.

Nagle coś przykuło jego uwagę. Podniósł głowę. Nad lądem, w oddali, pokazał się niewyraźny, długi obłok dymu.

– Cholera – sapnął. – Red One do wszystkich! Podchodzimy ostrożnie. Zrobimy dwa kółka kontrolne. Przypatrzmy się skurwielom. Zielony Jeden, pilnuj nas, gdyby mieli jakieś niespodzianki.

– Rozumiem, przyjąłem – zaszumiał w słuchawkach głos polskiego pilota Mi-24.

*

Dwie potężne maszyny parkowały niedaleko zrujnowanej bazy transportowej przekształconej w centrum zawiadywania ochroną manewrów.

Adam zastanawiał się przez chwilę, kiedy wciskał wyciągniętą gdzieś ze schowka kamizelkę, jak mógł nie zauważyć tych potworów. Uznał, że to wina stresu i pośpiechu, choć w rzeczywistości Mi-17 ulokowano na posesji obok, za murem, między ruinami jakichś hal produkcyjnych.

Teraz właśnie grzały silniki ze stalowym rykiem niosącym się wkoło, aż ziemia drżała.

Chmura piasku i kamieni cięła nieprzyjemnie, wzbijając się wysoko ponad budynki.

Zespół Zydelskiego już czekał.

„Ciekawe, czy naprawdę są tak dobrzy, jak się o nich mówi”, pomyślał Adam.

Zajęli miejsca. Thomal wdrapał się za kapitanem do pierwszej maszyny przez pozbawioną drzwi tylną służę. Uzbrojeni po zęby operatorzy patrzyli po sobie i zerkali na dowódcę, nie bardzo rozumiejąc, po co im obcy. Nikt się jednak nie odezwał. Hałas w środku stał się jeszcze potężniejszy. Adam nie był do tego przyzwyczajony. Otworzył usta i zatkał uszy palcami.

Maszyną zatrzęsło i wielki jak ciężarówka kolos drgnął, a następnie leciutko oderwał się od ziemi. Obydwa Mi-17 przemknęły ponad przemysłowymi przedmieściami Gdyni. Poszły po skosie, ku centrum, i zrobiły zwrot na południe. Tuż przed nimi do swoich zadań gnał wielki, ociężały Mi-24.

Do celu nie było daleko. Śmigłowcem zaledwie kilka chwil. Zydelski patrzył w ekran jakiegoś dziwnego urządzenia, wymieniając co rusz informacje przez radio.

Nagle maszyna odbiła. Zakołysało. Thomal prawie zleciał z siedziska na podłogę i tylko ramię pokładowego strzelca uchroniło go przed kompromitacją.

– Okej? – zapytał tamten.

Znów zawirowało. Tym razem maszyna opadła w dół. Adam prawie zwymiotował, a przecież od wczesnego ranka nic nie jadł.

Przytrzymał się kurczowo siedziska, wsłuchując w dudniący łoskot śmigieł.

*

Fala paniki przetaczała się szybciej od morskiego wiatru. Ruszyła wprawdzie wolno, ale zaraz przelała się wzdłuż półwyspu, ciągnąc za sobą tysiące ludzi.

Sezon dopiero się zaczynał, nie było mowy o tłumach z lipca czy sierpnia, ale zapowiadany historyczny przemarsz ściągnął tu rzesze znudzonych podróżnych z bliższej i dalszej okolicy, którym nie w smak było pluskać się w jeszcze za zimnej wodzie. Teraz te tłumy gnały jak najdalej od półwyspu. Przynajmniej usiłowały, bo nie minęło pięć minut, a jedyna droga zapchała się aż do samego Władysławowa.

Co bardziej bojaźliwi porzucali samochody, nawet ich nie zamykając, i gnali pieszo po chodnikach albo wybierali szutrowe ścieżki rowerowe. Pobocza zapchanej drogi zostały zaścielone dziesiątkami aut wszelkich marek, kolorów i cen.

Pocziwy ponadtrzydziestoletni land rover, który wysłużył swoje najlepsze lata w armii jej królewskiej mości, przeciskał się do przodu. Cegła próbował prowadzić spokojnie, dopóki nie usłyszał pierwszego huku. Potem pojawiły się śmigłowce. Usiłował dojrzeć coś w lusterku, ale nie zdołał. Nie lubił tych dźwięków. Lata złych wspomnień.

Zagłuszył to wszystko, wciskając klakson, jednak to nie pomogło. Zator był na obu pasach. Pozostawał jedynie wolny skrawek z brzegu, dla ludzi i rowerów.

Cegła ostro skręcił kierownicą, wozem zarzuciło. Wjechał na niewielki wał i popędził przed siebie.

*

Jeśli organizator tej imprezy chciał mieć pokaz, to specjaliści ku temu byli idealni. Ibram potrafił robić show. Z wybitych okien w dół, do ogrodu, poleciały świece dymne. Zaraz całość budowli została zasłonięta mieszanką dymu pożarów i białego obłoku.

Jedna z atakujących maszyn oblatywała właśnie willę szerokim łukiem od wschodu, ale sie-

dzący w środku ludzie niewiele mogli zobaczyć. Spod kłody dymów buchał jaskrawy, choć słumiony błysk uwalniającego się gdzieś spod dachu płomienia. Wszystko przy akompaniamencie dudniących po okolicy silników śmigłowców.

Wewnątrz był ukrop. Pot zalewał oczy Ibrama i jego ludzi, ciągle trwających przy oknach z maskami na twarzach i powtarzających jak zakłęcie „Allahu Akbar”.

Czekali na finał, na chlubny koniec, gotowi przed śmiercią zasłużyć na ostateczną nagrodę w zaświatach.

*

Szary Seahawk zatoczył prawie pełen okrąg, mijając dom i wracając nad zatokę. Drugi wchodził na łuk, też szukając celu.

Celt głowił się, gapiąc przez lornetkę, i gryzł pod kominiarką wargi do krwi. Nie widział nic. Nawet naszła go obłądana myśl, że tam nikogo nie ma, że spłonęli albo...

„Nie”, uciał własne rozważania.

– Jeszcze jeden krąg – polecił pilotowi.

Nie wiedział, po co to robi. Przez te kilka sekund nic się nie miało prawa zmienić. Drzewa się nie rozstały, robiąc miejsce do lądowania. Ogień nie przygasł, tak by można było desantować się po linach prosto na taras. Zrobili zwrot z lufami wymierzonymi w cel. Przynajmniej nie było kolejnych rakiet. W słuchawce krótkie meldunki o panice na półwyspie. Ale dowódca widział wszystko w krążącym ciągle nieco wyżej oku drona.

– Red One do Zielony Jeden – rzucił do Mi-24, który ciągle kręcił się w oddali, pilnując domu i otoczenia. – Nie odpuszczaj. Wchodzimy. Blue One? Wchodzimy – przekazał do wszystkich, wyznaczając zaraz miejsce do desantu na linach pod lufami.

Powinien rozwalić to wszystko w drzazgi, ale nikt z góry nie wybaczyłby mu, on sam sobie zresztą też, gdyby w środku byli jacyś zakładnicy.

Seahawk obniżył wysokość, tak że prawie muskał korony drzew. Oddalił się od płonącej coraz większym ogniem budowli i zawisł nad drogą – jedynym w miarę wolnym miejscem.

– Liny – rozkazał Celt, chowając do plecaczka komputer.

Wyrzwał za drzwi. Podmuchał wirników prawie kładł konary. Dom był mniej widoczny, więc i maszynę też zasłaniało. W dole dostrzegł szarą plamę asfaltu.

Drugi śmigłowiec parkował nad skrawkiem jakiegoś podwórka czy ogrodu, ze dwieście metrów dalej, po drugiej stronie domu.

Też się szykowali.

– Naprzód – wydał krótkie polecenie i komandosi sprawnie, ściskając liny, zaczęli jeden za drugim zsuwać się w dół.

Celt walczył w niejednym grajdole. Wiele widział i miał świadomość, że to był najgorszy moment.

Śmigłowiec rozwał płożącą się nisko chmurę i zza nienaturalnej mgły wyrzwały ciemne oczodoły okien. Znak? Celt właśnie złapał za sznur. Już miał krzyknąć do pilotów, żeby wiali, kiedy tylko wyskoczy. Nie zdążył.

W jednym z okien błysnęło. W drugim też.

– RPG! – krzyknął przerażony boczny strzelec.

Maszyną rzuciło. Odruch pilota był natychmiastowy.

Celt syknął, zrobiło mu się zimno. Ale nie puścił liny. Był w trzech czwartych drogi. Połuźnił uchwyt.

Oczy drugiego strzelca wychylającego się z okna wydawały się wołać: „Pośpiesz się, człowieku!”.

Świst nad wirnikiem. Pocisk poleciał w nieznane. Drugiego podporucznik nie wychwytał.

Ostatnie metry i znów salwa. Maszyna zdołała uskoczyć. Amerykanina rzuciło na jakiś pień. Puścił linę i poleciał na plecy na ziemię. Miał szczęście, nie trafiając w asfalt. Dźwignął się przód, łapiąc karabinek. W uszy zakłuł go nagle bolesny huk, a na ciało zwała się fala gorąca i odłamków.

Podniósł głowę. Kula ognia u wirnika. Dym. Zaczęła się palba. Załoga jeszcze się broniła. Długie czerwone kreski pocisków Gatlinga z burczeniem rwały tynk. Z domu wystrzeliła kano-nada. Zaświstało wkoło od gorących kul.

– Jesteśmy pod ogniem! – zagotowało się nagle w słuchawkach, choć może Celt dopiero teraz wszystko zaczął na nowo słyszeć.

Jego ludzie ukryli się za pniami drzew i porzuconymi autami. Strzelali w błyski widoczne w oknach. Celt odbezpieczył M4. Sam podbiegł do jakiegoś wiekowego auta i posłał kilka serii w stronę domu.

Rzucił okiem na niebo. Jego śmigłowiec, krztusząc się i dymiąc, odchodził na wschód. Pamiętał, że tam były lasy. Trudno lądować. Nie obchodziło go to jednak teraz. Miał swoje problemy.

– Niebieski, osłaniasz – rzucił w eter.

– Jasne – usłyszał w odpowiedzi.

– Czerwony, za mną – rozkazał i dla przykładu sam wyskoczył z za osłony, prowadząc swoją sekcję.

Usłyszał warkot długich serii. Mi-24 musiał rozpruwać górne piętra.

Na ziemi, pomiędzy drzew, grzały lufy MK46. Ich strzelcy omiatali kolejne otwory, okna i każdą szczelinę.

Celt przeskoczył jakiś płot. Posłał krótką serię i schował się. Gryzło go w gardle od dymu. Płonął dom, płonęły porzucone w obejściu dzipy i jakieś ciężarówki.

– Jak pierdolone Ardeny... – Celt, nie wiedząc czemu, powiedział to na głos. – Niebieski, dołączaj. Osłaniam!

Posłał długie mierzone serie i wielki hałas rozszedł się po lesie.

– Maski – rzucił krótki rozkaz w eter.

Wyciągnął swoją z pokrowca przy pasku.

Wszystko zlewało się w jeden ogłuszający grzmot. Strzały, warkot silników.

Amerykanin wynurzył się z za osłony, wybrał cel. Gość tam wysoko nie zdołał się schować. Trzy szybkie pociski. Chyba dostał, ale pewności nie było.

W słuchawce usłyszał komunikat.

– Man down!

Celta aż zakłuło w piersi.

Znów wybrał cel. Coś poruszyło się przed domem, gdzie parkowało kilka zielonych terenówek.

„Swoją czy obcy?”.

– Ktoś się rusza pod domem – posłał wiadomość. – Osłaniajcie.

Ruszył biegiem, kuląc się między osłonami i czując podświadomie, że ściąga na siebie ogień.

Metaliczne trzaski i iskry. Pojedyncze kule rwały karoserie z głuchym odgłosem.

Celt złapał karabinek w jedną rękę. Podczołgał się. Między autami leżał jakiś grubawy facet

w osmolonym ubraniu. Podniósł przerażone oczy. Był spocony, czerwony i oblepiony ziemią. Dygotał. Kiedy ujrzał uzbrojonego człowieka, zastygł i prawie rzucił się pod samochód.

– Okej, spokojnie. – Tylko to przyszło Celtowi do głowy.

Wyciągnął rękę na znak, że chce pomóc.

Grubas chwilę się wahał. Spojrzał przez ramię i to chyba wystarczyło. Chciał wiać jak najdalej. Wystrzelił jak z procy i ignorując komandosa, jakby ten zrobił się przezroczysty, pognął przed siebie. Celta zamurowało. Patrzył, jak cywil niknie w dymie.

– Pierdolić to – powiedział cicho, kręcąc głową, i wyrzwał ponad zabytkowe pojazdy.

Patrzył krótko na oświetlany ogniem i smugowymi pociskami dom. Płomienie schodziły coraz niżej, wzierając językami z każdego nawet najmniejszego otworu. Coś w środku zaczęło pykać tłumionymi przez ściany wybuchami.

– Do wszystkich. Wycofać się sto metrów od domu. – Zawahał się. – Sto metrów co najmniej!

– Zrozumiałem. Wykonuję. – Potwierdzenia nie były entuzjastyczne.

Drużyny cofały się, ciągle się osłaniając i posyłając krótkie serie do wciąż jakimś cudem żywych obrońców.

Celt kucnął przy sośnie obok asfaltu. Nie było tu zbyt bezpiecznie, ale przynajmniej miał dobry widok. Teraz przez hałas przebijały się dalekie odgłosy syren policji albo karettek. Nie zwracał na nie uwagi.

– Zielony Jeden – wydyszał do mikrofonu. – Rozwał ich. Nie mają nikogo.

Musiał podjąć decyzję. Nie było już czasu na zabawę.

– Przyjąłem – padła krótka odpowiedź.

Od zatoki przebił się metaliczny odgłos. Długi, miarowy. Potem krótkie pyknięcia, trzask szyb i wybijanego gruzu. Zwielokrotniły się niesione echem wybuchy rakiet, a potem nastąpiła chwila ciszy.

Gdzieś wysoko maszyna weszła na obroty.

– Spokój – usłyszał meldunek – albo szczury zeszyły niżej.

– Dziękuję. – Celt mocniej schwytał swój M4. – Do całości: wchodzimy.

*

Paweł Graczyk, wysoki blondyn o potarganych włosach, odziany w brudny roboczy strój przysłonięty kamizelką z napisem „pirotechnik”, patrzył z rozdziawionymi ustami na teatr, jaki rozgrywał się przed jego oczami.

Kolos, wielkości jak się zdawało autobusu, tylko że ze śmigłami, rósł w oczach, nadlatując nad wzgórze. Z hukiem przewalił się ponad płaskowyżem, kładąc się na bok. Pawłowi zdawało się, że piloci do niego machają, ale nie potrafił odczytać tych gestów.

Helikopter przeciął powietrze tak nisko, że aż podniosła się chmura kurzu, i wleciał ponad wierzchołki drzew. Zawisł na moment, obrócił się i zawrócił. Szybciej i z większym wyciem silnika. Celował nosem gdzieś w las, tam gdzie Wódka miał swoją karawanę.

Pirotechnik wyciągnął telefon. Miał złe przeczucia, nie wiedział, co się dzieje, i jak zawsze o wszystkim dowiadywał się ostatni. Zresztą był tu tylko on i jego pomocnik, teraz też zapatrzony w ten podniebny balet.

Paweł wybrał numer. Sygnał jeden, drugi i pod nosem śmigłowca, który raptownie zawisł w miejscu, błysnął ogień. Szczęknięcie dobiegło po chwili. Długie smugi poleciały między sosny, jedna za drugą, łamiąc z trzaskiem gałęzie i wyrzucając w górę fragmenty poszycia.

Pirotechnicy padli z krzykiem na ziemię, kryjąc głowy. Paweł jeszcze próbował dzwonić, ale Wódka nie odbierała.

– Co tu się, kurwa, wyrabia! – zawył, wystraszony nie na żarty.

Uszy prawie rozsadził mu huk wybuchu, w głowie zaszumiało. Zabrakło tlenu i ziemia drgnęła, a Pawłowi zdawało się, że poleciał w górę na kilkadziesiąt centymetrów. Fala gorąca uderzyła chwilę później, syjąc kamykami, piachem i drobinami z potrzaskanych drzew. Na ciele poczuł kilka ukłuć. W lesie rosła czerwona kula ognia, szybko przechodząc w czarny grzyb.

Znów nadszedł wstrząs. W górę wyleciał kawał ogrodzenia, jakieś kanistry i skrzynki. Płonące deski i pucinanane gałęzie rozlatywały się wkoło, tnąc namioty. Maszyna wyrwała w przód, jakby pilota przeraziło i przerosło to, co nawyrabiał. Zaświszczało. Wybuchała jakaś amunicja, naboje.

Wielki płonący kawał sosny wyleciał wysoko i zaraz poszybował ku ziemi. Paweł patrzył przerażony, jak bela drewna pędzi ku ich busowi. Chwila i trzask. Pień wpadł przez szybę. Graczyk nawet chciał biec, ratować auto, ale ogień rozszedł się zbyt szybko.

– Spierdalamy! – krzyknął i poderwał się z ziemi.

Wiedział, co zaraz się stanie. I nie chciał być w pobliżu. Pociągnął kolegę za rękaw tak, że prawie mu go urwał, i jak oszalali popędzili w dół zbocza, zatrzymując się dopiero w wąskim rowie odwadniającym.

Prócz tego czegoś, co uleciało w niebo od pocisków śmigłowca, teraz zaczęło się dziać coś jeszcze. Reakcja łańcuchowa...

Helikopter robił właśnie oblot, szukając ostatnich zagrożeń, kiedy wystrzeliły dziesiątki kilogramów materiałów wybuchowych w płonącym busie. Palące się resztki ładunków pirotechnicznych rozprysły się, padając na pole inscenizacji i przygotowane do pokazu fajerwerków skrzyżnie. Na efekt nie trzeba było długo czekać. Szczyt góry ożył kolorowymi pióropuszcami latających bez ładunku i składu rac oraz rakiet. Zrobił się przy tym taki łoskot, jakby wybuchła bomba atomowa.

Mi-24 ledwo uleciał, ścigany i otrząskiwany iskrowymi ładunkami oraz dziesiątkami mniejszych i większych odłamków, i zniknął w obłoku dymu.

Paweł podniósł ostrożnie głowę. Otarł unurzaną w błocie twarz. Dyszał świszczącym oddechem, serce chciało wyrwać mu żebra, ale nawet zdobył się na uśmiech.

Wzgórze zostało zasłonięte wielkim chmurzyskiem i szarobrunatnym słupem ziemi oraz cementu, którym podsypywano ładunki. Wkoło płonęły drzewa i ostatnie samochody, a z namiotów zostały tylko tłące się stelaże.

Takiego pokazu jeszcze w tej firmie nie mieli.

*

Daleko nad kompleksem lasów, ciągnących się wzdłuż całego Trójmiasta, urosła wielka szara chmura. Trzask eksplozji z trudem przebił się przez kakofonię wiropłata.

Obraz był imponujący i straszny zarazem. Wiatr rozwiewał wolno obłok, strzępiąc go tylko i roznosząc daleko. W dole, gdzieś na wysokości czubków drzew, przemykał wolno cień śmigłowca. Odlatywał w przeciwną stronę.

Adam spojrzał na dowódcę, szukając wytłumaczenia. Zaczął żałować, że znalazł się w tym miejscu.

Twarcą Zydelskiego stężała. Wpatrzył się w jeden punkt, a potem posłał dziwne, wystraszone spojrzenie siedzącym najbliżej wojskowym.

Adam dałby wiele, żeby dowiedzieć się, o co chodzi.

Zydelski przyłożył mikrofon do ust i zaczął coś miarowo tłumaczyć. Adam próbował czytać z ruchu warg, ale Krzysiek ścisnął urządzenie tak, że nie można było niczego dojrzeć.

Oficer znów wpatrzył się w ekran niewielkiego płaskiego komputera. Mówił coś, pokazywał Musze i swoim kompanom. Wydobył z kieszeni jasną cienką kominiarkę i nałożył na głowę. Maszyna wyrwała w górę.

Zydelski dźwignął się z miejsca, łapiąc się, czego popadnie, żeby nie upaść, i pochylił się nad Thomalem.

– Sam chciałeś! – wydarł mu się do ucha, najgłośniejszym jak potrafił. – Straciliśmy dwie maszyny!

Zabrzmiało to niemal surrealistycznie.

– Jedną nad Helem, druga oberwała jakimiś śmieciami po łopatach! – krzyczał dalej Zydelski. – Nie mamy osłony! Ale i tak tych chujów trzeba zatrzymać. Widziałeś tę chmurę? – Skinął za okno. – Cholera wie, co tam mieli i co wiozą. Zejdziemy na linach.

Panika na twarzy Adama musiała być dobrze widoczna.

– Nie umiesz? Trudno – rzucił kapitan z nutą słodkiej satysfakcji. – Trzymaj się mnie. Na ziemi idziesz z tyłu... Masz kłamekę. – Sięgnął do boku, odczepiając kaburę z Glockiem. – Wskażesz Malinowskiego, jeśli go zobaczysz. Resztą zajmujemy się my...

*

Korki, które zatkały prawie wszystkie główne arterie po wydarzeniach na obwodnicy i alarmach w Gdańsku, spowalniały skutecznie. Do tego doszły wieści o dziwnych, niezrozumiałych dla większości żurnalistów wydarzeniach na półwyspie.

Kawalkada majora Nikonina wlokła się od kilku kilometrów. O wiele za długo.

Boss popatrzył na zegarek i zaklął bezgłośnie pod nosem. Złapał przytwierdzony do szyby GPS i nerwowo zaczął przeszukiwać okolicę, jakby to w ogóle miało coś zmienić.

Powiódł wzrokiem po zapchanych pasach. Popełnił błąd i był na siebie wściekły. Trudno, stało się. Nie odskoczyli dostatecznie daleko. Spokój sprzed kilku chwil, to wspaniałe poczucie wyzwolenia, zniknął prędko. Pojawiły się obawy i nerwowe drżenie kolan. Było jasne, że po tym, co miało się zaraz zdarzyć, cała ta fala samochodów jeszcze wzbierze i będzie tylko trudniej.

„Przynajmniej w tłum się wmieszaliśmy”, uśmiechnął się w duchu do siebie, odrzucając niewidzialny paproszek z czarnej koszulki MAR-SECURITY. Huk nadleciał niespodziewanie.

– Co jest, kurwa?! – Szofer wystawił głowę za uchyloną szybę.

Nikonin popatrzył po swoich. Pobledli i pokręcili głowami.

Rzut oka na zegarek. Było blisko, ale mieli jeszcze czas. Mechanizmy czasem się psuły, jednak nie do tego stopnia.

„Spierdoliło się?”, majora dopadła pierwsza obawa.

– Wielki, do chuja, co to mogło...? – próbował wykrztusić pytanie do radia.

Utonęło ono jednak w nadchodzącym od północy tętnie wirników. Więcej nie trzeba było. Najgłupszy by zrozumiał.

Nikonin poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

„Jak to?”, instynkt ciągle nie dawał za wygraną. „Nie mogli, przecież nie wiedzą”, kołatało mu się po głowie.

Kilka głębokich wdechów. Pomogło.

„Nie, nie wiedzą”. Zaraz jednak pojawiła się kolejna myśl: „Ptasznik i jego ludzie? Kombi-

nowali?”.

Wściekł się, że Arlowow mógł mieć rację. Branie obcych zawsze było ryzykowne.

– Spokojnie, szefie. – Głos szofera brzmiał jak ze studni.

Rzut oka. Młody się uśmiechał.

– Przeskoczmy kilka światła. Tu jest skrót. Cały ten kurort objedziemy, a potem odbijemy, żeby nie pchać się do centrum Gdańska. Wylecimy na południową obwodnicę i potem... – Zgasił uśmiech. – Jeśli pan pozwoli.

Chwila zawahania. Nikonin popatrzył w lusterko na swoich. Jak zawsze zdawali się na niego.

„Czemu teraz?”, pojawiło się podejrzenie.

Nikonin otaksował chłopaka. Z tyłu, wysoko, narastał dźwięk silników.

„Nic nie wie. Ma prowadzić. A jeśli oni wszyscy...?”, znów płatanina domysłów.

Długo się wahał, nie odwracając głowy od szofera, któremu chyba robiło się gorąco od tego spojrzenia. Ryzyko było wkalkulowane w tę misję, nie miał czasu dłużej oceniać.

– Dobra, jedź! – rozkazał Nikonin, wskazując na drogę.

„Nie wiedzą, to niemożliwe”, jeszcze raz dodał sobie otuchy.

*

Każda podróż kiedyś się kończy.

Kilkanaście kilometrów przed nasadą półwyspu nawet poboczne się zakorkowało. Cegła nie był jedynym, który wpadł na taki pomysł ratowania skóry. Teraz także inni kierowcy zbili się w jeden ciąg obstawiający wąski pasek ścieżki nad morzem. Jednak tylko on zdobył się na to, by staranować kilka ogrodzeń prawie pustych kempingów i obozów żeglarskich, które wyrosły mu na drodze.

W oddali migwały niebieskie światła. Trudno było dostrzec, czy to straż, czy karetki, które nie mogą się przebić w stronę rosnącego obłoku dymu, czy też policja próbująca opanować ten jeden wielki bałagan.

Cegła sięgnął po telefon. Wykręcił numer Bossa. Kilka sygnałów i nic.

– Kurwa wasza mać – warknął, rzucił aparatem na siedzenie i przywalił pięścią w deskę rozdzielczą.

Musiał myśleć szybko. Nikt go nie ścigał. Miejscowi, jeśli nawet widzieli, jak rozjeżdżał płyty, mieli teraz co innego do roboty.

Otworzył okno. Oprócz klaksonów i pracujących silników aut docierał do niego jeszcze warkot helikopterów. Spojrzał na połyskującą w słońcu zatokę. Teraz było ich więcej. Wcześniej, zajęty ucieczką, tego nie spostrzegł. Małe punkciki krążyły nad wodą i nie sposób było się dopatrzyć, czy to wojsko, policja, czy lotnicze pogotowie.

– No, Ibram, narobiłeś kłopotów – westchnął, pełen szczerzego podziwu.

Ale to i tak na niewiele mu się teraz przydawało.

Znów popatrzył na telefon, rozważając, czy nie wybrać jeszcze jednego numeru. Zrezygnował. Tam też mieli niewesoło. Musiał działać sam, jak go szkolono i przygotowano.

Wyszedł z auta. Było ciepło. Zrzucił bluzę. Przetrzęsnał tył wozu. Znalazł jakąś kurtkę. Zielona, militarna, ale bardziej współczesna. Tylko butów innych nie było. Trudno. Postanowił, że później będzie się tym martwić.

Zabrał telefon. W spodniach schował portfel. Estońskie papiery, trochę polskiej gotówki i euro. Powinno starczyć. Przypomniał sobie adres. Chyba niczego nie pokreślił. Za paskiem miał pistolet. Kilka magazynków upchał w kurtce. Jeszcze się rozejrzał i ruszył prędko w stronę Wła-

dysławowa, myśląc, jak tu szybko zmienić buty na bardziej wygodne.

*

– Skręcają – rzucił Zydelski do mikrofonu. – W prawo, pod górę, bliżej lasu.

Dron był cudownym wynalazkiem. Operator perfekcyjnie wiódł za uciekinierami obiektywem.

– Mają nieco luźniej – spokojnie oznajmił pilot i zrobił delikatny zwrot maszyny. – Decyzja?! – Kilka lat doświadczeń w eskadrze specjalnej pozwalało mu ostrożnie wymuszać postanowienia.

Krzysztof gryzł się z myślami. Przelatywały jedna po drugiej. Zmienił częstotliwość. Przez chwilę szybko i sprawnie referował.

Adam patrzył jak zaczarowany przez okno, szykując się do tego, co miało nastąpić. Cokolwiek by to nie było.

– Dobra, przyjąłem. – Jakiś grymas ulgi przemknął po twarzy kapitana, kiedy skończył rozmowę.

Milczał chwilę, wpatrzony w widok za otwartą rampą. Na rozmyty już teraz dym.

– Kończymy – oświadczył krótko. – Po tym głównie, które odpalili, nie można ryzykować.

Nie on za to wszystko odpowiadał. Bogu dzięki za zwierzchność. Za elektroniczną mapę też można było być wdzięcznym. Zydelski przeglądał ją prędko, ale nie miał pomysłu. Zero, null, nic.

– Pokaz siły, trudno – wykrztusił tylko. – Kot Jeden do Kota Dwa, podchodzę od czoła – rzucił w eter. – Może zrozumieją. Jeśli nie, na początek pojedynczym, w silnik.

Strzelcy potwierdzili, odbezpieczając swoje PK.

– Nie mamy osłony... – Zydelski ciągnął dalej – ...więc uważać. I, na Boga, ostrożnie z cywilami. Widzicie, co się dzieje pod nami.

Adam słuchał w napięciu. Błyskały mu jakieś myśli, żeby poczekać, ściągnąć więcej ludzi, ale nie miał ochoty się odzywać. Czuł tylko, że to ryzykowna gra i nie ma czasu na nic.

*

Cegła przeszedł około pięciuset metrów, mijając wściekłych ludzi, którzy psioczyli, siedząc w swoich autach.

Śmigłowce robiły coraz szersze kręgi i co chwila jakaś maszyna przemykała nad zaturem. Po każdym takim nalocie Cegła przyspieszał i coraz mniej bezceremonialnie przeciskał się między grupkami uciekających.

Na poboczu stały połyskujące kogutami auta. Dwie karetki i radiowóz. Dalej znajdował się jeszcze jeden samochód. Cywilne kombi, jednak można się było domyślić, kto nim jeździ.

W ambulansach podenerwowani ratownicy kręcili się, patrząc na dymy, chyba wściekli, że nie mogą przebić się przez ten potok.

Cegła postawił kołnierz kurtki.

Gliniarze wyposażeni byli w hełmy i broń długą. Jeden stał na szosie opodal stacji benzynowej, był spocony, wystraszony i najwyraźniej zupełnie nieprzywykły do takich sytuacji. Poganiał tylko ludzi, wydając im ciche i nieśmiałe polecenia. Drugi został przy samochodzie, ściskając karabinek, pocziwego AKMS-a, jakby miał go pierwszy raz w życiu w rękach. Był nie mniej wystraszony niż kolega. Dla utrzymania pozorów lub dla dodania sobie wigoru rzucał w kierunku aut groźne spojrzenia.

Cegła, wbrew podpowiedziom instynktu, zwolnił. Tak go wytrenowano. Miał zwracać na siebie jak najmniej uwagi. A nic tak nie przyciąga ludzkiego spojrzenia jak gwałtowny i szybki ruch. Przemknął w sporej odległości od mundurowych, kryjąc się w cieniu kilku drzew, zza których przebłyskiwała woda.

– Mamo! – usłyszał nagle z boku, ale nie zareagował. – Pan żołnierz! – krzyknęła jakaś dziewczynka, chyba znudzona widokiem za szybą nagrzanego samochodu.

Cegła przyspieszył.

„Cholerne buty”, pomyślał, łypiąc na trepy i zielone, charakterystyczne portki.

Blondyneczka z kucykami machała do niego, stojąc w otwartym oknie vana i nie przestając krzyczeć.

Wydużył krok, jednocześnie czując na sobie coraz więcej spojrzeń.

Dwaj ospali panowie w kombi nagle się obudzili. Widzieli, obserwowali.

Cegle zaszumiło w głowie. Krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach, a emocje wzięły górę. Powoli dopadała go panika. Spojrzał w lewo. Nic, woda, żadnych szans. Iść w prawo, w stronę stacji benzynowej, mijając mundurowych? Bez sensu. Jeden z mężczyzn w kombi wysiadł. Drugi zaczął nadawać coś przez radio. Począł, rzucił kilka słów do kolegi i zaraz doleciało do Cegły stanowcze:

– Halo! Proszę się zatrzymać!

Słychać było huk nadlatującego śmigłowca.

Cegła gorączkowo myślał, czym podpadł. Przecież takich jak on musiało tu się przewalić dziesiątki – ta cała spanikowana armia od Wódki i jego kompanii. Na pierwszy strzał wyrwali pierwsi... A jeśli nie? Jeśli rozbiegli się po lasach, a on dołączył tu jak ten kretyn, zapominając o tym, że ktokolwiek zaatakował willę, kazał też zapewne łapać ubranych tak jak on?

– Stój, policja! – ostre wezwanie wyrwało go z rozmyślań.

Wyprostował się. Uniósł oczy ku niebu. Zaryzykował. Reszta była odruchem.

Lewa dłoń delikatnie odsunęła połę kurtki. Słyszał ostrożne kroki. Przełknął ślinę. Złapał rękojeść pistoletu. Momentalnie przeładował i zanim gliniarz za jego plecami zdołał pomyśleć, obrócił się ku niemu. Zobaczył strach w oczach przeciwnika. Wyciągnął ręce. Ułamek sekundy później strzelił raz, a potem drugi.

Policjant padł. Kula chyba poradziła sobie z kamizelką, bo przez ciało gliniarza przebiegł nerwowy skurcz, a po ziemi i niebie poszła niekontrolowana seria.

Od strony radiowozu rozległa się istna palba.

Cegła jeszcze próbował walczyć. Poczł mocne uderzenie i poleciał na wznak. Nie poczuł bólu, tylko oszołomienie. Błękitne niebo zasłonił mu jakiś cień.

*

– Spokój! – Nikonin warczał do radia, uciszając potok pytań Ptasznika. – Nic nie wiemy.

Zjechali z głównego traktu łączącego trzy miasta. Ruch na ulicy Armii Krajowej rzeczywiście wydawał się płynniejszy, choć aut było i tak sporo. Toczyli się zwartą kolumną, pilnując, żeby nikt nie wcisnął się pomiędzy nich. Popędzili pod górę, między drzewa. Minęli jakieś nowe osiedle, potem rondo tuż obok dużego gmachu uczelni. Tu było więcej przestrzeni. Dalej ciągnęła się wąska ulica. Wirniki śmigłowca ucichły, ginąc gdzieś daleko poza drzewami porastającymi wzgórze.

Major nie był naiwny, ale przez ułamek sekundy myślał, że już po wszystkim.

Łoskot tnących powietrze łopat połączony z uderzeniem stalowego grzmotu rozlał się pomię-

dzy wzgórzami Górnego Sopotu nagle, niespodzianie, jakby wszystkie zmysły zniecka ożyły. Echo jeszcze spotęgowało i tak porażający efekt.

Szofer terenowego terrano prawie przykleił się do kierownicy, usiłując dojrzeć przez szybę, co się dzieje. Oczy zrobiły mu się wielkie jak złote rublówki.

Nad gmachem wydziału ekonomii pojawił się ogromny helikopter. Sunął bokiem, płosząc ptaki i strząsając liście. Gdzieś dudnił kolejny, jeszcze niewidoczny.

– Jedź, nie gap się! – Szofer chyba nie rozumiał sytuacji.

Przyśpieszył, ciągle zafascynowany widowiskiem. Omijając wlekącą się kawalkadę, wjechał na krawężnik. Reszta kolumny poszła za jego przykładem, ścigana klaksonami.

– Szybciej! – Nikonin odwrócił ku niemu twarz, warcząc jak wściekły i strzykając śliną.

Ci z tyłu też się spięli, nerwowo wodząc dłońmi po trzymanej nisko za fotelem broni.

– Szybciej, kurwa mać!

Nie zdzierzył. Wymierzył solidnego kuksańca młodemu blondynowi, a kiedy ten nie zrozumiał, złapał kierownicę i skręcił ją w lewo.

– Ej, spokojnie! – Młody zląkł się, kiedy samochód zachybotał i wpadł na jakiś znak.

Opanował go i popędził lewym pasem. Pod prąd. Minikonwój zbliżał się do jakiegoś parku.

– Dawaj, dawaj! – Nikonin zaczął wołać po rosyjsku.

Szofer wdusił gaz, międląc jakieś bluzgi pod nosem.

Mi-17 był jednak znacznie szybszy. Major spojrział przed siebie i już wiedział, co tamci planują. Przeszedł go lodowaty dreszcz.

Rondo nie było wielkie. Pośrodku stał klomb z jakimś znakiem. Wkoło było ciasno. Z ziemi wyrastały wiekowe kamienice.

– Tu nas będą...! – Nie wiadomo, czy major krzyczał do siebie, czy do reszty.

Rumor wielkich motorów stał się dokuczliwie nieznośny i śmigłowiec zastygł nad skrzyżowaniem.

– Jest drugi! – krzyknął Diabeł, wychylając się przez okno.

– Nas gonią? – Do młodzieńca za kółkiem rzeczywistość docierała ze sporymi oporami.

Nieświadomie zwolnił. Znów dostał cios od Nikonina. Mocniejszy. I jeszcze poprawka.

Śmigłowiec zdawał się zniżać. Major gapił się jak zahipnotyzowany w czarną pancerną osłonę w bocznych drzwiach. Już widział ten błysk z lufy, kule grzechoczące o karoserię.

– W lewo! Kręć w lewo!

Ułamki sekund zdawały mu się godzinami.

Wyszarpał z kabury pistolet i dla pewności, że jego polecenia będą zrozumiałe, wcisnął gnoj-kowi za kierownicą lufę w bok.

– Szykować się! – rzucił do reszty.

Teraz nad niczym już nie panował. Bał się.

Wpadli na rondo, zmuszając nieliczne auta jadące w przeciwną stronę, by wiały na chodniki. Pomknęli w lewo, w dół, wąską zadrzewioną ulicą. Jakaś grupa ludzi ledwo odskoczyła z zebry. Nikonin nie wiedział, co robić, gdzie uciekać. Było jasne, że wszystko się sypie.

„Ale jak?“, głowił się, szukając odpowiedzi.

Kolejne światła. Skrzyżowanie. Główna ulica. Niepodległości, Sikorskiego, podjazd. Z deszczu pod rynnę. Korek od Gdyni po Gdańsk. To, co mieli nadzieję ominąć.

*

Sebastian usłyszał nagle ryk klaksonów i warkot silników. Był coraz bliżej i coraz głośnie-

szy. Obrócił twarz w tym kierunku. Jeszcze zdążył tylko pomyśleć: „Jaka szkoda, że nie zobaczą mola...”.

*

Grupa Nikonina wpadła między dwa turystyczne busiki. Bluzgi odgrających się kierowców pomieszały się z krzykiem pasażerów.

Major wyciągnął przez okno rękę z bronią. Jego surowe spojrzenie i zimna stal pistoletu przed oczami ostudziła zapał ludzi. Zmyli się prędko, zostawiając ten cały bałagan powgniatanego metalu i rozrzuconego szkła.

Stary znajomy, Mi-17, nie dał długo na siebie czekać. Wypadł sponad dachów jak wielkie zgłodniałe ptaszysko. Ryk stał się jeszcze głośniejszy.

– Co robimy? – Blondyn kręcił głową, w rozpacz szukał, któredy mógłby uciekać.

– Wal na wprost! – Nikonin lufą wskazał najbliższą ulicę schodzącą w dół sporym łukiem. – Reszta siedzieć! – rzucił do radia.

Młody wrzucił bieg. Nie usłyszeli strzału, ale nagle coś stuknęło o maskę, pojawiły się trzy dziury i zaczęło dymić.

– Kurwa mać! – Kierowca zawył i wyprostował się, jakby też dostał. Nikonin sądził przez chwilę, że tak rzeczywiście jest. – Pierdołę, nie mam zamiaru dać się zabić – wycharczał młody i złapał za klamkę.

– Nie! – Major próbował go powstrzymać, ale nie zdążył.

Chłopak wyskoczył na zewnątrz i nawet chyba usiłował podnieść rękę do góry. Tamci w śmigłowcu reagowali jednak szybko.

Młodym wstrząsnęło i padł jak długi.

– Patrz. – Major poczuł klepięcie w ramię.

Z maszyny przed nimi zrzucono dwie grube liny.

– Złazą tu – sapnął Diabeł.

W żyłach Nikonina zagotowało się od adrenaliny. Zaczynał działać automatycznie.

– Dymy. Mamy coś?! – zadał nerwowe pytanie. – Rzucać! – Jego głos poleciał w eter.

Nie miał zamiaru dać się pojmać jak frajer. W głowie pojawiła mu się wizja celi. Nie! Nie bez walki!

Stukot stalowych cylindrów nie przebił się przez ten cały rozgardiasz, ale białe obłoczki szybko rozchodziły się w okolicy, przemieniając się w mgłę. Ludzie w autach, sterczący w korku jak widzowie w kinie i obserwujący całe to show, chyba dopiero teraz pojęli, co się dzieje. Wy-skakiwali z samochodów i gnali jak najdalej od dymu, pewni, że to pożar i płomień dosięgnie także ich.

W dwie sekundy powstało spore zamieszanie.

– Przebijać się! Łapać inne auta i wiać! Adres bez zmian! – krzyknął Nikonin, dostrzegając niespodziewaną szansę. – Naprzód! – polecił jeszcze głośniej.

Dym gnany siłą wirników rozchodził się szybko po okolicy. Mieli dosłownie chwilę. Tamci widzieli niewiele...

*

Adam czuł, jak drżą mu nogi. Maszyna wisiała w powietrzu, ale wibrowała tak jak i on. Szedł przedostatni. Za nim był jeszcze Zydelski. W dole chaos. Dym, korek, porozbijane auta.

Dali mu jakieś rękawice. Patrzył uważnie, jak ci przed nim rzucają się w dół, w to rozlewają-

ce się mleko.

Nadeszła jego kolej. Z dołu przebijały się pierwsze strzały. Pod sercem coś go ukłuło. Zydelski pchnął go do przodu. Adam złapał linę i objął ją nogami. Wydawało mu się, że leci za szybko. Próbował hamować. Niewiele pomogło. Uderzył o asfalt, nie miał jednak czasu sprawdzić, czy jest cały.

Tu było nie mniej głośno jak u góry. Ucieszył się, że przeżył, ale w tej samej chwili jakaś kula świsnęła mu nad głową. Uskoczył za najbliższy porzucony wóz. Drugi rykoszet poszedł w szyby.

Ludzie Zydelskiego rozproszyli się, szukając kryjówek. Puszczali krótkie serie w na wpół zamglone cele. Daleko, od strony Gdyni, z drugiego Mi-17 też wychodził desant.

Adam podniósł głowę. Zydelski też już schodził w dół.

– Uważaj! – krzyknął, dając jakiś znak Adamowi, i zaraz od śmigłowca odpadły liny.

Jedna poleciała bokiem i zawisła na trakcji elektrycznej. Zeszli na ziemię w wąskiej szczeliny między dwoma liniami dla trolejbusów. Pilot i załoga musieli być mistrzami. Adamowi za to zrobiło się niedobrze na samą myśl, co by było, gdyby nie wycelował, jak należy.

*

Ludzie Nikonina sprawnie utworzyli perymetr koło samochodów. Ostrzeliwali się, prędko zajmując inną pozycję, żeby ci na górze, snajperzy i celowniczy PK, nie mogli ich zbyt łatwo namierzać.

Major wiedział, że długo tak nie wytrzymają. Jeszcze jeden granat, więcej dymu, ale tylko na chwilę.

Nikonin pognał do pierwszego z brzegu busa. Znów w jego głowie pojawiły się te same pytania i wątpliwości co poprzednio: „Jak? Dlaczego?”

Otworzył drzwi. Tak jak przypuszczał, Ptasznik i Malinowski kryli się, wciśnięci za fotele, z bronią w rękach. Prawie zastrzelili Rosjanina.

Grubas pocił się, jedną ręką mocno ściskając metalową, przysypaną pyłem walizkę.

– Nie dam! – krzyknął piskliwie.

– Gdzie reszta?!

Nikonin nie bał się go wcale. Nie miał czasu na gadanie. Kilka pocisków brzęknęło o sufit i obaj Polacy jeszcze bardziej się skulili.

– Gdzie walizki?! – powtórzył.

– Gdzie? Kurwa, z tyłu. – Ptasznik tym razem nawet nie podniósł głowy.

Nikonin nie czekał. Wyskoczył z samochodu, pognał na tył i otworzył drzwi. Dwa zielone metalowe kufry były na wyciągnięcie ręki. Ostatni zapewne w drugim busie.

Major uświadomił sobie, że tak naprawdę nigdy ich nie otworzył. Nie wiedział, po co właściwie to wszystko. Nie miał jednak czasu. Chwycił dwie leżące obok walizki i rzucił przez ramię ostatnie smutne spojrzenie na zielone skrzynie.

*

Wielki dyszał. Bardziej z podniecenia niż ze strachu czy zmęczenia. Przycupnął przy nadkolu jakiejś limuzyny, której właściciel najprawdopodobniej spędzał weekend nad morzem, a teraz pognał za węgiel jak dziesiątki innych.

Podpiął kolejny magazynek do swojego M4. Amerykańska, krótka i nieco za lekka broń, ale musiała się sprawdzić.

Wyjrzał zza maski. Posłał trzy strzały przed siebie, w ukrytego przeciwnika. Potem kilka w śmigłowiec, który jakby zastygł w powietrzu. Wiatr oraz pęd wirników już prawie do końca rozwiewały dymy.

– Idą z prawej – usłyszał komunikat jednego z Czeczenów, przysadzistego, ciągle w tym historycznym mundurku, tylko z narzuconą nań kamizelką z ładownicami.

Ogień poszedł w stary ceglany budynek, a zaraz potem w wiatę przystanku. Jakieś szybkie mignięcia. Kilka sylwetek biegło na pobliskie podwórko. Któraś upadła. Zaraz odezwała się palba z tamtego kierunku. Szkło posypało się na asfalt. Słychać było teraz tylko mieszaną stukotu miedzianych łusek i głuchych puknięć szybkich serii.

Ktoś jęknął. Czeczen padł na ziemię, krzycząc coś niezrozumiale. Dostał nie on, ale jego towarzysz.

– Harpun! – wyrwało się Wielkiemu.

Przystawił mocniej kolbę do ramienia. Docierało do niego, że w takim szambie jeszcze nie był. Przypadł znów do ziemi. Nie można było pojawiać się w tym samym miejscu dwa razy. Tu liczyła się zwinność.

Zbierał myśli. Czeczen obok wyprostował się, ryzykując życie. Anton wiedział, co teraz nastąpi. Krótkie puknięcie granatnika pod lufą. Na podwórku podniósł się obłok kurzu i posypały odłamki cegieł pomieszane ze szkłem. Facet załadował szybko i sprawnie. Brał na cel Mi-17.

Wielkiemu przyszło do głowy, że powinien jakoś go osłonić. Zostały mu tylko odłamkowe granaty. Wychylił się zza osłony i pociągnął za spust, ale jego kule nie potrafiły zaszkodzić powietrznej bestii.

Z drzwi maszyny, osłoniętych pancierzem, bluznął ogień. Świecąca linia strzałów poszła po karoseriach kilku samochodów. Wielki poczuł w nozdrzach smród palonego metalu. Odskoczył, rzucając się na ziemię.

Spojrzał za siebie. Czeczen osuwał się na plecy. Z głowy został mu jakiś krwawy strzęp.

Ci w helikopterze musieli dostać jakieś polecenie albo zaczęli się niecierpliwić. Maszyna zrobiła zwrot i znów poszła seria po autach. Tym razem dłuższa. Gdzieś za plecami coś syknęło. Błysnął ogień. Drugi z busów właśnie zajmował się płomieniami.

Kapitan Olegin podpełzł do Czeczena, puszczając krótkie serie, i wydarł z zakrwawionych ładownic ostatnie magazynki.

Jakaś silna dłoń złapała Antona za ramię i przydusiła do ziemi.

Boss.

– Co zrobić? – Nikonin wydał z siebie piskliwy dźwięk ledwo przypominający pytanie.

Miał spojrzeń szaleńca. Powieka lewego oka drgała mu w nerwowym tiku. W dłoniach dzierżył stalowe walizki i wiódł wzrokiem za ciemną bryłą maszyny, dygocząc przy kolejnych seriach.

– Jak twój wóz? – Nagle jakby otrząsnął się z szoku.

– Sprawny – powiedział Wielki.

Zanim zdążył dodać coś jeszcze, rozpętało się piekło.

Głuchy łoskot eksplozji rozszedł się między domami. Trafiony bus podskoczył, buchając z każdej szczeliny gejzerem ognia. Od czoła w dymie migają rosnące postacie atakujących ludzi. Któryś z bojców Nikonina nie wytrzymał i cisnął granat w napastników. Huknęło i posypały się odłamki. Siwy dym przysłonił na chwilę widok i znowu któryś samochód stanął w ogniu.

– Ruszaj! – krzyknął Nikonin.

Schyleni, szybkimi susami doskoczyli do terenowego bmw. Wielki włożył karabinek między

nogi i zapuścił silnik. Diabeł ostrzeliwał się zajadle, ciągle chyba przekonany, że tak ma być, że szef coś wymyśli. Matwiejew, Olegin i ostatni z zespołu Czeczen też ciągle kęsalili.

Z bocznej ulicy, skąd przyjechali, doleciały do nich drażniące odgłosy syren. Policja zamykała drogę. Któryś radiowóz zapędził się za daleko. Kilka serii w silnik i łupnął w sygnalizator świetlny. Gliniarze próbowali strzelać, ale zaraz stracili zapal.

– Dokąd?

– Tam, w las. – Major wskazał ręką kierunek.

Wielki wrzucił wsteczny i wycofał kilka metrów. Trafił w reflektor samochodu za nim. Przed sobą miał palące się wozy. W dymie dostrzegł jedną jedyną drogę.

Dodał gazu. Wyrwał z piskiem opon. Samochód wskoczył na wysoki krawężnik trochę za szybko. Karoseria otarła się o ścianę kamienicy, krzesząc iskry. Znow przyduślił gaz.

Nagle przed maską wyrósł Ptasznik. Machał rękami i krzyczał jak szaleniec. Anton odruchowo wcisnął hamulec.

– Co z nim?! – rzucił nerwowe pytanie do majora.

Zanim wściekły Nikonin zdołał cokolwiek powiedzieć, kule zagruchotały po dachu. Wielki syknął z bólu. Poczł ciepłą strużkę na ramieniu. Jak kiedyś.

Gruby, jeśli chciał, potrafił być szybki. Otworzył tylne drzwi i wskoczył do środka.

– Uciekaj! – zabrzmiało to niemal jak prośba.

Wielki docisnął pedał do podłogi. Silnik zawył. Popędzili chodnikiem, po drodze mijając jeszcze jakąś dwójkę. Chyba Malinowskiego i jakiegoś ochroniarza. Anton nie zwykł popełniać tego samego błędu dwa razy. Jeden uskoczył, drugi nie miał szczęścia.

Na rogu ulicy z lewej miał latarnię, z prawej schodki. Wbili się pomiędzy nie jak pocisk. Słup przeszorował drzwi i urwał lusterko. Wskoczyli na jezdnię wśród świstu kul. W oddali zamajaczył wolny przejazd.

*

– Walą tu! – Zydelski przeładowywał, kiedy ujrzał, że bokiem, przez dymy, pędzi czarne bmw.

Mucha skierował na auto lufę G-36, zapominając nagle o ludziach ciągle ostrzeliwujących się zza płataniny samochodów.

Z bocznego okna bluznęła seria wystrzałów. Rykoszety poniosło po szybach niedużego kiosku.

Adam w pierwszym odruchu schylił się. Nie pisał się na regularną wojnę.

Obszarpane bmw poderwało się, wskakując na chodnik.

Zydelski wysforował się w przód. Zastygł pochylony, głuchy na świst kul, i strzelał krótkimi seriami. Szyby pojazdu rozleciały się w drobne kryształki. Białe obłoczki pykały z przestrzelin. Samochód nie zwolnił jednak nawet na chwilę.

W Thomalu odezwał się instynkt. Sprawnym ruchem uniósł broń i pociągnął za spust.

Bmw tylko mignęło obok niego. Trafiło w kiosk, odbiło się, ukruszyło rant kamienicy i zygakując, ścigane rojem ołowiu, popędziło przed siebie. Ale nie ujechało daleko. Wbiło się w nieduży murek biegnący wzdłuż kolejnej przecznicy, zaraz przy nowoczesnym budynku hotelu.

Thomal strzelił jeszcze dwa razy i popędził w jego kierunku.

– Stój! – usłyszał krzyk Zydelskiego, ale nie zwrócił na niego uwagi.

Dotarł do celu. Przykucnął, chowając głowę w ramiona. Ręce trzymał prosto, ściskając w nich rozgrzanego Glocka. Silnik samochodu pracował, choć spod maski walił obłok dymu.

Ostrożnie obszedł auto od tyłu. Dwaj mężczyźni na przedzie nie ruszali się. Szofer leżał na kierownicy, pasażer opadł na fotel.

Z tyłu dostrzegł znajomą postać. Ptasznik. Żył. Adam szarpnął za klamkę. Przerazenie, jakie dostrzegł na obliczu pokrwawionego grubasa, trudno było opisać. Facet siedział przyciśnięty fotелеm, jak zwierzę w potrzasku. Kręcił głową, sapał, zalewając się potem, i rozpaczliwie próbował odsunąć zgniatające go siedzenie, obciążone dodatkowo ciałem kierowcy.

– Ty skurwysynu – wycharczał, widząc nad lufą twarz Thomala. – Kurwa... miałem rację, ja pierdołę... – syczał, jakby wściekłość dodawała mu sił. – A mówiłem im, żeby ciebie też zdępli... – z trudem łapał oddech – ...nie słuchali i teraz to...

Uniósł dłoń, a Adam szarpnął za spust, niemal nie myśląc o tym, co robi.

Ptasznik osunął się na kanapę. Z dłoni wypadł mu pistolet.

Thomal stał ciągle z wyciągniętą bronią, kiedy dobiegli do niego Zydelski i Mucha. Nie słyszał ani dogasających strzałów, ani syren, ani warkotu śmigłowców.

– Adam – usłyszał głos jak ze studni.

Zydelski złapał za lufę i mocno szarpnął, wyrywając Glocka z jego ręki.

– Miał broń. Albo ty, albo on... Albo ty, albo on – powtórzył głośniejsz.

*

Starzec gorączkował się. Wybrał po raz kolejny numer telefonu. Słuchawka najpierw odpowiedziała ciszą, a zaraz potem komunikatem, że abonent jest poza zasięgiem. W obitym skórą notesiku wynalazł jeszcze jeden rząd cyfr. Kilka sekund oczekiwania i też zawód. Wielki zawód. Nie wiedział niczego na pewno, ale wszystkie znaki na ziemi podpowiadały, że coś jest nie tak. Opadł na wygodny fotel ustawiony blisko sporego telewizora umieszczonego w pięknej, gustownej szafce z lakierowanego drewna. Nie słuchał słów komentatora, ale obrazki z Polski były interesujące. Przypominały zwyczajowy stan rzeczy na Zachodzie, gdzie ciągle przecież źle się działo.

Dymy, rozbite auta, zwłoki na ulicach, migające światła karetek. Zimny dreszcz przeszedł mu po kręgosłupie i poczuł wzbierającą w nim wściekłość. Zrozumiał, że jego plan się nie udał.

– Nie dali rady.

Jego, starego wyjadacza, trudno było oszukać. Dodawał dwa do dwóch. Arlwow, dawny podkomendny, zdolny oficer, miał robótkę w bliskiej zagranicy. Generał inaczej o dawnych sojusznikach nie mówił. To państwo ciągle przecież należało do nich.

Nie, Filip mu się nie spowiadał. Ostatnio w ogóle przestał się odzywać. Za to jego przełożeni, ci naprawdę wysoko, wspomnieli o swoich zamiarach.

W siwą głowę wlał się potok domysłów, obaw i lęku. Nie obchodziło go zupełnie, co mieli robić i jaki był ich cel. Jego interesowało tylko dziedzictwo, którego się domagał. Dla siebie i tylko dla siebie.

Odpędzał najgorszą myśl, ale ta z uporem powracała. Został sam. Trzeba było zaczynać od początku. Tylko z kim, kiedy i, co najważniejsze, za ile?

Rodzinie nie ufał. Zapatrzeni w pieniądze ignoranci bez cienia pasji. Jego uczniowie? Nie-wielu, ale działali dla idei. Czyżby? A może ze strachu? Nie chciał się dłużej nad tym zastanawiać. Poczuł lęk.

Przed nim było jeszcze parę lat życia i pragnął dokończyć to, co zaczął. Epokowe w jego mniemaniu dzieło. Ale to oznaczało nowy początek ... Nie był pewien, czy ma na niego siły.

Zrobiło mu się duszno. Rozpiął guzik kołnierza. Zaczął nerwowo przerzucać kartki. Linijki

pisma, numery, krótkie opisy.

Wstał i cisnął notesem w telewizor. ■

Epilog

Lipcowy dzień był upalny. Gorące powietrze rozlało się nad całym krajem. Nie padało od tygodni, było duszno i męcząco. Przyroda jakby nie potrafiła znaleźć balansu. Najpierw długa zima wiosna, a potem tropikalna aura.

Adam Thomal miał słoneczne mieszkanie – to lubił w nim najbardziej. Teraz jednak okna były zamknięte i zasłonięte, chroniąc przed żarem południa.

– Tak więc... – Adam wysilił się na uśmiech i podniósł pustą szklankę. Udał, że dopija nieistniejące krople. – Jeszcze piwa?

– Czemu nie? – Krzysiek skinął głową.

Też był spięty. Neutralne tematy prędko się skończyły, ale jakoś obydwaj nie mogli przejść do meritum. A przecież obaj wiedzieli, po co się spotkali.

Thomal podszedł do lodówki i chwilę trzymał w niej głowę, chłodząc rozgrzaną twarz. Nie był pewny, czy chce słuchać, tak jak Zydelski nie był pewny, czy chce mówić. Wrócił na kanapę i postawił przed kolegą kolejną Perłę. Sam też nalał sobie piwa.

Zydelski wziął spory haust. Westchnął, podziwiając bąbelki w szklance.

– Pojmano kilku ludzi. Pięciu moi zlikwidowali – padł suchy komunikat. – Widziałeś zresztą sam. Ale najważniejsi są dwaj. Pierwszy to Madźd Malegnietow, porucznik GRU, jak się okazało. Dorwali go po rozróbie na Helu. No i nasz pupilek. – Na chwilę zawiesił głos, jakby dla podniesienia napięcia. – Pan major Malinowski.

Adam słuchał, nie do końca przekonany, czy chce wiedzieć o wszystkim. Nie mylił się, los trzeba było kopnąć w tyłek, żeby zrobił się łaskawszy. Zapomnieć o morałach i działać.

Wprawdzie ścieżka ku zmianom okazała się inna, niż sobie wymyślił, ale doprowadziła go do celu. Gdyby był świadom... nie musiałby robić zupełnie nic. Przypomniał sobie pieniądze, które zobaczył w walizce Ptasznika. Był o krok, wtedy pod tą rudą...

– A co z...? – wykrztusił, sącząc piwo.

Zydelski uśmiechnął się. Pierwszy raz od przyjścia zachowywał się wreszcie swobodnie jak za dawnych czasów.

– Chodzi ci o teścia? – Przytyk, ale mało denerwujący.

Kapitan pochylił się i oparł łokcie na udach.

– Zrobił sobie kuku. – Przystawił palec do skroni. – Albo...

– ...Tamci mu zrobili.

Głębszy łyk i chwila ciszy. Thomal szukał w oczach kolegi jakiejś odpowiedzi.

– Dobrze kombinujesz – padło wreszcie. – Ta sitwa ulokowana została tak głęboko i tak dawno, że trudno będzie odkryć wszystko. Będą się bronić. – Zydelski znów spochmurniał. – No ale – prędko wrócił do sprawy – nasz oficer ze Wschodu nie był gadatliwy. Mówię ci to, bo ci ufam. – Zabrzmiało to niemal uroczyście. – Zobowiązanie, pamiętaj.

Nieśmiałe przypomnienie z udawaną groźną miną. Adam skinął głową, ledwo powstrzymując uśmiech cisnący mu się na usta.

Pan kapitan się bał, ciągle, od miesięcy. Próbował to ukrywać pod maską stanowczości, ale Thomal wiedział swoje.

– I co z tym ruskim? – ponaglił.

– Popracowali nad nim. Jakiś układ czy propozycja, tego nie wiem dokładnie – ciągnął Zy-

delski. – Ciekawa historia. Ale najbardziej interesowało ponoć wszystkich to, co wyśpiewa Malinowski. On zaczął sypać od razu. Nie dziwię się zresztą... – Zamyślił się.

– No mów, mów. – Adam zaczynał się niecierpliwić.

Zydelski upił łyk piwa i otarł palcem wargi.

– Ty wiesz, o co w tym chodziło?

– Podejrzewam, ale mnie oświeć. – Thomal wyprostował nogi w niedbalej pozie. – Kasa, jacyś terroryści?

– Wszystko razem. – Krzysztof wykrzywił usta. – Był taki ktoś... – zaczął wolno. – Jest taki ktoś. Nazywa się Paradkow. Podobno. Nasi, nazwijmy to koledzy... coś tam słyszeli. Udało się poskładać parę rzeczy do kupy. Zwłaszcza jak odkryliśmy, z czym nawiewali. Ten cały Paradkow, dawny generał GRU, to gwiazda. Afganistan, Azja, ale uprzednio szalał po Europie i szykował wojnę o pokój...

Adam wymownie chrząknął. Powtórka z historii go nie obchodziła.

– Po upadku imperium zajął się biznesem. Bazował na wiedzy i układach, jakie sami tworzyli. U siebie i w całej Europie. I im więcej pieniędzy, tym większy obłęd. Miał wielką wizję i wielkie ego. Towarzysz przestał być towarzyszem. Próbował sił w polityce i zaczynał bredzić o wielkiej Rosji. Płacił każdemu, kto tak jak on w to wierzył... Albo przynajmniej udawał. U siebie, ale i u nas. Miał pieniądze, mógł sobie pozwolić na wiele.

– Na co?

– Na co? – Zydelski się uśmiechnął. – Na pamiątki. Duchy przeszłości. Ten cały Paradkow miał cel. Na nowo stworzyć historię. Rozumiesz dziada? Urządził muzeum. Ściągał wszystko, o czym tylko usłyszał. Sztandary, order, insygnia. Pamiątki po carach. Jako były oficer GRU, ba, weteran, wielki nauczyciel, ciągle miał znajomych. Uczniów, wychowanków. Ponoć dbał o nich. Musieli mieć do niego sentyment. Facet posiadał sporą wiedzę i korzystał z zasobów służb. Za darmo czy nie, bez różnicy. Inaczej skąd by wiedział o tym całym Kaliczu? Ale pewnie sam wiesz, że to uchole ruskich zrobili donos.

Thomal nie dał się sprowokować. Milczał, wpatrując się w pustą do połowy szklanę.

– Cała ta sprawa... Chodziło tak naprawdę o pieniądze. Nie ma jednak dowodów. Główni zainteresowani gryzą piach. Ego jednego generała, nieposłuszeństwo Kalicza – bach, niemal tragedia grecka...

Adam znów poczuł strach. GRU, generałowie, polityka. Za mały był na to wszystko.

– A gdzie w tym wszystkim Malinowski?

– I niedoszły teść? – Pytanie samo cisnęło się na usta Zydelskiemu. – Pan pułkownik?

– I twój kolega, pan ochroniarz Ptasznik.

– Taaak...

Krzysztof potarł szczękę i zaraz wlał w siebie więcej piwa.

Thomal zastanawiał się, po co to wszystko. Jakby Zydelski chciał z niego zrobić wspólnika w jednym wielkim spisku. A potem czekać i pilnować, kiedy coś chlapnie.

– Zachrostowski, Malinowski i nasz... – Zydelski chrząknął – ...kolega. Jedna bajka. A tak, tak. – Pokiwał głową. – Pan major był tu jedynie trybikiem, choć teraz jemu dostanie się po dupie najbardziej, bo miał pecha i przeżył. Otóż, panie władzo – uśmiechnął się krzywo – jak się okazało, Ptasznik był źródłem informacji. Skąd miał taką wiedzę? Nie pochwalił się? Służba Bezpieczeństwa. To tam próbował robić karierę. Fakt, wiele nie podzielał, bo zaczął w departamencie trzecim. Opozycja, takie sprawy. Nisko, na samym dole, ale tam właśnie poznał Zachrostowskiego. Obaj musieli się odnaleźć w nowych czasach. Zachrostowski trafił do policji,

a Ptasznik na studia prawnicze. To też dobra metoda. Wrócił. Kadrowcy prawie ci sami, tylko szylid inny. Zachrostowski został wielkim kontrwywiadowcą. Ciekawy zawód. Wiem coś o tym.

Puścił oko do Adama.

– Granica była płynna. A wtedy na początku... nawiązywano wiele nowych znajomości. Kto wie, może wśród nowo poznanych przewinał się i sam Paradkow? Ptasznik odpadł szybko. Dostał koncesję, założył firmę ochroniarską. Zaczął kręcić jakieś interesy. Źródło zleceń i zaplecze miał piękne, a i nigdy nie rzucał się z chochlą. Brał łyżeczką, bo byli więksi i mocniejsi od niego. Raz tylko powinęła mu się noga i potrzebował ratunku...

– I wtedy ktoś przyszedł z pomocą? – Thomał wyszczerzył zęby i puścił oko do Zydelskiego.
– Ciekawe, nie?

Zapadła chwila ciszy. Zydelski uciekł wzrokiem i westchnął, ale po kilku sekundach podjął opowieść.

– Zachrostowski grał wyżej, ale kiedyś przy kolejnej zawierusze się wycofał. Może sam zrozumiał, że siedzą mu na ogonie. Wchodziliśmy do NATO, trzeba się było brać za porządki. Gospodarka mu nie przeszkadzała. Nawet lepiej...

– Nudzisz – burknął Adam. – To wszystko wiesz od naszych zachodnich sojuszników? Tacy obyci, to czemu nic nie robili?

– Jakich tam sojuszników? – Zydelski popukał się w czoło. – Malinowski śpiewa jak z nut.

– A on tam skąd im się trafił?

– Podpadł kiedyś, a z awansami krucho. Dorabiał. Zaczepił się u Ptasznika. Funkcjonował jako ktoś à la łącznik, kiedy twojego... – nie potrafił się powstrzymać od ironii – ...teścia kopnęli wyżej do stolicy.

– A o co chodziło z tą zadymą? – Adam poczuł się znużony życiorysami.

– Chcesz wiedzieć?

Thomał skinął głową.

– Rusek zeznał, że plan był prosty. Prawie dziecinny. Tylko podrasowany.

– I to Ptasznik, kurde, go podrasował – zachnął się Adam.

– Dokładnie. Nasz milusiński sam mu pomagał. Nie zna szczegółów i chyba mówi prawdę, ale ktoś gdzieś postanowił zrobić dobrze Paradkowowi i pogrozić nam palcem. Małegnietow sam przygotowywał werbunek. Ich własnych ludzi w tej triadzie było mało. Zresztą swoich szanują, tu trzeba było mięsa. Jak w Paryżu, Turcji... Kalicz zrobił im prezent z tym Duńczykiem. Domek wybrali idealny. Znasz go, nie? Gustawsena podobno uciszli jak Kalicza. Na ostro. To wiemy od Kopenhagi. Sądy już pracują, żeby podważyć akt darowizny. Pojmujesz? Załatwili to tak, żeby przejąć tę hawirę na legalu. Jakiś mecenas to firmował. Szukają go. Nie wiem, czemu nie zajęli się zawartością domu. Nawet ten ryży rusek tego nie pojmuje. Wyznaczyli tylko swoich, tutejszych, żeby pilnowali. No i wtedy pojawił się pan dobry, naiwny.

Krzysiek wskazał na Adama kpiąco uprzejmym gestem i lekko się skłonił.

– Spokojnie – ubiegł atak. – To tylko moje przypuszczenie. Opowiadałeś o Beatce, o tatusiu, skojarzyłem.

Wreszcie otwarta propozycja układu ze strony Zydelskiego. Każdy z nich miał jakiś argument przetargowy. Adam nieśpiesznie przytaknął.

– Malinowski nie miał pojęcia, skąd Zachrostowski dowiedział się o wszystkim. Spadło im to jednak jak z nieba, bo Ptasznik przeszukał pół kraju i dupa, nie znalazł tej mitycznej skrytki. Miał znajomości, ludzi, którzy nie podpadali służbowo. Umówił się kiedyś więc z Zachrostowskim i Malinowskim na wódkę. Czysta spółka. Każdy był zadowolony. Choć nie mieli bladego

pojęcia, czego szukają. Malinowski wspomniał, że gruby wkurwił się na jakiegoś gnojka, gliniarza – znowu wskazał dłonią Adama – i chciał go uciszyć, ale teściu, łaskawy, zabronił. Chyba się bał, że jakoś się zabezpieczyłeś.

Cisza. Ostatnie zdanie brzmiało jak otwarte pytanie.

Thomalowi przypomniało się nagle czarne auto, które kiedyś wyprzedzało go na drodze. Popatrzył na niewielki barek. Nagle nabrał ochoty na coś mocniejszego.

Podniósł się wolno i ruszył po butelkę. Wyciągnął czystą i dwa kieliszki.

– No, mów, mów, słucham.

– Ptasznik wysłał trzech ludzi. Dwóch od siebie, jednego od Malinowskiego. Ale tamci byli lepsi. Gotowi. Tej trójki do dziś chyba nie znaleźli. Tylko samochód, ale to dopiero jak prokurator zjawiał się na półwyspie po masakrze. Ptasznik chciał iść na ostro, ale Zachrostowski się przeraził. Najbardziej chyba bał się, że gruby coś narozrabia i trafią na niego. Uspokoił Ptasznika. Nie wiem, kto to wymyślił, ale uznali, że zamiast się mordować, lepiej się dogadać. Uważali gości ze Wschodu za zwyczajną bandyterkę. Bez dojść i tutejszych stosunków. Zaoferowali pomoc, osłonę, transport. Pułkownicy mogli wiele. Ruscy się zgodzili. Po pierwszym spotkaniu zaraz poprosili o kolejne. Pytali o pewne wydarzenie. Pewnie wiesz jakie? Bardzo im zależało na informacjach, bo nie mieli dojść. Zachrostowski był jednym z niewielu, którzy wiedzieli to i owo, i raz-dwa ustalił datę planowanego widowiska. Tamci kazali szykować wywóz zawartości tej ruinki i mocno się spinali. Ptasznik też. Ale nie wiedział, o co chodzi, choć ponoć zaczął się bać. Zachrostowski kazał słuchać tego ich szefa i zaszył się, czekając na koniec. Malinowskiego za to wkopali dokumentnie. Miał robić za kuriera. Ten rusek, cały ich szef, jak to mówili: koordynator, bredził o przysłudze, za którą sporo zapłacą, ale major już coś czuł. Zgodził się, ale do końca głupi nie był. Sprawdził, co mają u niego w firmie na transportowców. Powiedział wspólnikom, że są pod obserwacją, i zaraz się zwinął. Resztę znasz. Odkryłeś Malinowskiego na zlocie i się potoczyło. Gdyby Ptasznik nie miał tendencji do obnoszenia się ze znajomymi i gdyby nie pokazał ci wtedy pana majora, gównu byśmy wiedzieli. A oni byliby bogaci. Wiesz w ogóle, co wieźli? – padło gorączkowe pytanie.

– A skąd? – Thomal wzruszył ramionami.

– Prawie pół tony skarbów! – Zydelski nalał drugą kolejkę do kieliszków.

Adam zaklął w myślach. Był tak blisko.

– To nie wszystko. Samo złoto jak złoto, ale pan kolekcjoner miał dojścia. Uciulał orderów po carach, złotych orłów. Były też jakieś ikony, naczynia liturgiczne z kościołów i cerkwi. Do tego jakieś fikuśne pistolety, szable też jak z Bizancjum. Ba, podobno jajka... no te... – pstryknął palcami, prosząc o odpowiedź.

– Fabergé? – Thomal otworzył szerzej oczy.

– O właśnie. – Zydelski skinął głową. – I na koniec kilka sztandarów, od czasów napoleońskich po rok 1914. Wyłuskane z jakichś nor. Do tego parę dużych baniek w gotówce. Ten cały ruski generał naprawdę pozazdrościł. Mógł to kupić, ale wolał skasować konkurencję. To wszystko miliony euro.

Zydelski zasępił się, patrząc w jasny płyn w butelce.

– No... Ale wszystko się kończy. Nawet chyba dobrze. Taka, patrz... drobnostka, kilka zdjęć, które przypadkiem zrobiłeś, a jednak pomogła. Zbieg okoliczności. No! – Klepnął się w uda, odpędzając złe samopoczucie. – A tobie jak idzie z tym bajzlem?

Adam nabrał powietrza. Uniósł kieliszek, wypił i skrzywił się. Zdecydowanie powinien przewidzieć rozwój sytuacji i schować wcześniej alkohol do lodówki.

– Co u mnie? Dali medal, awans, wyróżnienie i obietnicę etatu wyżej. W województwie. Na początku, jak ktoś zlikwidował dziadka na Mazurach, przesłuchali mnie, ale przyznałem się, że próbowałem sam poszperać... To niezabronione. Nie było co kręcić. Meldowałem wysokiej komisji o Zachrostowskim. No i dali spokój.

Zydelski stężał, pobladał i sięgnął po butelkę.

– Spokojnie, Krzysiek. – Thomał opadł na kanapę. – Miałem czas, żeby ułożyć bajkę. Na ten dom trafiłem przypadkiem. Ptasznik nic mi nie powiedział. Mieli bilingi, ale nie drążyli. Zresztą sam się wystawił, kiedy odstrzelili Borowiaka. Mnie mógł powiedzieć, co i gdzie ukrył Kalicz, ale i sam Ptasznik potrafił to wyciągnąć i dla bezpieczeństwa odstrzelić staruszka. Jedno drugiego nie wyklucza. Widzisz... – mrugnął do Krzyśka – ...u nas też podpytują o Malinowskiego. No, a jedyny zarzut wobec mnie to niepoinformowanie przełożonych. Żli byli, że polazłem do abwehry. No to powiedziałem, że się bałem, że to mnie przerosło, nie chciałem narażać kumpli. Dobrze, że do tej ruiny nie wlażłem, bo łatwo bym się nie wyłgał. – Zaśmiał się. – A tak? Umożyli sprawę. Nie chcieli drążyć, zresztą... – wypiął pierś – ...teraz jestem bohaterem. Moją postawą przyczyniłem się... ble, ble, ble. No – dodał. – Więc się nie bój. Nie ma sprawy Ptasznika. Chyba że mnie nagrywasz – rzucił głośniejsze, pochylając się w przód, jakby mówił do mikrofonu.

– No co ty, nie wydurniaj się! – Zydelski postukał się w głowę.

Adam podszedł do okna, odsunął kotarę nad drzwiami balkonowymi i stał chwilę, gapiąc się na dzieciaki, którym słońce najwyraźniej nie przeszkadzało w zabawie.

– Krzysiek.

Kapitan oparł się wygodnie. Wiedział, o co Thomał go zapyta.

– Ta cała reszta – mówił półszepem Adam, wodząc oczami za piłką na podwórku. – Co to, do diabła, było? – Odwrócił się do Zydelskiego.

Krzysztof spoważniał i unióśł głowę ku sufitowi.

– To jest wojna. Cholerna cicha wojna, która nagle zrobiła się głośniejsza. Nie rozumiesz? My, mój kolego, stoimy w rozkroku. Między Azją a Zachodem. Mordorem i cywilizacją. Tak jest, choć wielu się to nie podoba. Wszyscy mają tu swoich pupili, ale tamci trenują ich od lat. Zostawili ich tu tysiące. Po co? Żeby pilnowali, bo to według nich ich tereny. Jest wolność, jest niezależność, okej. Pewnych granic się nie przekracza. Ale tamci są dobrzy, bardzo dobrzy. Wiedziałeś. Gdyby nie zbieg okoliczności...

Pokręcił głową i ciągnął dalej:

– My zrobiliśmy duży krok i ktoś się wkurzył. Widzisz i słyszysz, jak włączysz telewizor, tych pojebów gładzących o sojuszu, o braterstwie. Pajaców w mundurkach. Wyrosli nagle jak grzyby po deszczu. To nie jest przypadek, o nie, mój przyjacielu! – Pokiwał palcem. – To są nowe czasy. Nowe metody dbania o swoje. Budowania poparcia. Zresztą na pewno to znasz. Piszą o tym i mówią. Ale to nie wystarcza. Są rzeczy, na które nie można pozwolić w żadnym wypadku. Bo jeszcze ci, co są pod butem, zaczną mieć wątpliwości. I to, wtedy... to był taki rubikon. Tyle że o tym nie można mówić, bo oficjalnie to wszystko na niby. Rozumiesz?

– Krzysiek. – Adam zrobił wielkie oczy. – Chcesz mi wmówić, że...?!

– A co, telewizji nie masz? – Zydelski się obruszył. – Drogie, niezapowiedziane manewry poszły za ostro. Ludzie są głupi. Powie się im, co trzeba. Tylko z tym Sopotem gorzej – poglądził się po brodzie – bo to środek miasta, w chuj rykoszetów. Ranni, zabici. Ale podepnie się to pod zatrzymanie grupy przestępczej. Zero powiązań. Po prostu gapie napatoczyli się, a tu wojsko. I masz. Przecież ciebie też instruowali. Wiem, bo sam dostałem papier. Kiedyś prawda wyjdzie na jaw, ale to już nikogo nie będzie obchodzić. No. – Zydelski wymownie spojrział na zega-

rek. Uśmiechnął się od ucha do ucha i klasnął w dłonie. – Będę spadał. Dzięki za wszystko. I co? Widzimy się w...

– Krzysiek! – Adam czuł rosnące ciśnienie. – Nie rób ze mnie kretyna, co?! Ci tam próbowali dopaść transport jakichś pieprzonych bomb, a ty mówisz...

– Po pierwsze, ciszej. – Nastrój Zydelskiego też momentalnie się zmienił. – Po drugie... Nie dopaść. Nie dopaść. – Podeszedł bliżej. – To była lekcja. Szybka i nieudolna, bo wszystko się posypało, choć rozgardiasz zrobili pierwszorzędny. Zaraz potem spokój, nie? Mieli pokazać światu, światu, nie nam, że my nic nie potrafimy. Że damy sobie zrobić kipisz w kraju, a na deser ktoś gdzieś odpali kilka rakiet. Bez sensu i bez celu, ale jednak. Te katusze miały być sygnałem: o, proszę, Polacy nie dźwigną takiej odpowiedzialności. I że nie ma sensu lokować u nas żadnej broni czy większego oddziału. Taka próba z rozpaczy. Rozumiesz? – Klepnął Adama po ramieniu. – Trzymaj się, stary. I nie myśl za dużo.

Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

– A ten... – Thomał się nie poddawał – ...cały ładunek? No wiesz... głowice.

Krzysztof Zydelski przystanął i odwrócił się z wyraźną niechęcią.

– Broń atomowa? – Z trudem powstrzymał wybuch śmiechu. – Tu?

Pokręcił głową.

– Adaś, Adaś. Wykiwali nas. Oszukali wszystkich. Mnie, ciebie, Zachrostowskiego. Nie mieli żadnej broni, żadnych bomb. To była tylko próba, sprawdzian. Bez tego nikt z nami o poważnych sprawach nie zechciałby rozmawiać. Przypomnij sobie nasze zabawy rekonstrukcyjne. Wszystko na niby, udawane. Takie widowisko, mój drogi. Widowisko.

KONIEC

Spis treści

[KARTA TYTUŁOWA](#)

[KARTA REDAKCYJNA](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[EPILOG](#)